

ANNE McCaffrey

Pieśń kryształu

(Tłumaczyła: Paulina Braiter)

PRELUDIUM

Killashandra słuchała, a słowa niczym lodowe bomby padały ciężkimi, ołowianymi kroplami na jej skostniałe ciało. Wpatrywała się w słynny profil Maestra, obserwując, jak jego usta zamykają się i otwierają, formując słowa, będące wyrokiem śmierci dla wszystkich jej ambicji i nadziei na przyszłość. Dziesięć lat ciężkiej pracy i nauki – na darmo.

Wreszcie Maestro spojrzał wprost na nią. Szczere współczucie, malujące się w jego wyrazistych oczach, dodawało mu lat. Mocne mięśnie szczęki zawodowego śpiewaka rozluźniły się, tworząc podwójny podbródek.

Kiedyś być może Killashandra przypomni sobie wszystkie te szczegóły. Teraz jednak zbyt była przygnieciona wszechogarniającym poczuciem klęski, by dotarło do niej cokolwiek poza świadomością ostatecznej przegranej.

– Ale... ale jak pan mógł?

– Jak mogłem co? – spytał Maestro zaskoczony.

– Jak mógł mnie pan zachęcać do dalszej nauki?

– Zachęcać? Ależ drogie dziecko, nic podobnego.

– Właśnie że tak! Mówił pan, że... że muszę tylko ciężko pracować. Czyżbym zbyt mało się starała?

– Oczywiście, że nie – odparł Valdi z urazą. – Stawiam moim uczniom wysokie wymagania. Potrzeba lat pracy, aby wyszkolić głos i opanować repertuar, stanowiący choćby część muzyki z różnych planet...

– Ja mam repertuar! Tak się starałam, a teraz... teraz pan mi mówi, że nie mam głosu?

Maestro Valdi głęboko westchnął. Ten zwyczaj zawsze irytował Killashandrę, a akurat teraz był wręcz nie do zniesienia. Już otwierała usta, aby zaprotestować, powstrzymał ją jednak uniesieniem ręki. Przyzwyczajenie, utrwalone przez cztery lata nauki, kazało jej zamilknąć.

– Nie masz głosu, by być solistką, moja droga Killashandro, nie wyklucza to jednak wielu innych odpowiedzialnych i interesujących...

– Nie będę na drugim planie. Chcę... chciałam – miała przynajmniej tę satysfakcję, by ujrzeć, jak Maestro krzywi się na dźwięk bijącej z jej słów goryczy – zostać śpiewaczką koncertową najwyższej klasy. Powiedział pan, że mam...

Ponownie uniósł dłoni.

– Natura obdarzyła cię idealnym słuchem, twoja muzykalność jest nienaganna, pamięć – znakomita, zdolności aktorskie bez zarzutu. Lecz twój głos brzmi lekko chrapliwie i w wyższych rejestrach staje się nie do zniesienia. Sądziłem, że trening pozwoli ci się tego pozbyć, ale... – bezradnie wzruszył ramionami i zmierzył ją surowym wzrokiem. – Dzisiejsze przesłuchanie w obecności całkowicie niezależnych sędziów udowodniło ostatecznie, że owa skaza jest nieodłączna twojemu głosowi. Ten moment musi być dla ciebie straszny, dla mnie też nie jest najprzyjemniejszy – widząc buntowniczą minę, obdarzył ją kolejnym karcącym spojrzeniem. – Nieczęsto myślę się przy ocenie głosów. Naprawdę sądziłem, że zdołam ci pomóc. Niestety, nie potrafię i podwójnym okrucieństwem z mojej strony byłoby zachęcać cię do dalszej pracy solowej. Nie. Lepiej będzie, gdy rozwiniesz swoje możliwości w inną stronę.

– A cóż to, według pana, ma być? – spytała ostro Killashandra. Jej głos był tak napięty, że zabolalo ją gardło. Zdołał spojrzeć jej prosto w oczy.

– Nie jesteś zbyt cierpliwa i nie masz usposobienia nauczycielki, ale znakomicie sprawdziłabyś się w jednej z bratnich dyscyplin teatralnych, gdzie twoje zrozumienie dla problemów pracy śpiewaka mogłoby okazać się bardzo użyteczne. Czy masz trening syntetyzujący? Hmm. Wielka szkoda, wykształcenie muzyczne byłoby tu ogromnym atutem. – Urwał, widać było, że coś przyszło mu do głowy. Porzucił jednak tę myśl. – No cóż, w takim razie zalecałbym, abyś w ogóle porzuciła teatr. Przy twoim słuchu mogłabyś stroić kryształy, pracować przy odlotach pojazdów lotniczych i promów, czy...

– Dziękuję panu, Maestro – powiedziała, bardziej z przyzwyczajenia niż wiedzioną szczerą wdzięcznością. Obdarzyła go półukłonem, jakiego wymagała jego pozycja, i wyszła.

Nie zdołała się powstrzymać przed zatrzęsnięciem drzwi. Szła korytarzem, oślepiona łzami, którym duma nie pozwalała popłynąć. Jednocześnie pragnęła i obawiała się spotkania z którymś z kolegów, mogących zapytać, czemu płacze, i współczuć w nieszczęściu. Kiedy jednak dotarła do swej studenckiej klitki nie napotkawszy nikogo, ogarnęła ją niepohamowana ulga. Wreszcie wolno jej było poddać się rozpacz, szlochała histerycznie i krztusiła się łzami, póki nie była zbyt wyczerpana, by tylko chwytać powietrze.

Jeśli jednak jej ciało protestowało przeciwko emocjonalnej nawałnicy, umysł rozkoszował się nią. Bowiem Killashandra czuła, że została wykorzystana, źle pokierowana, okrutnie potraktowana i okłamana. Kto wie, ilu jej kolegów w skrytości ducha naśmiewało się teraz z jej rojeń o olśniewających sukcesach na scenach operowych i koncertach. Killashandrze nie brakowało pewności siebie, jej wysoce rozwinięte ego zaspokoiłby tylko wyśniony zawód. Natomiast zupełnie brakowało jej samokrytycyzmu: uważała, że sukces i

status gwiazdy to tylko kwestia czasu. Teraz aż kuliła się wspominając dawną pewność siebie i arogancję. Poranne przesłuchanie traktowała jako czczą formalność i otrzymanie rekomendacji do dalszej pracy solowej wydawało jej się czymś zupełnie pewnym. Pamiętała twarze egzaminatorów, tak miło uśmiechnięte; jeden z nich bezmyślnie kiwał głową w takt szkolnych arii. Wiedziała, że jej tempo było bez zarzutu, za to akurat otrzymała wysokie noty. Jak mogli wyglądać na tak... tak... zadowolonych? Patrzeć zachęcająco? Pragnęła całkowicie wymazać z pamięci dzisiejsze fiasko!

Jak mogli wystawić jej niezadowolającą ocenę?

„Głos pozbawiony dynamiki operowej. Nieprzyjemna i zbyt donośna chrapliwość”. „Dobry instrument, nadający się do śpiewu z orkiestrą i chórem, zagłuszającym skazę”. „Duże możliwości w zakresie prowadzenia chóru; studentkę należy zdecydowanie odwieść od pracy solowej”.

Niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Jak można było pozwolić jej zejść tak daleko, cały czas oszukiwać ją, tylko po to, by w końcu odrzucić na przedostatnim etapie? Po czym zaoferować na pocieszenie prowadzenie chóru! Cóż za hańba i poniżenie!

Z torturujących ją wspomnień wyłaniały się twarze braci i sióstr, szydzących z tego, że „drze się na całe gardło”. Wyśmiewających godziny spędzone na wystukiwaniu palców w próbach „zrozumienia” niektórych dziwacznych harmonii pozaświatowej muzyki. W końcu rodzice zaakceptowali jej wybór zawodu, ponieważ, po pierwsze, od początku naukę opłacał planetarny system edukacji; po drugie, mogło to podnieść ich własną pozycję społeczną; i po trzecie, pierwsi nauczyciele sztuki wokalne i muzyki zadawali się ją zachęcać do dalszej pracy. A oni! Czy to niekompetencji jednego z tych prostaków zawdzięczała skazę w swym głosie? Czy to jakiś błąd we wczesnym, jakże ważnym stadium nauczania? Killashandra zwijała się w męce żalu nad samą sobą.

W pewnym momencie zrozumiała, że naprawdę to jest tylko użalanie i usiadła sztywno na krześle, patrząc w lustro, które odbijało wszystkie długie godziny nauki i samodoskonalenia. Samooszukiwania!

Co takiego Valdi ośmielił się zasugerować? Bratnie dyscypliny? Syntetyzerstwo? Ha! Miałyby spędzić życie na opiekowaniu się uszkodzonymi umysłami w domu dla psychicznie chorych jedynie dlatego, że w jej głosie także występowała skaza? Czy naprawiać uszkodzone kryształy, żeby umożliwić prawidłowe funkcjonowanie transportu międzyplanetarnego albo czyjejś przetwórci energii?

Nagle, w jednej sekundzie, Killashandra otrząsnęła się całkowicie z żalnego samopobłażania. Rozejrzała się po pracowni, maleńkim pokoiku zdominowanym przez stosy

nut, porządnie poukładanych obok widofaksu, którego pełna klawiatura podłączona była do archiwów Centrum Muzycznego, dostarczając na życzenie wszystko, co stworzyli kompozytorzy całej galaktyki. Zerknęła na odbitki ze szkolnych przedstawień – zawsze ona śpiewała główne partie – i zrozumiała, że najlepiej będzie zapomnieć o tym wszystkim! Jeśli nie mogła znaleźć się wśród najlepszych, to do diabła z teatrem! W tym, czym się zajmie, albo dotrze na szczyt, albo umrze, starając się tam dostać.

Wstała. W pokoju, który jeszcze trzy godziny temu stanowił centrum jej życia, teraz nie znajdowała nic, co chciałaby zatrzymać. Wszelkie osobiste drobiazgi, poukrywane w szufladach i na półkach, rozwieszone na ścianach dyplomy i opatrzone autografami hologramy śpiewaków, którym miała nadzieje dorównać, a potem prześcignąć, nie miały już z nią nic wspólnego. Sięgnęła po płaszcz i zanim przewiesiła go sobie przez ramie, zdarła z niego studencki znaczek. Obracając się na pięcie pomyślała, że jednak lepiej będzie zabrać ze sobą płytkę kredytową. Gdy grzebała w pełnej papierków szufladzie, dostrzegła przyklejoną do drzwi wiadomość.

„Poegzaminacyjna impreza u Roarego!” Prychnęła. Pewnie wszyscy już wiedzą. Niech sami naśmiewają się z jej upadku. Dziś wieczór nie będzie odgrywała odważnie uśmiechniętej w obliczu nieszczęścia bohaterki. Ani nigdy więcej.

– Killashandra ukradkiem schodzi ze sceny środkowym wyjściem – powiedziała do siebie, zbiegając po długich, opadających łagodnym łukiem schodach, wychodzących na promenadę naprzeciw Centrum Kultury. Ponownie poczuła jednocześnie satysfakcję i żal, że nikt nie jest świadkiem jej odejścia.

Bardziej dramatycznego wyjścia nie mogła sobie wymarzyć. Dziś wieczór będą się zastanawiać, co się stało. Może ktoś o czymś słyszał. Wiedziała, że Valdi nigdy nie powtórzyłby nikomu ich rozmowy. Nie znosił porażek, a szczególnie własnych. Od niego się nie dowiedzą. Werdykt egzaminatorów, a przynajmniej jego dokładne brzmienie, był zamknięty w komputerze. „Ktoś” jednak będzie „wiedział”, że Killashandra Ree oblała końcowy egzamin wokalny i dlatego tak się stało.

Ale jej tymczasem uda się zniknąć. Mogli się zastanawiać – od tego nic ich nie powstrzyma. Przypomną ją sobie, kiedy stanie się sławna na innym polu. Wtedy zrozumieją, że jedna porażka nie zdoła zniszczyć jej wrodzonej wielkości.

Podobne refleksje pocieszały Killashandrę przez całą drogę do mieszkania. Studentom przysługiwały dotowane kwatery. Jej pokój z pewnością nie był jednak pałacem.

Gdy nie odnowi rejestracji w Centrum Muzycznym, komputer zawiadomi właścicielkę mieszkania, ta zaś zamknie przed nią drzwi. Życie na zasiłku wydawało się Killashandrze

odrażające: oznaczało brak zdolności do osiągnięcia czegoś lepszego. Ale tu też postanowiła przejąć inicjatywę. Zatem pokój należy opuścić natychmiast. A wraz z nim wszystkie zawarte tu wspomnienia.

Poza tym nie chciała zniszczyć efektu „tajemniczego zniknięcia”. Toteż, lekko skinąwszy głową gospodyni, która zawsze sprawdzała, kto wchodzi i wychodzi, Killashandra wdrapała się na swoje piętro, wystukała kod i otworzyła drzwi, po czym rozejrzała się wokół. Naprawdę nie było tu nic wartego zabrania, może poza ubraniami.

Mimo to Killashandra spakowała również lutnię, którą kiedyś wykonała własnoręcznie. Być może już nigdy nie zechce na niej grać, ale też nie potrafiłaby jej tak po prostu zostawić. Włożyła instrument pomiędzy ubrania do worka, który przewiesiła przez ramię i okryła fałdami płaszcza. Zasuwała drzwi i zbiegła po schodach, jak zawsze pozdrowiła gospodynię i wyszła bez słowa. Zaspokoila tym samym dramatyczne wymagania swej nowej roli, ale teraz nie miała najmniejszego pojęcia, co dalej. Przeskoczyła na szybszy pas chodnika, kierując się w stronę centrum miasta. Powinna zarejestrować się w biurze pracy, powinna zwrócić się o zasiłek. Powinna zrobić wiele rzeczy, lecz nagle Killashandra odkryła, że słowo „powinna” przestało rządzić jej życiem. Koniec z próbami, lekcjami, nauką, z poświęcaniem czasu tak zwanym przyjaciółom i znajomym. Była wolna – całkowicie, bezdyskusyjnie wolna. I miała mnóstwo czasu, który powinna czymś zapełnić. Powinna?

Chodnik unosił ją błyskawicznie w ruchliwsze, handlowe dzielnice. Na skrzyżowaniach migały oznaczenia dla pieszych: fioletowy trójkąt handlowy nałożony na pomarańczowe koło opieki socjalnej; zielona fabryczna kratka i błękitne linie noclegowni, medyczne czerwono-zielone paski, a dalej czerwona strzałka lotniska i gwiazdzystoniebieska kosmoportu.

Killashandra, ogarnięta paraliżem niezdecydowania, oszołomiona różnorodnością rzeczy, jakie może zrobić, minęła skrzyżowanie, z którego prowadziły drogi w miejsca, gdzie powinna się dostać.

Znowu „powinna”, pomyślała. I pozostała na pośpiesznym paśmie. Jedna jej połowa czuła rozbawienie: oto ona, Killashandra, niegdyś tak pewna celu w życiu, teraz nie potrafiąca się na nic zdecydować. W tej chwili nie przyszło jej nawet na myśl, że przeżyła niezwykle silny wstrząs. I że właśnie go odreagowuje: z początku w niezbyt dojrzały sposób, gwałtownie porzucając wszystko, co ją uprzednio zajmowało, a teraz jak człowiek dorosły: otrząsając się z żalu nad sobą i wyruszając na poszukiwanie nowego, innego życia.

Nie mogła wiedzieć, że Esmond Valdi martwi się o nią, wiedząc, iż dziewczyna musi silnie przeżywać koniec wszystkich swoich ambicji. Gdyby zdawała sobie z tego sprawę,

może pomyślałaby o nim nieco przyjaźniej, choć ograniczył się jedynie do sprawdzenia, czy dotarła do pracowni, i zawiadomienia o swych obawach szkolnych kadr. Doszedł do uspokajającego wniosku, że Killashandra znajduje się w pokoju jednego z przyjaciół, gdzie może wypłakać swe troski. Znając jej umiłowanie muzyki, uznał – równie błędnie – że bez wątpienia nie przerwie muzycznej edukacji i w odpowiednim czasie przyjmie kierownictwo chóru. Tam właśnie chciał ją widzieć. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że Killashandra mogłaby być zdolna do odrzucenia w jednym ułamku sekundy dziesięciu lat intensywnego szkolenia.

Tymczasem obiekt jego rozterek był już w połowie drogi do kosmoportu, choć Killashandra jeszcze nie postanowiła, że tam właśnie powinna się udać. Tym razem „powinna” nie w sensie obowiązku, lecz ciekawości.

Fuerte wiązała się dla niej jedynie z przykrymi wspomnieniami. Opuści ją, zrywając w ten sposób wszystkie ślady bolesnych więzów, rodzinnych i zawodowych. Dobrze, że zabrała lutnię. Miała wystarczające uprawnienia, aby zatrudnić się na jakimś statku jako – w najlepszym razie – muzyk, a w najgorszym – członek obsługi. Równie dobrze może trochę popodróżować i zastanowić się, co jeszcze „powinna” zrobić ze swym życiem.

Gdy chodnik począł zwalniać na prowadzącym do terminalu kosmoportu zakręcie, Killashandra po raz pierwszy od czasu, gdy opuściła gabinet Maestra Valdiego, dostrzegła swe otoczenie: ludzi i przedmioty.

Uświadomiła sobie nagle, że jeszcze nigdy nie była w tym, zaplanowanym z istic gwiezdny rozmachem budynku. Nigdy nie przyłączyła się do żadnego z komitetów powitalnych, wychodzących na spotkanie pozaświatowych przybyszów. Z doku poderwał się prom, a odgłos jego potężnych silników sprawił, że nieszczęsny budynek aż zadygotał. Lecz zwyczajnemu hałasowi towarzyszył też wysoki, przeszywający skowyt, który docierał do niej niemal podprogowo. Czuła go od kości czaszki aż po pięty. Potrząsnęła głową. Skowyt wzmagął się – musiał dochodzić z promu – aż wreszcie w obronie przed nim zakryła dłońmi uszy. Stopniowo dźwięk przygasł i wkrótce zapomniała o tym incydencie, wędrując po nakrytej wielką kopułą ogromnej hali przylotów. W wewnętrznej części dostrzegła szeregi widifaksów, każdy z nich opatrzony był tabliczką z nazwą statku transportowego lub pasażerskiego. Na zielonych ekranach widniały niezwykle brzmiące nazwy odległych miejsc: przyszedł jej na myśl fragment starej pieśni i natychmiast został wymazany. Koniec z muzyką. Przystanęła przy oknie, obserwując rozładunek statku. Wokół kręcili się ludzie z obsługi i ich pneumatyczne wózki, używane do przewożenia niewymiarowych pakunków, nie mieszczących się na taśmie ładowarki. Brygadzysta był wszędzie, złowieszczo marszcząc

brwi przeglądał kody paskowe, zonglował jednostkami wagi i wyklócał się z pracownikami doku. Killashandra prychnęła. Musiała znaleźć ujście dla rozładowania rozpierającej ją energii. Nagle poczuła apetyczny zapach.

Była głodna! Głodna? Kiedy całe jej życie legło w gruzach? Jakież to banalne. Lecz woń sprawiła, że do ust napłynęła jej ślinka. No cóż, posiadany kredyt powinien wystarczyć na jakiś posiłek, choć lepiej sprawdzić, bo po co ma się najeść wstydu w restauracji.

Przy jednym z wielu znajdujących się w hali przyjęć publicznych wyjść komputera wcisnęła swą bransoletę we wgłębienie i przyłożyła do sprawdzającej odciski płytki prawy kciuk. Mile zaskoczyło ją odkrycie, że właśnie tego dnia jej kredyt się zwiększył. O kolejne stypendium, jak stwierdziła ze złością. Ostatnie. Fakt, że dostała premię, zirytował ją jeszcze bardziej. Premię, która miała wynagrodzić, że nigdy nie zostanie solistką?

Szybkim krokiem skierowała się w stronę najbliższej restauracji, uważając tylko, by nie był to jeden z tanich barów. Dawna, obowiązkowa Killashandra wycofałaby się pośpiesznie. Nowa Killashandra z godnością wkroczyła do środka.

O tej porze nie było tłoku, toteż zajęła kabinę na wyższym poziomie, z której poprzez plastoszko roztaczał się widok na przepływające obok statki i mniejsze jednostki kosmiczne. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak wielki ruch panował w porcie jej niezbyt ważnej rodzinnej planety. Mglisto majaczyło jej w głowie, że Fuerte stanowi punkt przesiadkowy. Menu na ekranie widifaksu było długie i urozmaicone. Kilka razy poczuła pokusę, aby zaszaleć i spróbować zachęcająco opisanych egzotycznych delikatesów. Ostatecznie zdecydowała się na potrawkę, rozważnie skomponowaną z pozaświatowych ryb, niezwykłą, lecz nie za ostrą dla niedoświadczonego studenckiego podniebienia. Wchodzące w skład dania pozaplanetarne wino zasmakowało jej tak bardzo, że zamówiła jeszcze jedną karafkę. Zapadał zmierzch.

Nagle poczuła dziwne poruszenie, z początku pomyślała, że to rezultat wypitego wina. Lecz nieprzyjemne uczucie narastało zbyt szybko jak na efekt działania alkoholu. Rozcierając kark i krzywiąc usta rozejrzała się w poszukiwaniu potencjalnego źródła zakłóceń. Potrząsnęła głową i dopiero widząc schodzący do lądowania prom zrozumiała, że musi to być reakcja na dźwięk, chociaż nie miała pojęcia, jak mógłby przedostać się do osłoniętej restauracji. Zakryła uszy, z całej siły dociskając dłonie, aby złagodzić przeszywający ból. Nagle wszystko ustało.

– Mówię wam, ten prom jest na granicy eksplozji, połączcie mnie z kierownikiem kontroli – w błogiej ciszy rozległ się czyjś baryton. Zaskoczona Killashandra rozejrzała się wokół.

– Skąd wiem? Wiem! – upierał się wysoki mężczyzna. – Dajcie mi wieżę kontrolną. Czy wszyscy tam są głusi? Chcecie mieć wybuch przy następnym starcie promu? Nie słyszeliście tego?

– Ja słyszałam – powiedziała Killashandra, podbiegając, żeby znaleźć się w polu widzenia urzędnika.

– Słyszała pani? – łącznościowiec był autentycznie zdumiony.

– Oczywiście. Prawie rozwalilo mi czaszkę. Nadal bolą mnie uszy. Co to było? – spytała wysokiego mężczyznę.

Nawet zdenerwowany głupotą urzędnika sprawiał wrażenie kogoś nawykłego do wydawania poleceń. Jego nazbyt szczupłe ciało było dumnie wyprostowane, dzięki czemu strój z kosztownego materiału o wyraźnie pozaświatowym kroju i wykonaniu znakomicie się układał.

– Ona też słyszała. A teraz połącz nas pan z wieżą kontrolną.

– Ależ proszę pana, mamy wyraźne rozkazy...

– Nie bądź takim służbistą – warknęła Killashandra nader obraźliwym tonem.

To, że podobnie jak on sama była Fuertanką, zadziało mocniej niż oblega. A potem obcy, wypływając z siebie przekleństwo równie barwne, co dobitnie określające idiotyzm upartego strażnika, otworzył wydobyty zza pasa portfel z kartami identyfikacyjnymi. Cokolwiek pokazał, sprawiło, że urzędnik wybałuszył oczy.

– Przepraszam pana. Nie zdawałem sobie sprawy, proszę pana.

Killashandra obserwowała, jak mężczyzna wystukuje kod. Po chwili na ekranie pojawił się widok wieży kontrolnej. Pozaświatowiec stanął dokładnie przed ekranem, a Killashandra odsunęła się uprzejmie.

– Kontrola? Chodzi o ten prom, który właśnie wylądował. Nie można zezwolić mu na ponowny start. Potrzebuje całkowitego przeglądu. Rezonuje do tego stopnia, że połowa kryształów napędu musi się przegrzewać. Czy nikt z was nie słyszał częstotliwości uderzeń? Wtórne rejestry... Nie, nie jestem pijany i to nie są pogróżki. To fakt. Czy cała załoga kontrolna zupełnie ogłuchła? Nie monitorujecie krzywych prędkości? Ile kosztuje sprawdzenie napędu w porównaniu z ceną nowego portu? Czy tej zapadłej planetki nie stać nawet na stroiciela kryształów albo mechanika?

– No, nareszcie coś rozsądnego – oznajmił obcy po chwili. – Co do mnie, to jestem Carrik z Cechu Heptyckiego, z Ballybranu. Tak, to właśnie powiedziałem. Słyszałem wtórne rejestry przez ściany, więc diablo dobrze wiem, że kryształy muszą się przegrzewać. Cieszę się, że wasze monitory zarejestrowały nierówny odrzut silników. Więc przechłódźcie ten

prom i zestróście kryształ. – Nastąpiła kolejna przerwa. – Dzięki, ale już zapłaciłem swój rachunek. Nie, dziękuję. Tak... – Killashandra wyraźnie widziała, że wyrazy wdzięczności drażnią Carrika. – Och, no dobrze, jak chcecie – zerknął na Killashandrę. – Dla dwojga – dodał i uśmiechnął się do niej szeroko. – W końcu ty też to słyszałaś – odszedł od konsoli i ujął łokieć Killashandry. Poprowadził ją w stronę odosobnionej kabiny.

– Mam tam butelkę wina – zaprotestowała lekko, jednocześnie rozbawiona tą apodyktyczną eskortą.

– Za chwilę dostaniesz lepsze. Nazywam się Carrik, a ty?

– Killashandra Ree.

Uśmiechnął się, a jego szare oczy przez moment zabłyśły.

– Co za urocze imię.

– Daj spokój. Na pewno znasz lepsze teksty.

Zaśmiał się, mimochodem starł pot z czoła i znad górnej wargi, po czym opadł na miejsce.

– Znam i jeszcze do nich dojdę, co nie zmienia faktu, że to piękne imię. Melodyjne. Czy powiedziałem coś nie tak?

– Nie. Nic.

Na to szczere zapewnienie rzucił jej sceptyczne spojrzenie. Z podajnika wynurzyła się oszroniona butelka. Carrik zerknął na etykietę.

– Siedemdziesiąty drugi. Niesamowite – przerzucił menu. – Ciekawe, czy mają tu forellańskie herbatniki i pastę aldebarańską. A, mają. Cóż, może będę musiał zmienić swą opinię o Fuerte.

– Naprawdę, właśnie skończyłam... – zaprotestowała Killashandra.

– Wręcz przeciwnie, moja droga Killashandro Ree, dopiero zaczęłaś.

– Ach tak? – słysząc ton jej głosu, każdy z byłych znajomych Killashandry natychmiast zmieniałby taktykę.

– Tak – ciągnął Carrik pogodnie. W jego oczach błyskały isierki wyzwania. – Jest to bowiem noc uczt i zabaw... zresztą na koszt kierownictwa. Ponieważ przed chwilą ocaliliśmy port przed zrównaniem z ziemią, twoje i moje życzenie jest dla nich rozkazem. Będą jeszcze wdzięczniejsi – ciągnął wesoło – kiedy rozbiorą napęd i zobaczą pęknięcia kryształów przetwornika. Zeszły z tonu co najmniej o sto drgań.

Jej niemal już podjęte postanowienie wycofania się z godnością zgasło w zarodku. Spojrzała na Carrika. Wychwycenie takiej różnicy wysokości wymagało bardzo wytrenowanego ucha.

– Co najmniej sto drgań z tonu? Jak to rozumiesz? Jesteś muzykiem?

Carrik popatrzył na nią, jakby powinna dobrze wiedzieć, kim i czym był. Podążył wzrokiem za jednym z członków obsługi, po czym wyciągnąwszy się niedbale na siedzeniu, uśmiechnął się do niej enigmatycznie.

– Tak, jestem czymś w rodzaju muzyka. A ty?

– Już nie – odparła kwaśno. Pragnienie ucieczki powróciło z ogromną siłą. Na bardzo krótką chwilę zdołała zapomnieć, dlaczego znalazła się w kosmoporcie. Teraz przypomniał jej o tym, a nie życzyła sobie więcej takich wspomnień.

Mocny uchwyt jego palców na ramieniu przytrzymał Killashandrę na miejscu. Dokładnie w tym momencie do restauracji wpadł jeden z urzędników. Wzrokiem szukał Carrika. Na ich widok jego twarz przybrała wyraz udawanej ulgi i radości. Podeszedł do stolika. Carrik uśmiechnął się do Killashandry, jakby prowokując ją do tego, by wobec świadka spróbowała się uwolnić. Miała nawet na to ochotę, doskonale wiedziała jednak, że nie może zrobić sceny. Jak dotąd nie dał jej dostatecznych podstaw do oskarżenia o naruszenie swobody osobistej. Carrik, w pełni świadom, w jak kłopotliwej sytuacji ją stawia, ośmielił się wznieść na jej cześć zuchwały toast, po czym przełknął tradycyjny próbny łyk wina.

– Tak, proszę pana, siedemdziesiąty drugi. Doskonały wybór. Z pewnością będzie pan...

Kłapa podajnika uniosła się, ukazując lekko parujący talerz herbatników i półmisek czerwono-brązowej substancji.

– Ależ tak, forellańskie herbatniki i pasta aldebarańska. Jak widzę, herbatniki podają tu na gorąco. Wasza obsługa zna się na rzeczy – stwierdził Carrik z udawanym zaskoczeniem.

– Fuerte nie imponuje może wielkością w zestawieniu z portami, jakie pan widywał...
– zaczął uniżenie urzędnik,

– Tak, tak, dziękuję – i Carrik odprawił go szorstkim gestem. Killashandra odprowadziła mężczyznę wzrokiem, zastanawiając się, jakim cudem nie zareagował ostro na tak bezczelną odprawę.

– W jaki sposób uchodzi ci takie zachowanie? – spytała Carrika. Uśmiechnął się.

– Skosztuj wina, Killashandro – jego uśmiech sugerował, że ten wieczór będzie tylko preludium do intymnej znajomości.

– Kim jesteś? – teraz była już naprawdę wściekła.

– Jestem Carrik z Cechu Heptyckiego – powtórzył tajemniczo.

– I to daję ci prawo do naruszania mojej wolności osobistej?

– Tak, jeśli słyszałaś rezonans kryształów.

– Nie rozumiem.

– Powiedz mi, co sądzisz o winie, Killashandro Ree. Z pewnością musiało zaschnąć ci w gardle i wyobrażam sobie, że od tych poddźwiękowych tortur rozboleła cię głowa. To tłumaczy twój paskudny humor.

Istotnie, czuła ból u podstawy czaszki. Miał też rację co do suchości w gardle... i paskudnego humoru. Złagodził jednak krytyczne brzmienie słów gładząc jej dłoń.

– Musisz wybaczyć moje zachowanie – w jego głosie nie słychać było prawdziwego zakłopotania. Uśmiechnął się ujmująco. – Te harmonie napędów są denerwujące. Wyzwalają w nas wszystko, co najgorsze.

Sącząc wino, przytaknęła skinieniem głowy. Trunek był przedni. Z zachwytem uniosła wzrok, a on poklepał ją po ramieniu i gestem nakazał, aby dopiła.

– Kim jesteś, Carriku z Cechu Heptyckiego, że władze portowe słuchają cię, a wieże kontrolne zamawiają z wdzięczności egzotyczne przysmaki?

– Naprawdę nie wiesz?

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym.

– Gdzie byłaś przez całe życie, skoro nie słyszałaś o Cechu Heptyckim?

– Studiowałam muzykę na Fuerte – odparła, niemal wypluwając słowa.

– Nie masz przypadkiem słuchu absolutnego? – jego nieoczekiwane, zbyt nonszalancko zadane pytanie zaskoczyło ją tak, że nawet nie zdążyła się na dobre rozczłochać.

– Tak, mam, ale nie...

Jego twarz, i tak raczej atrakcyjna, rozpromieniła się.

– Co za fantastyczne szczęście! Powinienem był dać temu agentowi, który mnie tu przysłał, spory napiwek. To wręcz nie do wiary...

– Szczęście? Gdybyś tylko wiedział, czemu tu jestem.

– To mnie nie interesuje. Ty tu jesteś i ja tu jestem – chwycił jej dłonie. Wzrokiem zdawał się pożerać twarz Killashandry. Zaśmiał się tak wesoło i zaraźliwie, że i ona nie mogła opanować uśmiechu.

– Och tak, prawdziwe szczęście, moja droga. Los, przeznaczenie, Karma, Lequoal, Fidalkoram, jakkolwiek nazwałabyś przypadek, który połączył linie naszego życia. Powinienem zamówić dziesiątki flaszek tego wina dla pilota, tego niezdary, za to, że wywołał takie zagrożenie dla portu i nas osobiście.

– Nie mam pojęcia, o czym tak rozprawiasz, Carriku z Cechu Heptyckiego – oznajmiła Killashandra, nie była jednak całkiem odporna na komplementy ani na roztaczany

przez niego urok. Wiedziała, że zazwyczaj jej pewność siebie zniechęcała mężczyzn, tu jednak siedział przed nią doświadczony pozaświatowiec, człowiek o niewątpliwie wysokim stanowisku i pozycji, z niewyjaśnionych powodów wyraźnie nią zainteresowany.

– Naprawdę? – drażnił się, wyśmiewając banalność jej zaprzeczeń. Zamknęła usta, przez sekundę gotowe do wypowiedzenia dalszego ciągu standardowej odprawy. – Mówiąc poważnie – ciągnął, gładząc palcami wnętrze jej dłoni, jakby starając się uciszyć jej gniew – czy nie słyszałaś nigdy o śpiewakach kryształu?

– Śpiewakach kryształu? Nie. Stroicielach kryształu, owszem.

Carrik zbył stroicieli lekceważącym pstryknięciem palców. – Wyobraź sobie, że śpiewasz c – czyste, wyraźne środkowe c – i słyszysz, jak odpowiada ci całe górskie pasmo.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Podnieś głos o tercję albo obniż, to bez znaczenia. Śpiewasz i słyszysz, jak wraca do ciebie harmonia. Cała góra odpowiadająca c i kolejna ściana różowego kwarcu, wibrująca w dominancie. Noc budzi tonacje molowe niczym ból w piersiach, najpiękniejszy ból na świecie, bowiem muzyka kryształów jest w twojej krwi, w twoich kościach...

– Oszalałeś? – Killashandra wpiła palce w jego dłonie, żeby przerwać potok słów. Przywodziły na myśl zbyt wiele bolesnych skojarzeń. Musi po prostu zapomnieć o tym wszystkim. – Nienawidzę muzyki. Nienawidzę wszystkiego, co ma związek z muzyką.

Przez moment przyglądał się jej z niedowierzaniem, potem jednak objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, mimo początkowego oporu dziewczyny. Nieoczekiwanie w jego oczach zabłyśło współczucie i tklivość.

– Moja droga, co ci się dziś przydarzyło?

Jeszcze przed chwilą prędeż przełknęłaby garść odłamków szkła, niż zwierzyła się komukolwiek, lecz ciepło jego głosu obiecujące wyrozumiałość było tak niespodziewane i trafiło na odpowiedni moment. Urywanymi zdaniem opowiedziała mu całą historię swej osobistej klęski. Uważnie słuchał każdego słowa, od czasu do czasu mocniej ściskając jej dłoń na znak współczucia. A wreszcie z zaskoczeniem ujrzała, że w jego oczach odbija się prawdziwe uczucie. W ostatniej chwili udało jej się powstrzymać napływające łzy.

– Moja droga Killashandro, co mogę na to powiedzieć? Wszelkie słowa pociechy nikną w obliczu podobnej osobistej katastrofy! A ty – w jego oczach zalśniło coś, co Killashandra zdecydowała się uznać za podziw – siedziałaś sobie tutaj nad butelką wina jak gdyby nigdy nic. Albo może – przechylił się ku niej ze złośliwym uśmiechem – zbierałaś się na odwagę, by skoczyć pod startujący prom? – nadal trzymał jej dłonie, które na tę szokującą sugestię próbowała uwolnić. – Nie, widzę, że samobójstwo było najdalsze od twych myśli.

Choć... – wyraz jego twarzy zmienił się na zamyślony – mimowolnie mogłoby ci się udać, gdyby dopuszczono do ponownego startu tego promu. Gdyby mnie tu nie było... – posiał jej czarująco naganny uśmiech.

– Cóż za skromność! – jednak jej oskarżycielski ton był tylko żartem. Nie mogła się oprzeć dyktatorskiemu zachowaniu Carrika, który różnił się od wszystkich ludzi, jakich знаła.

Nadal uśmiechał się zuchwale, kiwając głową w stronę resztek egzotycznej przekąski.

– Nie bez powodów, drogie dziewczę. Słuchaj, jesteś już wolna od wszelkich zobowiązań, prawda? – kiedy z wahaniem przytaknęła, dodał: – Czy masz jakiegoś przyjaciela? – wypowiedział te słowa ostro, jakby chcąc wyeliminować każdego rywala.

Później Killashandra przypomni sobie może, jak zręcznie Carrik ją podszedł, wykorzystując to, że była całkowicie wytrącona z równowagi i że jej kobiecość domagała się swych praw. Lecz ten przeblysłk zazdrości stanowił duży komplement, a zapal jego oczu, jego rąk nie był udany.

– Nie ma nikogo, kto by za mną tęsknił. Carrik spojrzał na nią sceptycznie i musiała przypomnieć mu, że wszystkie swe siły poświęciła śpiewowi.

– Z pewnością nie wszystkie – zadrwił z jej poświęcenia.

– Nikogo – powtórzyła stanowczo.

– Zatem złożę ci szczerą propozycję. Jestem pozaświatowcem na wakacjach. Nie muszę wracać do Cechu przed... – nonszalancko wzruszył ramionami – jak długo zechcę. Pieniądzy mam dość. Pomóż mi je wydać. Oczyszczę cię z brudu uczelni muzycznej.

Spojrzała na niego ostro, bowiem ich znajomość była tak krótka i niezwykła, że Killashandra nie wzięła nawet pod uwagę możliwości, że mógłby jej towarzyszyć. Niezupełnie mu ufała. Jego władcze, dominujące zachowanie zarówno pociągało ją, jak i odpychało, stanowił jednak wyzwanie.

Z pewnością był całkowitym przeciwieństwem młodych mężczyzn, jakich dotąd spotykała na Fuerte.

– Nie musimy też zostać na tej kulce błota.

– To po co tu przyleciałeś? Roześmiał się.

– Powiedzieli mi, że nigdy przedtem nie trafiłem na Fuerte. Nie mogę powiedzieć, aby była godna swojej reputacji, chyba że ty podniesiesz walory planety. No dalej, Killashandro – dodał, gdy starała się stłumić uśmiech. – Na pewno nieraz już cię podpuszczano. A może studenci muzyki tak bardzo zmienili się od moich czasów?

– Studiowałeś muzykę?

W jego oczach przez moment przemknął dziwny cień.

– Chyba tak. Niedokładnie pamiętam. W innych czasach, w innym życiu... – naraz jego uroczy uśmiech stał się jeszcze głębszy i cieplejszy, co z lekka ją zaniepokoiło. – Powiedz, co zabawnego można robić na tej planecie?

Killashandra zastanowiła się przez moment, na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

– Wiesz, że nie mam bladego pojęcia!

– Zatem dowiemy się razem.

Połączone działanie wina, wprawnych pochlebstw Carrika i jej własnej brawury sprawiło, że Killashandra nie zdołała oprzeć się pokusie. Wiedziała, że powinna zrobić mnóstwo rzeczy, lecz "powinność" zniknęła gdzieś podczas trzeciej butelki. Po nocy spędzonej w jego ramionach w najdroższym apartamencie portowego hotelu Killashandra postanowiła na kilka dni zawiesić swoje plany i zająć się czarującym gościem.

Drukarka widifaksu zaterkotała i wypuła z siebie dziesiątki kart z propozycjami różnych miejscowości wypoczynkowych na Fuerte. Killashandra nie przypuszczała, że na planecie jest ich aż tyle. Ale w końcu dotąd miała ograniczone środki i czas. Nigdy nie jeździła na nartach wodnych, więc Carrik zdecydował, że oboje spróbują tego sportu. Zamówił prywatny ślizgacz, który miał być gotów za godzinę. Podczas gdy radośnie wyśpiewywał swym dźwięcznym, głębokim basem, pluskając się w eleganckiej, wpuszczonej w podłogę wannie ich apartamentu, Killashandra przywołała resztki samozachowawczej ostrożności i wystukała na konsoli kilka dyskretnych pytań.

ŚPIEWAK KRYSZTAŁU... kolokwialny galaktyczny eufemizm określający członków Cechu Heptyckiego z Ballybranu, zajmujących się pracami wydobywczymi w kryształowych pasmach górskich, występujących wyłącznie na tej planecie. PATRZ: Ballybran, system Regulusa, A-S-F/128/4. Kryształ wydobyć. Kryształ technologia. Czarny kwarc – zastosowanie w łączności. UWAGA: nieupoważnione lądowanie na Ballybranie zabronione przez Federację Planet Rozumnych, artykuł 907, kod 4, paragrafy 78–90.

Zakaz lądowania zaskoczył Killashandrę. Spróbowała przypomnieć sobie szczegóły z obowiązkowych zajęć szkolnych, dotyczących Praw i Obowiązków FPR. Artykuły dziewiętnaste miały coś wspólnego z formami życia, tak jej się przynajmniej zdawało, natomiast kod 4 sugerował znaczne zagrożenie.

Wystukała numer artykułu, kod i paragrafy, i w odpowiedzi uzyskała pytania o „Uzasadnienie”. Ponieważ w tej chwili nie potrafiła wymyślić żadnego, przeszła do odnośnika planetarnego i na ekranie pojawił się długi tekst.

BALLYBRAN: piąta planeta słońca Scoria, sektor Regulusa; trzy satelity; lądowanie dozwolone na pierwszym, Shankillu; standardowa baza handlowo mieszkalna, pomieszczenia dla przybyszów. ZAKAZ LĄDOWANIA NA PLANECIE BEZ UPOWAŻNIENIA: artykuł 907, kod 4, paragrafy 78–90. Wyłączne zwierzchnictwo: Cech Heptycki, Baza Księżycowa Shankill.

Po tym następowały gęsto zapisane wiersze analiz spektralnych Scorii i jej satelitów, z których jedynie Ballybran został zaszczycony dłuższym wydrukiem. Te dane Killashandra potrafiła częściowo zinterpretować. Grawitacja Ballybranu była nieco niższa od galaktycznej normy ludzkiej adaptacyjności. Planeta miała atmosferę, którą dało się oddychać, więcej oceanów niż lądu, pływowe komplikacje spowodowane oddziaływaniem trzech księżyców i niezwykłą meteorologię, pobudzaną przez plamy słoneczne gwiazdy.

Główny przemysł: 1) kryształy ballybrańskie; 2) wody terapeutyczne.

1) Ballybrańskie żywe kryształy różnią się gęstością, barwą, trwałością i występują wyłącznie na tej planecie. Niezbędne przy produkcji elementów kontrolnych, zastępują układy scalone (w hierarchii kaskadowej); używane w robotyce pozytronowej; jako przetworniki promieniowania elektromagnetycznego (w paśmie podstawowym od 20 do 500 KHz, ze wspomaganiami akustycznym i rezonansem w niższych rejestrach) i cieplnego w oferiańskich przekaźnikach dźwięku i instrumentach muzycznych; błękitne czworościany stanowią kluczowy element tachjonowych układów napędowych.

Tak zwany czarny kwarc, fenomen występujący jedynie na Ballybranie, to niezbędny składnik natychmiastowych międzygwiazdnych systemów komunikacyjnych. Posiada zdolność zwijania przestrzeni, tak że pod względem magnetycznym, elektrycznym i, na ile udało się stwierdzić, optycznym para poddanych rezonansowi segmentów nie wykazuje żadnego dostrzegalnego oddzielenia, niezależnie od dzielącej je rzeczywistej odległości. Zgodność czasowa przy odległości 500 lat świetlnych ujawnia spójność rzędu 1×10^{-6} według czasowego standardu atomu cezu.

Czarny kwarc zdolny jest do osiągnięcia jednoczesnej synchronizacji z dwoma innymi segmentami, dzięki czemu uzyskuje się pierścieniowy układ podwójny. Na przykład przy sześciu segmentach A–F, A połączony jest z C, D i F...

Wszystko, cokolwiek chciałabym wiedzieć o komunikacji czarnokwarcowej, pomyślała Killashandra, gdy na ekranie zaczęły przesuwać się wykresy i obliczenia, i wywołała bardziej interesujące dane. Zwolniła tempo wyświetlania, dostrzegłszy hasło "Członkostwo", i wróciła do początku tekstu.

W chwili obecnej liczba członków Cechu Heptyckiego z Ballybranu wynosi 4425, łącznie z członkami nieaktywnymi, liczba ta jednak podlega nieustannym wahaniom w związku z niebezpieczeństwami pracy. Personel pomocniczy i techniczny liczy obecnie 20 007 osób. Osoby ubiegające się o przyjęcie do Cechu winny wziąć pod uwagę, iż profesja ta oceniana jest jako wysoce niebezpieczna i zgodnie z wymaganiami Prawa Federacji Cech Heptycki zobowiązany jest ujawnić wszelkie szczegóły możliwych zagrożeń przed przyjęciem nowych członków.

Cztery tysiące czterysta dwadzieścia pięć było absurdalnie małą liczbą jak na Cech o zasięgu galaktycznym, zaopatrujący tak wiele gałęzi przemysłu w niezbędne elementy. Większość galaktycznych cechów liczyła co najmniej cztery miliony członków. A personel pomocniczy i techniczny? Wszelkie szczegóły możliwych zagrożeń nie zniechęciły Killashandry ani odrobinę. Niebezpieczeństwo to pojęcie umowne.

Wycinanie ballybrańskich kryształów to zajęcie wymagające starannego wyszkolenia i znakomitych warunków fizycznych. Między innymi wymaga ono absolutnego słuchu i zdolności idealnej reprodukcji dźwięków w skali głosowej i timbre spotykanych jedynie u typów IV do VII dwunogich humanoidów – pochodzenie Sol III.

Wydobycie kryształu wiąże się nieodłącznie z członkostwem w Cechu Heptyckim, który szkoli, wyposaża i zawiaduje cechowymi usługami medycznymi, za co pobiera trzydziestoprocentowy podatek od wszystkich aktywnych członków.

Killashandra gwizdnęła cicho pod nosem: trzydzieści procent to prawdziwe zdzierstwo. A przecież Carrik miał wystarczająco duży kredyt i to zarówno finansowy, jak i profesjonalny. Widocznie siedemdziesiąt procent zarobków stanowiło niezłą sumkę.

Wspomniawszy Carrika, wystukała pytanie. Każdy mógł udawać członka cechu; oszuści często posługiwali się znakomicie podrobionymi dokumentami i potrafili przekonująco dyskutować o swej domniemanej pracy, lecz komputera nie dało się oszukać. Uzyskała potwierdzenie, że Carrik istotnie był członkiem Cechu Heptyckiego, lokującym się na dobrej pozycji, obecnie na urlopie. Przez ekran przemknął hologram Carrika sporządzony przed pięcioma dniami, gdy korzystał z płytki kredytowej, kupując bilet na Fuerte. No cóż, niewątpliwie był tym, za kogo się podawał. Jego status członka Cechu gwarantował jej bezpieczeństwo w razie przyjęcia „szczerego zaproszenia” na wspólne spędzenie wakacji. Nie zostawi jej z nie zapłaconymi rachunkami, gdyby nawet zdecydował się pochopnie opuścić planetę. Uśmiechnęła się do siebie. A więc Carrik uważał, że ma szczęście? Ona również tak sądziła. Ostatni ślad „powinności” stanowiła przelotna myśl, że „powinna” zarejestrować się w centralnym komputerze Fuerte jako osoba bez stałego zatrudnienia, ale ponieważ

bynajmniej nie miała obowiązku tego robić tak długo, jak długo nie występowała o zasiłek, myśl przepadła.

W tym akurat momencie kilkoro z jej kolegów szkolnych zaczęło się poważnie o Killashandrę niepokoić. Wszyscy wiedzieli, że werdykt komisji musiał ją bardzo poruszyć. I nawet jeśli w opinii niektórych zasłużyła sobie na to swą pewnością siebie i pychą, to przecież inni, łagodniejszego serca, czuli pewne obawy z powodu jej zniknięcia. Podobnie jak Maestro Valdi.

Prawdopodobnie nie rozpoznaliby Killashandry śmigającej na wodnych nartach wśród oceanicznych fal zachodniej półkuli, czy przyodzianej w elegancką suknię i wspartej na ramieniu wysokiego, dystyngowanego mężczyzny, którego traktowano z rewerencją nawet w najbardziej ekskluzywnych hotelach.

Z nieograniczonymi funduszami Killashandra czuła się znakomicie. Carrik zachęcał ją do wydawania, a rzeczywistość sprawiła, że zapomniała o resztce skrupułów pozostałych z czasów, gdy studenckie stypendium musiało starczyć na wszystkie najpilniejsze potrzeby. Zachowała choć tyle przyzwoitości, by z początku protestować przeciwko tym ekstrawagancjom.

– Nie przejmuj się, maleńka. I tak trzeba to wydać –zapewniał ją Carrik. – Mnóstwo zarobiłem na durowych tercjach w Błękitnym Paśmie mniej więcej w tym samym czasie, gdy jacyś idiotyczni rewolucjoniści wysadzali w powietrze połowę systemu komunikacyjnego swej planety – urwał; jego oczy zwęziły się, jakby na wspomnienie czegoś nieprzyjemnego. – Miałem też szczęście, jeżeli chodzi o kształt. Widzisz, nie wystarczy tylko przy wycinaniu złapać rezonanse. Musisz pamiętać, jaki kształt ciąć, i właśnie to prowadzi do sukcesu albo porażki śpiewaka. Trzeba pamiętać, co akurat chodzi na rynku, chyba że zdarza się coś takiego jak ta rewolucja na Hardesty – dla podkreślenia swych słów rytmicznie uderzał w stół, głupio zachwycony tym wspomnieniem. – Dobrze pamiętałem i dokładnie wtedy, kiedy trzeba.

– Nie rozumiem,

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Nie przejmuj się, maleńka – standardowy unik. –Chodź, pocałuj mnie, oczyść mą krew z kryształu.

Miłość z nim nie miała jednak nic z kamiennego chłodu, i widząc, jak wielką radość czerpał z jej ciała, Killashandra świadomie nie zwracała uwagi na jego uniki. Z początku sądziła, że w końcu gość ma wakacje i nie chce rozmawiać o pracy. Potem zaczęła odnosić wrażenie, jakby jej pytania budziły w nim niesmak – jakby za wszelką cenę pragnął

zapomnieć o śpiewaniu kryształu. Nie posuwało to naprzód jej planów, ale Carrik nie był przecież niezdarnym nastolatkiem, błagającym o łaskę i względy. Toteż pomogła mu zapomnieć o śpiewaniu kryształu.

Zajętemu odkrywaniem ciągle nowych cudów zarówno jej samej, jak i Fuerte, udawało mu się to znakomicie aż do owej nocy, gdy zbudziły ją jego jęki. Związał się z bólu.

– Carrik, co się dzieje? Czy to te skorupiaki, które jadłeś na kolację? Mam wezwać lekarza?

– Nie, nie! – szarpnął się gwałtownie i pochwycił jej rękę, nim zdążyła dotknąć komunikatora. – Nie zostawiaj mnie. To przejdzie.

Objęła go zatem i trzymała w ramionach, gdy krzyczał i zaciskał zęby w nieznośnej męce. Ze wszystkich porów wylewał mu się pot, a mimo to Carrik z uporem nie pozwalał na wezwanie kompetentnej pomocy. Wstrząsające nim ataki trwały ponad godzinę, nim wreszcie ustały, pozostawiając go wyczerpanego i słabego. W ciągu tej godziny Killashandra uświadomiła sobie, jak bardzo się do niego przywiązała, ile radości sprawiało jej przebywanie razem z nim, jak wiele straciła, nie pozwalając sobie wcześniej na żadne intymne związki. Kiedy już wyspał się i odpoczął, nieśmiało spytała, co to było. – Kryształ, moja droga, kryształ – jego szorstkie zachowanie i wyczerpany wyraz twarzy, nadający mu naraz wygląd bardzo starego człowieka, sprawiły, że nie zapytała o nic więcej.

Po południu był już niemal sobą. Zniknęła jednak wcześniejsza spontaniczność. Na pozór nadal świetnie się bawił, zachęcając ją do coraz śmielszych wypadów na nartach wodnych, ale sam pluskał się jedynie na płyčźnie. Kończyli właśnie leniwy posiłek w ulubionej nadmorskiej restauracji, kiedy oznajmił, że musi wracać do pracy. – Nie mogę powiedzieć „tak szybko”? – Killashandra parsknęła śmiechem. – Ale czy to nie zbyt nagle decyzja? Uśmiechnął się dziwnie.

– Zgadza się, lecz czy nie było tak samo z większością moich decyzji? Na przykład z pokazaniem ci drugiej strony ponurej, stęchłej Fuerte?

– A teraz nasza idylla dobiegła końca? – starała się, by zabrzmiało to nonszalancko, lecz do jej głosu zakradła się obca nuta.

– Muszę wracać na Ballybran. Ha! To zupełnie jak jakaś rybacka pieśń – zanucił banalną melodię, tak przewidywalną, że Killashandra z łatwością dołączyła do niego, wtórując harmonijnie.

– Razem tworzymy piękną muzykę – stwierdził. Jego spojrzenie szydziło z niej. – Przypuszczam, że wrócisz teraz do nauki?

– Nauki? Po co? Żeby zostać wiodącym sopranem w chórze, odśpiewującym opatrzone komentarzem i zorkiestrowane steki oraz jęki Fiffidipidiego z planety Grnch?

– Mogłabyś stroić kryształy. W waszym kosmoporcie najwyraźniej potrzebują fachowca.

Mruknęła nieuprzejmie i spojrzała na niego wymownie. Odpowiedział jej uśmiechem, grzecznie odwracając głowę i czekał, co powie.

– Albo też – stwierdziła przeciągle, nie spuszczać z niego wzroku – mogłabym zgłosić się do Cechu Heptyckiego jako śpiewaczka kryształu.

Napięcie i ostrość w jego głosie zaskoczyły ją przez moment.

– Wcale nie chcesz śpiewać kryształu.

– Skąd wiesz, czego chcę? – wybuchnęła wbrew sobie, nie bacząc na dręczącą ją niepewność co do jego uczuć. Mogła być idealną partnerką w wylegiwaniu się na słonecznej plaży, ale czy chciał ją jako stałą towarzyszkę w niebezpiecznym zawodzie?

– Nie chcesz być śpiewaczką – uśmiechnął się ze smutkiem.

– Och, daj spokój tym komputerowym bzdurcom.

– Są prawdziwe.

– A zatem, skoro mam doskonały słuch, mogę próbować.

– Nie wiesz sama, w co się pakujesz – powiedział to płaskim, bezbarwnym głosem. Jego mina wyrażała jednocześnie ostrzeżenie i gniew. – Śpiewanie kryształu oznacza okropne, samotne życie. Nie zawsze możesz znaleźć kogoś, kto śpiewałby z tobą, czasem nie uda ci się trafić na właściwy ton właśnie odkrytej kryształowej ściany. Oczywiście, śpiewając w duecie można dokonać niesamowitych rzeczy – jakby się zawahał.

– Jak mam się o tym przekonać? – spytała, udając niewiniątko. Prychnął z rozbawieniem. – Jasne, że tylko w praktyce. Ale ty nie chcesz śpiewać kryształu. Smutek, jaki zadźwięczał w jego głosie, niemal ją przeraził.

– Kiedy już raz zaczniesz śpiewać kryształy, nie możesz przestać, dlatego właśnie mówię ci: nawet o tym nie myśl.

– A więc... powiedziałaś mi, żebym o tym nie myślała.

Złapał ją za rękę i z pasją spojrzał w oczy.

– Nigdy nie byłeś w Mikeleyach podczas gigawichru. Pojawiają się znikąd – podkreślił te słowa zamaszystym gestem – i zwalają się na ciebie niczym nagle rozpetane piekło – poczuła pod dłonią, że ciałem Carrika wstrząsa dreszcz. – To właśnie oznacza zdanie z banku danych: „Cech do końca zajmuje się swymi członkami”. Gigawiatr może zredukować człowieka do poziomu rośliny w jednym wielkim *crescendo*.

– Istnieją jeszcze inne – choćby mniej gwałtowne – sposoby doprowadzania do poziomu rośliny – odparła, myśląc o pracownikach hotelowych, o kontrolerze nadzorującym załadunki, przejmującym się tylko ciężarem towaru, o nauczycielach, apatycznie słuchających gam wyśpiewywanych przez początkujących studentów. – Z pewnością istnieją instrumenty, które ostrzegałyby o nadejściu wichury – nawet tej giga – w górach?

Przytaknął. Jego wzrok skierowany był ponad jej głowę, skupiony na jakimś niedostrzegalnym zjawisku.

– Zabierasz się do cięcia kryształu i jesteś właśnie w połowie. Wiesz, że kiedy wiatr ucichnie, zmieniają się wszystkie tonacje, i przekraczasz margines bezpieczeństwa, ale ten ostatni kryształ może oznaczać, że uda ci się wyjechać...

– Nie każda wyprawa w góry oznacza opuszczenie planety? Niecierpliwie pokręcił głową, zirytowany jej wtrąceniem.

– Nie zawsze udaje się pokryć koszty podróży, spłacić stare szkody, czy wyciąć odpowiedni kształt i ton. Czasami ton jest ważniejszy niż kształt, wiesz?

– I musisz pamiętać wszystko, czego potrzeba, tak? – Skoro dysponowała absolutnym słuchem i znakomitą pamięcią, śpiewanie kryształu wydawało się zawodem jakby stworzonym specjalnie dla niej.

– Musisz pamiętać wszelkie nowiny – odparł, kładąc dziwny nacisk na czasownik.

Killashandra nie rozumiała, w czym problem. Pamięć to tylko kwestia przyzwyczajenia, wyszkolenia, pewnych mnemotechnicznych chwytów, które uruchamiały dostęp do istotnych informacji. Miała sporą praktykę w zapamiętywaniu.

– Czy jest jakaś szansa, żebym mogła towarzyszyć ci na Ballybran i zgłosić się...

Jego palce wzmocniły uchwyt, nawet oddech jakby zamarł na chwilę. Oczy wpatrzyły się w nią z nieznośnym napięciem.

– Prosiłaś o to. Pamiętaj!

– Cóż, jeśli moje towarzystwo...

– Pocałuj mnie i nie mów nic, czego mogłabyś później żałować – stwierdził, przyciągając ją szorstkim gestem do siebie i zamykając usta tak szczelnie, że nie mogła wydusić z nich już ani słowa.

Drugi atak konwulsji nastąpił tak szybko po orgazmie, że w pierwszej chwili zaczęła winić siebie. Drgawki były jeszcze silniejsze niż za pierwszym razem i kiedy wreszcie ustały, Carrik zapadł w gorączkowy, niespokojny sen.

Gdy się obudził, po jakichś czternastu godzinach, wyglądał na starego i zmęczonego. Poruszał się niczym zaawansowany przypadek geriatryczny.

– Muszę wracać na Ballybran, Killa – głos mu drżał, a cała duma i pewność siebie gdzieś zniknęły. – Na leczenie? Zawahał się lekko.

– Raczej odnowienie zapasu energii. Połącz się z portem i zarezerwuj nam miejsca. – Nam?

– Możesz lecieć ze mną – oznajmił z powagą. Sformułowanie to ubodło ją nieco, a zaproszenie zabrzmiało bardziej jak prośba niż zgoda. – Nie czekajmy na lot bezpośredni. Byle jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Uzyskała połączenie i po trwających całą wieczność formalnościach i zmaganiach z urzędnikiem zdobyła wreszcie potwierdzenie rezerwacji na prom startujący z Fuerte za cztery godziny. Po kolejnym czterogodzinnym oczekiwaniu na stacji orbitalnej mieli się przesiąść na pierwszy odlatujący w ich kierunku liniowiec.

Mieli dość sporo drobiazgów do spakowania, choć Killashandra głosowała za zostawieniem wszystkiego na miejscu.

– Takich rzeczy nie dostaniesz na Ballybranie, Killa – odparł Carrik i zaczął wolno składać koszule o krzykliwych barwach, sporządzone z prasowanych włókien drzewnych. Informacja o rezerwacji jakby dodała mu energii, lecz Killashandra czuła zdenerwowanie w obliczu nagłej przemiany czarującego, pełnego życia, nieco władczego mężczyzny w delikatny, kruchy cień. – Czasami nawet zwykła koszula pomaga przypomnieć sobie tak wiele! Jego nagła sentymentalność i uśmiech ją wzruszyły,

Przysięgła sobie cierpliwie znosić jego chorobę. – Każdy zawód wiąże się z pewnym ryzykiem. A śpiewanie kryształu... – ciągnął dalej.

– To zależy, co uważasz za ryzyko – odparła łagodnie Killashandra. Cieszyła się, że może zabrać ze sobą zwiewne jaskrawe szmatki. Żadne ryzyko nie wydawało się zbyt wielkie w zestawieniu z życiem na takim poziomie. I do tego Cech liczył jedynie cztery tysiące czterysta dwadzieścia pięć osób. Szybko zajdzie na szczyt.

– Czy naprawdę masz pojęcie, czego się wyrzekasz, Killashandro? – w jego głosie pobrzmiewała świadomość winy.

Spojrzała na jego pomarszczoną, starzejącą się twarz i poczuła ukłucie prawdziwej niechęci. Po takich atakach każdy wyglądałby okropnie. Filozoficzny nastrój Carrika nie przypadł jej specjalnie do gustu i miała nadzieję, że nie będzie tak głądził przez całą drogę na Ballybran. Czy o to mu właśnie chodziło? Że człowiek na wakacjach to częstokroć zupełnie inna osoba niż podczas codziennej rutyny?

– A czego mogę oczekiwać po Fuerte? – spytała, wzruszając ramionami. Po przybyciu na Ballybran nie musi w końcu wiązać się na stałe z Carrikiem. – Wolę raczej zaryzykować, nieważne, jak wysoka byłaby stawka, niż gnić tu bez końca.

Musnął kciukiem wewnątrz jej dłoni i po raz pierwszy ta pieszczota nie wzbudziła u niej nagłego dreszczu. Jego stan nie zapowiadał jednak pójścia do łóżka i ów gest był bez znaczenia.

– Widziałas jedynie jasną stronę śpiewania kryształu.

– Już mi mówiłeś o niebezpieczeństwie i spełniłeś wymogi prawa. Teraz decyzja należy do mnie.

Mocno ścisnął jej rękę, a w oczach zabłysła mu radość, stanowiąca dużo lepsze wsparcie niż jakiekolwiek banalne słowa.

– W dodatku to jeden z najmniejszych Cechów galaktyki – uwolniła dłoń i włożyła resztę rzeczy do torby podróżnej. – To mi odpowiada.

Uniósł brwi, obdarzając ją sardonicznym uśmieszkiem, bardziej odpowiednim dla poprzedniego wcielenia.

– Anonimowy tłum, to nie dla ciebie.

– Właśnie. Nigdzie nie będę druga. – Lepszy martwy bohater niżli żywy tchórz? – nabijał się z niej.

– Jeśli tak chcesz to rozumieć. Trzymaj. To wszystkie nasz ubrania. Lepiej śmigajmy do portu. Muszę jeszcze sprawdzić przepisy planetarne, skoro opuszczam układ, Kto wie, może nawet przysługuje mi jakiś kredyt? Usiadła za sterem ślizgacza, a Carrik z zadowoleniem zdrzemnął się w sąsiednim fotelu. Być może ten odpoczynek dobrze mu zrobił albo starał się dbać o to, jak widzą go inni, wszystko jedno. W każdym razie wątpliwości Killashandry co do tego, czy można na nim polegać, rozwiały się, gdy zaczął dyrygować urzędnikami portowymi i nękać agenta w biurze rezerwacji, czy aby nie przeoczył szybszego lotu albo korzystniejszego połączenia, Killashandra zostawiła go przy ostatecznych uzgodnieniach i zabrała się za wyjaśnienie swego statusu w centralnym komputerze Fuerte. Ale w momencie gdy umieściła na miejscu bransoletę i kciuk, konsola zaczęła wydawać z siebie gorączkowy szwargot i migotać czerwonymi światłami. Zaskoczyło ją to. W końcu zaprogramowała tylko kontrolę kredytu, wprowadziła informację, że opuszcza planetę i spytała, czy lądowanie w znajdujących się na trasie systemach wymaga specjalnych szczepień. Tymczasem kontroler wyskoczył zza swej centralnie położonej konsoli, a dwóch strażników portowych skierowało się w jej stronę. Wyjścia hali przyjęć zabłysły ostrzegawczą czerwienią, gdy zatrzasnęły się ich rygle – ku niewątpliwej konsternacji próbujących właśnie wejść lub wydostać się ludzi. Killashandra była zbyt oszołomiona, by zareagować, i wpatrywała się bezmyślnie w podbiegających do niej strażników. – Killashandra Ree? – kontroler dyszał z wysiłku. – Tak?

– Mamy panią zatrzymać.

– Dlaczego? – poczuła złość. Nie mogła wyobrazić sobie żadnej zbrodni, jaką by popełniła, żadnego naruszenia czyichkolwiek praw. Niezarejestrowanie zmiany statusu nie było wykroczeniem tak długo, póki nie zaczęła wykorzystywać zasobów planetarnych przy braku kredytu.

– Proszę pójść z nami – powiedzieli chórem strażnicy portowi.

– Dlaczego?

– Eee... – wymamrotał kontroler, gdy obaj strażnicy zwrócili się ku niemu. – Otrzymaliśmy polecenie zatrzymania pani.

– Nie zrobiłam nic złego.

– O co tu chodzi? – Carrik był z powrotem sobą. Przepchnął się między nimi i opiekuńczo, objął Killashandry. – Ta młoda dama jest pod moją opieką.

Na te słowa kontroler i strażnicy wymienili niespodziewanie poważne i zdecydowane spojrzenia.

– Ta młoda dama znajduje się pod opieką jej rodzinnej planety – oznajmił pompatycznie kontroler, wskazując na podłogę. – Istnieją pewne wątpliwości co do jej równowagi psychicznej.

– Czemu? Czy dlatego, że przyjęła zaproszenie od turysty? Czy wiecie, kim jestem? Kontroler zarumienił się.

– Owszem, proszę pana – choć w jego głosie zabrzmiał nieco większy respekt, ton nie pozostawiał wątpliwości, że głównym celem całej akcji było właśnie wydobycie Killashandry spod podobnej kurateli.

– A zatem przyjmijcie moje zapewnienie, że panna Ree cieszy się doskonałym zdrowiem, zarówno fizycznym, jak i umysłowym. – Carrik gestem nakazał im podziwiać szczupłą, opaloną sylwetkę Killashandry.

Kontroler był nieugięty.

Niech państwo pozwolą tedy – strażnicy wyprostowali się stanowczo.

Nie pozostawało im nic innego jak posłuchać polecenia. Carrik przypomniał niespodziewanej eskorcie, że zarezerwowali już bilety na odlatujący za godzinę prom. Miał szczerzy zamiar zdążyć na czas – i to w towarzystwie Killashandry Ree. Ona natomiast, nie chcąc wzbudzać jakichkolwiek dyskusji dotyczących stanu jej psychiki, zachowywała się, jak na nią, niezwykle spokojnie. – Podejrzewam – powiedziała *sotto voce*, gdy doprowadzono ich do niewielkiego biura – że Szkoła Muzyczna mogła mnie posądzić o skłonności samobójcze – zachichotała, po czym szybko stłumiła dźwięk dłonią. Kontroler zerknął na nią nerwowo. –

Po prostu zostawiłam Centrum i mój pokój. Po drodze tutaj nie spotkałam nikogo znajomego. A więc jednak dostrzegli moją nieobecność! To miło – była niezwykle zadowolona. Jednak Carrik wyraźnie nie podzielał jej uczuć. Cóż, musi tylko uspokoić władze i tyle. Była pewna, że sobie poradzi. – To nawet coś w rodzaju komplementu, wiesz. Więc jednak uda mi się odejść w wielkim stylu.

Carrik nagrodził ją spojrzeniem pełnym niekłamanego niesmaku, po czym zdecydowanym ruchem splótł ręce na piersi. Jego twarz wyrażała znudzenie. Nie odrywał wzroku od ekranu, na którym migały informacje o odlotach. Killashandra niemal spodziewała się ujrzeć własnego ojca, choć trudno jej było wyobrazić sobie, że mógłby on do tego stopnia zainteresować się jej osobą. Nie oczekiwała natomiast, że do ciasnego biura wkroczy Maestro Valdi, odgrywający rozwścieczonego mentora. Nie była też przygotowana na atak, jaki jej nauczyciel natychmiast przypuścił na Carrika. – To ty! Ty! Wiem dobrze, kim jesteś! Krzemowy pajak, paraliżujący swą ofiarę, kryształowa kukułka, porywająca obiecujące pisklęta z matczynych gniazd!

Równie jak inni oszołomiona w obliczu tych niemal fizycznych ciosów, spadających na członka Cechu Heptyckiego, Killashandra wpatrzyła się w zazwyczaj dystyngowanego i niewzruszonego Maestra. Zaciekawilo ją, jaką to, wedle swego mniemania, rolę operową odgrywał w tej chwili. Musiał grać. Jego wypowiedź była tak... tak ekstrawagancka. „Krzemowy pajak!”, „Kryształowa kukułka!” – zresztą i tak analogie te nie miały sensu.

– Tak grać na uczuciach młodej, niewinnej dziewczyny! Obsypywać ją luksusami, do których nie przywykła, przekabacać ją, aż w końcu zniszczy się w niej porządnego, ciężko pracującego obywatela. Póki nie omami się jej do tego stopnia, że pozornie z własnej woli zgodzi się wstąpić do tej jaskini mętnych umysłów i strzaskanych dźwiękami nerwów!

Carrik nie próbował nawet powstrzymać strumienia złorzeczeń, czy odpowiedzieć na oskarżenia. Stał z uniesioną głową i uśmiechał się tolerancyjnie na widok gwałtownych ruchów Valdiego.

– Jakimi to karmił cię kłamstwami na temat śpiewania kryształu? Cóż za olśniewające opowieści sprowadziły cię tutaj? – Valdi odwrócił się gwałtownie w stronę Killashandry. Cała jego krępa postać aż dygotała ze złości.

– Poprosiłam go, aby mnie zabrał. Malująca się na twarzy Valdiego wściekłość na te słowa stężała w niedowierzanie.

– Ty go poprosiłaś?

– Tak. On mnie nie namawiał – dostrzegła, że Carrik uśmiecha się słysząc emfazę, z jaką wyrzekła zaimki.

– Słyszał pan, Valdi? – Carrik skierował wzrok na przetrawiających to stwierdzenie urzędników. Z Maestra jakby uszło powietrze.

– Po mistrzowsku dokonał rekrutacji – stwierdził ze smutkiem. Udało mu się nawet osiągnąć lekkie załamanie głosu.

– Nie sędzę – odparła Killashandra.

Maestro Valdi głęboko wciągnął powietrze, niewątpliwie po to, by podjąć ostatnią próbę przekonanie biednej, zabłąkanej duszyczki. – Czy powiedział ci o... o gigawichrach? Przytaknęła, kryjąc rozbawienie. To wszystko było takie teatralne!

– Burzach, które niszczą mózg i redukują umysł do poziomu rośliny? Sumiennie skinęła głową.

– Czy wypełnił ci głowę bzdurami o górach, rozbrzmiewających symfoniach dźwięków? – ruchem ramion podkreślił ten zwrot. – Kryształowych chórach? Dolinach, w których echo odpowiada *arpeggiami*? – napuszył się w próbie zaakcentowania efektu szyderstwa.

– Nie – odparła znudzonym tonem. – I nie karmił mnie też całą tą papką o tym, że potrzebuję tylko ciężkiej pracy i czasu.

Esmond Valdi wyprostował się. Jego postawa bardziej niż zwykle przywodziła na myśl przesadną operową pozę.

– Czy powiedział ci też, że kiedy raz zaczniesz ciąć kryształ, nigdy nie będziesz mogła przestać? I że zbyt długie pozostawanie poza Ballybranem wywołuje ataki groźnych konwulsji? – Wiem o tym.

– A czy wiesz także – Valdi zakołysał się na piętach – że coś w wodzie Ballybranu, w jego glebie, w tych kryształach wpływa na twój umysł? Że przestajesz pamiętać? – ostatnie słowo wypowiedział powoli, ostrożnie dzieląc je na sylaby.

– To mogłoby być niezwykle korzystne. – Killashandra wbiła spojrzenie w małego człowieczka, póki to on nie odwrócił wzroku. Jako pierwsza z trójki poczuła to Killashandra: jakby swędzenie za uszami, w samych kościach czaszki: mrowienie, które błyskawicznie zmieniło się w budzący mdłości, świdrujący ból. Złapała rękę Carrika w tym samym momencie, gdy i do niego dotarła fala poddźwięków. Esmond Valdi zasłonił dłońmi uszy.

– Durnie! – krzyknął Carrik. Panika zniekształciła jego rysy i głos. Ostro pchnął na bok drzwi i rzucił się biegiem w stronę wieży kontrolnej. Killashandra czmychnęła za nim. Było tylko ustał przeszywający czaszkę ból.

Carrik przeskoczył dekoracyjną barierkę, oddzielającą teren zamknięty dla publiki. Tuż za przeszkodą zagroziła mu drogę pośpiesznie założona zasłona mocy.

– Zatrzymajcie go! Zatrzymajcie! – wrzasnął, kołysząc się w męce i waląc dłońmi w barierę. Przy każdym zetknięciu z jego palców sypały się iskry.

Również Killashandrze ból przeszkadzał się skupić, zachowała jednak wystarczającą przytomność umysłu, by uderzyć w najbliższy komunikator, uruchomić sygnalizator przeciwpożarowy, wcisnąć całą baterię sygnałów alarmowych.

– Nadlatujący prom... coś z nim nie w porządku... niebezpieczny...! – krzyknęła, używając całej siły operowo wyszkolonych płuc. Ledwie dostrzegła panikę, jaka zapanowała w ogromnej hali przyjęć po tym zdecydowanie zbyt donośnym ostrzeżeniu.

Wieża kontrolna błędnie przewidziała, że rozhisteryzowany tłum natychmiast rzuci się do szaleńczej ucieczki i ktoś zareagował błyskawicznie, uruchamiając alarm. Wszystkie znajdujące się w pobliżu promy i pojazdy zostały ostrzeżone. Kilka chwil później, podczas gdy komunikator domagał się wyjaśnień od Killashandry, od kogokolwiek, kto zdołałby przekrzyczeć zgłęb panujący w hali przyjęć, na niebie zakwitła nova, a deszcz stopionych fragmentów promu runął na kosmoport. Wieża kontrolna nie zdołała zamknąć obszaru zniszczenia w zaciskowym polu magnetycznym i resztki statku rozsypały się w obrębie kilkunastu kilometrów, spadając na tereny mieszkalne należące do portu i na dzielnicę handlową.

Prócz siniaków, skaleczeń i złamanej w ścisku przy wyjściu z hali ręki pewnej kobiety, w wypadku ucierpiały poważnie tylko dwie osoby. Zginął znajdujący się na otwartej przestrzeni członek obsługi technicznej, a dla Carrika byłoby lepiej, gdyby też nie żył. Końcowa fala dźwiękowa pozbawiła go przytomności i nie zdołał jej w pełni odzyskać. Po podprzestrzennej konsultacji ze specjalistami Cechu Heptyckiego postanowiono odwieźć go na Ballybran i tam poddać odpowiednim zabiegom.

– Nie wyjdzie z tego – oznajmił lekarz Killashandrze i Maestro Valdiemu, który natychmiast wszedł w rolę pocieszyciela. Wywołana jego zachowaniem irytacja okazała się znakomitym środkiem na uśmierzanie wstrząsu. Killashandra wołała nie wierzyć diagnozie lekarza. Bez wątpienia Carrik powróci do zdrowia, gdy tylko znajdzie się na Ballybranie. Zbyt długo przebywał z dala od kryształu, to wszystko: ataki drgawek go osłabiły. Nie było przecież żadnego gigawichru, który mógłby uszkodzić mu umysł. Killashandra odwiezie go na Ballybran. Niezależnie od wszystkiego była mu to winna za to, że nauczył ją, jak żyć pełnią życia, nie zaś zastępczymi problemami opery, dawno minionymi nieszczęściami i przeszłymi konfliktami.

Uważnie przyjrzała się upozowanemu Valdiemu i podziękowała swym szczęśliwym gwiazdom za to, że Carrik usunął jej z oczu łuski. Jak mogła wierzyć, że sztuczne teatralne

życie to jej przeznaczenie? Na przykład taki Valdi. Popatrzcie tylko na niego! Przedstawić mu sytuację, podać odpowiednią replikę i natychmiast przyjmował rolę. W obecnych okolicznościach nie istniał żaden gotowy scenariusz, toteż Valdi wysiłał się, by wymyślić coś odpowiedniego.

– Co teraz zrobisz, Killashandro? – spytał grobowym tonem, zdecydowawszy się najwyraźniej na Szacownego Starszego Dżentelmena Pocieszającego Niewinne, Pograżone w Smutku Dziewczę.

– Oczywiście, polecę z nim na Ballybran. Valdi uroczyście skinął głową.

– Po powrocie, to miałem na myśli.

– Nie zamierzam wracać.

Maestro spojrzał na nią, wypadając z roli, po czym teatralnym gestem wskazał unoszące się na poduszce powietrznej nosze z Carrikiem, które właśnie przepłynęły obok nich w kierunku drzwi promu.

– Po czymś takim?! – wykrzyknął dramatycznie.

– Mnie się to nie przydarzy – odparła pewnym głosem.

– Nie mów hop! Ty także możesz stać się istotą pozbawioną umysłu i pamięci!

– Wydaje mi się – powiedziała powoli Killashandra, przyglądając się drobnemu mężczyźnie z ledwie zawołowaną pogardą – że u wszystkich występują w końcu jakieś odchylenia.

– Pożałujesz tego dnia... – zaczął Valdi, unosząc lewą rękę w klasycznym geście odrzucenia. Jego palce rozchyliły się wdzięcznie.

– Jeśli oczywiście będę go pamiętała – przerwała mu wybuchając szyderczym śmiechem i ucinając w połowie jego kwestię.

Nadal śmiejąc się, Killashandra zeszła ze sceny środkowym wyjściem, przez przeznaczone dla pasażerów drzwi promu.

ROZDZIAŁ I

GÓRA MIKELEYA

Kapitan Andurs zawiadomił Killashandrę, że statek wynurzył się z nadprzestrzeni i widać już Ballybran.

– Ładny widok – stwierdził, wskazując dwa wewnętrzne księżyce, usytuowane po obu stronach ekranu. Lecz Killashandrę interesowała wyłącznie tajemnicza planeta.

Słyszała o niej wystarczająco wiele, by spodziewać się absolutnie wszystkiego. W efekcie początkowo poczuła rozczerowanie, póki nie pojawił się pierwszy kryształowy refleks. Przeszywający błysk światła zrodzony w momencie, gdy promień słońca odbił się od odsłoniętych kryształów na jednym z trzech widocznych kontynentów. Pokrywa chmur kotłowała się nad większą częścią oceanów, osłaniając dwa subkontynenty południowej półkuli, lecz w miejscach, do których docierało słońce, co pewien czas dawało się dostrzec oślepiające przebliski, wewnątrz których lśniły wszystkie kolory, a przecież białe i wyraźne.

– Jak ci na dole mogą to wytrzymać? – spytała gwałtownie, mrużąc oczy w obronie przed światłem.

– Zgodnie z tym, co słyszałem, nie widać tego na powierzchni.

Zwrot „zgodnie z tym, co słyszałem” poprzedzał większość stwierdzeń kapitana Andursa, gdy rozprawiał o Ballybranie. Cierpkie przypomnienie o restrykcjach, dotyczących lądowania na tej najbogatszej planecie galaktyki.

Od współpasażerów i gadatliwych członków załogi Killashandra zdołała już wyciągnąć każdą znaną im informację na temat śpiewu kryształu i Ballybranu. Prawie wszystkie z nich odrzuciła jako nieco tylko złagodzoną wersję barwnych komentarzy Maestro Valdiego. Andurs okazał się najlepszym źródłem, „zgodnie z tym, co słyszał”. Od dziewiętnastu lat obsługiwał linię, łączącą Regulusa z Ballybranem, i „słyszał” więcej niż ktokolwiek inny, a już z pewnością więcej niż udało jej się wyciągnąć z widifaksów na trzech statkach, którymi dotąd podróżowała. Ballybran, Cech Heptycki i jego członków otaczała jakaś tajemnica; tajemnica, której istnienie wydedukowała z tego, czego o nich nie mówiono. Planety miały prawo do swej prywatności, chroniono też pewne szczególne aspekty działalności międzygwiazdnych kompanii handlowych i każdy pojmował, dlaczego niektóre informacje o bogactwach planetarnych są pomijane w ogólnie dostępnych źródłach. Ale brak

rutynowych danych na temat Ballybranu, Cechu i jego członków wzmocnił jeszcze podejrzenia Killashandry.

I odwrotnie, ogromnie zaimponowała jej milcząca potęga Cechu: we wszystkich trzech punktach przesiadkowych na Carrika czekali już członkowie medikorpusów najwyższej rangi. Ją samą traktowano wszędzie z najwyższą uprzejmością. Praktycznie nie miała nic do roboty, poza częstym odwiedzaniem podtrzymującej życie kołyski, w której spoczywał Carrik. Wprogramowano w nią wszystko: dożylne odżywianie, terapię, mycie, a także pewne niezbędne stymulatory i leki. Wyszkoleni technicy sprawdzali całą aparaturę w każdym porcie. Nic nie było zbyt dobre dla członka Cechu Heptyckiego. Ani dla jego eskorty. Miała otwarty kredyt w sklepach na statkach, na każdym z nich zasiadała w prywatnej kapitańskiej mesie. Gdyby nie to, że przez cały czas zostawiano ją zupełnie samą, byłaby w pełni zadowolona ze swej pierwszej podróży międzygwiezdnej. Ale wkrótce mieli zakończyć lot i może dlatego Andurs stał się szczególnie elokwentny. Większość ważnych informacji usłyszała od niego poprzedniego wieczoru, gdy zajął się bliżej savroniańskim koniakiem.

– Mówiono mi to dość często, bym zaczął wierzyć... Podobno kryształ wchodzi w krew. – To by było zabójcze – odparła szyderczo Killashandra, choć wcześniej Carrik użył dokładnie tego samego zwrotu.

– Nie wiem, może chodzi o to, że kredyt jest taki świetny – ciągnął Andurs, puszczając jej uwagę mimo uszu. – Śpiewacy kryształu naprawdę mają forsy potąd, kupę wydają, używają sobie. Póki nie zaczną się drgawki. To zresztą też dziwne, bo ponoć ich rany goją się szybciej niż u normalnych ludzi; nie są też podatni na różne planetarne infekcje i choroby, które dopadną człowieka bez względu na to, jak by się szczepił. I wolniej się starzeją – ta zdolność wyraźnie go rozdrażniła. – Spytałem o to kiedyś takiego jednego, kiedy byłem pijany, i powiedział mi, że to po prostu część śpiewania kryształu.

– Mnóstwo ludzi zabrałoby się za śpiewanie kryształu, gdyby mieli wiecznie pozostać młodzi...

– Tak, ale jednocześnie narażasz się na drgawki albo... – Andurs wskazał kciukiem ponad ramieniem w kierunku kabiny Carrika. – Ja tam wolę się postarzeć.

– Coś takiego nie zdarza się zbyt często, prawda? – spytała Killashandra, zdumiona. Przez cały czas miała wrażenie, że wypadek Carrika był niezwykle. – To pierwszy, jakiego widzę w tak złym stanie – przyznał Andurs. – Och, łapią ich różne choroby, czasem tak groźne, że pakują gości do zamrażarki, ale nie... – dotknął palcem czoła. – Nie mój interes, ale jak to się stało?

To pytanie, choć tak oczywiste, zaskoczyło Killashandrę, bowiem nikt inny podczas całej podróży ani razu go nie zadał. Jakby obawiali się odpowiedzi.

– Wszystko było w porządku, póki nie znaleźliśmy się w porcie na Fuerte. Wtedy ten prom z rezonującym napędem zaczął podchodzić do lądowania. Ekspłodował, a jego dopadła wtórna fala dźwiękowa – skrzywiła się, wspominając własny ból.

– Miło, że go odwozisz.

– Byłam mu to winna – mówiła serio. – Powiedział pan, że Cech utrzymuje biura na księżycu? Czy tam można starać się o przyjęcie?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie chcesz chyba zostać śpiewaczką?

– Dlaczego nie?

Andurs nachylił się ku niej i podejrzliwie zajrzał jej w oczy.

– Nie zmusili cię chyba, żebyś tu z nim przyleciała, prawda? To znaczy, nic ci nie zrobił?

Killashandra nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozzłościć.

– Nie mam pojęcia, skąd pan pochodzi, kapitanie, ale na Fuerte szanujemy czyjąś prywatność.

– Nie chciałem sugerować, że... – powiedział pośpiesznie Andurs, unosząc pojednawczo dłoń.

– Czy wyglądam, jakby mnie uwarunkowano... albo coś takiego?

– Nie, zupełnie nie. Po prostu sprawiasz wrażenie rozsądnej kobiety, a śpiewanie kryształu nie jest rozsądne. Tak, wiem. Słyszałem przeróżne durne plotki, ale to kosmiczne bzdury, bo wszyscy śpiewacy, których widziałem – przez dziewiętnaście lat na tej trasie widziałem naprawdę wielu – nigdy nikogo nie zaczepiają. Trzymają się z dala. Ale jak się przyjrzeć Ballybranowi i śpiewaniu kryształu, to jest w tym coś naprawdę dziwnego. Wiem... – obejrzał się zez ramię; zbędna ostrożność, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w salonie byli sami – że nie każdy, kto się zgłasza i zostaje przyjęty, staje się jednym z nich. Ale ktokolwiek ląduje na tej planecie – wskazał palcem podłogę – pozostaje tam. Opuszczają ją jedynie śpiewacy. A o n i zawsze wracają.

– Ilu ludzi ubiega się o przyjęcie do Cechu? – Killashandrze przypomniało się 20 007 osób obsługi technicznej i 4425 śpiewaków. Jeżeli jest ich tak niewielu, to ciekawe jaka musiała być wyjściowa liczba?

– No, na to dokładnie odpowiedzieć nie mogę. – Andrus z zakłopotaniem podrapał się po głowie. – Nigdy o tym nie myślałem. Och, podczas każdej podróży zawsze znajduje się

kilkoro takich, co chcą się zgłosić. Teraz mamy ośmiu czy dziewięciu. Można poznać, kto leci w sprawach handlowych, a kto pełen nadziei – uśmiechnął się porozumiewawczo. – Poza wami jest jeszcze czterech pasażerów, za których odpowiada Cech. To znaczy, że zostali już wstępnie przetestowani w jakimś centrum cechowym. Widziałas tego wysokiego szczupłego bruneta?

Killashandra przytaknęła. Mężczyzna wszedł na pokład na ostatnim postoju, akurat gdy korytarzem przewożono wózek z Carrikiem. Obdarzył ją wtedy długim, badawczym spojrzeniem, a kiedyś natknęła się na niego, gdy stał przed jej kabiną z dziwnym, szalonym wyrazem twarzy.

– Ten przyleciał na własny koszt. Nie sądzę, aby go przyjęli. – Dlaczego? Przez długą chwilę Andurs obracał w palcach kieliszek zanim odparł:

– Nie wydaje mi się, by takich właśnie potrzebowali.

– A jakich potrzebują?

– Tak naprawdę to nie wiem, ale nie jego. Cech opłaca drogę powrotną do najbliższej stacji przesiadkowej – dodał, jakby już to samo stanowiło wystarczającą rekompensatę za odrzucenie czyjeś kandydatury. – Zawiadomię cię, kiedy pojedziemy bliżej, Killa. Widok Ballybranu z księżycą to naprawdę coś, szczególnie jeśli akurat na dole szaleje burza.

Killashandra pozostała przy ekranie widokowym, dopóki Ballybran nie zniknął, zasłonięty masywną bryłą swego największego księżycy, Shankilla. Skoro widziało się jedną konstrukcję księżycową, to tak jakby znało się wszystkie, pomyślała patrząc na przesuwające się przed jej oczami kopuły, tunele i poczerwiałe jamy lądowisk. Jej uwagę na krótko przyciągnął drugi statek, szybujący tuż nad horyzontem – sądząc po wielkości promu, na tyle nieduży, by lądować bez najmniejszych problemów. Wydało jej się, że dostrzegła na jego dziobie dwunastościan Cechu Heptyckiego, lecz przednia część pojazdu zbyt szybko znalazła się w cieniu i nie zdołała już tego sprawdzić.

Jakiegokolwiek przyjęcia spodziewała się, choćby podświadomie, zdecydowanie różniło się ono od tego, które zgotował jej Lanzecki, Główny Mistrz Cechu Heptyckiego. Gdy statek rozwarł śluzy, on stał już w przejściu. Był mężczyzną o surowej twarzy i śniadej cerze. Ubranie okrywające jego krepą postać wyglądało raczej buro. Jedyne żywsze, interesujący akcent stanowiły szeroko osadzone, przenikliwe piwne oczy. Zdawały się trwać w nieustannym ruchu, dostrzegając w ciągu sekundy więcej, niż powinny.

Gestem wezwał dwóch towarzyszących mu mężczyzn (także ubranych na szaro), którzy w milczeniu ruszyli korytarzem w ślad za Killashandrą. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zbędna i było to uczucie nad wyraz przykre. Wykorzystując jej chwilę wahania, Lanzecki

przyciskiem rozsunął drzwi. Spojrzał na nieruchomą postać na noszach, nie zdradzając, czy poznaje Carrika ani czy wie, w jakim stanie znajduje się ten człowiek. Ruchem ręki polecił towarzyszącym mu ludziom, by weszli i zabrali kołyskę.

– Dziękujemy, Killashandro Ree. Masz zapewniony bezterminowy bilet w dowolne miejsce i kredyt w wysokości tysiąca jednostek galaktycznych – wręczył jej dwa gwaranty kredytowe, każdy z nich ozdobiony godłem Cechu Heptyckiego, przedstawiającym kryształ czarnego kwarcu. Ukłonił się obojętnie i ruszył za prowadzącymi nosze Carrika ludźmi. Przez chwilę kompletnie oszołomiona Killashandra wpatrywała się w odchodzącą trójkę, a dwa metaliczne świstki lepiły się jej do palców.

– Cechmistrzu? Lanzecki? Proszę pana! Niech pan zaczeka...

Miarowy ruch nie ustawał.

– Ze wszystkich niewdzięcznych...

– Nie nazywałbym ich niewdzięcznymi – wtrącił kapitan Andurs, który nadszedł właśnie z drugiej strony korytarza. Przechylił głowę i spojrzał na gwaranty. – Co to, to nie.

– Nie oczekiwałam pochwał! – wykrzyknęła Killashandra, choć tego właśnie się spodziewała. – Ale słówko czy dwa...

– Dostałaś to, co istotne – przypomniał jej Andurs z cierpkim uśmiechem. – Tysiączek. To prawdziwi dziwacy – dodał, podczas gdy Cechmistrz skierował nosze w sam środek rozwartego pyska bramy. – Tak jak mówiłem, na temat Cechu można usłyszeć różne historie. Dziwne już rzeczy widywałem na tym statku i zawsze udaję, że połowy z nich nie dostrzegam. – Niespodziewanie objął ją ramieniem. – Teraz, kiedy pozbyłaś się tego sztywniaka, co powiesz na to, żebyśmy...

– Nie w tej chwili – przerwała Killashandra, odpychając jego rękę. – Chcę najpierw zamienić parę słów z Cechmistrzem. – Szybkim krokiem podążyła w stronę bramy.

Nigdy więcej nie widziała już Carrika, choć jego imię przez wiele lat pojawiało się na listach członków pozostających w stanie spoczynku. Niezbyt często przyglądała się tym spisom, kiedy już zniknęło podniecenie, wywołane widokiem własnego nazwiska.

Zatrzymało ją nieprzejrzyste pole siłowe w łuku wyładunkowym. Zignorowała żądanie podania dokumentów i powodów przybycia na Shankill, przyglądając się bezsilnie, jak sylwetka Cechmistrza znika w jednym z pięciu rozsuwanych wyjść z małego korytarza po drugiej stronie łuku. Pobiegła z powrotem do kabiny i wepchnęła swoje rzeczy do worka. Kiedy dotarła z powrotem na miejsce, z niesmakiem stwierdziła, że zdążyła się już tam utworzyć kolejka pasażerów. Gdy tak stała, tłumiąc zniecierpliwienie, zauważyła, jak z

przedniej części wyłania się kapitan Andurs i kieruje do drugiej bramki obok wrót. On także ją zauważył i odwrócił głowę z dziwnym uśmiechem.

– A więc jednak zdecydowałaś się, Killa? – spytał i chwycił ją pod ramię. W jego oczach dostrzegła napięcie, kojarzące się z pożądaniem. Miła reakcja, zważywszy, jak obcesowo potraktowała go wcześniej.

– Czemu nie? Nie znam żadnej przyczyny, by się wycofać, a wiele przemawia za tym, by spróbować.

– No cóż – Andurs uśmiechnął się szerzej. – Sama zobaczysz, na to trzeba czasu. Będę w hotelu dla przejezdnych przez co najmniej pięć dni – skrzywił się z rezygnacją i wzruszył ramionami. – Do zobaczenia! – dodał z lekko pytającą intonacją, choć jego twarz wyrażała zachętę.

Naprawdę zirytowało ją, gdy Andurs chwacko przyłożył przegub do płytki przy mniejszym haku, który natychmiast go przepuścił.

Kiedy wreszcie i ona zrobiła to samo, zażądano, by podała powód przybycia na Shankill.

– Chcę się ubiegać o przyjęcie do Cechu Heptyckiego. Mam słuch absolutny – dodała.

Na ekranie ukazało się pytanie o poziom kredytu. Beztrosko przedstawiła jeden z gwarantów Cechu, który został zaakceptowany bez wahania. Komunikator zamrugał, coś w nim zabrzęczało, po czym z drukarki wysunął się arkusz informacyjny i pole zniknęło, pozwalając jej wkroczyć na teren Bazy Księżycowej Shankill. Miała obowiązek zapoznać się z przedstawionymi na wydruku prawami i przepisami władz księżycowych i ściśle się do nich stosować. Arkusz zawierał też wskazówki, jak dotrzeć do kwater tymczasowych, restauracji i innych publicznych miejsc bazy.

Przeszła pod łukiem i znalazła się w korytarzu o pięciu wyjściach. Środkowe rozchyliło się uprzejmie. Rozumiejąc wskazówkę, Killashandra ruszyła dalej korytarzem w kierunku hotelu.

Zdziwiło ją, kiedy dotarła do wielkiej, otwartej sali o wysokim suficie, otoczonej czymś, co musiało być hologramami drzew, kołyszących się na nie istniejącym wietrze. Blask wydobywający się z plastoszklanego świetlika udawał słońce.

Drugą niespodziankę stanowił widok ludzkiej postaci usadowionej na stanowisku recepcyjnym.

– Killashandra Ree? – spytał recepcjonista uprzejmie, lecz bez uśmiechu.

Zdusiła dziką ochotę, by odpowiedzieć „któż by inny?” i przytaknęła skinieniem głowy.

– Ponieważ jak dotąd nie miałaś czasu, aby zapoznać się z przepisami obowiązującymi w Bazie Księżycowej Shankill, moim obowiązkiem jest poprosić stanowczo, abyś uczyniła to zaraz po zajęciu kwatery. Zaniedbanie tego będzie się wiązać z ograniczeniem wolności osobistej, abyś swoją ignorancją nie naraziła innych. Nastaw swój czasomierz zgodnie z obrotami Ballybranu, na których opiera się pomiar czasu w całej bazie. Jeśli w instrukcjach znajdziesz coś, czego nie zrozumiesz, jestem do usług. Połóż przegub na płycie. Dziękuję.

Przyzwyczajona do monotonnych instrukcji maszynowych Killashandra bez słowa spoglądała na mężczyznę, zastanawiając się, czy to może być android. Nigdy nie słyszała o tak dokładnych kopiach ludzi. Nagle recepcjonista uśmiechnął się lekko i postukał w płytkę.

– Pierwszy raz w bazie księżycowej? – spytał tonem wyraźnie nieurzędowym, kontrastującym ostro z poprzednią przemową.

– Taaak – odparła, przykładając przegub na wskazane miejsce i wsuwając kciuk w zagłębienie.

– To moja dziesiąta. Praktykuję w służbie bezpieczeństwa satelitów. Wymieniamy się tutaj, choć nigdy jeszcze nic się nie stało – wskazał palcem podłogę, co miało oznaczać całą bazę – ale zawsze kiedyś musi być pierwszy raz. Tak mówi nasz instruktor, a my mamy uważać, by ten pierwszy raz nigdy nie nadszedł. Dlatego w bazach księżycowych spotkasz więcej ludzi na takich stanowiskach. Publika przyzwyczaja się do maszyn, ekranów i automatycznych znaków ostrzegawczych, aż w końcu przestaje je rejestrować – popukał się w czoło – i stąd się biorą wypadki.

– Niezła psychologia – z roztargnieniem przyznała Killashandra, przyglądając się z przyjemnością pobłyskującemu na zielono potwierdzeniu kredytu. Z lady wyskoczył klucz i mężczyzna wręczył go dziewczynie.

– Nazywam się Ford. Jak sama przeczytasz, twój pokój wyposażony jest w indywidualny system podtrzymywania życia, włączający się automatycznie w momencie awarii systemów bazy. Na lewe ucho Brennana, nie daj się tylko zamknąć w pokoju podczas wycieku albo zderzenia... to najpewniejsza droga na tamten świat. Killashandra chciała mu powiedzieć, że jeśli w ten sposób miał zamiar ją uspokoić, to jego znajomość psychologii pozostawia nieco do życzenia. Powstrzymała się jednak i z uśmiechem przyrzekła, że przeczyta wszystkie instrukcje. Następnie rozejrzała się wkoło pytająco.

– Klucz nastawiony jest na twój pokój. Doprowadzi cię na miejsce z każdego punktu w bazie – oznajmił jowialnie Ford. – Tymi drzwiami – dodał, przechylając się przez kontuar i wskazując na lewo.

Killashandra już sekundę wcześniej poczuła, że klucz ciągnie ją w tamtą stronę, toteż, obdarzywszy wpięrow Forda kolejnym uśmiechem, ruszyła przez drzwi.

Zamek przydzielonego jej pokoju jarzył się zapraszającym blaskiem. Włożyła węł klucz i drzwi rozsunięły się z sykiem. Po wejściu do środka natychmiast zorientowała się, czemu Ford nie zachęcał do dłuższego przebywania w pokoju. Ciasne pomieszczenie mogło każdego przyprawić o klaustrofobię. Wszelkie wymagane wygody zostały wepchnięte w przestrzeń długą na trzy i pół metra, szeroką na dwa, a wysoką na trzy. Większość miejsca zajmowało łóżko, pod którym znajdowała się wielka szuflada na bagaż. Na górze – półki. W ich obudowę wmontowany był komunikator audiowizualny, widoczny jedynie dla kogoś, kto leżał na łóżku. Przy urządzaniu pokoju zrezygnowano z jakiegokolwiek estetyki, poświęcając ją na rzecz bezpieczeństwa i funkcjonalności. Oczywiście goście nie mieli obowiązku pozostawiania w pokoju – w istocie z punktu widzenia władz bazy najprawdopodobniej najlepiej byłoby, żeby przebywali tu wyłącznie podczas snu.

Rzuciła worek na podłogę obok łóżka i usiadła, po raz pierwszy dostrzegając rząd jasno opisanych przycisków i przełączników na ścianie. Obok znajdowały się też, zamknięte w tej chwili, szczeliny, z których, jak głosiła instrukcja, wysuwała się lampa do czytania i inne niezbędne akcesoria.

Skrzywiła się. Wszystko za naciśnięciem guzika. Ciekawe, czy główna *raison d'etre* Forda polegała na upewnieniu przejezdnych, że naprawdę są ludźmi, a nie przedłużeniem komputera. Ford z pewnością był niezłym okazem gatunku ludzkiego.

Westchnęła i posłuszna obowiązkowi przysunęła do siebie papiery. Obiecała, a zresztą przygotowanie się na wszelką ewentualność mogło być mądrym posunięciem. Nawet jeśli, jak przyznał Ford, na Stacji Shankill nigdy nic się nie stało.

Zgodnie z tym, co podawał informator, recepcjonista się nie mylił. Baza Księżycowa Shankill działała od trzystu trzydziestu czterech lat, według standardowej rachuby galaktycznej, choć już później jej instalacje zostały znacznie rozbudowane, kiedy Federacja Planet Rozumnych ograniczyła możliwość zamieszkania na Ballybranie jako niebezpiecznym.

Tę informację Killashandra przeczytała dwa razy.

A więc to sama planeta była niebezpieczna, mimo że niewątpliwie groźba została zażegnana, skoro na jej powierzchni żyli i pracowali ludzie.

Polechtawszy jej ciekawość, informator błogo zmienił temat i zaczął wymieniać zagrożenia bezpieczeństwa, przepisy i indywidualne obowiązki.

Killashandra brnęła przez nie cierpliwie, gdyż w duchu wciąż słyszała echo złowieszczych słów, że „zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz”. Jako przybysz miała

obowiązek: 1) szukać miejsc pomalowanych w czerwone pasy, gdziekolwiek by przebywała, jeśli rozległo się szybkie, urywane buczenie (wyciek tlenu), ostre krótkie gwizdy (przebicie) albo przerywana syrena (pożar lub inne niebezpieczeństwo wewnętrzne) i 2) nikomu nie przeszkadzać. Jeśli znajdowała się w swojej kwaterze, miała położyć się na łóżku. Zresztą podczas dłuższego przymusowego zamknięcia w pokoju i tak nie dałoby się robić nic innego. W czasie trwania każdego alarmu personel w hełmach miał prawo wydawać innym polecenia wykonania jakichkolwiek czynności, których wymagałaby dana sytuacja.

Odwróciła kartkę i przyjrzała się mapie bazy księżycowej. Porównując część, którą już zwiedziła, z resztą, uznała, iż całość musi być ogromna. Niektóre bloki liczyły sobie po dziewięć rozległych poziomów, większość pod powierzchnią księżyca, a każdy z nich mógł być w razie konieczności odcięty od reszty, przechodząc na własny system podtrzymywania życia. Największą powierzchnię miały trzy działy: magazynowo–techniczny, mieszkalny Cechu i administracyjny. Dół strony zdobiły diagramy, przedstawiające dwie mniejsze stacje na księżycach Shilmore i Shanganagh, były to jednak wyłącznie stacje meteorologiczne, a ta na Shanganagh wyglądała na w pełni zautomatyzowaną.

Na Ballybranie głównym problemem wydaje się meteorologia, pomyślała Killashandra. Czy na tym właśnie polegało niebezpieczeństwo tej planety? Carrik wspomniał o nieprawdopodobnych gigawichrach; to, że wiatry na Ballybranie były dość potężne, by zasłużyć sobie na podobne miano, wystarczyło, by się przerazić. Raz jeszcze obejrzała plan, zauważając, jak blisko tymczasowych kwater znajdują się pomieszczenia Cechu. Dwa tunele, korytarze, alejki – czy jak tam je zwał – dalej, a niewielkie pomieszczenie pomiędzy nimi to przecież brama wyładunkowa.

Uśmiechnęła się na widok tego dogodnego zestawienia. Przypadek? Czy mogła po prostu przejść kawałek i przedstawić się jako aspirantka?

Nagle ogarnęło ją niezwykle u niej zwątpienie we własne siły. Spojrzała na zegarek. Nie minęły jeszcze zwyczajowe godziny pracy większości placówek handlowych. Zapoznała się już z przepisami bezpieczeństwa i z pewnością poszuka pomalowanego w czerwone pasy miejsca w każdym pomieszczeniu, w jakim się znajdzie.

Wyprostowała się rezolutnie, nadając w ten sposób większą wagę swemu postanowieniu i nacisnęła występ ścienny, uruchamiając tym samym specjalny system łączności dźwiękowej.

– Prośba o szczegóły dotyczące ubiegania się o członkostwo w Cechu Heptyckim.

Obraz na ekranie zafalował.

Ubieganie się o status członka Cechu wymaga przejścia testu sprawności fizycznej SG-1 i profilu psychologicznego SG-1, preferowany jest trzeci poziom wykształcenia, choć uwzględnia się wyjątki. Warunkiem koniecznym jest słuch absolutny i zdolność idealnej reprodukcji dźwięków w skali głosowej i timbre typów IV do VII humanoidów – pochodzenie Sol III (zgłoszenia mutantów nie będą rozpatrywane).

Podania można składać wyłącznie poprzez przedstawicielstwa Cechu Heptyckiego: główne miejsce przyjęć znajduje się w Bazie Księżycowej Shankill.

Federacja Planet Rozumnych wymaga, aby w wypadku uznania przez Komisję Cechu pozytywnych wyników testów kandydat został poinformowany o wszystkich związanych z zawodem zagrożeniach.

Ballybran obłożony jest zakazem lądowania – patrz artykuł 907, kod 4, paragrafy 78–90. Po szczegółowe informacje prosimy zgłaszać się do Cechu Heptyckiego.

– No tak – wymamrotała Killashandra – też mi informacje. Strzępki i skrawki. *Poco a poco*, jak kiedyś mawiałam. Poproszę z Cechem Heptyckim.

Na ekranie pojawiła się kobieca twarz.

– Cech Heptycki, Baza Księżycowa Shankill, słucham?

– Killashandra Ree – zdołała wykrztusić swe nazwisko zgodnie z wymaganiami uprzejmości. Nie spodziewała się, że ktoś odpowie osobiście. – Chciałabym wiedzieć, jak czuje się wasz członek Carrik.

– Bezpiecznie dotarł na powierzchnię.

– To znaczy, że wyzdrowieje?

– Być może, ale nie da się tego stwierdzić z całą pewnością. Twarz kobiety miała wyczekujący wyraz.

– Jak mogę zostać członkiem Cechu? – wykrztusiła Killashandra.

– Najpierw musisz poddać się testom sprawności fizycznej...

– Sprawdziłam już w informacji...

Kobieta uśmiechnęła się uprzejmie.

– Wolno mi przekazać nieco więcej szczegółów zainteresowanym osobom. Jaki masz numer pokoju? – Killashandra podała go. – Będziesz miała dostęp do odpowiednich danych do jutra do godziny 0800. Jeśli zdecydujesz się poddać niezbędnym badaniom wstępnym, możesz zgłosić się osobiście do Cechu w normalnych godzinach urzędowania.

Obraz zniknął. I dobrze, bowiem Killashandrę zżerała już ciekawość, jakież to tajemnice Ballybranu ukaza jej się pod postacią „odpowiednich danych”. Nie wszystkie, tego była pewna.

Najpierw na ekranie pojawiło się krótkie streszczenie historii planety. Wściekła, już miała skasować program, gdy naraz pomyślała, że mądry aktor przed przesłuchaniem uważnie studiuje rolę i życiorys autora, aby lepiej go poznać. A skoro Cech uprzejmie przekazał jej ten materiał, dowie się też niewątpliwie, czy skorzystała z tej grzeczności. Członkostwo Cechu Heptyckiego może nie polegać wyłącznie na absolutnym słuchu, dobrej kondycji fizycznej i odpowiednim psychologicznym przystosowaniu. No bo dlaczego status ten osiągnęło tak niewiele – statystycznie – osób?

Usadowiła się wygodniej i zabrała za odczytywanie materiałów. Otwierające akapity, dotyczące „nieustannie nękającej ludzkość konieczności odkrywania nowych źródeł surowców niezbędnych w wędrówce do gwiazd” przywołały ponure wspomnienie szkolnej propagandy. Nie musiała jednak brnąć przez to zbyt długo. Szybko przeszła do hasła „kwarc”.

Podczas rutynowych poszukiwań „badawczo–ewaluacyjnych” sprawdzono wszystkie planety Scorii i na Ballybranie jako jedynym stwierdzono obecność formacji kryształów i kwarcu w górskich pasmach. Wysłano grupę badawczą pod dowództwem Barry’ego Mikeleya z Tracę. Już początkowe badania geologów wskazywały na ogromny potencjał krystalicznych złóż planety, toteż pośpiesznie przesłano próbki do Centrum Badawczego Sektora. B–E Ballybranu przyniosło znakomite efekty. Pierwszy kryształ – błękitny typ porfirowy – okazał się, dzięki swemu dość niezwykłemu składowi, znakomitym środkiem do przechowywania danych, umożliwiając komputerom praktycznie natychmiastowy dostęp (liczony w piko–, a nie, jak dotychczas, mikrosekundach) do plików. Specyficzna struktura pozwalała różowym kryształom na znaczne skoncentrowanie danych nie powodujące jednak opóźnień w dostępie: drobnoziarnista budowa, przypominająca łącza nerwowe, sprawiała, że nawet najmniejszy kawałek (około 1 cm²) tysiące razy polepszał systemy pamięciowe i zwiększał pojemność układów.

Ale dopiero dokonane przez Mikeleya odkrycie tak zwanego czarnego kwarcu – który w normalnych warunkach nie był wcale czarny, słowo kwarc zaś wprowadzało tylko w błąd i jedynie w przybliżeniu opisywało tę niezwykłą substancję – doprowadziło do całkowitej rewolucji w łączności międzygwiazdnej. Dzięki swej termowrażliwości czarny ballybrański kryształ wydaje się pod światło zupełnie przejrzysty i przypomina zwykły, mieniący się w blasku kryształ górski.

Natomiast pod wpływem pewnych rodzajów promieniowania magnetycznego zdaje się on, w braku lepszego określenia, absorbować wszelkie promienie świetlne, dzięki czemu przybiera matową, czarną barwę. Mikeley zaobserwował ten fenomen, gdy po raz pierwszy odłupał kawałek kryształu od większej ściany.

Prawdziwe właściwości kryształu odkryto znów przez przypadek podczas badań krystalograficznych. Jeśli dwa identyczne segmenty czarnego kwarcu poddano zsynchronizowanemu wzbudzeniu magnetycznemu, powstawał między nimi dwustronny kanał komunikacyjny. Przy stopniowym zwiększaniu odległości okazało się, że – w odróżnieniu od wszelkich znanych do tej pory materiałów – czarny kwarc eliminuje odstęp czasowy.

Wraz z odkryciami laboratoryjnymi i proponowanymi zastosowaniami nowych kryształów pojawiły się pierwsze problemy związane z ich wydobyciem. Pierwsza grupa zebrała jedynie luźne odłamki różnych typów kryształów bądź większe kawałki, które już wcześniej samoistnie odpadły od macierzystej ściany. Przy próbach cięcia z zastosowaniem zwykłych ostrzy z węglem C-10 kryształ pękał. Promienie lasera natomiast niszczyły go, topiły bądź wywoływały drobne, ale nieodwracalne szkody.

Dopiero zwyczaj jednego z krystalografów, który często podśpiewywał przy pracy, dostarczył cennych wskazówek. Badacz zauważył, że żyła kryształu często wpada w rezonans, i zaproponował wykorzystanie piły infradźwiękowej. Choć nie od razu udane, eksperymenty w tym kierunku doprowadziły wreszcie do otrzymania współczesnego, wysoce skomplikowanego narzędzia, które wzbudzało rezonans, wzmacniało dźwięki i obniżało wymagany ton, uruchamiając w ten sposób infradźwiękowe diamentowe ostrze.

Po rozwiązaniu problemu oddzielania od żyły nie uszkodzonych kryształów Ballybran udostępniono niezależnym poszukiwaczom.

Podczas następnej pory burz ci z nich, którzy natychmiast usłuchali ostrzeżeń i dotarli do osłoniętej doliny, nie doznali żadnego uszczerbku na zdrowiu. Nieostrożnych odnaleziono po ucichnięciu wichury. Byli martwi albo postradali zmysły. Szalejące pośród rezonujących kryształowych gór wiatry dobywały z wrażliwych skał dźwięki nie do zniesienia dla nie chronionych niczym umysłów.

Zaalarmowani niewyjaśnioną śmiercią dziewięciu towarzyszy, pozostali poszukiwacze uświadomili sobie istnienie wcześniej bagatelizowanych dolegliwości. Medtechnicy zaczęli zgłaszać przypadki dezorientacji, hiper- i hipotermii, zakłóceń postrzegania zmysłowego, skurczów mięśni i osłabienia, nie oszczędzając ich samych. Podobne drobne dolegliwości nie ominęły żadnego z mieszkańców kilkunastu podstawowych obozów. Choć przechodziły, u niektórych ludzi dało się zaobserwować pewne zmiany poszczególnych zmysłów, najczęściej słuchu. Zmobilizowano grupę medyczną i wszystkich poddano wyczerpującym testom. Z początku obarczono winą kryształ, wkrótce jednak okazało się, iż choroba nie tknęła tych, którzy zajmowali się kwarcem poza planetą, nie

pominęła natomiast meteorologów i techników, nigdy się z nim nie stykających. Ten powód zatem wykluczono. Podstawowym obiektem intensywnych badań stała się ekologia Ballybranu. Badania przyniosły pozytywny efekt i wkrótce wyizolowano wywołujące chorobę zarodniki. Planeta Ballybran została umieszczona w spisach pod kodem 4.

Killashandra zatrzymała obraz i zadumała się nad anomalią. Wszystko poniżej kodu 15 oznaczało całkowity zakaz lądowania. Ballybrański zarodnik wywoływał w ciele ludzkim skomplikowane – czasem śmiertelne – reakcje. Został jednak wyizolowany, ale planeta nadal pozostawała pod kodem 4.

Uniki! – pomyślała z rozdrażnieniem. Z powrotem uruchomiła obraz, teraz jednak na ekranie dostrzegła dzieje Cechu Heptyckiego. Zatrzymała tekst.

Co takiego powiedział Andurs? „Tylko śpiewacy opuszczają planetę”. Bez wątpienia kalecy pozostają na Ballybranie. Dwadzieścia tysięcy coś–tam obsługi technicznej. W porównaniu z czterema tysiącami czterystu śpiewakami. Killashandra Prychnęła lekceważąco. Szansę były lepsze niż te rządzące światem Sztuk Odtwórczych. To jej się podobało. Tak, ale co czekało człowieka, jeśli nie był tym jednym z pięciu? Kogo zatrudniano w obsłudze?

Zadała to pytanie widifaksowi.

Obsługa techniczna: obróbka i transport kryształów, stroiciela, producenci komponentów napędowych, mechanicy, medycy, pracownicy rolni, dostawcy...

Lista ciągnęła się dalej, aż do najniższych stanowisk.

A zatem po zdecydowaniu się na Ballybran, planetę opuszczali jedynie śpiewacy. No cóż, ona będzie śpiewaczką. Odsunęła konsolę i splatając dłonie za głową, położyła się na wąskim posłaniu.

Co składało się na tę drobną różnicę, oddzielającą śpiewaków od reszty? Szczególnie jeśli absolutny słuch stanowił podstawowe wymaganie. Skoro do wydobycia kryształu z żyły używano pił infradźwiękowych, sama siła nie miała tu nic do rzeczy. Ogólne nastawienie? Zdolności?

Choroba zarodnikowa? Killashandra podciągnęła do siebie konsolę i wystukała powtórkę.

Te badania przyniosły pozytywny efekt i wkrótce wyizolowano wywołujące chorobę zarodniki...

– Wyizolowano – wymamrotała dziewczyna. – Wyizolowano, lecz nie wytępiono ani nie znaleziono lekarstwa. I planeta ma kod 4.

Czy więc właśnie odporność na zarodniki decydowała, kto mógł śpiewać kryształ?

Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie, pomyślała i zażądała informacji dotyczących zarodników. Zaśmiała się, widząc, że są to dane zastrzeżone.

Jednak kandydatom nie udostępniano wszystkich informacji. Dobrze i to. Ostatecznie Cech, podobnie jak pojedynczy obywatel, ma prawo do prywatności, a przepisy FPR wymagały, by aspiranci przed podjęciem ostatecznego kroku byli w pełni świadomi, na co się decydują.

Odepchnęła pulpit i zeskoczyła z łóżka. Przystanąwszy jedynie na moment, wystarczający na przeczesanie włosów i poprawienie tuniki, przeszła przez drzwi. Zasunęły się cicho za jej plecami.

Kiedy dotarła do łączącej poziomy rampy, dostrzegła na ścianie plan sytuacyjny, ukazujący, gdzie znajduje się w danej chwili i w jakim kierunku może się skierować. Była dwa poziomy poniżej siedziby Cechu, do tamtej części Bazy prowadziła tylko jedna droga. Killashandra pewnym siebie krokiem ruszyła w górę. Przechadzka sprawiła jej żywą przyjemność. Po dziewięciu dniach zamknięcia na statkach nawet baza księżycowa wydawała się obszerna. Wyposażenie Bazy Shankill wskazywało, że wykorzystywano ją zarówno jako placówkę handlową, jak i stały punkt naukowo-badawczy. Starannie próbowano odtworzyć otoczenie planetarne, tak aby przybysze i mieszkańcy mogli choć na trochę zapomnieć o wrogim środowisku na zewnątrz podwójnych ścian. Hologramy po bokach rampy ukazywały przyjemny górski krajobraz, który – Killashandra była tego pewna – zmieniał się zgodnie z dziennym obrotem bazy. „Na zewnątrz” zbliżało się południe, zignorowała jednak nieśmiałe skargi żołądka.

Za służą i czerwonopręgowanym terenem – zgodnie z przyrzeczeniem, wypatrywała go wszędzie – korytarz stał się szerszy i przeszedł w rozległą salę. Pod ścianami ustawiono hologramy drzew i kwiatów, kołyszących się pośród rzędów krzewów o jasnych liściach. Odniosła wrażenie, że dekorator przemieszał florę z kilku różnych planet, ale hologramy raczej rzadko sprawiały problemy natury botanicznej, a efekt był piękny.

Leżący poniżej obszar jadalny rozciągał się na kilku poziomach, z których pierwszy składał się z szerokiego korytarza i dwóch sal. W jednej dostrzegła nadzorcę – człowieka. Skręciła w lewo, w kolejny krótki korytarzyk, oddzielający siedzibę Cechu od obszaru restauracyjnego.

Przemknęło jej wprawdzie przez głowę, że być może biura Cechu będą zamknięte, jako że nadszedł czas przerwy obiadowej. Okazało się jednak, że do sali przyjęć wpuszczono ją natychmiast. Weszła i stanęła oszołomiona.

Baza księżycowa czy nie, dwunastościenne pomieszczenie było ogromne, sufit sięgał na pięć, może sześć metrów w górę. Ze środka krzyżujących się łuków, które podtrzymywały sklepienie, zwieszał się gigantyczny, mieniący się wszystkimi barwami kryształowy żyrandol. Jedyne wyposażenie stanowiła zakrzywiona konsola, Killashandra dostrzegła jednak światełka z rozmieszczonych na bocznych ścianach gablot.

– Ho, ho – szepnęła w zdumieniu. W odpowiedzi usłyszała miękkie pobrzękiwanie kryształu. Nie był to zatem, jak z początku sądziła, jedynie element oświetlenia. Zdawał się także ukazywać kryształy wszelkiej barwy i kształtu – arcydzieła obróbki, które z pewnością tylko się tu marnowały. I wtedy zobaczyła, że cała konstrukcja wolno się obraca, rozsiewając po sali świetlne plany, stale zmieniające się wzory na ścianach. Ruchowi towarzyszyło nieustanne, natrętne podzwanianie.

Jeśli nie załatwi cię dźwięk, pomyślała Killashandra, to zafascynuje światło. Odmówiła poddania się subtelnej hipnozie i zaczęła wędrować wokoło. Pierwsza gablota kryła w sobie wachlarz drobnutkich bladoróżowych kryształów, prawdopodobnie służących jako układy komputerowe albo przetworniki. Zaciekało ją, jak ostre mogą być ich krawędzie. W następnej, dzięki powiększeniu mogła obejrzeć nici krystaliczne różnej średnicy i odcieni. Czegoś takiego nie dałoby się przecież „ciąć”. A może żółtawy kryształ sam rozpadał się na włókna?

Następną gablotę zdominowała kolczasta kula kryształowego napędu. Lecz najwięcej miejsca poświęcono czarnemu kryształowi, który rzeczywiście ani nie był czarny, ani też, w oczach Killashandry, nie przypominał w niczym kryształu. Przynajmniej dopóki nie podeszła do sąsiedniej ściany i nie zajrzała przez jeden z licznych otworów, tam bowiem ujrzała kolejny kawałek, zdecydowanie czarny w specjalnym oświetleniu.

Nagle żyrandol rozzwonił się gwałtownie. Kiedy odwróciła się, zobaczyła ze zdumieniem, że w wejściu stoi wysoki, nerwowy mężczyzna ze statku. Intruz głośno odchrząknął i gdy żyrandol zadzwieczał w odpowiedzi, w oczach mężczyzny zabłysło przerażenie. Wyglądał, jakby łaďa moment miał uciec z sali.

– Nie chciałbym naruszać twojej prywatności – rzucił napiętym szeptem. Widocznie był tu nie po raz pierwszy i szczególna własność żyrandola go nie zaskoczyła – ale... ten mężczyzna, z którym byłaś na statku. To śpiewak?

– Tak.

– Tak? – jej pytanie zatrzymało go. Równie dobrze mogła się dowiedzieć, co go nęka.

– Co mu się stało? Dopadł go zarodnik?

– Nie – zaśmiała się Killashandra. Biedak był tak przejęty, że oczy o mało nie wypelzły mu z głowy. – Dostał się we wtórną falę dźwiękową, gdy w kosmoporcie na Fuerte eksplodował prom. Przeciążenie sensoryczne.

Na jego twarzy ujrzała ogromną ulgę. Otarł dłonią czoło i policzki.

– Mówią ci tylko tyle, ile chcą, i nic poza tym. Więc kiedy go zobaczyłem...

– Chcesz zostać śpiewakiem kryształu?

Przełknął ślinę, jego jabłko Adama podskoczyło nerwowo.

– Czy jesteś śpiewaczką? – w jego głosie pobrzmiewał zachwycony lęk. – Myślałem, że tak, bo kapitan traktował cię z ogromnym szacunkiem; teraz już nie byłbym tego tak pewien.

– Nie, nie jestem.

Zmienił się cały. Uniósł głowę i wyprostował ramiona.

– Ja mam zamiar nim zostać – oznajmił stanowczo, a żyrandol odpowiedział echem. Mężczyzna zerknął w górę i skulił się lekko.

– Jeśli tego chcesz – odparła obojętnie Killashandra i minęła go. Widziała już wszystko, co było do zobaczenia w sali i nabrała ochoty na posiłek.

– To znaczy, że nie będziesz próbować odwozić mnie od tego pomysłu? – spytał, idąc w ślad za nią.

– Czemu miałabym cię zniechęcać?

– Bo wszyscy inni to robią.

– Nie jestem wszystkimi innymi.

– Podobno to bardzo niebezpieczne.

– I co z tego?

– Czy też masz zamiar się zgłosić? Przystanęła i odwróciła się ku niemu tak szybko, że niemal na nią wpadł.

– Naruszasz moją prywatność...

– Ależ nie, nie! – uniesieniem ręki bronił się przed podobnymi oskarżeniem. – Ale co innego mogłabyś robić w Sali Heptyckiej?

– Kupować kryształ.

– Nie po to tu przyjechałaś...

– Naruszasz moją prywatność! – prawie biegła, czując pokusę naciśnięcia niedalekiego przycisku na drzwiach, oddzielających korytarz łącznikowy od wejścia do restauracji.

– Chciałem tylko porozmawiać... – jego głos gonił ją nadal, lecz przynajmniej sam właściciel pozostał wreszcie z tyłu.

Zdenerwowana, z rozpędu minęła bar i dotarła do zbiegających się w kształcie litery T alejek, prowadzących do licznych kabin, niektórych przesłoniętych zapewniającymi odosobnienie parawanami. Krótkie schody, otoczone roślinami o szerokich liściach, wiodły do właściwej restauracji. Podajniki żywności i jaskrawopomarańczowe ekrany z menu rozmieszczono wyłącznie pod ścianami, nikt jednak nie musiał długo czekać na swój posiłek. Właśnie szła w kierunku najbliższego automatu, gdy niespodzianie usłyszała, że ktoś woła jej imię.

– Tutaj, Killashandro Ree! – najpierw rozpoznała ciemne tuniki kosmopilotów, a chwilę potem samego kapitana Andursa, który podniósł się nieco ze swego siedzenia. – Chodź, przysiądź się do nas.

Cóż, przynajmniej ochroni ją przed intruzem, jeśli ten nadal za nią szedł. Pomachała do kapitana i ruszyła przyjrzeć się menufaksowi. Przepływający po ekranie wybór oszołomił ją i kiedy dostrzegła rybną potrawkę, tę samą, którą jadła owego pamiętnego dnia na Fuerte, zamówiła ją.

– Trunki też są dobre – stwierdził Andurs, podchodząc do niej. Z wprawą wystukał sekwencję numerów, odczekał chwilę i powtórzył całą czynność. – Szczególnie jeśli je czymś z tego przegryźć.

Już miała oprotestować jego zbyt ni pośpiech – jakże dobrze знаła narowy przeciążonych automatów w studenckiej stołówce – gdy płyta odsunęła się i stanęły przed nimi wszystkie trzy zamówienia. Taka obsługa to przyjemność.

– Proszę, spróbuj tego i powiedz, co o tym sądzisz – zaproponował Andurs, podając jej litrową szklankę. – Nie ma sensu chodzić kilka razy. To przeszkadza w rozmowie. Widzisz, mówiłem, że dobre. Żadnej chemii; pozwalają mu dojrzeć w spokoju, a to oznacza dobry trunek – po czym bez namysłu zamówił nie tylko szklankę dla niej, ale cały spory dzbanek. – Na twoim miejscu trzymałbym się piwa i napojów fermentowanych i destylowanych na własnej planecie, na pewno je mają. Niektóre drinki mogłyby ci naprawdę dokopać – nie ten metabolizm, wiesz.

– Dziękuję za radę – odparła, gdy ruszyli z powrotem do innych.

– Naprawdę? – spytał cynicznie Andurs. – Zmienili nam plan lotów. Startujemy jutro o dziesiątej według czasu bazy. Pospieszny transport. Stacja Przesiadkowa Regulus. Mogłabyś skorzystać z gwarancji kredytowej Cechu i, jeśli masz ochotę, przelecieć całą Drogę Mleczną.

- Wolę zostać tutaj i zobaczyć, co się stanie.
- Sprawdzalas już jakieś dane? – zniżył głos, bo zbliżali się do stołu.
- Wystarczająco dużo.
- Nieważne, co wyczytasz – nigdy nie będzie to cała prawda ani nawet jej dostateczna część – ton głosu Andursa był bardzo surowy.
- Zgodnie z prawem FPR muszą ujawnić wszelkie zagrożenia, związane z uprawianiem zawodu.

Andurs prychnął tylko, ale dotarli już do stołu i natychmiast stracił ochotę do dalszej dyskusji.

Właśnie przedstawiano ją inżynierowi pokładowemu, którego wcześniej nie znała, gdy dostrzegła nagle napięcie na twarzach nadzorcy załadunku i drugiego oficera. Zaciekawiona, obejrzała się przez ramię.

Dwóch mężczyzn i kobieta przyglądali się oblegającym stoły przybyszom. Uwagę Killashandry przyciągnęły nie ich zniszczone, poplamione ubrania, znoszone buty i zaniedbane włosy, choć był to dość niezwykły widok w społeczeństwie, które ceni schludność i zapewnia wszystkim niedrogą, porządną odzież. Oszłomiła ją arogancka postawa trójki, wyniosłość, która wykluczała z ich kręgu całą resztę świata, bystrość spojrzenia, jakim omiatali całą salę, włączając w to także jej osobę. Znieruchomiałe na krótko pomieszczenie ożywiło się, gdy trio ruszyło zdecydowanym krokiem w stronę narożnego stołu, gdzie, jak dostrzegła Killashandra, siedziało już dwoje równie niezwykłych osób.

– Jak sądzicie, kto to? – spytała głupio. Jeszcze nie skończyła mówić, gdy domyśliła się odpowiedzi, bowiem widziała już podobną wyniosłość, taki sam wewnętrzny blask u Carrika. – Śpiewacy, tak?

- Owszem – odparł bezdźwięcznie nadzorca ładunków.
- Czy zawsze tak się zachowują?
- A jaki był twój przyjaciel Carrik? – odparował Andurs.
- Niezupełnie taki.
- Zatem stanowił absolutny wyjątek – odrzekł oficer. – Najgorsi są zaraz po powrocie z gór. Jak ci tutaj. Na szczęście dla nas, kapitanie, są jeszcze dwa monasteriańskie statki. Zabiorą ich stąd.

Andurs przytaknął, po czym, jakby chcąc się upewnić, że Killashandra nie będzie ciągnąć dalej drażliwego tematu, zasypał swą załogę gradem pytań o załadunek, rachunki i zapasy. Zrozumiała, o co mu chodziło, i zajęła się jedzeniem. Ale co chwila rzucała zaciekawione spojrzenia w stronę fascynującej grupki. Dodatkowo zaskoczył ją fakt, że ludzie

ci wyraźnie nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, choć przecież trzymali się razem. Nie odchodzili też od stołu na dłużej niż potrzeba, by zamówić od razu kilka dzbanków wina. Zupełnie nie zwracali uwagi na tłum, z wolna wypełniający kantinę.

Ponieważ panował nieustanny ruch, wokół rozbrzmiewały powitania przyjaciół i dobrodusze żarciki przerzucane pomiędzy stołami, Killashandra zdołała dokonać pewnych ocen. Wszystko wskazywało na to, że pomiędzy mieszkańcami Bazy, nieważne, czy byli członkami Cechu, czy nie, a przybyszami istniała serdeczna więź. Różne kolory i oznaczenia umożliwiały rozróżnienie funkcji i zawodów otaczających ją ludzi. Podróżnicy ubierali się wedle własnego widzimisię oraz stylu i mody kilkudziesięciu kultur i profesji. Personel statków wyróżniał się tradycyjnymi ciemnymi mundurami, stanowiącymi surowy akcent w orgii barw i krojów. W głównym foyer pojawiło się kilku przyodziałych w podtrzymującą życie aparaturę obcych, szybko jednak zniknęli w odrębnych pomieszczeniach restauracji, przystosowanych do bardziej egzotycznych potrzeb.

Po skończeniu posiłku i dopiciu drinków oficerowie przeprosili i odeszli, tłumacząc się obowiązkami przedstartowymi. Andurs pożegnał ich ogólnym gestem, po czym zwrócił się do Killashandry.

– Widzisz, co by się stało, gdybyś nadal upierała się przy pomysle zostanie śpiewaczką?

– Co? – spytała niewinnie.

Andurs niecierpliwie pstryknął palcami, wskazując dumną piątkę.

– Byłabyś sama. Gdziekolwiek byś się znalazła.

– Nie byłam sama z Carrikiem. Jego towarzystwo zdecydowanie mi odpowiadało.

– Nie wątpię, że z bardzo szczególnych powodów, i nie mów mi tylko o swej prywatności. Killashandra zaśmiała się, słysząc kwaśny ton jego głosu.

– Powody były wspólne, przyjacielu. I nadal nie widzę, czemu miałyby to być wina śpiewaków kryształu.

– A kimże oni są? – udanie odtworzył jej instynktowną reakcję, gdy ujrzała ich po raz pierwszy.

– Nie zauważyłam też, aby ktokolwiek ich tu powitał.

– I nie zobaczysz. Są nieznośni. I zawsze okazują wszem i wobec swoją wyższość.

– Carrik... – zaczęła, wspominając, jak było jej z nim cudownie.

– Kiedy go poznałaś, mógł już nie być sobą. Oni się zmieniają... i to nie na lepsze.

– Chyba muszą – odparła dość gwałtownie, zirytowana tym irracjonalnym generalizowaniem. – Faks twierdzi, że poddawani są rygorystycznym testom fizycznym,

psychicznym i zdolnościowym. Przechodzą tylko najlepsi, muszą więc przewyższać wszystkich zaharowanych ludzików z całej reszty galaktyki.

– Nic nie rozumiesz. Oni są zupełnie inni! – próbując wyjaśnić wszystkie zawiłości sprawy, Andurs zaczął się denerwować.

– Nigdy nie zrozumiem, jeśli nie będziesz mówił jaśniej.

– Proszę bardzo. Widzisz tego śpiewaka w brązowej tunice? Jak myślisz, ile ma lat? I nie wpatruj się tak w nich, potrafią być bardzo nieprzyjemni. Szczególnie jeśli dopiero co zeszli z gór, jak ci.

Killashandra już wcześniej zauważyła odzianego na brązowo mężczyznę: był najwyższy, a jego twarz odznaczała się podobnym magnetyzmem, jaki poznała u Carrika.

– Powiedziałabym, że jest gdzieś w drugiej połowie trzeciej dekady, może na początku czwartej.

– Ja przekroczyłem już czwartą i od dziewiętnastu standardowych jednostek latam na tej trasie. Wiem, że ten gość jest śpiewakiem od co najmniej dziewięciu dekad, bowiem przez tyle czasu jego nazwisko pojawia się na liście pasażerów mojego statku.

Killashandra dyskretnie zerknęła na obiekt ich rozważań. Trudno było uwierzyć, że mężczyzna grubo przekroczył już setkę. Współczesna nauka potrafiła opóźnić najgorsze objawy fizycznej degeneracji, ale...

– Więc tu cię boli? Wieczna młodość?

– Nie, nie mnie. Szczerze mówiąc, nie chciałbym żyć dłużej niż jakieś dziesięć, dwanaście dekad. Nie chodzi tylko o to, że śpiewacy dłużej wyglądają młodo, chociaż faktycznie niektórych to drażni. Są jeszcze inne różnice.

– Psychologiczne? Zawodowe? Fizyczne? Czy może finansowe?

– Posłuchaj, chodzi o różnice, które każdy z nas zauważa, wyczuwa w śpiewakach – i nie może ich znieść! – zaaferowany Andurs zaczął walić pięścią w dłoń drugiej ręki, podkreślając każde słowo. – Cokolwiek to jest, na zawsze odgradza ich od reszty ludzkości. Czy tego właśnie pragniesz?

Killashandra z należytą uwagą rozważyła pytanie, po czym odparła zdecydowanie, patrząc prosto w oczy Andursa:

– Tak. Śpiewacy kryształu to wyselekcjonowana, wysoce wyszkolona zawodowa mniejszość. A ja chcę należeć do podobnej grupy. Przeszłam już pewien trening w zbliżonym kierunku – dodała z kwaśnym uśmiechem.

– A więc to, że przywiozłaś tu Carrika... – Andurs skrzywił się w nagłym podejrzeniu. Odsunął się od niej.

– Było tylko splątą zaciągniętego u niego długu – dokończyła szybko, bowiem nie podobała jej się nagła zmiana wyrazu twarzy kapitana. Naprawdę powodował nią szczery żal z powodu stanu zdrowia Carrika. – Kto wie? Być może nie uda mi się spełnić ich ostrych wymagań i odeślą mnie z biletem w jedną stronę. Nikomu nie zaszkodzi, jeśli spróbuję, prawda? – błysnęła w jego stronę słodkim, lekko drżącym uśmiechem. – Widzisz, kiedy poznałam Carrika, nie czułam specjalnej motywacji do niczego...

– A więc leć ze mną albo na jakimkolwiek innym statku. To tutaj – wskazujący palec Andursa z emfazą wskazał w dół – to ślepy zaułek.

Killashandra rzuciła jeszcze jedno szybkie spojrzenie w stronę śpiewaków kryształu; dumnych, trzymających się na uboczu, promieniujących dziwną siłą. Skrzywiła się z namysłem, ale była to tylko poza, przeznaczona dla oczu Andursa – odległa, nieosiągalna grupka stanowiła rzeczywiście zbiór zupełnie odmiennych ludzi: wszystkich ich wyróżniało coś nieuchwytnego, co sprawiało, że zdawali się stać ponad innymi, nawet dorównującymi im wyglądem czy intelektem. Różnica ta sprawiała, że śpiewaka kryształu dawało się rozpoznać niezależnie od okoliczności. Zawsze, pomyślała Killashandra, jak międzygwiazdnych artystów, odbierających oklaski wielbiącej ich publiczności. Skoro nie mogła mieć tego drugiego, zdecydowała się osiągnąć pierwsze.

– Jest w nich coś takiego... – powiedziała na głos, z niedowierzaniem unosząc ramiona. Po jej twarzy przemknął cierpki uśmiech. – Wiesz, miałeś rację co do tego trunku.

– Przyniosę jeszcze...

Przyjemnie spędziła czas z kapitanem, choć z zadowoleniem przyjęła fakt, że był to tylko jeden wieczór, ponieważ szybko dostrzegła, jak bardzo jest ograniczony. Carrik otworzył jej oczy na wiele spraw. Gdy nadszedł moment zmiany daty, Andurs, wyrażając swój żal z powodu rozstania, musiał wracać na pokład. Na odchodnym raz jeszcze zaczął nalegać, by wsiadła na pokład. On odlatywał tylko na Regulusa, lecz Killashandra, dysponując gwarancją kredytową Cechu, mogła wykupić bilet dokądkolwiek chciała.

Podziękowała mu, udając większe zmęczenie, niż czuła w rzeczywistości. Udało jej się pozostawić wrażenie, że jego perswazje i urok osobisty przekonały ją ostatecznie.

Dopiero znacznie później dowiedziała się, że jego statek, Rag Blue Swan Delta, opóźnił swój odlot do czasu, gdy rozwścieczony kontroler lądowiska zmusił go do opuszczenia doku. W tym czasie Killashandra znajdowała się już w blokach Cechu w bazie.

ROZDZIAŁ II

Gdy Killashandra przybyła na miejsce punktualnie w momencie rozpoczęcia urzędowania, stwierdziła, że nie ona jedna wykazała podobną gorliwość. Wśród kilkunastu krążących wokół osób znaczną część stanowili kupcy, którzy pilnie przyglądali się ekranom podającym notowania i wystukiwali serie liczb na swych bransoletach. Był tam też szczupły wysoki mężczyzna, który na widok Killashandry zmieszał się wyraźnie i wycofał w kąt.

Właśnie kiedy ujrzała, jak z położonych po przeciwnej stronie dwunastościanu drzwi wyłania się dwóch mężczyzn i kobieta, ktoś wypadł gwałtownie z wejścia obok. Killashandra dostrzegła twardą, zaciętą twarz, krótko przystrzyżone włosy robotnika przestrzennego i kościstą kobiecą postać.

Kryształy żyrandola odpowiadały na towarzyszące przejściu nieznajomej drgania, pochwytyły ton jej głosu. Sądząc po rezonansie, wydawanym przez dźwięczące nad głowami dzieło sztuki, kobieta domagała się czegoś. Jeszcze bardziej Killashandrę zaskoczyło jednak to, że pracownica

Cechu nie uniosła nawet pochylonej nad modulem głowy. Zdecydowanie poirytowana robotnica przestrzenna powtórzyła pytanie, tym razem tak głośno, że Killashandra zdołała je usłyszeć. Żądała mianowicie, aby natychmiast poddać ją

testom, wymaganym przy przyjęciu do Cechu. Nagle jeden z pozostałych członków Cechu przeprosił na chwilę swego rozmówcę i dotknął lekko programatora umieszczonego na ramieniu swojej koleżanki, kierując jej spojrzenie w stronę zupełnie już wścieklej kobiety. Kolejna gniewna seria słów rozkołysała kryształowe krople, wszelako ich adresatka pozostała nieporuszona. Ani brak uprzejmości, ani też gniew petentki nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Drzwi po drugiej stronie sali otworzyły się ponownie i kandydatka ruszyła w ich stronę z dumnie zadartą głową. Delikatna sylwetka podrygiwała dziwnie w gwałtownym marszu. Płyta zasunęła się za nią. Uwagę Killashandry przyciągnęło ciche westchnienie, które rozległo się tuż za jej plecami. Odwróciła się i ujrzała młodego człowieka, który i tak skupiłby uwagę każdego towarzystwa, bowiem jego głowę pokrywały gęsto skręcone rude włosy, genetyczna cecha recesywna spotykana jeszcze rzadziej niżli jasny blond. Mężczyzna obserwował scenę pomiędzy robotnicą i programistką, jakby spodziewał się podobnej konfrontacji. Jego westchnienie wyrażało ulgę.

– Udało się jej – mruknął pod nosem, po czym, dostrzegłszy Killashandrę, obdarzył ją uśmiechem. W jego niezwykle jasnych zielonych oczach błysnęła psotna iskierka. Antypatia, jaką Killashandra instynktownie poczuła wobec nieznajomej kobiety, zniknęła zastąpiona nagłym przypływem sympatii.

– To naprawdę rzadki okaz, szalała przez całą drogę tutaj. Myślałem, że przeleci przez wejście jak bomba, kiedy zaczęły się formalności... – szeroko rozłożył ręce, chcąc wyrazić w ten sposób zdumienie.

– Nie wystarczy tylko znaleźć się za drzwiami – odparła.

– Jakbym sam nie wiedział! Ale Cariganie nie da się nic przetłumaczyć. Po pierwsze, wściekła się, bo ja przeszedłem już wstępne na Yarro w Becie Dwa. Jakby to, że musiała przebyć całą drogę tutaj, stanowiło dla niej osobisty afront – przysunął się bliżej do Killashandry, bo do sali wkroczyła właśnie zbита grupka ludzi, sądząc po ich strojach, kupców. – A ty? Już po pierwszym etapie? – Uniósł dłoń i uśmiechnął się tak rozbrajająco, że Killashandra, która aż zeszytniała na tak bezczelne pogwałcenie jej prywatności, zapomniała o obrazie. – Jestem ze Scartine i czasami zapominam o dobrych manierach. Poza tym nie wyglądasz na kupca... – pełen rozbawionej pogardy gest, jakim wskazał otaczający ich wystrojony tłumek wyraźnie wskazywał, że miał to być komplement. – A zwykły turysta nie zapuściłby się dalej niż do kantyny. Czyli musisz interesować się śpiewaniem kryształu – jego brwi, podobnie jak i głos, uniosły się pytająco.

Nawet osoba dużo bardziej sztywna i dbała o konwenanse niż Killashandra miałaby pewne problemy ze zbiciem tego faceta z pantaląku. Toteż odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy i delikatnym uśmiechem.

– No cóż, ja osobiście muszę po prostu zameldować swe przybycie. Ale na twoim miejscu – choć oczywiście nie mogę mówić za ciebie i z pewnością nie chciałem naruszyć twojej prywatności – dałbym Cariganie chwilkę na zorganizowanie się tam, w środku – nagle przechylił głowę i posłał jej łobuzerski uśmiech. – Chyba że jeszcze się wahasz i chcesz się namyślić.

– Owszem, chcę się namyślić, ale wątpliwości nie mam żadnych – odparła Killashandra. – A więc przeszedłeś już wstępne na Yarro?

– Tak, wiesz, testy...

– Z tego, co słyszałam, SG-1.

Lekceważąco wzruszył ramionami. – Medsprzęt jest taki sam na wszystkich poziomach, a jeśli jesteś w miarę normalna, psychik to betka. Przydatność zawodowa jest ostra, to fakt, ale wyglądasz, jakbyś miała trzeci poziom, więc nie ma co rwać włosów z

głowy – jego wzrok na moment umknął w stronę ściany, za którą zniknęła Carigana. – Oczywiście, jeśli ma się w ogóle jakieś włosy! – Te testy nie są chyba skomplikowane, bolesne czy coś takiego? – wysoki, nerwowy mężczyzna podszedł do nich tak cicho, że nawet nie zauważyli, od kiedy już tam stał. Killashandra skrzywiła się lekko, lecz jej towarzysz uśmiechnął się do intruza.

– Nie ma strachu, nie ma problemu, stary. Drobiazg – ruchem ręki podkreślił te słowa.
– Pozostało mi tylko podejść do drzwi, zapukać i jestem – nonszalancko strzelił palcami.

– Otrzymałeś już pełny dostęp do danych? – Jeszcze nie. – Yarrianin znów uśmiechnął się szeroko. – To następny etap i możliwy jedynie tutaj.

– Shillawn Agus Vartry – oznajmił wysoki mężczyzna Oficjalnym tonem i uniósł prawą dłoń, rozkładając szeroko palce w galaktycznym geście, oznaczającym pokojową współpracę.

– Rimbol C–hen–stał–az – odparł rudzielec.

Killashandra nie była w nastroju na długie dyskusje o problemach związanych z ubieganiem się o członkostwo Cechu, w każdym razie nie z tym Shillawnem, który bez przerwy przetykał ślinę i jęczał się, próbując podjąć decyzję. Obdarzyła Rimbola uśmiechem, po czym, pozdrowiwszy uprzejmie nowo poznanych, wycofała się i ruszyła w stronę modułu z pewnością siebie znacznie przewyższającą tę, którą naprawdę czuła. Po dotarciu na miejsce rozłożyła palce tak, by siedząca naprzeciw kobieta mogła to dostrzec.

– Chciałabym ubiegać się o członkostwo Cechu Heptyckiego – oznajmiła, gdy tamta pytając uniosła głowę. W istocie miała zamiar powiedzieć, że chce zostać śpiewaczką kryształu, w ostatniej jednak chwili gotowe już słowa uległy w jej ustach przemianie z nietypową dla Killashandry dyplomacją. Być może okropny przykład Carigany utemperował nieco jej własne podejście do sprawy.

Programistka bez cienia zdziwienia skinęła głową, a jej palce błyskawicznie przebiegły po klawiszach.

– Proszę przejść tędy – wskazała otwierające się w ścianie drzwi.

Killashandra wyobraziła sobie, jakim rozczarowaniem musiały być te bezosobowe słowa dla szalejącej Carigany. Zaśmiała się do siebie, gdy drzwi bezszelestnie zasunęły się za jej plecami. Killashandra Ree schodzi ze sceny, cicho, bez żadnej fanfary.

Znalazła się w krótkim korytarzu. Po obu stronach widziała szereg opisanych barwnymi znakami drzwi. Jedne z nich rozwarły się cicho. W momencie gdy przez nie przeszła, z przeciwnej strony do pomieszczenia wszedł mężczyzna o dziwnie

przekrzywionym ramieniu. Po przenikliwym spojrzeniu, jakim ją zmierzył, zgadła, że miał już do czynienia z Cariganą.

– Czy zgadzasz się na poddanie testom SG–1 w zakresie fizycznej, psychologicznej i zawodowej gotowości? Jeśli tak, podaj swoje nazwisko, planetę pochodzenia i status. Wszystko odbywa się zgodnie z przepisami Federacji Planet Rozumnych, określającymi przyjęcia do Cechu Heptyckiego z Ballybranu – wyrecytował jednym tchem i spojrzał na nią pełnym oczekiwania wzrokiem, pozwalając jej pojąć wagę tego, co się dzieje.

– Tak, ja, Killashandra Ree z Fuerte, zgadzam się na poddanie testom. Status: studentka muzyki, trzeci poziom, wolna.

– Proszę tedy, Killashandro Ree – podążyła za nim do poczekalni, z której wychodziła seria drzwi – typowe pomieszczenie testowe. Płytką na jednych płonęła ostra czerwienią i Killashandra domyśliła się, że wewnątrz przebywa Cariganą.

Przewodnik wskazał jej sąsiednią komorę, wyposażoną w specjalne łóżko i pokrywę, stanowiące w całej galaktyce standardowy sprzęt diagnostyczny dla jej gatunku. Bez słowa ułożyła się tak wygodnie, jak to było możliwe w danych warunkach. Od dzieciństwa uodporniła się na całą tę procedurę, na z lekka klaustrofobiczne uczucie, jakie ogarniało ją zawsze w momencie, gdy górna część aparatu diagnostycznego opuszczała się na nią. Nie przeszkadzał jej łagodny ucisk części tułowia ani ciasny uchwyt na udzie i twardy ciężar na jednej łydce. Nigdy jednak nie zdołała przywyknąć do części urządzenia, ściśle otulającej głowę, do nacisku na skroń, oczy i szczękę. Lecz odczyty mózgu i siatkówki były bezbolesne, a badany nawet nie czuł ukłucia znieczulającego nogę podczas pobierania próbek krwi, szpiku kostnego i tkanki. Inne badania – organów wewnętrznych, mięśni, wytrzymałości na gorąco i zimno – okazały się niczym w porównaniu z próbą progu bólu. Nieraz już o niej słyszała, ale jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyła pełnej gamy doznań bólowych. Po fakcie miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała tego powtarzać.

Aparatura wycofała się dokładnie w chwili, gdy Killashandra starała się wciągnąć w umęczone płuca dość powietrza, by odpowiedzieć krzykiem na torturę, jakiej poddano jej ośrodki nerwowe. Jęknęła głośno, niemal czując, jak całe jej ciało pulsuje echem męczarni, i rozmasowała sobie kark. Ułamek sekundy dokładnie wymierzonego bólu napiął jej wszystkie mięśnie.

– Proszę teraz zażyć środek wzmacniający – polecił medyk, wchodząc do komory. Podał jej szklankę zielonego gazowanego płynu. – To cię uspokoi. I gdybyś mogła tu usiąść... – dodał na widok wtaczającego się na środek pomieszczenia wygodnego, wyściełanego fotela. Medysprzęt odsunął się gdzieś na bok. – Kiedy już dojdiesz do siebie, użyj przycisku na

prawej poręczy. Wtedy rozpocznie się test psychologiczny. Korzystamy w nim z systemu łączności dźwiękowej. Odpowiedzi są, rzecz jasna, nagrywane, zresztą z pewnością zdążyłaś już poznać całą procedurę.

Napój istotnie zlikwidował ostatnie pozostałości po próbie progowej i jakby wyostrzył jej zmysły. Doskonale. Podczas testu liczy się wszystko.

Killashandra zawsze przyjmowała tego typu oceny z mieszanymi uczuciami: tak wiele mogło zależeć od czyjegoś nastroju akurat w tej chwili, tego dnia czy o tej porze roku. Jak zwykle ogarnęła ją przekorna ochota, aby udzielić samych złych odpowiedzi, lecz nie pozwoliło jej na to poczucie obowiązku i chęć sprawdzenia samej siebie. Nie była jednak w stanie pojąć sensu włączenia do tego kilkunastu niezwykle pytań, z jakimi dotąd jeszcze się nie zetknęła. Oczywiście, nigdy przedtem nie starała się o przyjęcie do Cechu Heptyckiego, zatem niewątpliwie kryteria oceny musiały tu być inne. Pierwszy też raz przechodziła test poprzez system łączności. Zazwyczaj odbywało się to w obecności egzaminatora.

W czasie ostatnich kilku minut sesji przerwy między pytaniami zaczęły się kurczyć, tak że w końcu Killashandra, oblana potem, ledwie dotrzymywała im tempa.

Nadal czuła, jak wali jej serce, kiedy do komory ponownie wszedł pracownik Cechu, tym razem niosąc w dłoniach tacę z parującym jedzeniem.

– Test przydatności zawodowej odbędzie się po tym, jak coś zjesz i wypoczniesz. Możesz przełączyć faks na rozrywki bądź przespać się – ledwie padły te słowa, a z tyłu wysunęła się leżanka. – Kiedy będziesz gotowa, poinformuj o tym komputer. Wtedy zacznie się twój ostatni test.

Killashandra była wściekle głodna, a wysoce odżywczy posiłek – znakomity. Jakże często jedzenie egzaminacyjne, choć niewątpliwie pożywne, było beczpłciowe i nieciekawe. Powoli wysączyła gorący napój i poprosiła o kojące ofteriańskie „harmonie”, aby oczyścić umysł z towarzyszącego testowi napięcia.

Podczas innych sesji podejście i zachowanie egzaminatora często podpowiadało jej, jak sobie radzi. Od dawna zaś przywykła do wysokich ocen. Lecz technik cechowy był tak bezosobowy, że nie miała pojęcia, jaki mógł być wynik testów.

Skończywszy posiłek, zdecydowała się kontynuować badania i zawiadomiła o tym komputer.

Nastąpił egzamin ze słuchu, najsurowszy sprawdzian, jaki kiedykolwiek przeżyła, obejmujący między innymi ocenę błędów wibracyjnych i nieprzyjemne pod- i nadprogowe dźwięki poniżej 50 i ponad 18 000 herców. Odpowiedzi zarejestrowano i Killashandra przeszła do podchwytliwie skonstruowanych ćwiczeń z zakresu koordynacji wzrokowo–

ruchowej, które znów pozostawiły ją zlaną potem. Na koniec uraczono ją serią zadań z oceny głębi i relacji przestrzennych. Te ostatnie zawsze stanowiły jej mocny punkt, lecz kiedy wreszcie ukończyła egzamin, aż dygotała ze zmęczenia.

Może były to tylko jej pobożne życzenia, lecz gdy medtechnik powrócił, wydało jej się, że dostrzega w jego wzroku coś w rodzaju szacunku.

– Killashandro Ree, ponieważ ukończyłaś przewidziane na pierwszy dzień testy zgodnie z wymogami, jesteś teraz gościem Cechu. Pozwoliliśmy sobie przenieść twe rzeczy osobiste do wygodniejszej kwatery w sektorze Cechu. Proszę za mną...

Zazwyczaj podobne działanie bez jej zezwolenia stanowiłoby naruszenie prywatności, lecz była zbyt wykończona, aby protestować. Przewodnik poprowadził ją dalej w głąb sektora Cechu, trzy poziomy poniżej jedyne wejścia, czy raczej wyjścia prowadzącego do ogólnej części bazy Shankill. Tak łatwe przeniknięcie do świętej warowni śpiewaków rozbawiło ją miast zaniepokoić. Naprawdę nie było potrzeby izolowania jej od reszty populacji bazy po tym standardowym bądź co bądź egzaminie. Poza próbą progową bólu nie istniało nic, przed czym można by ostrzec innych ewentualnych kandydatów. Dla Cechu większy problem mogliby stanowić ci, którym się nie powiodło, bowiem rozczarowanie wywoływało czasem skrajne emocje. Ciekawa była, co działo się z tymi, którzy przepadli. Co się stało z wściekłą Cariganą? Jeśli oblała, Killashandra wolałaby znaleźć się od niej jak najdalej. Gdzie był Rimbol i ten irytujący, nerwowy Shillawn Jakości?

Jak daleko w głąb Cechu udało jej się posunąć, że otrzymała darmowe mieszkanie i utrzymanie? Zmęczenie nie pozwalało jej myśleć spokojnie. Niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko wyciągnąć się na łóżku i zasnąć. Była równie wykończona co w dniu końcowego koncertu studenckiego. Ile to czasu minęło? Jaki dystans pokonała od tamtego wydarzenia? Nawet własne myśli, pełne pytań, męczyły ją teraz. Jak daleko jeszcze?

Mężczyzna przystanął przed drzwiami, które rozsunęły się posłusznie.

– Kiedy tylko zarejestrujesz odcisk palca, znajdziesz w środku wszystkie swoje rzeczy. Na końcu korytarza jest wspólna jadalnia, choć jedzenie można również zamówić do pokoju. Jutro zostaniesz wezwana na egzamin końcowy.

Głośny pisk dochodzący z jego bransolety uciął wszelkie pytania, jakie mogłaby zadać. Przewodnik nacisnął coś, uprzejmie skinął głową i zawrócił.

Przycisnęła kciuk do wgłębienia zamka i wkroczyła do swej nowej siedziby. Pomieszczenie było nie tylko większe niż pokój hotelowy, ale też bardziej luksusowo wyposażone. Na Killashandrę czekało krzesło obok niewielkiego stolika, na którym stał już dzbanek napoju. Obok dostrzegła rozjarzony wyczekującym blaskiem selektor jedzenia. Z

wdzięcznością przełknęła płyn, stwierdzając jednocześnie, że menufaks nastawiony jest na dania rybne. Zaciekało ją, jak wiele Cech zdążył dowiedzieć się o niej od chwili, gdy podała swoje imię, status i planetę pochodzenia. Z rozmysłem przerzuciła ekran na inne proteiny i zamówiła coś, co opisano jako solidną potrawkę jarzynową, oraz lekkie wino.

Ważnie skończyła posiłek, gdy drzwi zaanonsowały gościa. Przez długą chwilę wahała się, nie wiedząc, kto mógłby ją odwiedzić. Drzwi dodały, że imię gościa brzmi Rimbol i że chciałby on zamienić z nią kilka słów. Zwolniła zamek.

Rimbol nachylił się nad nią z szerokim uśmiechem.

– Zostaw to. Chodź na drinka, za nic nie trzeba płacić – mrugnął. – Nie ma tam Carigany ani Shillawna. Tylko inni, którzy też przeszli już przez wstępne. No, chodź. .

Dźwięczące w jego kuszącym głosie rozbawienie przekonało ją. Killashandra знаła siebie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że gdyby nawet próbowała teraz zasnąć, i tak skończyłoby się na rozpatrywaniu testów, wypominaniu wszelkich pomysłów i niedopowiedzeń. I tak nie zdołałaby wypocząć, a parę drinków w zaraźliwie beztróskim towarzystwie Rimbola mogłoby okazać się zbawienne. Szczególnie jeśli zarówno Carigana, jak i nerwus Shillawn byli nieobecni.

Nieco zdetonował ją fakt, że „tylko inni” okazali się dwudziestodziwioosobową grupą. Rimbol, wyczuwając jej zaskoczenie, zaśmiał się i wskazał selektory.

– Dobry trunek – oto, czego ci trzeba. To jest Killashandra – dodał nieco głośniejszym głosem, zwracając się ogólnie do wszystkich. Powitało ją kilka uśmiechów i skinieć głowami albo gestów dłoni. „Inni” zdążyli już wykształcić pewne poczucie wspólnoty. Kiedy Killashandra i Rimbol odebrali swe szklanki, skupiona wokół czwórki graczy w karty grupka nawet nie zareagowała.

– Jesteś trzydziesta, wiesz – powiedział Rimbol, prowadząc ją do jednej z nielicznych wolnych sof. – Shillawn i Carigana to w sumie trzydzieścioro dwoje, a podobno jeszcze jedna osoba ma dziś podejść do wstępnych. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro ruszamy na Ballybran.

– Jeśli nikt nie wystraszy się po ujawnieniu informacji – wtrąciła dziewczyna, która tymczasem do nich podeszła. – Jestem Jezerey, kiedyś z Saloniki w grupie Antares.

– Nie sądziłem, żeby ktoś mógł zrezygnować po ujawnieniu danych – stwierdził Rimbol, marszcząc brwi.

– Może i masz rację, ale wiem, że trzydzieści osób to najmniejsza grupa, jaką poddają szkoleniu – ciągnęła Jezerey, z westchnieniem sadowiając się na kanapie. – Czekam już siedem standardowych tygodni – w jej głosie pobrzmiwał niesmak. – Ale Borton – machnęła ręką w

kierunku grupki zajętej grą w karty – siedzi tu od dziewięciu. Przybył tuż po odlocie poprzedniej klasy. Nic nie zdoła go zniechęcić. Nie powiedziałabym tego o paru innych osobach – a niewiele mamy w zapasie. Rimbol twierdzi, że nic nie da rady przekonać tej Carigany, a sądząc z jej miny, kiedy stary Garbusek wprowadził ją do środka, chyba dobrze, że my również jej się nie spodobał i że została w pokoju. Robotnicy przestrzenni to w ogóle dziwacy, ale ona jest... jest...

– Potwornie nerwowa – dokończył Rimbol, gdy Jezerey zabrakło słów. – Nie wydaje mi się, żeby ufała stacjom kosmicznym choćby odrobinę bardziej niż statkom. Przez całą drogę była nabuzowana. Shillawn... – Rimbol obdarzył Killashandrę cierpkim uśmiechem – był też strasznie podniecony, więc pozwoliłem sobie naruszyć jego prywatność i wrzuciłem mu środek nasenny do piwa. Jest w łóżku.

– Czemu ktoś taki jak on chciałby zostać śpiewakiem kryształu? – spytała Killashandra.

– A czemu my chcemy? – odparł z rozbawieniem Rimbol.

– No dobra, czemu? – odparła Killashandra.

– Nie zezwolono mi na kontynuowanie gry. Na mojej kupie błota nie ma dostatecznie wielu miejsc pracy dla muzyków, szczególnie instrumentalistów. Śpiewanie kryształu jest prawie równie dobre.

Killashandra skinęła głową, spoglądając na Jezerey.

– O dziwo – odrzekła dziewczyna – ja także stałam się zbędna w moim zawodzie. Terapie i odtwarzanie kończyn. A przecież mamy na Salonice wystarczająco wiele wypadków – zmarszczyła nos, po czym, widząc pytające spojrzenia Rimbola i Killashandry, wyjaśniła: – Górnicza planeta... z pasami asteroidów naokoło naszego i sąsiedniego globu. Można powiedzieć, że oprócz górnictwa odtwarzanie kończyn to nasz przemysł narodowy.

– Robotnicy przestrzenni zazwyczaj także nie narzekają na brak ofert pracy – zauważyła Killashandra, spoglądając na Rimbola.

– Z nią to inna sprawa. Nie wytrzymała psychicznie, kiedy pękła jej lina bezpieczeństwa. Mam wrażenie, że zanim ją znaleźli, spędziła w przestrzeni sporo czasu. Nie zwierzała mi się – Rimbol powiedział dobitnie – ale najprawdopodobniej stała się zbyt nieobliczalna jak na ten zawód.

Jezerey ze współczuciem pokiwała głową.

– Shillawn? – pytała dalej Killashandra.

– Powiedział, że jest chemotechnikiem. Ukończył swój projekt i przydzielono mu następny, który mu się nie spodobał. Pod ziemią. Cierpi na lekką klaustrofobię! Chyba dlatego tak się denerwuje.

– I wszyscy mamy słuch absolutny – stwierdziła Killashandra, bardziej do siebie niż do innych. Nagle bowiem przypomniała sobie oskarżycielskie określenia Maestro Valdiego, szczególnie „krzemowego pająka”. Zlekceważyła jednak nękające ją podejrzenia.

Dźwięczne przekleństwo jednego z graczy i jego donośne wezwanie, aby wszyscy sprawdzili na własne oczy, jak go oszukano, przerwały ich cichą rozmowę.

Killashandra nie uczestniczyła w gwałtownej dyskusji, która rozpętała się po chwili. Ale uznała, że rozsądnie będzie pozostać z grupą, z którą być może przyjdzie jej spędzić dłuższy czas. Pomyślała też, że stanowią zbiorowisko ludzi, których nie łączy nic – nie biorąc pod uwagę niedostrzegalnego na pierwszy rzut oka doskonałego słuchu – poza wiekiem. Wszyscy byli mniej więcej w połowie trzeciej dekady: najwyraźniej dopiero co ukończyli trzeci poziom edukacji. I nie było nawet dwóch osób, które pochodziłyby z tej samej planety czy systemu.

Killashandra pozostała przez jakiś czas wraz z resztą, łowiąc uchem fragmenty wesołej, lecz jałowej dyskusji o różnych grach. Wreszcie dopiła kolejną szklanę znakomitego trunku i dyskretnie się wycofała. Przygotowując się do snu rozmyślała, skąd trzydzieści kilka osób z tak wielu różnych planet dowiedziało się o istnieniu śpiewaków kryształu.

ROZDZIAŁ III

Właśnie kończyła poranny posiłek, gdy delikatny, niski gong przyciągnął jej wzrok do ekranu. Proszono, aby udała się do jadalni.

– Wymknęłaś się dyskretnie i dość wcześnie – oznajmił za jej plecami czyjś wesoły tenor. Obróciła się i ujrzała nadchodzącego Rimbola. Tuż za nim dreptał Shillawn. – Straciłaś całą zabawę.

– Kto wygrał? – spytała, skłoniwszy się uprzejmie.

– Nikt i wszyscy. Najzabawniejsza jest zawsze dyskusja! – rudzielec uśmiechnął się na to przyjemne wspomnienie.

Dotarli już do jadalni. Z innych korytarzy wysypywała się reszta tych, którym się powiodło. Część łączyła się w poprzednio uformowane grupki. Jedynie Carigana trzymała się osobno. Usiadła z tyłu, mierząc wszystkich nieprzychylnym wzrokiem. Wyraz jej twarzy przypominał o czymś Killashandrze, nie była jednak w stanie uświadomić sobie, o co chodzi.

Nagle czwartymi drzwiami wmaszerowała do środka wysoka, kulejąca kobieta, przytrzymująca lewy skraj swej długiej sukni, tak by materiał nie dotykał uda. Szybko przebiegła wzrokiem całą salę. Killashandrze wydało się, iż nieznajoma ich liczy. Pośpiesznie dokonała władnego rachunku: trzydzieści trzy osoby. Ponownie zaciekawilo ją, ilu kandydatów przechodziło testy przez te dziesięć tygodni, o których wspominała Jezerey.

– Nazywam się Borella Seal – oznajmiła kobieta czystym, dźwięcznym, wyraźnym szkolonym kontraltem. Killashandra spojrzała na nią z większym zainteresowaniem. – Zajmuję się wydobywaniem kryształu, śpiewaniem kryształu. Ponieważ chwilowo dochodzę do siebie po ranach, jakie odniosłam w górach, poproszono mnie o ujawnienie przed wami wszelkich niebezpieczeństw, związanych z tym zawodem – podciągnęła spódnicę, odsłaniając rany tak paskudne i wyraźne, że kilkanaście osób odwróciło wzrok. Jakby takiej właśnie reakcji pragnęła, Borella uśmiechnęła się lekko. – Jeszcze raz zademonstruję wam te rany, bynajmniej nie po to, by wzbudzić współczucie albo niesmak. Przyjrzyjcie się dobrze.

Łokieć Shillawna szturchnął bok Killashandry, która już miała zbesztać go za podobnie obraźliwy gest, lecz w ostatniej chwili zorientowała się, iż chciał w ten sposób zwrócić jej uwagę na Cariganę. Była jedyną osobą, która podeszła do Borelli Seal i nachyliła się, aby dokładnie obejrzeć długie szramy, przecinające nogę kobiety.

– Wygląda na to, że goją się prawidłowo, choć powinnaś je opatrzyć. Jak to się stało? – spytała Carigana z kliniczną obojętnością.

– Dwa dni temu pośliznęłam się na odłamku kryształu i spadłam z wysokości piętnastu metrów na stare wyrobisko.

– Dwa dni? – głos Carigany zabarwił się gniewem. – Nie wierzę. Widziałam dość ran i wiem, że tak głębokie cięcia nie mogły zagoić się do tego stopnia w ciągu dwóch dni. Sądząc po barwie siniaków i stanie już wygojonej tkanki, te obrażenia pochodzą sprzed kilku tygodni.

– Sprzed dwóch dni. Śpiewacy szybko wracają do zdrowia.

– Nie aż tak cholernie szybko! – Carigana powiedziałaaby więcej, lecz Borella Seal uciszyła ją gestem dłoni i odwróciła się do reszty.

– Zgodnie z zarządzeniem Federacji Planet Rozumnych wszyscy ubiegający się o przyjęcie do Cechu Heptyckiego, którzy pomyślnie ukończyli egzaminy wstępne – obdarzyła ich lekkim aprobowującym skinieniem głowy – muszą zapoznać się z niebezpieczeństwami właściwymi i nieodłącznie związanymi z ich przyszłym zawodem. Wszelako prawo FPR zezwala, aby pewne... problemy zawodowe chronić za pomocą wymazania pamięci. Ci z was, dla których podobna procedura jest nie do przyjęcia, mogą się wycofać.

– Jak wiele ulega wymazaniu? – spytała Carigana.

– Dokładnie godzina i dwadzieścia minut, zastąpione wspomnieniami dłuższego snu i sutego śniadania.

– A w dokumentach?

– Na prośbę kandydata Cech wprowadza informację, że odkryto u niego defekt fizyczny – drobny, lecz uniemożliwiający pracę na Ballybranie. Niewiele osób zadaje pytania Cechowi – z jakiejś przyczyny Killashandrze wydało się, że fakt ten rozbawił Borellę. Carigana sposepniała jeszcze bardziej. – Czy są jakieś obiekcje? – ciągnęła Borella, spoglądając wprost na nią.

Nie słysząc niczyich protestów, poleciła im ustawić się przed ekranem, który włączyła. Po kolei podawali nazwisko oraz zgodę na ewentualne wymazanie pamięci.

Nie zabrało to zbyt wiele czasu, ale Killashandra poczuła, że dokonała nieodwracalnego kroku w momencie, gdy jej zgoda została oficjalnie i nieodwołalnie zarejestrowana w komputerze.

Następnie Borella poprowadziła grupę krótką sienią do drzwi. Tuż za nią kroczyła Carigana. Gwałtowny świst wciągniętego w płuca powietrza i nagłe zwolnienie jej energicznego kroku ostrzegło innych, lecz w żadnym razie nie przygotowało ich na to, co zobaczyli w niewielkim korytarzyku. Po obu stronach znajdowały się zwłoki, przechowywane w jakimś przejrzystym płynie: z wyjątkiem jednych wszystkie lśniły, niby pokryte warstwą

krzemionki. Twarze wyglądały jak wykute z kamienia; kończyny i palce były sztywno rozłożone i stężałe, ale nie tylko sztywnością śmierci. Ten kryształowy poblask nie może być jedynie kwestią oświetlenia, pomyślała Killashandra, bowiem jej własna skóra wyglądała normalnie. Tym jednak, co poruszało do głębi, był wyraz ich twarzy: trzy wyglądały, jakby śmierć pochwyciła je podczas ataku szału, dwie były nieco zaskoczone, szósta zaś wściekła – ręce tej kobiety unosiły się w górę, jakby starała się coś pochwycić. Najokropniejsza była ostatnia postać: zwęglone zwłoki na zawsze zastygłe podczas biegu, pochłonięte przez żar, który zniszczył ciało, odsłaniając kości.

– Oto, co przydarza się na Ballybranie tym, którzy pozbawieni są właściwej ochrony. Również was może spotkać coś takiego, choć robimy wszystko, aby ograniczyć ryzyko do minimum. Jeśli ktoś z was chciałby się wycofać, może to zrobić nawet w tej chwili.

– Zewnętrzne niebezpieczeństwo nie wystarczy do uzyskania kodu 4 – oznajmiła oskarżycielskim tonem Carigana.

– To prawda – odparła Borella. – Widzicie tu jednak przykłady jednego z dwóch zagrożeń, jakie Federacja Planet Rozumnych poleciła nam przed wami ujawnić.

– Czy to najgorsze, co może się stać? – spytała pogardliwie dziewczyna.

– Śmierć ci nie wystarczy? – rzucił ktoś z grupy.

– Śmierć to śmierć, od kryształu, ognia czy ran. – Carigana wzruszyła ramionami. W jej tonie pobrzmiwała z lekka obraźliwa nutka i Killashandra nie była jedyną osobą, która poczuła w tym momencie irytację.

– Tak, najgorszy może być sposób, w jaki się umiera – powiedziała Borella z takim namysłem, że przyciągnęła uwagę wszystkich. Uśmiechnęła się chłodno. – Chodźcie za mną.

Ponury korytarz ustąpił miejsca niewielkiej, półokrągłej salce wykładowej. Borella wspięła się na małe podwyższenie, gestem nakazując, aby zajęli miejsca. Siedzeń w sali wystarczyłoby dla setki ludzi. Gdy Borella obróciła się ku nim, za jej plecami zapłonął wielki hologram, przedstawiający ogólny widok układu Scorii. Szybko powiększający się obraz skupił się na Ballybranie i jego trzech księżycach; przyśpieszony ruch ciał niebieskich ukazywał specyficzne dla tego systemu Przejście księżyców, gdy wszystkie trzy satelity przez krótki czas poruszały się po zsynchronizowanych orbitach. Koniunkcja ta wyraźnie nie zachodziła zawsze nad tym samym punktem na planecie – przeciwnie, miejsca były zdecydowanie różne.

– Stan krystalizacji, jaki mogliście zaobserwować w korytarzu, to najbardziej rozpowszechnione niebezpieczeństwo na Ballybranie. Występuje on, kiedy symbiotyczny zarodnik, krzemian węgla pojawiający się w nietypowym środowisku Ballybranu, nie zdoła

utworzyć prawidłowego pomostu między naszym własnym systemem biologicznym, opartym na węglu, a opartą na krzemie ekologią planety. Pomost taki jest niezbędny do pracy na Ballybranie. Jeśli ludzki żywiciel prawidłowo zaadaptuje się do symbionta, a zapewniam was, że działa to właśnie w tę stronę, człowiek doświadcza znacznej poprawy ostrości wzroku, czułości dotyku, przewodzenia nerwowego i zdolności komórek do adaptacji. Szczególnie pierwsze wymienione przeze mnie cechy są niezwykle istotne dla tych z nas, którzy zajmują się wydobywaniem kryształu, popularnie zwanych śpiewakami kryształu. Tak, Carigano?

– Którą część ciała atakuje symbiont? Czy jest on formą krystaliczną, czy żywym organizmem?

– Ani jednym, ani drugim. Jeśli adaptacja się powiedzie, symbiont osiedla się w jądrach komórkowych...

– A gdyby się nie powiodła?

– Przejdę do tego za chwilę. Osiadły w jądrze zarodnik wpływa na wzór DNA/RNA, zwiększając znacznie przeciętną długość życia jednostki. Plotki, jakoby śpiewacy kryształu byli nieśmiertelni, są oczywiście grubą przesadą, prawdą jest jednak, iż długość życia wzrasta o około pięćdziesiąt dekad ponad ogólną normę. Adaptacja zapewnia też odporność na zwykłe infekcje i ogromnie zwiększa zdolności regeneracyjne w przypadku uszkodzenia tkanki. Ostrzegam was, że złamania kości i rany podobne do moich to dla śpiewaków kryształu chleb codzienny. Wzrasta też wytrzymałość na gorąco i chłód.

I bez wątpienia na ból, pomyślała Killashandra, wspominając nie tylko testy, ale też widoczny brak reakcji Borelli na jej głębokie rany.

Hologram za plecami śpiewaczki przedstawiał teraz widok poszarpanej powierzchni Ballybranu, po chwili zastąpiony obrazem planety z jednego z księżyców, przyspieszonym do tego stopnia, iż w ciągu kilku sekund mogli obejrzeć wszystkie dwanaście kontynentów.

– Co do negatywnych stron całego przedsięwzięcia, po udanej aklimatyzacji na Ballybranie i adaptacji, śpiewacy pozostają na zawsze bezpłodni. W kodzie DNA pod wpływem wtargnięcia symbionta do jądra komórki przekształcają się części spirali, związane z dziedziczeniem i rozmnażaniem. Podlegają one chemicznym zmianom na rzecz zwiększenia osobniczych zdolności przetrwania kosztem przetrwania gatunku... Jeśli chcecie, możecie to nazwać chemiczną metamorfozą instynktu.

Carigana wydała z siebie dźwięk pełen zadowolenia, niczym ucieszona czymś kotka.

– Kolejnym i zarazem najważniejszym negatywnym aspektem całej sprawy jest fakt, że śpiewak nie może zbyt długo przebywać poza specyficznym ekosystemem Ballybranu. Symbiont musi się bowiem od czasu do czasu „doładować” w swym naturalnym środowisku.

Jego śmierć oznacza też śmierć żywiciela – raczej nieprzyjemną, jako że śmierć ze starości następuje w tempie wprost proporcjonalnym do długości dotychczasowego życia danego osobnika.

– Jak długo śpiewak może pozostawać poza Ballybranem, zanim pojawią się pierwsze objawy? – spytała Killashandra, przypominając sobie Carrika i jego niechęć do powrotu.

– W zależności od siły wstępnej adaptacji, która nie jest stałą cechą osobniczą, do czterystu standardowych dni galaktycznych. Wszelkie zadania pozaplanetarne, wymagające obecności śpiewaków, nie trwają nigdy dłużej niż dwieście dni, a dwieście pięćdziesiąt w zupełności wystarczy na wypoczynek. Zapewniam was, że to dostatecznie dużo czasu na prawie wszystko, o czym można zamarzyć.

Killashandra, siedząca tuż za Cariganą, ujrzała, jak ta głęboko nabiera powietrza, by zadać kolejne pytanie, tymczasem jednak Borella zmieniła hologram. Nowy ukazywał człowieka, wijącego się w gwałtownych drgawkach, dokładnie przypominającej hipotermię, jaka dotknęła Carrika. Mężczyzna, bowiem jego płeć można było poznać na pierwszy rzut oka, przechodził właśnie bardzo ostry atak. Podczas gdy zbliżenie ukazało najpierw jego dłonie, a potem klatkę piersiową i twarz, chory z dobrze zbudowanego człowieka w połowie trzeciej, najdalej czwartej dekady zmienił się w pomarszczonego, odwodnionego, bezwłosego i skurczonego starca. Cały proces starzenia przebiegał w czasie, jakiego obserwatorzy potrzebowali, by jęknąć ze zdumienia i zgrozy.

– To był jeden z pierwszych śpiewaków, którym udało się przejść adaptację symbiotyczną. Zmarł na Weasuście podczas zakładania czarnokwarcowej stacji komunikacyjnej dla tego sektora FPR. Był to pierwszy przypadek, kiedy śpiewak pozostawał tak długo poza planetą i nie znano jeszcze wtedy łączącego się z tym niebezpieczeństwa.

– Znałaś go? – zapytał Shillawn. Jego przenikliwość zaskoczyła Killashandrę. Sama zastanawiała się dokładnie nad tym samym.

– Tak, znałam. On mnie wyszkolił – odparła beznamiętnie Borella.

Killashandra dokonała kilku szybkich obliczeń i spojrzała ze zdumieniem na idealną cerę i sprężystą sylwetkę ich nauczycielki,

– Czy ten Mikeley nadal żyje? – chciała wiedzieć Carigana.

– Nie. Zginął podczas wypadku w górach, noszących obecnie jego imię.

– Myślałam, że symbiont chroni przed ranami i złamaniami...

– Symbiont umożliwia szybszą regenerację, nie może jednak odtworzyć odciętej głowy ani wyleczyć ran, w wyniku których ciało utraciło całą krew. Co do mniej dramatycznych obrażeń... – ponownie podciągnęła suknię.

Ciche, zdumione gwizdnięcie Rimbola było jakby echem zaskoczenia, jakie poczuła Killashandra. Na własne oczy widzieli fioletowe sińce i skaleczenia: obecnie stłuczenia przybrały barwę bladożółtą, rany zaś zamykały się błyskawicznie.

– A co z tymi, u których symbiont nie zadziała? – nie ustępowała nieporuszona Carigana.

– Głównym celem szczegółowszych badań lekarskich jest porównanie waszej krwi, czynników odpornościowych, stanu tkanek i układów chromosomów z tymi, jakie występują u wszystkich znanych nam osób, które zdołały pozytywnie przejść adaptację – na ekranie pojawił się wykres. Podczas ostatnich trzech dekad oznaczająca liczbę udanych przypadków linia tryumfalnie wznosiła się w górę z poziomu, na którym – mniej lub bardziej niezmiennie – trwała przedtem od trzystu lat. – Wasze testy nie ujawniły żadnych niepożądanych cech. Badania prowadzimy bez przerwy od ponad trzystu dwudziestu siedmiu standardowych lat galaktycznych. Szansę na to, że symbiont was zaakceptuje, są tak duże, jak to tylko możliwe...

– I wynoszą jeden do pięciu – wtrąciła Carigana. Killashandra zaciekawiała się, czy zapytana o godzinę również odpowiadała tak wściekłym tonem.

– Już nie – odparła Borella. Stromo wznoszący się odcinek wykresu zabłysł nagle. – Obecnie wynoszą nieco więcej niż jeden do trzech. Nadal jednak istnieją niemożliwe do przewidzenia czynniki, powodujące jedynie częściową adaptację. Prawa FPR wymaga, aby to podkreślić.

– A wtedy?

– Taka osoba z pewnością zostaje jednym z dwudziestu tysięcy ośmiu techników – stwierdził Shillawn.

– Nie ciebie pytałam – warknęła Carigana, mierzząc go pogardliwym wzrokiem.

– Wszelako tak właśnie jest.

– A technicy nigdy nie opuszczają Ballybranu – spojrzenie Carigany prześliznęło się z Borelli na Shillawna. Jasne było, jak nisko oceniała jego szansę.

– Nie bez ryzyka poważnego kalectwa. Warunki na Ballybranie są jednak równie dobre, jak...

– Poza tym, że nie można stamtąd odlecieć.

– Ponieważ jednak jeszcze tam nie jesteście... – ciągnęła Borella beznamietnie, mimo to Killashandrze wydało się, że pojedynek słowny z Cariganą sprawia nauczycielce pewną przyjemność – problem jest czysto akademicki i może takim pozostać. – Odwróciła się do reszty.

– Jak już wspominałam, w tej chwili szansa wynosi jeden do trzech i nieustannie rośnie. Z ostatniej, liczącej sobie trzydzieści pięć osób klasy, trzydzieści trzy zostały śpiewakami.

Poza problemami związanymi z adaptacją do symbionta, niezbędną do przetrwania na planecie, istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo, tym razem czysto konwencjonalne – kontynuowała nieco wolniej, dając im czas na przyswojenie sobie informacji dotyczących ich szans. – To ballabryńska pogoda. – Na ekranie wykwitły obrazy wzburzonego oceanu, gigantycznych fal i krajobrazów nagle pozbawionych całej roślinności. – Na każdym z tych księżyców zainstalowano stację meteorologiczną, a szesnaście starych satelitów kontroluje całą powierzchnię planety w dwugodzinnych odstępach.

Scoria, nasza gwiazda, charakteryzuje się dużą aktywnością plam słonecznych – widok zaćmionego słońca jakby na zamówienie potwierdził jej słowa. Nagłe oślepiające przebłyski rozjarzyły chemisferę poza ciemnym dyskiem księżyca. Wokół buchnęły języki ognia. Następne ujęcie ukazywało ciemne plamy słoneczne w fotosferze Scorii. – Ta nadaktywność plus częste koniunkcje księżyców, z których, rzecz jasna, najniebezpieczniejsze jest połączenie wszystkich trzech, sprawiają, że pogoda na Ballybranie jest nader zmienna.

Oczywista nieadekwatność tego określenia wywołała krótki wybuch śmiechu. Borella odczekała z cierpliwością sugerującą, że spodziewała się podobnej reakcji. Następnie ekran ukazał kolejne, zapierające dech w piersiach połączenie księżyców.

– Gdy sytuacja meteorologiczna staje się nawet jak na Ballybran niestabilna, na planecie wybuchają burze, zasługujące w zupełności na eufemistyczne określenie gigawichrów. Ponieważ kryształowe pasma górskie na Ballybranie sięgają bardziej w głąb skorupy niż ponad nią – ekran posłusznie zademonstrował ujęcie schodzących w dół zboczy z mijającego je pojazdu – można by przypuszczać, iż wystarczy zejść dostatecznie głęboko poniżej powierzchni planety, aby uniknąć pełnej mocy wiatru i pogody. Byłby to śmiertelny błąd. Właśnie żyły kryształu stanowią największe zagrożenie – ujrzeli teraz serię zdjęć, przedstawiających ludzi. Ich twarze wyrażały całą gamę uczuć – od absolutnego zidiocenia aż po furję i pianę na ustach. – Gigawichry pobudzają kryształ do tak potwornej kakofonii, że sam dźwięk może doprowadzić człowieka, nawet najlepiej zaadaptowanego, do obłądu.

Dostarczane przez Cech do użytku śpiewaków pojazdy są wyposażone we wszystkie znane systemy ostrzegania, choć i tak najlepszy znajduje się wprost w ich ciele – symbiont, który, jako pochodzący z tej planety, jest bardziej wyczulony na zmiany pogody niżli

najlepszy stworzony przez człowieka instrument. Czasami jednak ludzka część przeważa i wówczas śpiewak może nie reagować na ostrzeżenia.

Takie przypadki są głównym powodem wysokich obciążeń, nakładanych przez Cech na wszystkich czynnych członków. Możecie być pewni, że gdyby przydarzył się wam jakikolwiek wypadek, zostaniecie otoczeni najlepszą opieką.

– Mówiłaś przecież, że symbiont zwiększa zdolności regeneracyjne przy obrażeniach... – zaczęła niepokonana Carigana.

– Zniszczony umysł trudno raczej nazwać fizycznym obrażeniem. W swoim zakresie zarodnik sprawuje się znakomicie. Sam w sobie nie jest rozumny i choć może zrekonstruować uszkodzoną tkankę mózgową, nie potrafi odbudować tego, co człowiek nazywa duszą.

W jakiś sposób Borelli udało się zawrzeć w swych słowach sugestię, jakoby Carigana była zupełnie jej pozbawiona. Nie tylko Killashandra wyłapała ów niuans, choć najwyraźniej uniknął on osobie, dla której był przeznaczony.

– W jaki sposób po raz pierwszy odkryto symbionta? – spytała Killashandra z mocnym postanowieniem, iż nie pozwoli, by Carigana zdominowała całą dyskusję.

– Przez pierwszego poszukiwacza, Mikeleya. Przeszedł on pomyślnie adaptację, uznając towarzyszącą temu chorobę przejściową za irytującą infekcję.

– Według faksa nie był jedynym członkiem misji – stwierdził Shillawn.

– Rzeczywiście nie, choć początkowo nie wiązano śmierci innych członków jego grupy geologicznej z Ballybranem. Mikeley odbył kilkanaście wypraw w góry, prowadząc badania kryształowych zboczy i wycinając nowe rodzaje do dalszych badań. Pomógł również w konstrukcji pierwszej skutecznej wibropiły. Z jego osobistych taśm wynika, że często czuł silną potrzebę powrotu na Ballybran, lecz w tym czasie sądził, iż jest to związane z jego zainteresowaniem kryształami i stale rosnącym polem ich zastosowania. Również swej niezwyklej zdolności unikania burz nie wiązał z obecnością symbionta.

Zarodnik został wykryty, gdy choroba przejścia zaczęła atakować jednego poszukiwacza za drugim, pozostawiając przemienione w kryształ zwłoki, podobne do tych w korytarzu.

– Są jeszcze te zwęglone... – zauważył Rimboł, z trudem opanowując mdłości.

– To trzecie niebezpieczeństwo na Ballybranie. Na szczęście w tej chwili podobne wypadki nie zdarzają się już tak często, bowiem zdrowy rozsądek i lepsze wykształcenie zmniejszają prawdopodobieństwo ich wystąpienia. Kryształowe pasma mogą w pewnych warunkach gromadzić wysokie ładunki elektryczne, co doprowadza do dźwiękowych wyładowań. Zwykle komunikatory naziemne nie funkcjonują prawidłowo. To samo zresztą

dotyczy reszty sprzętu zasilanego elektrycznie, którego część jest niezbędna do działania waszych sań i różnych innych urządzeń. Mogą pojawiać się pioruny kuliste. I mimo wszystkich środków ostrożności nadal zdarza się, że śpiewak po prostu wyparuje. Jest to zagrożenie, o którym musimy pamiętać.

– Mówiłaś, że ci, którzy przejdą jedynie słabą adaptację, zajmują się pracami technicznymi. Ale co właściwie oznacza słaba adaptacja? – spytała Jezerey, nachylając się do przodu i wspierając łokcie na kolanach.

– Występuje wtedy częściowe upośledzenie jednego lub więcej normalnych zmysłów. Często jednak jednocześnie pojawia się znaczne wzmocnienie innych.

– Jakie zmysły masz na myśli? – zainteresował się Shillawn. Jego grdyka podskakiwała gwałtownie, jakby mówienie sprawiało mu szaloną trudność.

– Zazwyczaj następuje upośledzenie słuchu. – Borella uśmiechnęła się lekko. – To akurat uważa się za błogosławieństwo. Nie wynaleziono jeszcze takiej osłony, która chroniłaby przed w pełni rozszalałym gigawichrem. Często następuje wzmocnienie wzroku i rozszerzenie zakresu fal widzialnych w ultrafiolet albo podczerwień, niektórzy nawet dostrzegają aury magnetyczne. Również wrażliwość dotykowa pozwoliła tym, których natura obdarzyła zdolnościami artystycznymi, stworzyć jedno z najcenniejszych dzieł sztuki współczesnej. Nie ma jednak najmniejszego sposobu na to, by przewidzieć, jakie mogą wystąpić uszkodzenia ani też jaką formę przybierze ewentualna rekompensata.

– Czy masz jakieś śliczne obrazki przedstawiające ofiary? – zapytała Carigana.

– Kalectwa te są zazwyczaj niewidoczne dla oka.

– Kalectwo plus bezpłodność lub uwięzienie na nękaną wicherami planecie w zamian za dużo dłuższe życie, I stąd kod czwarty?

– Tak. W ten sposób zostaliście zgodnie z prawem poinformowani o ryzyku i nieodwracalnej przemianie, jakiej może zostać poddany wasz organizm. Czy są dalsze pytania?

– Owszem. Mówiłaś, że w chwili obecnej jest coraz więcej śpiewaków. W jaki sposób wpływa to na indywidualne zyski, skoro wydobywanie zostało zwiększone? – rzuciła Carigana.

– W ogóle – odparła Borella. – Nie przy stale rosnących potrzebach galaktycznych – jedynie czarny kwarc może zapewnić dostatecznie szybkie łącza komunikacyjne. Nie, jeśli śpiewacy pozostają oddani, czujni i szybcy. Nie, kiedy istnieją ludzie tacy jak ty, czujący silną motywację i pragnący przyłączyć się do naszej wyselekcjonowanej grupy.

Mimo że jej uszy były szczególnie wrażliwe na wszelkiego typu niuanse dźwiękowe, Killashandra nie pojmowała, w jaki sposób Borelli udało się wyrazić tak miazdzącą

reprimendę bez żadnej słyszalnej zmiany w timbre bądź tonie spokojnego głosu. Wszelako ogorzała od pracy w przestrzeni twarz Carigany załała się ciemnym rumieńcem wstydu.

– Jak często zdarzają się obrażenia podobne do twoich? – spytała dziewczyna z tyłu sali.

– Często – odrzekła Borella radośnie beztróskim tonem. – Wrócę w góry... – Killashandra pochwyciła nutkę tęsknoty. W beznamietnym głosie śpiewaczki po raz pierwszy zadźwięczało jakieś uczucie – ...za dzień lub dwa.

– Zatem śpiewanie kryształu warte jest takiego ryzyka? – Killashandra usłyszała własne pytanie. Borella spojrzała jej prosto w oczy. Na jej ustach powoli pojawił się uśmiech.

– Tak, śpiewanie kryształu warte jest wszystkiego – moc zawarta w tym prostym stwierdzeniu sprawiła, iż wszyscy umilkli. – Zostawię was teraz, abyście mogli to przedyskutować między sobą. Kiedy podejmiecie decyzję, pójďte za mną – ruszyła w kierunku drzwi z boku podwyższenia. Otwarły się i zasunęły za nią z cichym sykiem.

Killashandra spojrzała na Shillawna i Rimbala, dostrzegła, że inni także szukają wsparcia u najbliższych sąsiadów. Wszyscy całkowicie zignorowali wściekłą i nachmurzoną Carigany.

Killashandra wstała z siłą, która przyciągnęła do niej wszystkie spojrzenia.

– Zdecydowałam się już przedtem, nim tu weszliśmy – oznajmiła. – Zresztą niełatwo mnie wystraszyć!

Zeszła po stopniach prowadzących w kierunku wyjścia. Słyszała, jak inni za jej plecami poruszają się niespokojnie, lecz nie odwróciła głowy. Kiedy przechodziła przez drzwi, ogarnęła ją dziwna euforia, zmacona tylko lekkim przestradchem. A potem było już za późno.

Killashandra w gruncie rzeczy nie wiedziała, co spodziewała się zastać po drugiej stronie. Mgliście wydawało się jej, że może tam być Borella, czekająca, aby sprawdzić, jak wiele osób nie zrejterowało. Zdumiała się więc na widok umundurowanych funkcjonariuszy Służb Cywilnych FPR, Ich twarze i zachowanie były ponure, jakby znajdowali się w celi śmierci bądź byli internowani. Wyższy oficer nakazał jej gestem, aby poszła za pierwszą osobą, mężczyzną, który z kolei wskazał jej jeszcze jedną komorę z rodzaju tych, jakie zdawały się wypełniać całą stację. Za sobą Killashandra usłyszała zdumione sapnięcie któregoś z kandydatów.

W niewielkim pomieszczeniu znajdował się jedynie prosty stół i dwa krzesła. Ruszyła w kierunku jednego z nich, lecz ruch ręki oficera ją powstrzymał.

– Bontel Aba Gray, stopień 10, Służby Cywilne FPR, Baza Księżycowa Shankill, Ballybran, dnia 23/4/2308. Kandydat proszony jest o podanie swoich danych: nazwiska, statusu i planety pochodzenia.

Dopiero gdy dopełniła formalności, Killashandra mogła usiąść naprzeciw Bontela Graya.

– Czy prawdą jest, że przeszłaś testy fizyczne, psychologiczne i zdolnościowe pod nadzorem Cechu Heptyckiego?

– Tak.

– Poinformowano cię o wszystkich niebezpieczeństwach związanych z kodem czwartym, jaki przyznano planecie Ballybran?

– Tak – ciekawa była, jak Carigana znosi dodatkowe utrudnienia. O ile oczywiście w ogóle przeszła przez drzwi.

Gray zaczął zadawać jej całą serię pytań dotyczących wykładu Borelli. Bez wątpienia każda odpowiedź Killashandry była rejestrowana, choć dziewczyna nie potrafiła stwierdzić, czyjej ochronie miałoby to ostatecznie służyć. Dochodziła właśnie do punktu szczytowej irytacji, gdy pytania ustały.

– Czy przysięgasz, poświadczasz i zaręczasz, że znalazłaś się tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli, bez namów, przymusu, warunkowania bądź przekupstwa jakiejkolwiek osoby lub osób związanych z Cechem Heptyckim?

– Oczywiście, że przysięgam, poświadczam i zaręczam.

Oficer zerknął w kierunku szpary identyfikatora, która nagle zaślniła jaskrawą zielenią. Wsparł dłonie na stole, jakby zmęczony ciągłym powtarzaniem tej samej rutyny, i powstał.

– W ten sposób zostały zakończone wszystkie formalności – oznajmił z wymuszonym uśmiechem. – Oby śpiewało ci się dobrze i oby twój zysk był wysoki.

Pozostał w tej pozycji, podczas gdy ona uniosła się i wyszła. Odniosła wrażenie, że w ostatniej chwili rozluźnił kołnierzyk munduru i spojrzał na nią jakby z żalem.

W głównym hallu czekała Borella, obserwując, jak drzwi kolejnych kabin otwierają się, wypuszczając rekrutów. Killashandra dostrzegła, że kiedy w końcu stanęła tam cała „klasa”, na twarzy kobiety pojawił się cień satysfakcji.

– Prom czeka – oznajmiła, raz jeszcze ruszając przodem.

– Kiedy zajmiemy się tym całym zarodnikiem? – spytała Carigana, wyprzedzając dwie osoby i zrównując się z Borellą.

– Na Ballybranie. W pewnym momencie staraliśmy się dokonywać zakażenia w sztucznie kontrolowanych warunkach, ale efekty nie były lepsze niż w naturalnym środowisku. Zazwyczaj pierwsze symptomy pojawiają się po około dziesięciu dniach pobytu na planecie – dodała, nie pozwalając Cariganie znów sobie przerwać. – Proces adaptacji może przebiegać z bardzo łagodnymi objawami, ale czasem zdarzają się też przypadki rzeczywiście ciężkie. Rzecz jasna, będziecie pozostawali pod stałą obserwacją.

– Czy nie wykryliście, jakie cechy wywołują ostrą reakcję organizmu? – Carigana sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

– Nie – odparła łagodnie Borella.

Dalsze pytania Carigany musiały poczekać, bowiem dotarli właśnie do śluzy promu. Nie byli zresztą jedynymi pasażerami; w istocie wyglądało na to, iż kandydaci są z nich wszystkich najmniej ważni, co dodatkowo rozwścieczyło Cariganę. Borella od niechcenia wskazała im miejsca w tylnej części kabiny, sama zaś usiadła obok niezwykle przystojnego mężczyzny, którego strój – krzycząco kolorowy i miękki – wskazywał, że jest to prawdopodobnie śpiewak, wracający z wakacji.

– Jak tam połów? – przechodząc, Killashandra pochwyciła jego leniwe pytanie. Było ono niemal tak obraźliwe jak wyraz jego oczu, obserwujących rekrutów.

– Jak zwykle – odparła Borella. – Wiesz przecież, że na tym etapie nie da się jeszcze nic powiedzieć.

Ton głosu Borelli sprawił, że Killashandra obejrzała się przez ramię. Głębia i rezonans zniknęły, zastąpione przez ostrzejszą, złośliwszą, a jednocześnie zadowoloną z siebie nutę. A więc imponująca obojętność śpiewaczki, której się powiodło, łaskawie opowiadającej entuzjastycznym, lecz nieświadomym niczego kandydatom o niebezpieczeństwach swego zawodu była jedynie rolą i Borella odegrała ją znakomicie. Killashandra potrząsnęła głową, odrzucając to podejrzenie. Okropne rany na nodze Borelli były niewątpliwie prawdziwe.

Krzemowy pajak? Kryształowa kukułka? Czyżby w oskarżeniach Maestra Valdiego znajdowała się częśćka prawdy?

No cóż, teraz już za późno. Przysięgła, poświadczyła i zaręczyła, pozostawiając za sobą wszelką możliwość wycofania się. Killashandra zapięła pas, przygotowując się do nieważkiego odłączenia promu od księżycowej śluzy.

Podróż nie trwała długo i upłynęła gładko, dając jej czas na rozmyślania. Czy pilot promu był niedoszłym śpiewakiem? Jaka była najłabsza adaptacja, nadal umożliwiającą osiągnięcie jakiejś pozycji w szeregach Cechu? Starła się nie zwracać uwagi na dręczący ją strach, wspominając wykres i ostatnio zanotowany wzrost udanych symbioz. Oderwała się od

ponurych rozważań i zajęła kolegami. Od razu postanowiła trzymać się z daleka od Carigany... nawet gdyby tej wariatce przyszło na myśl spróbować dla odmiany z kimś się zaprzyjaźnić. Z drugiej strony Rimbol przyjemnie przypominał jej pewnego tenora z Centrum Muzycznego, chłopaka, który zawsze bez protestu akceptował fakt, iż jego fizyczne i wokalne zdolności skazują go na wieczne odgrywanie drugoplanowej roli. Kiedyś Killashandra czuła dla niego pogardę za to, że tak łatwo godzi się z przegraną; w tej chwili żałowała, że nie podjęła trudu sprawdzenia, w jaki sposób udało mu się tak podchodzić do życia. Może sama też będzie do tego zmuszona? Ciekawa byk, czy przypadkiem owemu tenorowi nie powiodłoby się lepiej w roli śpiewaka kryształu. Czemu w Centrum Muzycznym nic nie mówiono o tej alternatywie dla posiadających słuch absolutny? Maestro Valdi musiał o tym wiedzieć, ale nie sugerował jej śpiewania kryształu – jedynie strojenie.

Wolałaby, aby podczas lotu można było zająć myśli widokami zbliżającej się planety, lecz sekcja pasażerska nie miała odpowiedniego wyposażenia, a umieszczony z przodu wielki ekran pozostawał martwy. Ponieważ pojazd nie był tak dobrze izolowany jak większe statki, odczuła wyraźnie moment wejścia w atmosferę. Znajome szarpnięcie potrzęsło wszystkimi pasażerami, a Killashandra poczuła nadchodzące mdłości i dezorientację. Odniosła wrażenie, że na zewnątrz słychać jakiś dźwięk.

Starła się przypomnieć sobie odczyty dotyczące planety, ale nic jej to nie dało, nie знаła bowiem kąta wejścia w atmosferę. W jej pamięci najwyraźniej odcisnął się obraz koniunkcji trzech księżyców, nie zaś dane o masach kontynentalnych i lokalizacji złóż kryształu.

Skoncentruj się, powtarzała uparcie w duchu, próbując przezwyciężyć uboczne efekty wejścia. Znała na pamięć skomplikowane partytury, które przebiegały teraz przed jej oczami, a miała trudności z geografią nowego planetarnego domu.

W następnej chwili poczuła odrzut silników hamujących i prom zaczął zwalniać. Grawitacja wzrosła, przyciskając jej ciało z powrotem do kości. Łagodny nacisk, niczym medycznego kombinezonu. Prom nadal manewrował i zwalniał.

Ostatnia część każdej podróży zawsze zdaje się jednocześnie najdłuższa, pomyślała Killashandra. Niecierpliwie czekała na końcowe ustanie wibracji i wstrząsów, oznaczające, że przybyli na miejsce. Nagle uświadomiła sobie, że ta podróż zaczęła się dawno temu, wtedy gdy bezwolnie ruszyła chodnikiem w stronę kosmoportu na Fuerte. A może jeszcze wcześniej, w chwili kiedy Maestro Valdi wygłosił wyrok komisji, niszczący jej dalszą karierę?

Niespodziewanie ruch naprzód ustał. Poczula nacisk w uszach, towarzyszący rozhermetyzowaniu wyjścia. Odetchnęła głęboko, witając świeże planetarne powietrze.

– Sądźysz, że to rozsądne? – spytał Shillawn, siedzący nie opodal. Dłonią zakrywał nos.

– Dlaczegoż by nie? Zbyt długo przebywałam na statkach i stacjach kosmicznych, by nie docenić teraz świeżej planetarnej atmosfery.

– On ma na myśli symbionta i jego przenoszenie drogą naturalną – wyjaśnił Rimbol, trącając ją łokciem pod żebro. Uśmiechnął się złośliwie.

Killashandra wzruszyła ramionami.

– Teraz czy później, co za różnica. I tak musimy przez to przejść. Osobiście wolę odetchnąć głęboko – co uczyniła, tak jak to robią śpiewacy, najpierw brzuchem, przeponą, napinając mięśnie pleców, póki w końcu nawet gardło nadęło się lekko od powstrzymanego w środku powietrza.

– Śpiewaczka? – spytał Rimbol ze zdumieniem. Killashandra skinęła głową, powoli wypuszczając oddech.

– Dla ciebie też nie było pracy? – parsknął z niesmakiem. Killashandra wołała mu nie zaprzeczać. – Można by sądzić – ciągnął Rimbol – że przy tych wszystkich analizach komputerowych i systemach prognostycznych przestaną wreszcie marnować cudzy czas. Kiedy pomyślę o...

– Możemy już wyjść. – Shillawn przerwał im specyficznym gdaknięciem, charakteryzującym jego wymowę.

– Ciekawe, ilu muzyków automatycznie trafia do tego Cechu – mruknęła Killashandra przez ramię, gdy kierowali się ku wyjściu.

– Automatycznie? A może z rozmysłem? – odparł i pogonił ją, gdy przystanęła.

Nie miała wówczas czasu, by zastanowić się nad tym „z rozmysłem”, bowiem dotarła do pochylni i po raz pierwszy ujrzała rozciągające się z jednej strony fioletowo-zielone wzgórza Ballybranu, a z drugiej surowe kształty budynków. Następnie znalazła się w hali przyjęć, gdzie wewnątrz kolumny zerowej grawitacji unosiły się ich rzeczy osobiste.

– Po odebraniu bagaży wszyscy rekruci proszeni są o udanie się wzdłuż... eee, ciemnoszarej linii – oznajmił głos, dobiegający z umieszczonych w kątach głośników. – W recepcji zostaną wam przydzielone pokoje. Otrzymaliście oficjalną nazwę „Klasa 895” i od tej pory macie zawsze odpowiadać na wszelkie wezwania poprzedzone tą nazwą. Powtarzam, rekruci przybyli z Bazy Księżycowej Shankill określani są od tej chwili jako Klasa 895. Klasa 895 proszona jest o udanie się wzdłuż ciemnoszarej linii do swoich pokojów.

– Ale go to obchodzi, co? – parsknął Rimbol, podczas gdy Killashandra zarzucała sobie na ramię wysłużony worek.

– O, tu jest linia – wskazała najdalej na lewo położony korytarz. – A Carigana wyprzedza nas o co najmniej pół roku świetlnego – dodała widząc, jak sylwetka dziewczyny maszeruje energicznie po wznoszącym się chodniku i znika im z oczu.

– Dziwisz się? – odparł Rimbol. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli dzielić pokojów.

Killashandra obrzuciła go zdumionym spojrzeniem. Nawet jako studentka o bardzo niskim statusie miała na Fuerte prawo do prywatności. Co to za świat, ta Yarro?

Reszta pasażerów wysypała się tymczasem z promu. Borella i jej jaskrawy towarzysz wybrali prawą pochylnię, podczas gdy dwie centralne przyjęły główną masę przybyszów.

– Że też ze wszystkich dostępnych w galaktyce barw nie mogli wybrać czegoś weselszego na swe oznaczenia – narzekał ponuro Shillawn, który przyłączył się do Killashandry i Rimbola.

– Co tam, przynajmniej się wyróżnia – stwierdziła Killashandra. – Choć w tej szarości jest coś takiego... – przesunęła dłonią po namalowanej linii. – Czuję ją. Jakies wypukłe wzory.

– Naprawdę? – Rimbol dotknął znaku. – To dziwne.

Carigana zniknęła już za zakrętem, lecz ich troje nadal stanowiło awangardę Klasy 895. Co za nuda być określanym numerem, pomyślała Killashandra, która jeszcze kilka tygodni temu uważała, że na zawsze skończyła ze szkołą. I jeśli oni stanowili Klasę 895, a Cech działa od czterystu lat standardowych, to ile klas wypada na rok? Ledwie ponad dwie? I trzydzieści trzy osoby w jednej?

Teraz, kiedy minęło już pierwsze podniecenie, wywołane lądowaniem na Ballybranie, Killashandra zaczęła dostrzegać inne szczegóły. Na przykład światło w korytarzu – było przyćmione, a przecież najczystsze, jakie w życiu widziała. Solidne buciory Rimbola i pantofle Shillawna nie wydawały najmniejszego dźwięku przy zetknięciu z grubą, sprężystą wykładziną, zaścielającą podłogę, jednak jej własne klapki nieznacznie po niej szurały. Jeszcze raz, z namysłem, pomacała wypukły pas farby.

Minęli kilka poziomów, każdy z nich oznaczony barwnym kodem w jednym z tych przygaszonych kolorów. Killashandra uznała, że musi istnieć jakiś nadrzędny powód, dla którego stosuje się tu wyłącznie ponure i mdłe odcienie. Nagle stale wznoszący się korytarz doszedł do wielkiego pomieszczenia, niewątpliwie stanowiącego recepcję rekrutów, choć

znajdowały się tam także wygodne siedzenia, kompleks rozrywkowy i, po przeciwnej stronie, kabiny audiowizualne.

Z jednego fotela uniósł się odziany w bury strój mężczyzna w średnim wieku, obdarzony twarzą z rodzaju tych, które łatwo się zapomina. Podeszedł do nich i oznajmił:

– Klasa 895? Doradcą waszym jestem, Tukulom me nazwisko. Ze mną zostaniecie, póki adaptacja i szkolenie się nie skończą. Do mnie skargi i pytania kierować macie. Wszyscy członkami Cechu jesteście, ale moja ranga wyższa niż wasze, słuchać mnie więc musicie, choćbym niegrzecznie czy niesprawiedliwie was traktował.

Lekki uśmiech ledwie rozjaśnił jego oczy. Killashandra doskonale wiedziała, że miało to dodać im otuchy, nie wzbudziło w niej jednak nawet cienia przyjaznych uczuć, choć dostrzegła, że Shillawn odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

– Choć klasa niewielka to, wasze kwatery tutaj są. Proszę, co przywieźliście ze sobą zostawić i do reszty na jedzenie i picie dołączyć. Pokój wedle waszego życzenia wybierzcie. Pracę jutro zaczynacie. Dziś w otoczeniu się zorientujecie.

Ręką wskazał im położony po lewej stronie korytarz, w którym z otwartych drzwi padały na wykładzinę jasne plamy światła.

– Odcisk kciuka w zamek wprowadzić starczy, by prywatność zapewnić.

W tym czasie zaczęli przybywać pozostali i podczas gdy Killashandra wezwała towarzyszy i razem ruszyli w kierunku pokoi, Tukulom raz jeszcze począł recytować swą przemowę. Rimbol wskazał pierwsze drzwi po lewej, zamknięte i oświetlone na czerwono, co oznaczało, że mieszkaniec pokoju nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano. Carigana!

Prychając gniewnie, Killashandra pomaszrowała w dół korytarza, prawie do samego końca. Tam wreszcie pokazała Rimbolowi i Shillawnowi, który pokój zamierza zająć. Ujrzała, że obaj wybrali pomieszczenia po obu stronach jej kwatery. Przycisnęła kciuk do płytki, poczuła wibracje, towarzyszące rejestracji odcisku, po czym weszła do pokoju, a drzwi zasunęły się za nią bezszelestnie.

– Urządzenia w tym pokoju zostały zaprogramowane tak, by reagować na wszelkie zmiany w twych życiowych sygnałach – oznajmił miły głos, bardziej ludzki niż mechaniczny.

– Możesz sama zaprogramować selektory żywności i komunikatory audiowizualne oraz zmienić wszystko, co ci nie odpowiada.

– Odpowiada mi prywatność – oznajmiła Killashandra.

– Zapisane – padła beznamiętna odpowiedź. – Jeśli monitory odnotują jakąś zmianę stanu twego zdrowia, zostaniesz poinformowana natychmiast.

– Prawdopodobnie to ja was poinformuję – mruknęła pod nosem i z przyjemnością przyjęła fakt, iż głos nie odpowiedział. Znakomicie, pomyślała, rzucając worek pod łóżko. Niektórzy lubią, gdy głos reaguje na każdą ich błahą uwagę, ona jednak wołała spokój i ciszę.

Pomieszczenie było równie dobrze wyposażone co kwatery gościnne w Bazie Shankill – bez szaleństw, lecz niewątpliwie solidnie: łóżko, stół, krzesło, miejsce do pisania, ekran 3–w, typowe pulpity komunikatorów, szpara selektora umieszczona dla wygody tuż przy stole, szafa. Pomieszczenie higieniczne było większe niż się spodziewała, łącznie z głęboką wanną. Przerzuciła niewielki katalog faksowy i zapoznała się z listą płynów do kąpieli, soli, zapachów i olejków, określonych mianem „dostępnych”.

Zdecydowanie zadowolona, Killashandra zamówiła perfumowaną kąpiel o temperaturze 35°C i wanna posłusznie zaczęła wypełniać się wodą.

Pomyślała, że człowiek nigdy nie czuje się do końca czysty, kiedy skazany jest na natryski i różne kabiny prysznicowe na statkach i w stacjach. Naprawdę trzeba odmoknąć w gorącej wodzie i to w głębokie wannie, gdzie można zanurzyć się aż po szyję.

Właśnie suszyła się w strumieniach ciepłego powietrza, gdy Tukulom zapowiedział, że z przyjemnością spotka się z Klasą 895 na wieczornym posiłku,

Niezwyczajna składnia Tukuloma zdawała się pojawiać jedynie w spontanicznych uwagach. Nie było po niej śladu w powodzi informacji, jaką zalał ich podczas kolacji. Zadane pytania nie zdołały przerwać potoku ustalonych fraz i nawet Cariganie, która kilka razy uprzedziła jego słowa, nie udało się wybić go z rytmu.

Ponieważ wkrótce dla każdego z wyjątkiem Carigany stało się jasne, że przerywanie Tukulomowi nie ma najmniejszego sensu, a faks oferował bogatą gamę zimnych i gorących potraw, białek, warzyw i owoców, Klasa 895 jadła i słuchała.

Tukulom streścił najpierw, co czeka ich w najbliższym czasie. Zreferował najczęstsze objawy wtargnięcia symbionta, pojawiające się w dziesięć do trzydziestu dni od momentu zakażenia, zaczynające się od bólu głowy poprzez ogólne bóle mięśni, podenerwowanie, nieostre widzenie i kłopoty ze słuchem. O ich wystąpieniu należało zawiadomić go natychmiast, po czym dana osoba miała wrócić do swego pokoju, gdzie można będzie śledzić postępy adaptacji. Wszelkie dolegliwości zostaną złagodzone bez wywierania wpływu na sam proces przyjmowania się symbionta.

– Gwałt niech się gwałtem odciska, co? – wyszeptał na ucho Killashandrze nieposkromiony Rimbol.

W tym czasie Klasa 895 przechodzić będzie ogólne kursy historii i geografii Ballybranu, naukę pilotażu różnych pojazdów naziemnych, wykłady z meteorologii i technik

przetrwania. Klasa będzie również musiała wykonywać przydzielone jej przez Cech zadania związane z zabezpieczeniem wydobytych już kryształów i odnową wyposażenia po każdej burzy. Na Ballybranie stosowano się do norm galaktycznych, określających liczbę godzin pracy, dzięki czemu zawsze pozostawało dość czasu na odpoczynek. Członkom zaleca się, aby kontynuowali wszelkie hobby i zainteresowania, jakim oddawali się przed wstąpieniem do Cechu. Po uzyskaniu zezwolenia na prowadzenie pojazdów powierzchniowych wolno im będzie wyruszać na dowolne wycieczki pod warunkiem, że zarejestrują plan lotu i uzgodnią go z centrum kontrolnym. W przypadku pojazdów wodnych wymaga się dodatkowych zezwoleń i zdania testu z ich obsługi.

Tukolom skończył swój wykład równie niespodziewanie, jak go rozpoczął i oczekującym wzrokiem rozejrzał się po grupie.

– Czy to miejsce to główne instalacje Cechu? – spytała Carigana, otrząsając się z początkowego zaskoczenia.

– Główna baza treningowa, tak, tu jest. Położona na największym masywie kontynentalnym, na którym znajdują się najbogatsze z dotąd wykorzystywanych złóż kryształu, Mikeley i Brerrerton. Kompleks położony jest na płaskowyżu Joslina, osłoniętym na północy przez zbocze Mansarda, uskok Joslina na południu, na zachodzie przez Morze Białe, a na wschodzie – Długą Równinę. Dzięki tak korzystnemu położeniu baza pozostaje chroniona przed najgorszymi skutkami gigawichrów.

Killashandra zdecydowała, że Tukolom musi mieć pamięć absolutną: istna żywa baza danych. Rimbol najpewniej doszedł do podobnego wniosku, bo gdy spojrzeniem musnęła jego oczy, dojrzała w nich iskierki rozbawienia. Shillawn jednak nadal wydawał się zafascynowany komputerową wiedzą opiekuna.

– Ile istnieje innych punktów mieszkalnych? – chciał wiedzieć Borton.

– Lekcji jutrzejszej uczenie dziś to pomysł niedobry raczej – odparł z powagą Tukolom w swej własnej składni. Zręcznie uniknął dalszych pytań wstając i wychodząc z sali.

– Auriganie są niemożliwi – oznajmiła Carigana, krzywiąc się w ślad za odchodzącą postacią. – Zawsze dogmatyczni, apodyktyczni. Czy nie mogli znaleźć kogoś innego, kto nadawałby się na nauczyciela?

– On jest idealny – odrzekł Rimbol, przekrzywiając głowę, by lepiej przyjrzeć się rozmówcy. – Ma pamięć absolutną. Czego więcej wymagać od opiekuna?

– Zastanawiam się... – zaczął Shillawn, zacinając się lekko – czy miał ją... zanim tu... przybył.

– Nie słyszałeś, co powiedziała ta, jak jej tam, Borella? – warknęła Carigana. – Większość uszkodzeń dotyczy zmysłów...

– Przynajmniej jego składnia poprawia się podczas recytacji.

– Każda inna ludzka rasa w Galaktyce i kilka nie bardzo ludzkich – ciągnęła nie zrażona Carigana – potrafi nauczyć się interlingwy. Poza Auriganami. To znaczy, oni tak sądzą. Bzdura. Każdy może prawidłowo opanować interlingwę – gwałtownie wymachiwała nogą, przez cały czas kąciki jej ust podrygiwały z irytacji, a oczy bez przerwy mrugały.

– Skąd jesteś? – spytał otwarcie Rimbol.

– Prywatność – rzuciła ostro.

– Jak sobie życzysz, obywatelko – odparł Rimbol i odwrócił się do niej plecami.

To również stanowiło obrazę, nie było jednak naruszeniem prywatności, toteż Carigana musiała zadowolić się obrzucaniem wszystkiego wokół wściekłymi spojrzeniami. Pozostali odwrócili od niej wzrok. Z pomrukiem niesmaku Carigana wstała i poszła do siebie. Czar, jaki rzucała na grupę, momentalnie prysnął i wszyscy naraz zaczęli mówić, To Rimbol zamówił pierwszego drinka, wydając z siebie okrzyk radości.

– Mają tu yarrańskie piwo! Hej, spróbujcie, co znaczy prawdziwy trunek! – energicznym gestem wezwał ich do siebie i już po chwili każdy miał przed sobą jeśli nawet nie yarrańskie piwo, to jakiś inny łagodny alkohol. – Może już nigdy nie opuścimy tej planety – stwierdził Rimbol, zwracając się do Killashandry – ale przynajmniej zrobili wszystko, byśmy czuli się tu jak w domu.

– Ograniczenie ogranicza jedynie wtedy, gdy wiemy, że istnieje – odparła. – *Nie pręty czynią więzienie* – dodała, wywlekając niespodzianie z pamięci cytat, choć w trochę niedokładnej wersji.

– Wiezienie? Strasznie to archaiczne – parsknął Rimbol. – Dziś mamy się bawić!

Trudno było się oprzeć jego zapalowi i Killashandra poddała się bez reszty. Pragnęła pozbyć się sceptycznych myśli – zarówno dlatego, że nie chciała naśladować Carigany, jak i po to, by oczyścić umysł z przygnębienia. W skargach naburmuszonej dziewczyny była co prawda szczypta racji, ale nawet Killashandra, prawie zupełnie pozbawiona talentów dyplomatycznych, potrafiłaby lepiej wyrazić, o co jej chodzi. Oczywiście, Carigana cierpiała zapewne na lekkie zaburzenia psychiczne, sądząc z tego, czego dowiedział się o niej Rimbol. Jak więc przeszła tę część testów? Co więcej, jeśli darzyła Cech taką pogardą, czemu w ogóle ubiegała się o przyjęcie?

Wszędzie wokół rozbrzmiewały ciche rozmowy i stopniowo Killashandra zaczęła się im przysłuchiwać. Rekruci wywodzili się z przeróżnych kręgów, ich wykształcenie

zawodowe także różniło się wyraźnie. Lecz wszyscy mieli silną motywację, zdecydowani byli odnieść sukces w zawodach wymagających wysokich kwalifikacji – i wszystkich spotkało rozczarowanie tuż przedtem, nim osiągnęli swój cel. Czyż to nie niezwykły zbieg okoliczności, że wszyscy wybrali Cech Heptycki jako alternatywę?

Killashandra odrzuciła jednak nękające ją podejrzenia. Setki zamieszkanymi przez ludzi planet, stacji księżycowych i kosmicznych oferowały zatrudnienie (wszystkim, z wyjątkiem jej samej i Rimbola). Zresztą nawet dwójka muzyków mogła znaleźć tymczasowe zajęcie w swych wyuczonych zawodach. Poza tym trzydziścioro dwoje ludzi stanowiło nieskończenie mały podzbiór w wielkiej masie wykwalifikowanych osób, poszukujących zatrudnienia poza swym najbliższym otoczeniem. I były jeszcze kolonie, gotowe wchłonąć każdą liczbę specjalistów, zawsze też można było podjąć pracę na statku, póki nie dotarło się na miejsce, gdzie rynek pracy dawał większe możliwości. Refleksje te zaniepokoiły ją nieco, ale z drugiej strony nie widziała najmniejszej szansy dokonania tak delikatnej rekrutacji. Z pewnością żadna krzywa prawdopodobieństwa nie była w stanie przewidzieć jej przypadkowego spotkania z Carrikiem w kosmoporcie na Fuerte. Jego decyzja zależała wyłącznie od kaprysu, a bezcelowa wędrówka Killashandry nie poddawała się żadnym kalkulacjom. Nie, czynnik przypadku odgrywał tu zbyt dużą rolę.

Siedziała jeszcze przez chwilę, kończąc yarrańskie piwo, na które namówił ją Rimbol. On sam opowiadał grupce słuchaczy jakiś szalenie skomplikowany dowcip. Shillawn, po kilku drinkach znacznie mniej nieśmiały i wyleczony z jąkania, rozmawiał z jedną z dziewcząt. Jezerey na wpół śpiąc przysłuchiwała się dyskusji Bortona z najstarszym z rekrutów, śniadym mężczyzną z Asmodeusza VII. Rozmówca miał nie tylko patent drugiego oficera służb otwartej przestrzeni, ale też kwalifikacje radiologiczne. Być może, Cech potrzebował nowych pilotów bardziej jeszcze niż śpiewaków kryształu.

Killashandra miała ochotę grzecznie wycofać się do siebie. Ale nie chciała popełniać tu tych samych pomyłek, które odizolowały ją od reszty rówieśników w Centrum Muzycznym. Carigana zdążyła już wzbudzić powszechną niechęć swym niezdolnym zachowaniem, dostarczając w ten sposób Killashandrze znakomitego przykładu, jak nie należy postępować. Nagle pochwyciła spojrzenie szeroko ziewającej Jezerey. Uśmiechnęła się do niej i skinęła głową w stronę kwater.

– Jeśli chcecie, możecie sobie gadać całą noc – oświadczyła Jezerey, unosząc się z miejsca. – Ale ja idę do łóżka, tak samo jak Killashandra. Do zobaczenia rano – i, gdy już obie wyszły na korytarz, dodała: – Dzięki za pretekst, naprawdę miałam już dosyć. Dobranoc.

Killashandra pożegnała się i, dotarłszy bezpiecznie do pokoju, z ulgą wydała polecenie, aby do rana nie zakłócać jej prywatności.

Jej uwagę przyciągnął niezwykle blask za oknem, toteż przygasila światło w pokoju, które zapaliło się, gdy tylko weszła. Widok, jaki ujrzała, zaparł jej dech w piersi: złoty, ogromny Shankill, który zdawał się niemal na wyciągnięcie ręki, i wiszący tuż ponad nim maleńki, lśniący delikatną zielenią Shilmore, najbliższy i najmniejszy z księżyców. Dla Killashandry nocne niebo ozdobione kilkoma satelitami nie było żadną nowością, ale widok za oknem wydawał się w jakiś sposób szczególny. Choć przed poznaniem Carrika nigdy nie opuściła Fuerte, miała szczerzy zamiar wiele podróżować po galaktyce – wymagała tego zresztą praca artystki. Może dlatego, że teraz przez resztę życia mogła być skazana na oglądanie wyłącznie księżyców Ballybranu, dla niej miały one w sobie coś specjalnego. Usiadła na brzeжку łóżka, obserwując, jak powoli wznoszą się po nieboskłonie, póki w końcu Shilmore nie wyprzedził swego większego towarzysza i zniknął jej z oczu.

Wtedy położyła się i zasnęła.

Następnego ranka cała grupa rekrutów poznała schemat Kompleksu Cechowego. Dowiedziała się też, że im wyższy poziom, tym niższy status mieszkańców. Wprowadzono kandydatów w geologię Ballybranu i przedstawiono im wstępne wiadomości na temat jego złożonej meteorologii.

Kłopoty zaczęły się po południu, kiedy studenci przeglądali szczegóły Karty Cechu Heptyckiego, co stanowiło miłą odmianę po met-matyce. Rimbol mamrotał pod nosem, że jak na członka FPR Cech jest diabło autokratyczny, Shillawn, przełykając nerwowo ślinę, mruczał coś na temat baz danych i szkolenia.

Potrzeba było kilku chwil, by znaczenie następnego paragrafu w pełni do nich dotarło. Ta sekcja dotyczyła opłat, dziesięcin i procentów. Z rosnącym oburzeniem Killashandra uświadomiła sobie, iż od momentu zaprzysiężenia w bazie księżycowej, Cech miał prawo obciążać ją kosztami wszelkich usług, włączając w to przelot na planetę.

– Czy wliczają też cenę tych cholernych zarodników, jakie wdychamy? – warknęła Carigana, która, jak można się było spodziewać, pierwsza odzyskała głos. Choć raz miała za sobą poparcie całej grupy. Używając bogatego doboru słów, powszechnie uznawanych za obraźliwe, skupiła swą wściekłość na Tukulomie, jedynym osiągalnym przedstawicielu Cechu. Według niej Cech wykorzystał ich nieświadomość.

– Nieświadomi nie byliście – odparł Tukulom, o dziwo także podnosząc głos, aby ją przekrzyczeć. – Dane na Shankillu dostępne wam były.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, o co pytać? – odpaliła Carigana, jeszcze bardziej rozjuszona jego słowami. – Ten cały Cech znakomicie dba o swoje tajemnice! Nikt nie spodziewa się, że na zadane pytanie może kiedykolwiek otrzymać prostą odpowiedź!

– Ty z pewnością mogłaś tak myśleć – powiedział Tukołom z ironią, która zaskoczyła Killashandrę. – Koszta podstawowe bez dodatków są...

– Nigdzie indziej w Galaktyce studenci nie muszą płacić za swe utrzymanie!

– Studentami nie jesteście. – Tukołom był niewzruszony. – Członkami Cechu jesteście!

Na to nawet Carigana nie znalazła szybkiej odpowiedzi. Rozejrzała się z furją, jej pałające oczy wyzywały, aby ktoś ważył się uczynić jakąś uwagę.

– Złapaliście nas w pułapkę, tak? – niemal wypłuła te słowa. – W prawdziwą pułapkę. A my weszliśmy w nią chętnie i z własnej woli.

– Po szkoleniu zarobki od galaktycznej średniej znacznie wyższe – stwierdził dyplomatycznie Tukołom w ciszy, która zapadła – większość długów w ciągu dwóch lat spłacona. Wtedy... wszelkie życzenia spełniamy. Cokolwiek. Z całej galaktyki – błysnął pocieszającym uśmiechem – kredyt Cechu wszędzie uznawany, za wszystko.

– To niezbyt wielka rekompensata za uwięzienie na tej planecie do końca życia – rzuciła Carigana.

Killashandra, kiedy już oswoiła się ze wstępnym szokiem, przyznała w duchu, że wymagania Cechu były sprawiedliwe. Członkom należało zapewnić osobne kwatery, wyżywienie, ubrania, rzeczy osobiste i opiekę medyczną. Niektórzy specjaliści, szczególnie śpiewacy, wymagali dodatkowo wstępnego wyposażenia. Koszt używanych przez nich pojazdów był wręcz oszałamiający; dźwiękowe narzędzia tnące, które musiały być przystosowane dla każdego z osobna, również nie były tanie, a do podstawowego zestawu śpiewaków należało jeszcze wiele innych elementów o nie znanym jej przeznaczeniu.

Niewątpliwie najlepszym zajęciem, osiągalnym na Ballybranie, było śpiewanie kryształu, nawet jeśli Cech ścigał trzydziestoprocentowy podatek od wszystkich wydobytych i dostarczonych materiałów. Zastanowiło ją słowo „dostarczonych”. Ciekawe, czy w banku danych można znaleźć słownik, który podawałby szczegółowe definicje słów w rozumieniu ballybrańskim. Interlingwa była dostatecznie dokładna, lecz każda profesja ma swoją własną terminologię, na oko znajomą i niewinną, a przecież niebezpieczną dla nie do końca wtajemniczonych.

Szeroka gama stanowisk pomocniczych była konieczna do dostarczenia śpiewaków w góry, serwisu pojazdów, budynków, stacji kosmicznych, a także działów badań, medycyny i

administracji wyżej wspomnianych. Dwadzieścia tysięcy techników umożliwiło pracę czterem tysiącom śpiewaków. I cała ta elitarna grupa była w jakiś sposób rekrutowana spośród mieszkańców galaktyki.

Dyskusja na temat schwytania ich w pułapkę – Carigana ogniście upierała się przy tym określeniu – ciągnęła się jeszcze długo po wyjściu Tukuloma. Killashandra dostrzegła, jak opiekun powoli toruje sobie drogę pośród nich, coraz dalej od centrum eksplozji, niemal zachęcając ich do skupienia się na Cariganie, po czym ginie w korytarzu. Pomyślała, że nieraz już musiał zniknąć z oczu grupy. Nieoczekiwanie rozżłościło ją, że reagują w tak przewidywalny sposób.

Kiedy reżyser kieruje aktorami na scenie, to jedno, ale manipulacja w życiu to całkiem inna sprawa. A już sądziła, że na zawsze uwolniła się od czyjejś władzy! Killashandra poczuła, jak ogarnia ją fala gniewu. Wściekle wrzaski Carigany nie dawały nic poza ujściem dla nagromadzonej energii. A tę można wykorzystać dużo lepiej,

Ignorując nieustający huragan wyzwisk, Killashandra podeszła cicho do niewielkiego terminalu i poprosiła o pokazanie Karty. Nie istniała żadna legalna metoda zrzeczenia się członkostwa w Cechu Heptyckim, poza śmiercią. Nawet w przypadku choroby, fizycznej bądź umysłowej, Cech nadal sprawował pełną opiekę nad każdym zaprzysiężonym członkiem. Teraz dopiero doceniła wysiłki urzędników FPR i całą tę polkę. Z drugiej strony, poinformowano ją o wszystkim i mogła wycofać się, gdyby nie to, że chciała zrobić na złość Maestro Valdiemu i udowodnić Andursowi, iż nadaje się na śpiewaczkę kryształu. Przeglądając rozdział dotyczący obowiązków Cechu wobec poszczególnych członków, Killashandra dostrzegła zdecydowane korzyści, łącznie z tymi, które zwabiły ją na Ballybran. Gdyby została śpiewaczką kryształu... Wołała termin „śpiewaczka” od suchego, cechowego „górnika”.

– Jak zawsze optymistka, co, Killa? – spytał Rimbol, który musiał już od pewnego czasu stać za jej plecami.

– No cóż, wolę taką rolę niż jej – ostrym ruchem głowy wskazała w stronę Carigany. – Zdziera tylko gardło, próbując znaleźć sposób na zerwanie kontraktu, który, jak nas uprzedzono, jest nieodwołalny.

– Myślisz, że liczą na naszą wrodzoną przekorę?

– Niewątpliwie mają pośród swych członków kilku psychologów. – Killashandra zaśmiała się, pstryknięciem gasząc terminal. – Człowiek pragnie tego, czego nie może lub nie powinien dostać. Albo czego się mu odmawia. To ludzka natura.

– Czy po symbiozie nadal będziemy ludźmi? – spytał Rimbol, przekrzywiając głowę. Jego oczy zwęziły się lekko.

– Nie mogę powiedzieć, abym chciała bliżej zaprzyjaźnić się z Borella – zaczęła.

– Ani ja – śmiech Rimbola był zaraźliwy.

– Słyszałam na promie, jak wyjechała z bardzo po ludzku złośliwą uwagą...

– Na nasz temat?

– Ogólnie. Ale lubiłam Carrika. Wiedział, jak cieszyć się życiem, nawet drobnostkami, i...

Rimbol dotknął jej ręki, a błysk w jego oczach przypomniawszy Killashandrze wyraz twarzy Carrika, gdy spotkali się po raz pierwszy.

– Wszelkie porównania mogą być tylko obraźliwe, ale... dołączysz do mnie?

Killashandra obdarzyła go dłuższym, wnikliwym spojrzeniem. Jego wesołość i swoboda, towarzyskość – wszystko to było starannie pielęgnowane, aby zrównoważyć niezwykle wygląd zewnętrzny. Wyraz twarzy, ciepłe spojrzenie oczu, delikatna pieśczoć palców na jej ręce sprawiły, że stosunek Killashandry do stojącego obok mężczyzny uległ pewnej zmianie.

– Prywatność pomiędzy członkami o tym samym statusie gwarantowana – w jego głosie pobrzmiwała lekka drwina. Killashandra nie miała zamiaru opierać się pokusie.

Z głosem Carigany nadal dźwięczącym w uszach wysliznęli się na korytarz i do jej pokoju, gdzie czekała na nich całkowita prywatność.

Następnego poranka Tukolom zaczął musztrować Klasę 895. Część rekrutów zdecydowanie nie czuła się najlepiej po nocnej popijawie.

– Borton, Jezerey, Falalong – kwalifikacje pilotów pojazdów powierzchniowych i przestrzennych macie już. Wziąć karty pilotażu do Kontroli Lotów na poziom pierwszy. Wzdłuż szarej linii, dwa razy w prawo skrócić, tam członek Cechu Danin spotka. Reszta klasy ze mną idzie.

Tukolom ruszył naprzód, nie oglądając się nawet, by sprawdzić czy rzeczywiście idą, ale grupa, obrażona czy tylko zrezygnowana, posłuchała polecenia. Shillawn przysunął się do Rimbola i Killashandry.

– Obliczyłem – oznajmił. Jego pragnienie dogodzenia innym było tak wyraźne, iż Killashandra, czując ogólną sympatię do ludzi (z wyłączeniem Cechu), spytała, co takiego obliczył. – Ile to wszystko będzie nas kosztować do czasu, gdy zaczniemy zarabiać kredyt. I... i jaki jest najniższy pułap zarobków. Nie jest źle, naprawdę. Cech liczy tylko sam koszt i nie dodaje marży za transport czy specjalne zamówienia.

– Wrobiwszy w przybycie tutaj, nie wciągają nas jeszcze głębiej, co? – powiedziała.

– No... – Shillawn musiał przysunąć się bliżej, tak aby jego słowa dotarły jedynie do uszu pary przyjaciół – to naprawdę sprawiedliwe.

Rimbol wzruszył ramionami.

– A zatem jaki jest najniższy możliwy zarobek w Cechu? I jak długo zajmie spłacenie kosztów samego oddychania?

– A więc – Shillawn uniósł notatki – najniższą pensję ma pomocnik członka zwykłej obsługi, co daje trzy i pół tysiąca kredytów plus mieszkanie trzeciej klasy, ryczałt odzieżowy i dwieście jednostek luksusowych na rok galaktyczny. Co do nas, to liczą nam utrzymanie na poziomie podstawowym, przelot promem kosztował tylko 15 kredytów, ale każde niezwykle zamówienie z selektora, poza dwoma dzbankami napoju najwyżej czwartego stopnia, jest dodawane do rachunku. Zatem, jeśli nie odżywia się zbyt egzotycznie ani niezbyt wiele pije, przy najniższej pensji można spłacić wstępny dług w... – Shillawn musiał podbiec za nimi truchtem, gdyż przystanął, aby spojrzeć w notatki – w siedem miesięcy, dwa tygodnie i pięć dni galaktycznych.

Oczy Rimbola i Killashandry spotkały się i ujrzała, że młody Scartanin z trudem utrzymuje powagę.

– Dlaczego przyjąłeś jedynie najniższe płatne stanowisko? – spytała, powstrzymując się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Cóż, tak jest praktycznej.

– To znaczy, że nie przeliczyłeś żadnych wyższych pozycji?

– Najwyżej płatnym stanowiskiem jest Cechmistrz, a dane o jego zarobkach nie były dostępne.

– A więc próbowałeś? – tym razem to Killashandra musiała podbiec, aby dotrzymać kroku długonogiemu Shillawnowi.

– Chciałem sprawdzić, jakie możliwości stoją przed zwykłym członkiem.

– Do jakiej wysokości udało ci się dotrzeć?

– To właśnie najlepsze. – Shillawn uśmiechnął się zwycięsko. – Następni w kolejności po Cechmistrzu są górnicy... chciałem powiedzieć śpiewacy kryształu. Tylko że ich zarobki bardzo różnią się między sobą, w zależności od wydobycia możliwego do wykorzystania kryształu.

– Jeśli śpiewacy są na drugim miejscu, to kto jest trzeci?

– Szef działu badań, szef kontroli i szef sprzedaży. Wszyscy jednakowo.

– Roczny zarobek?

– Podstawa wynosi trzysta tysięcy kredytów na rok galaktyczny plus ryczałt mieszkaniowy, rozrywkowy, podróży i osobisty, do uzgodnienia.

Sama podstawa wystarczyła, by Rimbol zagwizdał z wrażenia.

– A ty oczywiście masz zamiar zostać szefem kontroli – oznajmił nowy głos i trójka przyjaciół zorientowała się, że Carigana słuchała ich rozmowy.

Shillawn zarumienił się na jej słowa.

– Ty zaś zostaniesz szefem kłótni i narzekań – odparł nadspodziewanie ostro Rimbol. W jego błękitnych oczach zabłysła niechęć.

Carigana pstryknęła ku niemu palcami i wyprzedziła ich, krocząc naprzód ze sztywno uniesioną głową i wyprostowanymi plecami.

– Wszelkie współczucie, jakie miałem dla tej kobiety, szybko ustępuje miejsca totalnej antypatii – stwierdził Rimbol, czyniąc jeszcze bardziej obraźliwy gest w kierunku oddalających się pleców.

Przy wyprzedzeniu, jakie uzyskała po drodze, Carigana pierwsza z Klasy 895 znalazła się w hangarach pojazdów naziemnych, musiała jednak zaczekać, aż oficer dyżurny przyjmie wszystkich pozostałych. Następnie zaprowadzono ich w tę część gigantycznej hali, gdzie spoczywały trzy pojazdy symulacyjne. Pierwszym był śmigacz, najpopularniejszy codzienny środek transportu ich gatunku, który dawał się przystosować do różnych warunków atmosferyczno-grawitacyjnych, a prowadzić go umiałoby nawet dziecko. Jeden jedyny drążek kontrolował ruch w przód, w tył i na boki. Śmigacz (wbrew nazwie) nie rozwijał oszałamiającej prędkości, natomiast z równą łatwością unosił się na swej poduszce powietrznej ponad ziemią, wodą, śniegiem, błotem, lodem, skałą czy piaskiem. Jego napęd można było przerobić na różne rodzaje paliwa i źródła energii.

Drugim były sanie powietrzne, nie mające nic wspólnego z sugerowaną przez nazwę nieruchawością. Sanie osiągały dość znaczną prędkość i zręcznie się prowadziły. Stanowiły doskonały pojazd do pokonywania większych dystansów i były oficjalnym środkiem transportu śpiewaków, zdolnym dostarczyć ładunek i pasażerów w dowolny punkt na Ballybranie.

Trzeci symulator stanowił prom kosmiczny, na którego widok oczy Rimbola aż rozwarły się z zachwyty. Za to Killashandra miała szczerą nadzieję, że nikt nie każe jej go pilotować.

Choć czekanie na swą kolejkę znudziło wszystkich, Killashandra nie miała żadnych problemów z testem na śmigaczu. Sanie były dużo bardziej skomplikowane, czuła jednak, iż

poszło jej całkiem nieźle. Niewątpliwie będzie jeszcze potrzebowała sporej praktyki, nim zdecyduje się naprawdę nimi polecieć.

– Wiesz, kto oblał test na śmigaczu? – spytał Rimbol, który czekał już na nią przy wyjściu z sań.

– Shillawn? – w tym momencie dostrzegła jednak, że nerwowy mężczyzna nadal oczekuje w kolejce.

– Nie. Carigana!

– Jak ktokolwiek może nie umieć latać śmigaczem?

– Trzeba do niego lekkiej ręki – uśmiech Rimbola promieniował czystą złośliwością.

– Carigana przyzwyczała się do skafandrów. Zauważyłaś może, jak zawsze zwraca do kogoś swoje ciało? To dlatego, że zbyt długo nosiła serwomech. Jej ruchy są gwałtowne i przesadne. Reaguje też przesadnie – o czym wszyscy wiemy. Hej, lepiej się zbierajmy. Instruktor Tukulom – Rimbol zaśmiał się na sam tytuł, starannie podkreślany przez oficera dyżurnego – mówi, że mamy wracać do sali treningowej na popołudniowy zestaw fascynujących wykładów.

Carigana mogła równie dobrze przebywać wewnątrz skafandra w dalekim kosmosie, tak małą uwagę zwracała na recytowane przez Tukuloma wyjaśnienia dotyczące właściwego postępowania i pakowania wydobytych kryształów oraz ich nieskończonych odmian i różnych wartości. Klasa 895 dowiedziała się, że musi przykładąć do tego szczególną wagę, jako że jednym z ich pierwszych oficjalnych zadań będzie przygotowywanie kryształu do eksportu. W tej chwili górnicy przebywają w złożach, wykorzystując piękną wiosenną pogodę i sprzyjające położenie księżyców. Kiedy wrócą, Klasa 895 będzie miała zaszczyt po raz pierwszy doświadczyć pracy z kryształem.

Szacunek, z jakim Tukulom wypowiedział te słowa, ukazał Killashandrze nowe, niespodziewane oblicze pozbawionego humoru instruktora. Czyżby kryształ wpływał nawet na tych, którzy go nie śpiewają? Jak długo Tukulom był członkiem Cechu? Nie, żeby specjalnie zależało jej na tej wiedzy – po prostu zaintrygował ją zachwyt, z jakim opowiadał o takim nudziarstwie jak pakowanie kryształu.

Gdy tylko Tukulom zwolnił ich z wykładu, wymamrotała do Rimbola coś o tym, że „zaraz wraca” i umknęła do pokoju. Wyciągnęła pulpit i połączyła się z biurem lotów, prosząc o zezwolenie na wykorzystanie śmigacza w celu rozrywki osobistej. Na ekranie pojawiła się wiadomość, iż może korzystać z pojazdu numer VZD7780 przez dwie godziny i jedynie do lotów nadziemnych.

Wymykając się z pokoju, z ulgą dostrzegła, że drzwi Rimbola są otwarte. Nadal przebywał w sali, stłumiła więc

nieśmiałe poczucie winy, że oto wykrada się gdzieś bez niego. Pierwszy raz w góry miała ochotę pojechać sama. Poza tym jeśli Rimbol i Shillawn nie potrafili uzyskać zezwoleń, i tak na nie nie zasługiwali.

Potężny kompleks hangarów sprawiał niesamowite wrażenie. Lekki wietrzyk westchnął pośród pustych stanowisk, czekających na sanie śpiewaków. Killashandra pośpieszyła do sekcji śmigaczy. Nagły ryk silnika sań sprawił, że aż podskoczyła na plastonowej podłodze. Obejrzawszy się, hen po drugiej stronie ujrzała grupkę mechaników, kierujących światła na odsłonięty układ napędowy.

Killashandra odnalazła w końcu stanowisko VZD i swój pojazd. Był on lekko porysowany od piasku, ale plastosz–klany bęben na szczycie pozostał mniej więcej nietknięty. Wsiadła do środka, ostrożnie wycofała śmigacz i ruszyła powoli w stronę wyjścia z ogromnej hali.

– Pilot może poruszać się jedynie na obszarze objętym mapą główną – oznajmił mechaniczny głos, dochodzący z jej lewej strony. Jednocześnie na pulpicie zapalił się spory kwadrat, ukazujący płaskowyż Joslina, kompleks Cechu i maleńką kropkę, oznaczającą ją samą.

– Pilot potwierdza.

– W razie alarmu pogodowego należy natychmiast wracać do hangaru. W tej chwili pogoda dobra, znakomita widoczność. Nie notuje się żadnych ostrzeżeń burzowych.

Wydostając się z hangaru dostrzegła trzy drobne figurki, które właśnie schodziły z rampy. Zachichotała. A więc pierwsza dostała śmigacz.

Popchnęła naprzód drążek sterowniczy, przyspieszając do maksimum. Nie chciała, aby ktoś za nią leciał. Główna mapa urywała się na skraju Pasma Mikeleya, na północnym wschodzie, dostatecznie jednak blisko, by mogła dojrzeć, za co oddała w zastaw swe życie. Nagle Killashandra poczuła, że musi stanąć na krawędzi swej możliwej przyszłości, być jej fizycznie bliska, ujrzeć ją wyraźniej niż na recytowanych lekcjach u Tukuloma, zrozumieć, czemu Borella uśmiechała się z taką tęsknotą.

Stary śmigacz nie przepadał za zmuszaniem go do takiej prędkości i zaczął nieprzyjemnie wibrować. Żaden ze wskaźników funkcyjnych nie zmienił jednak barwy na czerwoną, toteż Killashandra zignorowała wstrząsy, trzymając się kursu na północny wschód. Dużo bliżej, niemal wprost na południe znajdowały się Góry Brerrertona, ale Carrik

najczęściej wspominał właśnie o Mikeleyach i to podświadomie wpłynęło na jej wybór. Poza tym inni z pewnością skierują się w stronę najbliższego pasma – i dobrze.

Przeskoczywszy pierwsze wzgórze, ujrzała plamę Pasma, chwilami odbijającą promienie wędrującego ku zachodowi słońca. Pod śmigaczem Killashandry mdłe szarozielone poszycie i grunt Ballybranu przesuwiał się bez zauważalnych zmian. Jak często nieciekawa powłoka skrywa prawdziwe skarby. Któż by pomyślał, że cokolwiek na Ballybranie może być warte choćby złamanego kredytu? Przywołała przed oczy model planety, który Borella pokazała im na Shankillu. Zupełnie jakby kosmiczne ręce wzięły zwykły glob i zgmiotły go tak, że miększa materia wnętrza przebiła skorupę, tworząc poszarpane łańcuchy kryształonośnych gór. Następnie, wiedzione niezbadanym kaprysem, te same ręce wyszarpnęły zniekształcone fragmenty tak, że górskie krawędzie jakby wpadły do środka.

Równina ustąpiła miejsca serii głębokich parowów, które, w obfitszej w deszcze porze roku, mogły być strumieniami. Pierwszy poszarpany zrąb skalny ukazał się dokładnie na krawędzi jej mapy, toteż wylądowała na największym „cyplu” i wysiadła.

Po obu stronach i przed nią rozciągały się głębokie zmarszczki na powierzchni planety. Każde kolejne zbocze wyglądało przez szczeliny w poprzednich bądź wznosiło się o kolejne kilka metrów wyżej. Osłaniając dłonią oczy wyteżyła wzrok, starając się dostrzec jakikolwiek ślad lśniącego kryształu – ukrytego, niepowtarzalnego bogactwa tego jakże niegościnnego globu.

Panowała całkowita cisza, a jednak coś ją zakłócało. Najlżejszy szmer, nie szelest wiatru, lecz dźwięk dochodzący jakby ze skały pod jej stopami. Niezwykłe doświadczenie – jak gdyby jej kości reagowały na wibrację, która umykała czujnym, lecz nienawykłym uszom. Wiedziona nie do końca uświadomionym pragnieniem sprawdzenia, co kryje się za tą nieciszą, Killashandra głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je z siebie w pięknym, czystym e.

Nuta powróciła do jej uszu i stóp jednocześnie. Rezonans poruszył koniuszki nerwów, pozostawiając po sobie wrażenie pieszczoty ogarniającej cały system nerwowy, podczas gdy dźwięk zamarł w powietrzu.

Stała nieruchomo, zachwycona, lecz wahająca się przed powtórzeniem eksperymentu, i wpatrywała się w zapyłone, banalne pagórki. Teraz jednak była już skłonna uwierzyć w to, co opowiadał jej Carrik. Dwie strony śpiewania kryształu łączyły się z sobą nierozzerwalnie: dobra i zła, udręka i ekstaza.

Kusiło ją, aby polecieć dalej w głąb Pasm, szybko jednak porzuciła ten pomysł. Rozsądek podpowiadał, że wszelki kryształ, jaki mógł znaleźć się tak blisko bazy, dawno już

został wydobyty. Ponadto Killashandra wyraźnie widziała, jak łatwo można zagubić się, kiedy człowiek raz wywędruje poza dziwnie uspokajającą płaszczyznę równiny i straci z oczu Morze Białe.

Zamiast tego ruszyła wzdłuż pierwszych zboczy, cały czas nie tracąc z oczu równiny i trzymając się zewnętrznej krawędzi mapy lotu. Pofalowane wzgórza fascynowały ją, choć młodsze, ostrzejsze wzniesienia Fuerte nigdy nie wzbudzały u niej nawet cienia zainteresowania. Góry Ballybranu kusiły, drażniły, pociągały, kryły w sobie bogactwa – produkt tytanicznych sił i gorąca, odprysk wrzącego jądra planety – bogactwa stworzone przez potrzeby technologii stale wzrastającej populacji galaktycznej. Skarby, występujące jedynie na starym świecie, pozbawionym wszelkich innych cennych złóż. Rozwijająca się technika zawsze prowadziła do tego samego: z bezwartościowego tworzyła majątek.

Killashandra zdecydowanie zawróciła swój śmigacz do kompleksu Cechu. Jej determinacja, nieco nadwerężona zachowaniem Tukuloma i instrukcjami, delikatnie ignorującymi główny cel wszystkich rekrutów – zostanie śpiewakami kryształu – ponownie się wzmocniła. Patrząc trzeźwym okiem, Killashandra dobrze rozumiała, czemu ich inicjacja przebiegała tak, a nie inaczej – póki nie nastąpiła symbioza, niemożliwe było jakiegokolwiek zaszeregowanie, można jednak w tym czasie przyjrzeć się innym pożytecznym zajęciom. Westchnęła, zastanawiając się, czy zdoła znieść kolejne niepowodzenie. Nagle wybuchnęła śmiechem, wspominając, z jaką łatwością odrzuciła dziesięć lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń, kiedy tylko Carrik pomachał jej przed nosem perspektywą śpiewania kryształu. Ale przecież, szczerze mówiąc, wcale jej nie namawiał – przeciwnie, odwodził ją od tego wszelkimi siłami.

Co takiego powiedział Rimbol? Zakaz tylko zwiększa pragnienie? To prawda, wściekły atak Maestra na Carrika i śpiewaków kryształu znacznie podsylił jej ciekawość. Oczywiście, czas spędzony z Carrikiem też dziwnie ją pobudził: luksusowy styl życia, zabawy: wszystko to musiało oszołomić kogoś, kto zawsze żył z zasiłku i studenckiego stypendium. Fascynująca osobowość Carrika zmieniła też ją samą i obdarzyła dostateczną dozą beztroski, by odrzucić wszelkie ograniczenia dekady bezowocnej dyscypliny.

Teraz, kiedy stanęła już w pobliżu złóż kryształu i poczuła niezwykle wibracje wędrujące po kościach i docierające do samego wnętrza jej istoty, którego nigdy nie sięgnęła zwykła muzyka, Killashandra jeszcze bardziej umocniła się w swym postanowieniu.

Kiedy wróciła, dostrzegła samotną postać, snującą się wokół stanowisk śmigaczy. Parkując zauważyła, że ośmiu pojazdów brakuje. Postać zamachała gwałtownie, nakazując jej, aby pozostała w kabinie, i pośpiesznie wspięła się ku niej. Killashandra czekała cierpliwie, podczas gdy mężczyzna najpierw sprawdził numery śmigacza, a następnie

przesunął dłońmi po jego bokach, krzywiąc się lekko. Nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem rozpoczął dokładnie badanie całego kadłuba, notując coś bez przerwy i mamrocząc do siebie. Tablica rozdzielcza zaniepokoiła go i po raz pierwszy jakby dostrzegł Killashandrę.

– Krótko cię nie było. Czy coś się komuś stało? Wyleciało was dziewięcioro!

– Nie, wszystko w porządku.

Mężczyzna z ulgą poprawił osłaniającą oczy czapkę.

– Nie mam tak dużo śmigaczy i właściwie nie powinienem był dawać dziewięciu rekrutom, ale nikt inny akurat nie prosił.

Killashandra wysiadła z pojazdu, a opiekun hangaru natychmiast zajął jej miejsce, przebiegając palcami po tablicy kontrolnej i drążku sterowniczym, jakby sama obecność dziewczyny mogła coś uszkodzić.

– Zawsze uważam na sprzęt – powiedziała, on jednak nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał.

– Ty jesteś Killashandra? – spytał, kończąc inspekcję. Zamknął kabinę i obejrzał się w jej stronę.

– Tak.

Mruknął pod nosem i wpisał coś w notatnik, przyglądając się ekranikowi.

– Czy zawsze sprawdzasz każdy pojazd po użyciu? – Killashandra starała się być uprzejma.

Nie odpowiedział. Czy to z powodu jej niskiego statusu – zwykłej rekrutki? Wewnętrzny spokój, osiągnięty w górach, zniknął, zastąpiony nagłą falą niechęci. Dotknęła ramienia mężczyzny i powtórzyła pytanie.

– Zawsze. To moja praca. Niektórzy z was są diablo nieuważni i przez to jest masa dodatkowej roboty. Nie mam nic przeciw prawdziwej pracy, ale dodatkowa to co innego. Zupełnie co innego.

Głośny jęk silnika dochodzący z doków remontowych zaskoczył Killashandrę, wszelako jej towarzysz nawet się nie skrzywił. Wtedy zrozumiała, że jest głuchy. Kolejny przeszywający skowyt sprawił, że odskoczyła, ale reakcja mężczyzny była zerowa. Przy jego zajęciu utrata słuchu to prawdziwe błogosławieństwo.

Po raz ostatni przesuwając dłonią po powierzchni jej śmigacza opiekun hangaru ruszył w kierunku kolejnej ładującej maszyny. W ogóle nie zwrócił uwagi na Killashandrę, jakby nagle przestała istnieć. Spojrzała za nim. Czy jego praca, pełne zaangażowanie w utrzymanie

śmigaczy w jak najlepszym stanie mogło wyprzeć z umysłu zainteresowanie ludźmi? Czy, gdyby symbiont obdarzył ją głuchotą, i ona także tak kompletnie odgrodziłaby się od reszty?

Powoli zeszła na poziom podłogi hangaru, krzywiąc się za każdym razem, gdy naprawiany silnik dobywał z siebie kolejny ryk. To prawda, zrezygnowała z kariery operowej, ale nigdy więcej nie usłyszeć muzyki? Gwałtownie zadrżała.

Na Fuerte była głęboko przekonana, że czekają świetlana przyszłość w świecie koncertowym. Może lepiej nie być tak pewną, że zostanie śpiewaczką kryształu i rozejrzeć się pośród innych możliwych zajęć.

Niespodziewanie poczuła, że nie chce wracać do kwater rekrutów, nie chce słuchać relacji pozostałej ósemki wycieczkowiczów. Wolała być sama. Wyprawa na skraj Pasm dużo jej dała, a rozmowa z opiekunem hangaru dostarczyła dodatkowych użytecznych danych.

Pośpiesznie opuściła hangar. Na dworze przywitał ją silny wiatr, nachyliła się, aby stawić mu czoło. Niebo na wschodzie ciemniało, a gdy obejrzała się przez ramię, stwierdziła, że krawędzie zachodnich chmur fioletowieją w promieniach znikającego słońca. Przystanęła, napawając się tym widokiem, po czym ruszyła dalej. Nie chciała, aby dostrzegli ją powracający koledzy. W końcu, minawszy dłuższy bok Kompleksu Cechowego, natrafiła na niski pagórek. Jej stopy szurały w suchym żwirze, a gdy trafiła nogą na jeden z porastających grunt krzaczków, powietrze wypełniła nagle ostra woń. Zaczęła nasłuchiwać szumu wiatru – nie tylko uszami, lecz całym ciałem, mocno wbijając obcasy w ziemię, w nadziei, że jeszcze raz doświadczy owego szczególnego uczucia przenikania dźwięku. Wiatr niósł z sobą słony zapach i lekki chłód, lecz w obiegających ją strumieniach powietrza nie zabrzmiał nawet najcichszy ton. Niebo pociemniało już zupełnie i pojawiły się pierwsze słabe światelka gwiazd. Killashandra postanowiła, że musi poznać astronomię Ballybranu. Dziwne, że nie wspomniano o tym podczas wykładów z meteorologii, ale ostatecznie wiedza ta nie miała specjalnego znaczenia w tymczasowym szkoleniu rekrutów.

Powoli na północno-wschodnim niebie pojawił się miodowozłoty Shanganagh, środkowy księżyc Ballybranu. Sprawiał wrażenie, jakby, podobnie jak sama Killashandra, ukradkiem umykał przed innymi, z dala od dominującej osobowości Shankilla i chaotycznego zachowania Shilmore'a. Killashandra uśmiechnęła się szeroko. Shankill jako symbol Rimbola... a Shilmore w takim razie miałby być Shillawnem. Shanganagh odstawa! od tej pary i unikał jej, póki niepokonana siła nie wciągnęła go między braci podczas Przejścia.

Wznoszący się coraz wyżej księżyc zbladł i przybrał barwę jasnego srebra. Jego promienie oświetliły Killashandrę drogę. Dotarła wreszcie na szczyt wzgórza i uświadomiła sobie, że mogłaby wędrować tak przez całą noc, a nawet zgubić się podczas tego

bezcelowego krążenia. W Centrum Muzycznym na Fuerte tolerowano wybryki studentów, jednak tu, w miejscu gdzie głuchy strażnik bardziej dbał o swoje pojazdy niż o korzystających z nich ludzi, sprawy zapewne miały się zupełnie inaczej.

Zawróciła i przyjrzała się przycupniętemu z tyłu cielsku kompleksu Cechu. Górne piętra lśniły w poświacie księżyca, resztę skrywał głęboki mrok. Usiadła na ziemi, przez chwilę wiercąc się i usiłując znaleźć jak najwygodniejszą pozycję. Dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielkie były budynki Cechu i jak drobna ich część znajdowała się ponad powierzchnią. Z tego, co wiedziała, najlepsze siedziby mieściły się głęboko pod ziemią. Killashandra podniosła garść żwiru i cisnęła go wysokim łukiem słuchając, jak jego drobinki z szelestem spadają na krzaki.

Poczucie izolacji, absolutnej samotności, całkowitej prywatności cieszyło ją tak samo jak unoszące się z wiatrem różnorodne wonie i szorstkość żwiru w dłoni. Na Fuerte nigdy nie opuszczała jej świadomość, że tuż obok znajdują się ludzie – ludzie, którzy bez przerwy patrzą, nawet nieświadomie obserwują ją, narzucają się, naruszają jej prawo do samotności.

Nagle zrozumiała wściekłość Carigany. Jeśli faktycznie pracowała ona w kosmosie, musiała doświadczyć podobnej samotności. Nigdy nie były jej potrzebne żadne techniki odcinania się od reszty. Ale nawet pojmując co nieco z motywami Carigany, Killashandra bynajmniej nie miała ochoty się z nią zaprzyjaźnić. Rzuciła przed siebie kolejną garść żwiru.

Co za cudowne uczucie – wiedzieć, że tu, na Ballybranie, można zupełnie bezpiecznie wybrać się na samotny nocny spacer. To jedna z nielicznych planet Federacji, gdzie było to możliwe. Killashandra wstała, otrzepała spodnie i ruszyła dalej, okrążając gigantyczny kompleks Cechu.

Kiedy dotarła do frontowej części, niemal straciła równowagę, bowiem w tym miejscu obsadzono trawą tak gęstą, że przypominała dywan. Imponująca hala przyjęć zwieńczona była herbem Cechu Heptyckiego zrobionym z jaśniejącego w mroku kryształu. Wychodzące na wschód okna, wysokie i wąskie, na pierwszym poziomie były ciemne, na wyższych zaś tylko w nielicznych błyszczały światła. Ciekawe, jak niski trzeba mieć status, by mieszkać na powierzchni. Pomocnicy obsługi?

Zaczynała już żałować kaprysu, który pchnął ją do tej wycieczki. Dłuższą ścianę budynku w regularnych odstępach dziurawiły pochylnie, wiodące w górę i w dół, lecz na wykładach Tukoloma dowiedziała się, że prowadzą one do magazynów, które nie posiadają bezpiecznego połączenia z częścią mieszkalną. Wlokła się zatem dalej, póki całkowicie nie obeszła budynku i nie znalazła się z powrotem przed wielkim wylotem hangaru.

Gdy dotarła do siebie, była bardzo zmęczona. Wszędzie panowała cisza, w kantynie pogaszono światła. Choć nad drzwiami Rimbola płonęła zielona lampa, szybko skierowała się do własnego pokoju. Jutro będzie wystarczająco dużo czasu, by się z nim spotkać. Położyła się do łóżka z kojącą świadomością, że jak każdemu członkowi Cechu Heptyckiego, i jej przysługuje niezbywalne prawo do prywatności.

ROZDZIAŁ IV

Następnego dnia Killashandra nie była już tego taka pewna, kiedy zmagając się z wichurą usiłowała utrzymać równowagę i, co ważniejsze, nie upuścić cennej skrzynki z kryształem. Komputer obudził rekrutów o świcie. Niebo miało barwę głębokiej, gniewnej szarości, przemykały po nim burzowe chmury – tak nisko, że niemal sięgały najwyższego poziomu kompleksu. Rekrutom polecono szybko zjeść solidne śniadanie i zgłosić się do nadzoru wyładunku na poziomie hangaru. Oddano ich do dyspozycji szefowej wyładunku – do odwołania.

Widać już było pierwsze oznaki nadciągającej burzy: wylot hangaru został osłonięty dwunastometrowej wysokości parawanem, który opuszczano dla każdego powracających do bazy powietrznych sań. Miał on najwyraźniej służyć ochronie robotników, zagrożonych dosłownym wyssaniem z hangaru pośród szalejących przeciągów

Szefowa wyładunku, Malaine, nie podejmowała żadnego ryzyka – nikt nie mógł źle usłyszeć lub zrozumieć jej instrukcji, pojawiały się one bowiem również na rozmieszczonych w całym hangarze ekranach. Rekrutom polecono, by w razie jakichkolwiek wątpliwości dotknęli ramienia i/lub w inny sposób zwrócili na siebie uwagę kogoś z personelu ubranego w oznakowane zielono uniformy. Podstawowe instrukcje bez przerwy figurowały na ekranie, wszelkie dodatkowe polecenia wypisywane były pomarańczowymi literami na zielonym tle.

– Waszym głównym zadaniem jest bardzo, bardzo ostrożny wyładunek kartonów z kryształem. Po jednym na raz. Nie dajcie się zwieść temu, że mają bardzo mocne uchwyty. Wiatr tam, na zewnątrz, wkrótce sprawi, że będziecie marzyć o chwytnych stopach. – Malaine obdarzyła ich uśmiechem. – Wiecie, kiedy założyć hełmy – poklepała się po swoim, wyposażonym w ochraniacze na uszy i wizjer, po czym wskazała dłonią plastoszklaną ścianę przyległego do hangaru pomieszczenia. – No, zaczynają pojawiać się sanie. Obserwujcie, jak postępuje personel hangaru. Najpierw sprawdzamy stan śpiewaka kryształu, następnie rozładujemy pojazd. Wy skupicie się na wyładunku. Odpowiadacie za to, by kartony z kryształem bezpiecznie dotarły do środka. Każdy z nich jest w tej chwili wart więcej niż którekolwiek z was! Bez obrazu, to zwykła ekonomia Cechu. Ostrzegam was też, że temperament śpiewaków bezpośrednio po powrocie z Pasm jest naprawdę nieobliczalny. Macie szczęście. Dość długo ich nie było, więc zapewne mają dobre wyniki. Niech nikt nie

upuści skrzynki! Miałby wtedy na głowie samego śpiewaka, mnie i Cechmistrza Lanzeckiego, a śpiewak byłby najgorszy.

– To niesprawiedliwe – wymamrotał kobiecy głos.

Killashandra była dość daleko od Carigany, toteż nie potrafiła stwierdzić, czy to ona się odezwała, lecz oczy Malaine zwęziły się tylko.

– Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy – odparła twardym głosem. – Te plastypianowe pudła – wskazała na szereg członków obsługi, pośpiesznie maszerujących do środka z białymi skrzynkami przyciśniętymi do piersi – to ich zawartość opłaca istnienie tej planety, jej satelitów i wszystkiego na powierzchni. Nikt nie dostanie nawet kredytu, póki ładunek nie znajdzie się bezpiecznie w tym budynku, zważony i oszacowany. Właśnie wracają kolejne sanie. Podzielę was teraz na trzyosobowe grupy. Ustawcie się w szeregu i czekajcie na wezwanie. Pamiętajcie: to kryształ jest ważny! Jeśli usłyszycie klakson, oznacza to, że sanie są pozbawione kontroli. Uchylcie się, ale niech nikt nie upuści ładunku!

Rozdzieliła rekrutów i Killashandra znalazła się w grupie wraz z Bortonem i jeszcze jednym, nie znanym jej z imienia mężczyzną. Cała klasa ustawiła się trójkami przy oknie, obserwując rutynowy wyładunek.

– Nie wygląda tak źle – oznajmił mężczyzna. – Te skrzynki nie mogą być ciężkie – wskazał szczupłego robotnika, szybko maszerującego ze swym ciężarem.

– Może nie teraz, Celee – odparł Borton – ale kiedy zerwie się wiatr...

– No cóż, jesteśmy obaj dostatecznie silni, by w razie czego pomóc naszej koleżance...

– Celee uśmiechnął się z lekką wyższością w stronę Killashandry.

– Mam bliżej do ziemi – odrzekła, spoglądając na niego z ostrzegawczym błyskiem w oczach. – Niższy środek ciężkości; trudniej upaść.

– Dobrze mu tak, Killa! – Borton szturchnął towarzysza i mrugnął do niej.

Celee wskazał nagle w kierunku hangaru i wszyscy ujrzeli wpadające do środka sanie, które ledwie uniknęły zderzenia z wysklepionym sufitem, po czym bezwładnie opadły ku ziemi, podskoczyły, szarpnęły na bok i o mały włos nie rąbnęły w wewnętrzną ścianę. Rozległ się klakson, a jego przeszywający dźwięk sprawił, że wszyscy zasłonili uszy. Kiedy znów unieśli głowy, sanie uspokoiły się na tyle, by wylądować z dziobem opartym o ścianę. Ku ich zdumieniu śpiewak, odziany w pomarańczowy, poplamiony czarno kombinezon, wynurzył się z przedniego wyjścia nie tknięty, na pożegnanie kopnął swój pojazd, pozdrowił nieprzyzwoitym gestem wiatr i umknął pod osłonę hali wyladunkowej. Killashandra, Borton i Celee zostali natychmiast wezwani na poziom hangaru do pomocy przy rozbitych saniach.

Łapiąc pierwsze pudło ze statku śpiewaka, Killashandra przycisnęła je mocno do siebie, było bowiem lekkie i poryw szalejącego w hangarze wiatru mógł z łatwością wyrwać je z rąk. Z westchnieniem ulgi dotarła do hali wyładunkowej, aby ze zdumieniem ujrzeć śpiewaka kryształ, opartego o ścianę i warczącego na medyka, który próbował opatrzyć mu spływającą krwią ranę na policzku. Póki nie wyładowali ostatniej skrzynki z jego statku, pozostał w swym punkcie obserwacyjnym.

– Na pazur małego palca u nogi bagnistego potwora – powiedział Celee do Killashandry, gdy razem śpieszyli po kolejne pudła. – Ten facet zna każdy najmniejszy odłamek swego towaru i z pewnością wie, kto go przenosi. A do tego ten cholerny wiatr jest coraz mocniejszy. Uważaj, Killashandro.

– W tym statku zostały tylko dwa! – wrzasnął Borton, mijając ich po drodze do środka. – Chcą go odciągnąć na bok!

Celee i Killashandra przyśpieszyli kroku, świadomi obecności holownika, unoszącego się tuż nad uszkodzonym pojazdem. Gdy tylko para rekrutów uniosła ostatnie dwie skrzynki z ładowni sań, holownik opadł na ich dach. Prąd powietrza, wywołany gwałtownym wzniesieniem pojazdów, sprawił, iż Killashandra zachwiała się na nogach. Podczas tej sekundy rozejrzała się i dostrzegła jeszcze pięć sań wpływających do środka, tym razem na szczęście bardziej statecznie, i siedem już pustych unoszących się w stronę stojaków.

Stopniowo hangar zapełniał się ludźmi i wyładunek zaczął iść coraz wolniej. Utrzymanie równowagi w drodze pomiędzy saniami i halą stawało się coraz trudniejsze. Killashandra widziała, jak powiew wiatru cisnął trzy osoby wprost na jeden ze stojących pojazdów, kolejny robotnik poleciał w stronę odsłaniającego wylot ekranu. Nagły podmuch pochwycił nadlatujące sanie i wyrzucił je do góry nogami. Potrząsnęła głową, słysząc przenikliwy skowyt – może wichury, a może rannego śpiewaka, nie była pewna. Zmusiła swój umysł, by skupił się na pracy i zachowaniu równowagi.

Zawracała właśnie z powrotem do hangaru, gdy ktoś złapał ją za włosy. Zaskoczona, ujrzała szefową wyładunku, Malaine. Kobieta szarpnięciem oderwała ochronny hełm od pasa Killashandry i niemal wbiła go jej na głowę. Zawstydzona tym, że zapomniała o tak prostej rzeczy, Killashandra pośpiesznie poprawiła i dopięła hełm. Malaine uśmiechnęła się w odpowiedzi i uniosła w górę kciuk.

Ulga, jaką przyniosło osłonięcie uszu przed rykiem wichury i złagodzenie bezustannych skoków ciśnienia, była ogromna. Killashandra, przyzwyczajona do pełnego chóru i elektronicznie wzmocnionej orkiestry, nigdy przedtem nie pomyślała nawet o hałasie jak o czymś niebezpiecznym. Na Ballybranie utrata słuchu mogła nie być wcale takim

przekleństwem. Nadal dochodził ją skowyt huraganu, lecz hełm tłumił go znacznie i Killashandra odzyskała nieco energii. Potrzebowała tego, bowiem fizyczna siła wichru nie zmalała ani trochę. Musiała napierać całym ciałem, by dostać się do kolejnych sań.

Podczas następnej smaganej wichurą wędrówki za plecami Killashandry rozpoczęło się taśmowe rozładowywanie sań. Opróżnione pojazdy natychmiast ustępowały miejsca nowym. Dzięki temu, przemykając od jednego do drugiego, można było uzyskać choćby drobną osłonę przed wiatrem. Niebezpieczeństwo czyhało w przerwach między nimi, bowiem huragan jakby czekał tylko na nie dość uważnych.

Killashandra nigdy nie pojęła, jak to się stało, że nikt nie zginął ani nie upuścił nawet jednego pojemnika z plastypianu. I że tak niewiele pojazdów uległo uszkodzeniu wewnątrz hangaru. W pewnym momencie uznała jednak, że do tej pory zdążyła się już zderzyć z prawie każdym z dziewięciu tysięcy członków Cechu, stacjonujących w kwaterze głównej na płaskowyżu Joslina. Później przekonała się, że jej domysł był błędny; kto tylko mógł, starał się pozostać w środku.

Pudła nie zawsze były ciężkie, ale rozkład ich zawartości i wyważenie pozostawiały wiele do życzenia, a cięższy koniec zawsze jakoś opierał się na lewej ręce i bez wątpienia następnego dnia ta strona bolała ją bardziej. Tylko raz była bliska upuszczenia cennego pojemnika: dźwignęła go z ładowni i w tym momencie powiał szczególnie silny podmuch. Po tym zdarzeniu nauczyła się osłaniać ładunek własnym ciałem.

Poza stałymi zmaganiem z huraganem dzień ten wyróżniały w jej pamięci jeszcze dwa spostrzeżenia. Ujrzała odwrotną stronę śpiewania kryształu, przeciwieństwo znanych jej wspaniałości. Większość wyskakujących z sań śpiewaków wyglądała, jakby od dawna się nie myli. Niektórzy mieli świeże rany, dostrzegła też zaschnięty brąz starych obrażeń. Kiedy musiała wejść do ładowni po kilka ostatnich pudeł, w nozdrza uderzyła ją ciężka, dławiąca woń przenikająca z głównej kabiny pojazdu. W takiej chwili Killashandra cieszyła się, że za plecami ma potężny zapas świeżego powietrza.

Nowe sanie nadal wpadały do środka i znajdowały miejsce do ładowania. Nawet ochraniacze nie mogły całkowicie zagłuszyć ryku huraganu, a uderzenia wiatru były równie bolesne, co czyjeś pięści.

– REKRUCI! REKRUCI! – wezwanie przeniknęło przez zasłonę zmęczenia. – Wszyscy rekruci, zbiórka w sortowni. Zbiórka rekrutów w sortowni!

Oszołomiona Killashandra odwróciła się gwałtownie, aby na własne oczy sprawdzić na ekranie, czy się nie przesłyszała. Czyjaś dłoń pochwyciła jej rękę i razem ze swym przewodnikiem zanurzyła się w wir powietrza, by przejść do sortowni.

Znalazłszy się wewnątrz budynku, Killashandra niemal upadła – była kompletnie wyczerpana, a po kilku godzinach zmagania z wiatrem jej ciała naraz zabrakło przeciwnika. Koledzy przekazywali ją sobie, póki nie znaleźli wolnego miejsca i jej tam nie usadzili. Ktoś włożył w jej dłoń ciężki kubek, z głowy zsunął hełm. Ciszę, panującą w pomieszczeniu, przerywały jedynie zmęczone oddechy, od czasu do czasu rozległo się też bolesne stęknienie i tupot butów na plastonie.

Killashandrze udało się na tyle opanować drżenie rąk, by pociągnąć szczodry łyk gorącego, czystego bulionu. Był znakomity i poczuła, jak jego ciepło rozlewa się po całym ciele, docierając do zmarzniętych kończyn, w których już dawno straciła czucie. Dolna część twarzy, szczeka i podbródek, nie osłonięte przed ciosami wichury, również zaczynały piec. Po kolejnym łyku uniosła wzrok, dopiero teraz zauważając rząd siedzeń naprzeciwko: dostrzegła i rozpoznała twarze Rimbola i Bortona, a nieco dalej Celeego. Kilka osób miało podbite oczy, pokaleczone lub podrapane policzki. Czworo wyglądało, jakby wleczono ich po żwirze twarzą w dół. Badając dotykiem własną skórę odkryła, że sama prezentuje się nie lepiej, bowiem na zeszywniałych palcach dostrzegła kropelki krwi.

Głośne syknięcie, dochodzące z lewej strony, przyciągnęło jej uwagę. Medyk zajmował się twarzą Jezerey. Kolejny wędrował wzdłuż drugiego rzędu i zbliżał się w stronę Rimbola, Celeego i Bortona.

– Coś poważnego? – spytał nowy głos, który Killashandra, mimo otępiełego zmęczenia, rozpoznała jako należący do Lanzeckiego.

Zdumiona, obróciła się i ujrzała go w otwartych drzwiach. Czarno odziana postać odcinała się ostro na tle stosu śnieżnobiałych pojemników z kryształem.

– Nic takiego – odparł jeden z medyków, pozdrowiwszy najpierw Cechmistrza pełnym szacunku skinieniem głowy.

– Klasa 895 stanowiła dziś dla nas nieocenioną pomoc – powiedział Lanzecki, mierząc spojrzeniem całą grupę. – Ja, wasz Cechmistrz, dziękuję wam. Również szefowa wyładunku Malaine dołącza podziękowania. Od nikogo innego tego nie usłyszycie – na twarzy mężczyzny nie mignął nawet najlżejszy cień uśmiechu, mogący sugerować, że jego słowa mają wydźwięk ironiczny. – Na wieczorny posiłek możecie zamówić, co tylko chcecie, nie obciążą to waszego konta. Jutro zgłosicie się tu, do sortowni, gdzie nauczycie się czegoś o kryształach, które dziś przywieziono. Możecie odejść.

Wycofuje się, pomyślała Killashandra. Znika ze sceny. Niezwykłe. Ale w końcu to nie śpiewak. Nie potrzebuje zamasztych wejść jak Carrik albo ta trójka na Shankillu, czy uroczystego zejścia jak Borella. Pociągnęła kolejny łyk bulionu – potrzebowała wzmocnienia,

aby zdobyć się na wysiłek wejścia po pochylni i dotarcia na darmowy posiłek. Jak dobrze pomyśleć, poprzedni darmowy obiad także zafundował jej Cech, choć pośrednio. Killashandra była jedną z ostatnich osób, jakie opuściły sortownię. Gdzieś za jej plecami otworzyły się drzwi.

– Ilu jeszcze nie wróciło, Malaine? – głos Lanzeckiego.

– Pięciu właśnie wpadło do hangaru, z tego jeden dosłownie. A w Lotach twierdzą, że mają na ekranach jeszcze dwa możliwe statki.

– Czyli pozostały dwadzieścia dwie osoby.

– Gdyby tylko udało się nam zmusić śpiewaków, by rejestrowali swe działki, moglibyśmy przynajmniej dotrzeć do zaginionych i ewentualnie odzyskać ładunek...

Drzwi zasunęły się i Killashandra nie dosłyszała końca. Podśluchana wymiana zdań i jej ton zaniepokoiły ją. Odzyskać ładunek? Czy tylko to obchodziło Malaine i Lanzeckiego? Ładunek? Co prawda, Malaine wyraźnie podkreślała, iż kryształ jest ważniejszy od zajmujących się nim uczniów, ale śpiewacy z pewnością także byli cenni. Sanie można zastąpić nowymi... jeszcze jedna pozycja na koncercie... lecz śpiewacy sami musieli być na swój sposób wartościowi dla Cechu?

Otumaniony wichurą umysł Killashandry nie był w stanie pojąć podobnych anomalii. Dotarła do szczytu pochylni i musiała oprzeć się o futrynę, aby trafić kciukiem w płytkę. Aż jęknęła ze zmęczenia. Drzwi Rimbola rozwarły się ze świstem.

– Wszystko w porządku, Killa? – twarz Rimbola, poprzecinana cieniutkimi liniami, była upstrzona drobnymi kropelkami krwi. Miał na sobie tylko ręcznik.

– Ledwie żyję.

– Kąpiel ziołowa działa cuda. I zjedz coś.

– Bez obaw. W końcu to na koszt firmy – jej oblicze było zbyt obolałe, by się uśmiechnąć.

Po długiej kąpieli w pachnącej ziołami wodzie, która splukała z jej mięśni najgorsze zmęczenie, poczuła ogromną pokusę, by po prostu paść na łóżko i zasnąć. Cech nie stracił zbyt wiele na posiłku, który ostatecznie zjadła.

Następnego ranka zbudziło ją nagłe buczenie komputera. Zerknęła w ciemność za łóżkiem i dopiero w tym momencie zorientowała się, iż okna przesłaniają płyty ochronne, a na zewnątrz nadal szaleje huragan.

Wyświetlacz poinformował ją, że jest godzina 0830, a jej brzuch, że jest pusty. Gdy uniosła rękę, aby odrzucić ocieplaną kołdrę, wszystkie mięśnie jej ciała zaprotestowały gwałtownie. Przeklinając pod nosem, Killashandra zdołała w końcu oprzeć się na łokciu.

Kiedy tylko musnęła palcem selektor, w podajniku zmaterializował się kubeczek musującego jasnożółtego płynu.

– Ten lek jest preparatem rozkurczającym mięśnie, połączonym z lekkim środkiem przeciwbólowym. Ma za zadanie usunąć objawy zmęczenia.

Killashandra zakłęta ogniście, słysząc tak wyraźne – i, co szczególnie ją zawstydziło, idealnie wycelowane w czasie – naruszenie jej prywatności. Posłusznie jednak wychyliła duszkiem lekarstwo, krzywiąc się na jego lepką słodycz. Po kilku chwilach poczuła się lepiej. Wzięła szybki pysznice, na zmianę zimny i gorący, jako że mimo leków skóra nadal piekła ją po wczorajszym dniu. Jedząc wysokobiałkowe śniadanie pomyślała z nadzieją, że może dziś dadzą im przerwę na posiłek. Wątpiła, czy w ciągu jednego dnia da się przepakować i posortować wszystkie pudła. A takie zajęcie nie wymagało wczorajszego pośpiechu,

Sortowanie zabrało cztery dni pracy równie ciężkiej co walka z wichurą, choć mniej niebezpiecznej fizycznie. Rekruci, każdy z nich pracujący wraz z wykwalifikowanym sortowaczem, wiele nauczyli się przez te dni: jak nie należy ciąć kryształu i pakować go oraz jakie kształty w tej chwili najlepiej się opłacały. Najcenniejsze nie pojawiały się zbyt często i większość sortowaczy bezustannie wypowiadała nader niepochlebne komentarze na temat śpiewaków, którzy wycinają kryształy zalegające w magazynach.

– Mam tego trzy pełne hale – mamrotał Enthor, opiekun Killashandry. – To niebieskich nam potrzeba.

I oczywiście czarnych. Nie, nie, nie tą stroną. Musisz się tego nauczyć – pochwycił skrzynkę, którą Killashandra dźwignęła właśnie na stół. – Po pierwsze, wczytaj kod identyfikacyjny śpiewaka. – Obrócił pojemnik tak, aby pasek, na stałe wtopiony z boku, trafił przed czytnik. – Gdyby nie ta drobna pomoc, wkrótce przy wypakowywaniu wybuchłaby wojna – z zupełnie pomieszаныmi ładunkami i gęsto padającym trupem.

Kiedy na wyświetlaczu pojawił się numer identyfikacyjny, skrzynka była rozpakowywana, a każdy kryształ ostrożnie kładziono na specjalną wagę, określającą barwę, rozmiar, wagę, kształt i doskonałość. Niektóre kształty Enthor natychmiast odkładał na ruchome taśmy, przenoszące ładunek na odpowiedni poziom w zależności od tego, czy miał być przechowywany, czy też wysłany od razu. Inne z niezwykłą starannością umieszczał w kokonie z plastykowej siatki.

Samo sortowanie wyglądało tak prosto, że aż nudno. Czasami niełatwo było wydobyć małe kryształy, które wpychano wcześniej jak popadło w ich ochronną pianę. Killashandra o mały włos przegapiłaby niewielki niebieski ośmiościan, ale Enthor złapał pudło, które właśnie miała przeznaczyć do śmieci.

– Miałas szczęście – oznajmił ponuro, rozglądając się wokół i marszcząc brwi – że śpiewak, który to wyciął, nie patrzył na ciebie. Widywałem już, jak za taką niedbałość potrafili niemal zabić człowiek.

– Za coś takiego? – Killashandra uniosła bryłkę, która nie mogła mieć więcej niż siedem centymetrów długości.

– Za coś takiego. Jest bez skazy. – Enthor szybkim ruchem umieścił kryształ na wadze i sprawdził jego doskonałość. – Słuchaj! – umieścił ostrożnie odłamek pomiędzy jej palcem wskazującym i kciukiem i postukał weń lekko.

Nawet pośród szelestów, uderzeń i cichych, szeptanych instrukcji Killashandra dosłyszała delikatny, czysty dźwięk kryształu. Jego ton chwycił ją za gardło i powędrował po kościach aż do stóp.

– Niełatwo jest ciąć tak małe. W tej chwili ten kawałek wart jest parę setek kredytów.

Killashandra okazała odpowiedni zachwyt i od tej pory wkładała znacznie więcej wysiłku, ryzykując swe palce i dokładnie przeszukując na pozór puste pojemniki, które zdawały się cięższe niż powinny. Enthor objechał ją za to i klepnął rękawicami w policzek, a następnie zdjął jedną z własnych i zademonstrował palce pocięte siateczką ledwie widocznych białych blizn.

– To kryształ. Nawet przez rękawice i po symbiozie. Twoje by zaropiały. Dowaliliby mi za to.

– Dowalili?

– Utrata czasu pracy w wyniku niewystarczających środków bezpieczeństwa odejmowana jest od konta. Twojego także, mimo że jesteś rekrutką.

– Płacą nam za to?

– Oczywiście! – Enthor był oburzony jej ignorancją. – A wczoraj za rozładunek dostaliście premię za pracę w niebezpiecznych warunkach. Nie wiedziałaś?

Killashandra wpatrzyła się w niego ze zdumieniem.

– Jak wszyscy nowi. – Enthor zachichotał dobrotliwie, widząc jej zakłopotanie. – Jeszcze nie przyszedł do siebie po szoku, co? Dostałaś dziś kubek soku? Tak myślałem. Tak jak wszyscy, którzy pracowali na wietrze. Załatwia sprawę. I do tego nic nie kosztuje – znów się zaśmiał. – Wszelka opieka medyczna i leki są bezpłatne, wiesz przecież.

– Ale mówiłeś, że ci dowalą...

– Za głupotę, polegającą na lekceważeniu środków ostrożności – rozprostował palce obleczone w grube, lecz obcisłe niczym druga skóra rękawice. – Nie, zostaw to pudło. Weź

następne. Właśnie przyszedł Fugastri. Nie chcemy, żeby czekał. To prawdziwy diabeł, ale ze mną jeszcze mu się nie udało!

– To naprawdę miło z twojej strony...

– Pomagasz mi i obojgu nam płacą z tego samego źródła – kryształu. Równie dobrze możesz poznać tę pracę – ton głosu Enthora sugerował, iż może nie natrafić na tak dobrego instruktora w innych sektorach. – Kto wie? Może wylądujesz tu jako sortowaczka, a my lubimy się zabawić. Mówiłaś, że jak masz na mnie?

– Killashandra.

– Och, to ty przywiozłaś z powrotem Carrika? – w głosie Enthora nie dźwięczało żadne uczucie; po prostu ją zidentyfikował.

W głębi ducha Killashandra ucieszyła się; nie była jedynie zagubioną w komputerach Cechu jednostką. Słyszeli o niej nie tylko członkowie Klasy 895.

– Znałeś Carrika?

– Znam ich wszystkich, moja droga. A wolałbym nie. Choć to nie takie złe życie. – Znów przyjacielsko zachichotał. – Ładna płaca za ładną pracę, a potem najlepsze z możliwych warunki domowe – jego uśmiech stał się bardziej sprośny. Enthor szturchnął ją lekko. – Tak, zapamiętaj moje imię, póki jeszcze możesz. Bo jeśli zostaniesz śpiewaczką, na pewno je zapomnisz. Enthor, poziom czwarty, kwatery 895. Powinnaś zapamiętać z łatwością, bo to numer twojej klasy.

– A jaki był twój? – Killashandra pośpiesznie szukała tematu, który odwróciłby rozmowę od tej propozycji.

– Numer klasy? 502 – odparł. – Z moją pamięcią wszystko w porządku.

– I nie jesteś głuchy.

– Gdybym był, nie mógłbym sortować kryształu!

– To co ci zrobił symbiont? – wypaliła, zanim zdała sobie sprawę, że może naruszać jego prywatność.

– Oczy, złotko, oczy – odwrócił się i, po raz pierwszy, spojrzał prosto na nią. Mrugnął i Killashandra westchnęła głośno. Ruch powiek sprawił, że soczewki ochronne cofnęły się, ukazując ogromne źrenice, całkowicie przesłaniające pierwotny kolor tęczówki. Ponownie mrugnął i całą gałkę oczną pokryła jakaś czerwona substancja. – To dlatego zostałem sortowaczem i od pierwszego rzutu okiem poznaję, który kryształ jest bez skazy. Jestem w tym fachu jednym z najlepszych, jacy kiedykolwiek żyli. Lanzecki często wspomina o moich zdolnościach. A tam, niedługo zobaczysz, co mam na myśli..

Inny sortowacz zbliżał się ku nim z naburmuszoną miną, obarczony pojemnikiem i eskortowany przez wściekłego śpiewaka.

– Twoja opinia na temat tych niebieskich... – śpiewak, którego twarz nadal wykazywała ślady długiego pobytu w Pasmach, szorstko odebrał pudło swemu towarzyszowi i niemal cisnął je w stronę Enthora. Następnie z charakterystycznym brakiem uprzejmości (co, jak zauważyła Killashandra, było raczej typową cechą zawodu, a nie poszczególnych jednostek) śpiewak stanął tak, by przysłonić widok sortowaczowi, w którego osąd wątpił.

Enthor ostrożnie złożył pudło na swym warsztacie i wyjął kryształy, jeden za drugim, unosząc je do swych wzmocnionych oczu, po czym odkładał je w równym rzędzie. Było tam siedem zielonobłękitnych piramidek, każda kolejna większa od poprzedniczki o dwa, trzy centymetry podstawy.

– Nie stwierdzam żadnych skaz. Ostre krawędzie i ładne cięcie – stwierdził bezosobowym tonem, jakże różnym od tego, jakiego używał w rozmowie z Killashandrą. Z niemal przesadną drobiazgowością otarł i wypolerował maleńki młoteczek, po czym delikatnie postukał w każdą z piramidek.

Czwarta odpowiedziała o pół miast całego tonu wyżej niż poprzedniczka i skala nie została osiągnięta.

– Sprzedaj je triami, a niedoskonały zachowaj jako pokazowy. Radziłbym, abyś sprawdził swą piłę, czy nie ma może zużytej uszczelki. Jesteś zbyt dobrym śpiewakiem, by popełnić tak oczywisty błąd. Prawdopodobnie nadciągająca burza wybiła cię z tonu.

Ta próba dyplomacji bynajmniej nie ułagodziła wściekłości śpiewaka. Jego szyja napięła się, gdy zbierał siły do wrzasku. Enthor zdawał się tego nie dostrzegać, ale drugi sortowacz cofnął się pośpiesznie.

– Lanzecki!

Gniewny ryk nie tylko przywołał Lanzeckiego. W całej sortowni zapadła cisza, śpiewak jednak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Cały czas wbijał wściekle spojrzenie w Enthora, który jak gdyby nigdy nic wystukiwał jakieś liczby na terminalu.

Killashandra poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i posłusznie odstepowała na bok, przepuszczając Lanzeckiego na swe miejsce u boku Enthora. Jakby dostrzegając obecność Cechmistrza, Enthor ponownie popukał w kryształy i ich miękki dźwięk zamarł w pełnej uszanowania ciszy.

Lanzecki nie słuchał; zamiast tego obserwował wyświetlacz wagi. Jedna brew zadrżała mu lekko na dźwięk półtonu i widok odpowiedniej liczby na ekranie.

– To naprawdę niewielki problem, Uyadzie – oznajmił, zwracając swą spokojną twarz w stronę poczerwieniałego śpiewaka. – Tniesz tę ścianę dostatecznie długo, by zacząć wchodzić w półtony. Sugerowałabym, abyś zachował ten zestaw i uzupełnił go do oktawy. Piramidy w takich zestawach są zawsze w cenie.

– Lanzecki – błagalna desperacja zastąpiła gniew w głosie i zachowaniu śpiewaka. – Tym razem muszę wydostać się z planety. Muszę znaleźć się daleko stąd! Nie przeżyję kolejnej wyprawy do Pasm... nie dam rady bez urlopu poza tą cholerną planetą!

– To tylko jeden pojemnik, jeden zestaw, Uyadzie–yuic–Holm. Z tego, co widzę, twój towar był bardzo dobry – w tym czasie, gdy Uyard tak gwałtownie zmienił swe reakcje, Lanzecki zdążył już skorzystać z terminala. – Tak, sądzę, że starczy na to, by zabrać cię stąd na dłuższy okres. Chodź, sam będę nadzorował sortowanie.

Po chwili wszystko wróciło do normy. W pomieszczeniu znów zabrzmiały odgłosy pracy, Lanzecki prowadził roztrzęsionego śpiewaka do innego stołu sortowniczego, starając się dodać mu otuchy i nie wykazując nawet cienia pogardy. Killashandra podziwiała go za to. Drugi sortowacz wrócił na swe stanowisko. Enthor sprawnie zapakował nieszczęsne piramidy, zapisał coś na pojemniku i wsunął go do rzadko używanej szpary podajnikowej nad głową.

Następnie, widząc oszołomienie dziewczyny, przyjacielsko szturchnął ją w żebro.

– Stałe tempo sprawia, że nawet największy ładunek staje się mały i łatwy. Następne pudło, złotko.

Jednak nawet przy najrówniejszym tempie wydawało się, że sterty oczekujących wypakowania pojemników wcale nie maleją. Ten wypełniony nużącą i monotonną robotą dzień stał się interesujący dzięki nieustannemu potokowi informacji Enthora na temat stopni, dźwięku i charakteru kryształów. Gdy dostrzegł, że bardzo interesują ją wyceny, upomniał:

– Nie wysilaj główki na zapamiętywanie cen, złotko. Zmieniają się co dzień. Biuro handlowe oblicza aktualne stawki, ale następnego dnia mogą już być całkiem inne. Jeden aspekt kryształu to dla mnie zupełnie dość; handel pozostawiam innym. Ach, oto piękny okaz różowego kryształu! Spójrz na odcienie, głębie, linie cięcia. Robota Dootha, jeśli się nie mylę.

– Enthor spojrzał na pasek identyfikacyjny, mrugając oczami, aby dokonać zmiany szkieł. – Nie mylę się. Poznałbym jego cięcie wśród stu innych.

– Czemu? – Killashandra nachyliła się, aby z bliska obejrzeć kryształ o przekroju ośmiokąta. Miał przepiękny, głęboki blad różowy kolor o lekkim odcieniu lila, ale nadal nie widziała, co wywołało entuzjazm Enthora. Sortowacz odetchnął głęboko, jakby szykując się do wyjaśnień, po czym gwałtownie wypuścił powietrze.

– Żeby to wiedzieć, musiałbyś mieć moją pozycję, nieprawdaż? – znów zamrugał i przyjrzał się jej, przebiegle przymykając oczy.

– Niekoniecznie – odparła – osobiście wolę śpiewać kryształ. Enthor przeniósł spojrzenie z niej na różowy oktagon.

– Tak, może byś i wołała. No cóż, po prostu rozpoznaję cięcie Dootha, kiedy je widzę. Kiedy... jeśli będziesz sama cięła kryształ, zrozumiesz, o czym dziś mówiłem, i jeśli będziesz pamiętać, pojmiesz, co takiego szczególnego jest w tym kryształach.

Używając obu rąk położył ciężki klejnot na wadze, po czym przesuwając palcami po wargach obserwował, jak na wyświetlaczu ukazują się układy liczb. – Wydawało mi się, że mówiłeś, jakoby był nadmiar różowego kwarcu...

– Nie tych rozmiarów, barwy i o takiej strukturze – odrzekł, wystukując sekwencję cyfr. – Słyszałem przypadkiem – tu Enthor ściszył głos – że ktoś bardzo wysoko postawiony w Federacji szuka dużych kawałków dokładnie w tym odcieniu – przeniósł kryształ do pakowarki, która zasnuła głęboki róż plastikową pajęczyną. Gdy cały już był zakryty, Enthor dotknął palcem przycisku na terminalu i na twardniejącej powierzchni został wybity kod identyfikacyjny.

Pod koniec pierwszego dnia sortowania Killashandra była równie zmęczona co po rozładunku w czasie huraganu. Powiedziała to zresztą głośno, gdy Shillawn i Rimbol, także najwyraźniej wykończeni, dołączyli do niej na biegnącej w górę pochylni, którą dochodziło się do ich kwater.

– Płacą nam za to – stwierdził Shillawn.

– A wczoraj dostaliśmy premię za niebezpieczną pracę – dodała Killashandra, lubiąca mieć ostatnie słowo.

– Korzyści płynące z grzebania w bankach danych, co? – rzucił Rimbol ze złośliwym uśmiechem. Killashandra nie przyznała mu się do wyprawy śmigaczem, ale i tak o niej wiedział.

– Kandydatom o tym powiedziano. Dostępne nam dane były – odparła Killashandra, tak znakomicie naśladowując pełen powagi ton Tukuloma, że jej towarzysze wybuchnęli śmiechem. – Idę wziąć prysznic. Do zobaczenia później, w sali ogólnej.

Rimbol skinął głową, Shillawn uczynił to samo.

W dozowniku obok łóżka odkryła kolejny kubek cytrynowożółtego napoju. Wypiła go i weszła pod prysznic. Po chwili poczuła przypływ energii, który ożywił ją na tyle, że potem z przyjemnością spędziła wieczór z Rimbolem i Shillawnem oddając się dość głupawej grze w kości.

I choć przez następne trzy dni nie trafił się już żaden natrętny śpiewak, który dodałby barw rutynowemu sortowaniu kryształu, Killashandra miała niezwykle szczęście. W połowie drugiego dnia do sortowni wszedł Lanzecki w towarzystwie przystojnej kobiety – Killashandra wiedziała, że musiała to być szefowa sprzedaży – i skierowali się prosto do Enthora.

– Gorren odzyskał przytomność. Bredzi coś o czarnym kryształ. Czy dostałeś już jakieś jego pojemniki?

– Na me stare kości, nie! – Enthor był jednocześnie wstrząśnięty i zaskoczony. Wstrząśnięty, bo, jak później wyjaśnił Killashandrze, wszystko, co wydobył Gorren, przechowywano osobno. Zaskoczony zaś dlatego, że nic nie wiedział o powrocie Gorrena. Wydawało mu się, że niespodziewana burza zastała go w Pasmach, podobnie jak kilku innych śpiewaków. Czarne kryształy Gorrena powierzano zawsze ocenie Enthora.

Po chwili w sortowni pośpiesznie sformowano grupkę roboczą, sprawdzającą rząd za rzędem nadal oczekujących swej kolejki pudeł. Wezwano wszystkich, którzy rozładowywali sianie Gorrena: te, które się wywróciły. Szczęśliwie należeli oni do stałego personelu hangaru i – wiedząc, że towar Gorrena ma zwykle wysoką wartość – umieścili je w najwyższej warstwie piątego rzędu, przekładając dodatkowo pojemniki ochronnymi płytami.

Jedenaście cennych pudeł, traktowanych z najwyższą rewerencją, znalazło się na dole. Ponieważ Killashandrze stale powtarzano, że naprawdę trudno jest uszkodzić owe specjalnie dla śpiewaków skonstruowane skrzynki, i nieraz już widywała robotników beztrąsco rzucających nimi do siebie, teraz doszła do wniosku, że to obecność Lanzeckiego i szefowej sprzedaży, Heglany, miała zbawienny wpływ na obsługę.

Z jeszcze większym zdumieniem ujrzała, jak dwójka najwyższej rangi przedstawicieli Cechu osobiście bierze po jednym pojemniku. Z radością spojrzała, gdy Enthor wcisnął w jej objęcia kolejną skrzynkę i poczekał, aż mocno ujmie uchwyt.

Okazane zaufanie ucieszyło Killashandrę. Z przytulonym do piersi czarnym kryształem przemaszerowała krótki odcinek do sortowni. Kiedy tam dotarła i bezpiecznie złożyła swój ładunek obok pozostałych, poczuła, że aż dygocze z napięcia.

Później, wspominając tę scenę, uświadomiła sobie, iż Enthor poruszał się przy rozpakowywaniu z dokładnie taką samą szybkością co zwykle – ale wtedy w sortowni odniosła wrażenie, że niezdolnie się ślimaczył. Może sprawiła to obecność tylu ważnych osobistości, ich skrywane napięcie. Cała sala zamarła w oczekiwaniu.

Gdy Enthor wyjął z piany ochronnej pierwszy czarny kryształ, przyglądający się tłum aż westchnął.

– Ostro poszedł, co? – szepnęła szefowa sprzedaży Heglana i cmoknęła cicho. Lanzecki skinął głową, nie odrywając wzroku od rąk Enthora.

Kolejny kryształ był większy i, ku zdumieniu Killashandry, Enthor nie umieścił go w bezpiecznej odległości od pierwszego – przeciwnie, przyłożył je do siebie w miejscu, gdzie zdawały się idealnie pasować. Poczuła dreszcz u podstawy czaszki, falę drgań, obejmującą tył głowy, czoło, skronie. Potrząsnęła głową i wrażenie zniknęło. Ale nie na długo. Trzeci, największy kryształ spoczął obok poprzedniego, za nim czwarty i piąty. Lekki dreszcz wzmógł się, poczuła, jak napina jej skórę na głowie. A może to kości czaszki uniosły się, wypychając skórę?

– Pięć dobranych kryształów. Gorren nie kłamał – głos Lanzeckiego był beznamiętny, lecz Killashandra dosłyszała w nim zadowolenie. – Jakość?

– Wysoka – odparł spokojnie Enthor. – Nie jest to jego najlepsze cięcie, ale ośmielam się twierdzić, że drobne skazy nie zakłócą działania kryształów, jeśli elementy nie znajdą się zbyt daleko.

– Piątka to już dość na fragment sieci międzyplanetarnej – wtrąciła Heglana.

– Gdzie są te skazy? – spytał Lanzecki. – W kryształ-matce?

– Nie – palce Enthora musnęły największy z piątki, jakby chciały dodać mu otuchy. – W pierwszym i piątym. Śladowe. – Zgrabnie umieścił złączony kwintet na wadze i wystukał sekwencję cyfr. Na wyświetlaczu pojawiła się liczba, na widok której Killashandra omal nie krzyknęła – powstrzymała ją jedynie świadomość, w jakim towarzystwie się znajduje.

Kimkolwiek był Gorren, właśnie zdobył majątek. W myślach odjęła od tego wymagane trzydzieści procent podatku cechowego. No dobrze, nieco mniejszy majątek – ale nadal pozostawało jeszcze dziesięć nie tkniętych pojemników.

Pod nieustannym obstrzałem spojrzeń Lanzeckiego i Heglany Enthor opróżnił trzy z nich. Killashandrę lekko rozczarowała ich zawartość, choć obserwatorzy przyjęli ją z satysfakcją. Niewielkie odłamki nie były tak imponujące i choć jeden zestaw zawierał dwanaście dopasowanych kawałków, kryształ-matka nie był dłuższy niż jej dłoń i szerszy niż palec.

– Chyba dotarł już do najniższej warstwy złoża – oznajmił Lanzecki, gdy opróżniono czwarty pojemnik. – Pracuj dalej, Enthor, a kiedy skończysz, natychmiast prześlij wyniki do mojego biura, dobrze? – Lekko skłoniwszy się w jego kierunku, Cechmistrz i Heglana wyszli z sortowni.

Przez pomieszczenie przebiegło głośnie westchnienie i wszyscy podjęli przerwana pracę.

– Nie sądzę, Killashandro, abyśmy dotarli do prawdziwego skarbu. – Enthor zmarszczył brwi. – Gdy mi włos na karku staje...

– Co takiego? – Killashandra spojrzała na niego ze zdumieniem, bowiem dokładnie opisał jej własne odczucia. Enthor wbił w nią zaskoczony wzrok.

– Swędząca skóra na głowie? Dreszcz na karku?

– Czy dopadła mnie symbiotyczna gorączka?

– Jak długo tu jesteś?

– Pięć dni.

Potrząsnął głową.

– Nie. Nie! Za wcześnie jak na gorączkę! – ponownie mrużąc oczy wpatrzył się w nią uważnie. Następnie wskazał siedem pozostałych pojemników.

– Wybierz następny.

– Ja?

– Czemu nie? I tak musisz się przyzwyczaić do obchodzenia z... – urwał i przygładził krótko ostrzyżone włosy – kryształem. Osobiście nie zgadzam się z panem Lanzeckim. Nie sądzę, aby Gorren dotarł już do dna czarnej żyły. To spryciarz. Wybiera tylko tyle wartościowego materiału, by wydostać się poza planetę, reszta to drobiazg. W ten sposób trzyma Lanzeckiego w szachu i ma zapewnione wakacje, kiedy tylko zechce. No dalej, wybierz skrzynkę.

Oszołomiona nagłym poleceniem, Killashandra sięgnęła po najbliższe pudło, zawahała się i wiedzona niezwykłym impulsem, ujęła uchwyty jego sąsiada. Podniosła go i już miała podać Enthorowi, on jednak gestem nakazał jej położyć ładunek na stole, z identyfikatorem skierowanym w stronę czytelnika.

– No, otwórz go.

– Ja? Czarny kryształ?

– Ty go wybrałaś, prawda? Musisz się nauczyć z nim obchodzić.

– A jeśli upuszczę...

– Nie upuścisz. Jak na dziewczynę masz bardzo silne ręce, krótkie i zwinne palce. Nie wypuścisz z nich czegoś, co chcesz utrzymać.

Napięcie otuliło ją niczym dodatkowa lodowata skóra. Doświadczyła już kiedyś czegoś takiego: za kulisami w Centrum Muzycznym, przed występem. Teraz też trzy razy głęboko zaczerpnęła powietrza, oczyszczając płuca i przeponę, jakby za chwilę miała odśpiewać długą muzyczną frazę.

I rzeczywiście, kiedy jej wędrujące palce zamknęły się na dużym, gładkim i śliskim przedmiocie w samym środku plastypianu, zaskoczona wydała z siebie ciche „ach!”

– Nie!!! – Enthor odwrócił się do niej, wściekły. – Nie, nie! – runął naprzód, dłonią zakrywając jej usta. – Nigdy nie śpiewaj w pobliżu nie obrobionego kryształu! Szczególnie – jego głos aż drżał z furii – czarnego kryształu! – W podnieceniu zamrugął i ochronne soczewki odsłoniły czerwone oczy, których blask całkowicie onieśmielił Killashandrę. Enthor rozejrzał się gorączkowo, czy ktoś jeszcze zauważył jej wyskok. – Nigdy!

Nie śmiała nawet powiedzieć mu, że spoczywająca w jej dłoni bryła na dźwięk jej głosu zaczęła wibrować i że w kościach dłoni poczuła odpowiedź innych, nie rozpakowanych jeszcze elementów.

Enthor z najwyższym trudem opanował gniew.

– Zapamiętaj: żadnego śpiewania czy gwizdania w pobliżu nie obrobionego kryształu, nieważne, jakiego koloru. Mam tylko nadzieję, że ten niefortunny... okrzyk zachwytu nie uszkodził całego połączenia. Gdyby mnie pytano, potwierdzę, iż był to właśnie okrzyk zachwytu. – Jeszcze raz odetchnął głęboko, po czym gestem nakazał jej kontynuować wypakowywanie kryształu.

Odkładając ciężki blok Killashandra przymknęła oczy. Enthor nie będzie zadowolony, jeśli rzeczywiście uszkodziła kryształ. Tukulom kilka razy i ze zdecydowanym naciskiem opowiadał im o skomplikowanej i delikatnej procedurze, podczas której fragmenty czarnego kryształu poddawano synchronizowanemu wzbudzeniu magnetycznemu, czego efektem był jednoczesny rezonans pomiędzy poszczególnymi fragmentami oddalonymi od siebie nawet o pięćset lat świetlnych. Rezonans ten umożliwiał istnienie najlepszego i najdokładniejszego systemu łączności, jaki znała galaktyka. Myśl, że niechcący mogła zniszczyć wartość bryły, którą właśnie ukazała zdumionym oczom Enthora, była dla niej nieznośnym ciężarem.

Z głośnym westchnieniem, za które miała ochotę odpłacić mu przed chwilą zasłyszonym wykładem, dotyczącym dźwięków w pobliżu kryształu, Enthor z szacunkiem odebrał jej ciężkie znalezisko.

– Ile jeszcze jest w tym pudle? – spytał drżącym głosem.

Killashandra bez patrzenia wiedziała, ile być powinno. Dwanaście – i tyle było. Wydobyła je spomiędzy ochronnych włókien i ostrożnie przekazała Enthorowi, choć żaden nie dorównywał wagą i rozmiarami kryształowi–matce. Pasowały do niego równie ściśle co przedtem, gdy stanowiły całość – nim Gorren naruszył ich spokój.

– No! – Enthor umieścił cały zestaw obok wagi i wpatrzył się w niego.

– Czy... czy z nimi wszystko w porządku? – udało się w końcu wykrztusić Killashandrze.

Uderzenie młoteczka Enthora wzbudziło czysty dźwięk, który przeniknął ją od stóp do głów i zabrzmiał w uszach jak błogosławiona muzyka. Nawet bez zapewnienia Enthora wiedziała już, że kryształ jej wybaczył.

– Miałaś szczęście, moja droga. Wygląda na to, że użyłaś akurat tego tonu, w jakim go wycięto. Na szczęście dla mnie. Killashandra oparła się o stół. Cała dygotała.

– Taki zestaw zapewni wielokrotne łącza pomiędzy trzydziestoma, może czterdziestoma układami. Cudo! – Teraz badał trzynaście kryształowych bloków swymi wzmocnionymi oczami. – Ciął tuż poniżej skazy – mruknął bardziej do siebie niż do Killashandry, po czym, jakby przypominając sobie o jej obecności, dodał: – Tego zresztą należałoby się po Gorrenie spodziewać.

Zdecydowanym, pewnym ruchem przełożył kryształ na wagę. Killashandra aż sapnęła, widząc rozmiary fortuny, którą właśnie zdobył Gorren.

– Cudo! – powtórzył Enthor. Nagle zachichotał i rzucił jej przebiegłe spojrzenie. – Ale Lanzecki będzie miał teraz diablo ciężkie zadanie, jeśli zechce przekonać Gorrena, aby wydobył cokolwiek przez najbliższe dwa galaktyczne lata. Nie tak często ktoś tnie czarny kryształ. Czy nawet go znajduje. Zresztą, co tam, to jego zmartwienie, nie moje. Ani twoje. Przynieś następny pojemnik, moja droga. Zdaje się, że masz smykałkę do wybierania właściwych.

– Po prostu szczęście – odparła Killashandra przyglądając się pozostałym skrzynkom. Żadna z nich nie przyciągała jej tak jak poprzednia.

Wolałaby się mylić, lecz reszta towaru Gorrena rzeczywiście okazała się mało ciekawa. Niewielkie, nieskazitelnie czyste odłamki, wedle słów Enthora, znakomicie nadawały się do większych urządzeń rozrywkowych, dostarczających realistycznych wrażeń zmysłowych.

ROZDZIAŁ V

Tego wieczoru większość rekrutów oblegało Killashandrę, każąc sobie opowiedzieć wszystko o czarnym kryształ, Lanzeckim i szefowej sprzedaży, niewiele bowiem słyszeli i nie zezwolono im na przyglądanie się całej akcji. Zgodziła się z przyjemnością, dodając do tego nieco przesadzoną wersję zachowania i ostrzeżeń Enthora. Głośno wypowiedziane słowa zmniejszyły nieco napięcie, jakie nadal czuła – w końcu znalazła się o krok od zmarnowania kredytu równego dochodom średniej planety.

– Co by zrobili, gdybyś naprawdę go uszkodziła? – spytał Shillawn, nerwowo przełykając ślinę. Bez wątpienia natychmiast wyobraził sobie siebie w podobnej sytuacji.

– Nie mam pojęcia.

– Z pewnością coś dziwnego – podsunął Borton. – Ci śpiewacy nie patyczkują się z nikim, jeśli w grę wchodzi ich towar. Oczywiście, przy moim szczęściu musiałem pracować z sortowaczem, który zajmuje się skrzynkami Uyada. Ukryłem się w magazynie za tyloma pudłami, że jego wybuch nie dopadł mnie bezpośrednio.

– A więc to tam byłeś – zaśmiała się Jezerey. – A niby gdzie. Nie po to jestem, żeby obrywać za grzechy innych.

Rozmowa toczyła się dalej. Powracającym tematem były kryształy brył z Pasm Brerrertona i Mikeleya, ich rozmiary i barwa. Killashandra nie wtrącała się więcej. Wołała milczeć. Gdy tylko udało jej się uczynić to bez zwracania na siebie większej uwagi, wstała z krzesła i wróciła do pokoju. Chciała spokojnie pomyśleć i przypomnieć sobie uczucie, towarzysząc kontaktowi z ciężkim blokiem czarnego kryształu. Tak naprawdę nie był on zresztą czarny, zupełnie nie, ani – w odróżnieniu od różowego i wszystkich pozostałych odmian – przejrzysty. Na razie przyjęła jednak opis za dobrą monetę, bowiem Enthor z pewnością znał się na kryształach, a czarny kwarc niewątpliwie różnił się od innych.

Wystukała prośbę o wszystkie informacje dotyczące kryształów czarnego kwarcu i ich odmian. W banku danych znalazła opis wielu istniejących szlifów, żaden jednak nie był identyczny ze znanym jej dwunastościanem. Kolejny obraz ukazywał ośmiościan, najpierw przejrzysty i lśniący, a następnie, w odpowiedzi na sztucznie wywołaną zmianę ciepłoty, stopniowo przygasający aż do matowej czerni. Kiedy doszła do początku tego samego wykładu, jakim wcześniej uraczył ich Tukulom, wyłączyła ekran, wyciągnęła się na łóżku i

zaczęła rozpamiętywać dziwne uczucie, towarzyszące pierwszemu kontaktowi z czarnym kryształem.

Następnego dnia grupy odzysku sprowadziły pojemniki odnalezione w uszkodzonych przez wichurę saniach śpiewaków, którzy nie schronili się na czas w bezpiecznej przystani kompleksu cechowego. W sortowni zapadło ponure milczenie, gdy pojawiły się pierwsze pudła – powgniatane i odbarwione, często uszkodzone przez wiatr. Nastrój poprawił się jednak, gdy w dwóch z nich odkryto ładne komplety czarnego kryształu – jeden potrójny i jeden poczwórny.

– Co teraz z nimi będzie? – spytała cicho Killashandra.

– Z czym? – nie zrozumiał Enthor.

– Z kryształami śpiewaków, którym się nie udało.

– Cech – lapidarna odpowiedź sortowacza zdawała się sugerować, że tylko takie rozwiązanie zadowala wymogi sprawiedliwości.

– Ale czy członek Cechu nie ma prawa inaczej rozporządzać... rzeczami, które posiada?

Enthor znieruchomiał nad właśnie otwieranym pojemnikiem, rozważając jej pytanie.

– Pewnie ma. Problem w tym, że większość śpiewaków przeżywa swoje rodziny o setki dekad. Zazwyczaj stają się dość skąpi, nie nawiązują zbyt licznych znajomości poza planetą, a gdyby nawet, to i tak szybko o nich zapominają. Przypuszczam, że niektórzy mogą coś komuś zapisać. Ale to rzadki przypadek.

W połowie następnego dnia, gdy fala pojemników znacznie już zmalała, rekrutom polecono wspomóc załogę hangaru przy oczyszczaniu sań śpiewaków i uzupełnieniu zapasów. Huragan powoli przycichał.

Nie tylko Killashandra zdołała wcześniej poznać stan, w jakim znajdowały się sanie. Na wielu twarzach pojawił się niesmak i niezadowolenie, lecz jeden rzut oka na zarządcę hangaru przekonał nawet największych malkontentów, iż lepiej z nim nie zadzierać.

– Nie zamierzam sprzątać czyichś brudów za tych marnych kilka kredytów – oznajmiła Carigana. – W przestrzeni nikt po mnie nie sprzątał i tym bardziej nie będę tego robić na ziemi. Pasożyty – oto, czym są! Pewne siebie, aroganckie robactwo! – błysnęła oczami, jakby wzywając, by poszli jej śladem. Gdy odchodziła, jej pogarda dla reszty była niemal namacalna.

Na wspomnienie panującego w niektórych saniach brudu Killashandrę ogarnęła ogromna pokusa, aby zrobić to samo co Carigana i niewątpliwie uległaby, gdyby to kto inny dał przykład.

– Naprawdę nam płacą. Zresztą lepsze to niż przebieranie palcami! – Shillawn złapał ją za rękę, jak gdyby wyczuwając wahanie Killashandry.

– Mnie tam wszystko jedno – ciągnął zarządca, zapominając o Cariganie w momencie, gdy zniknęła im z oczu – ale za każdy ukończony rząd przyznaje się premię. Pierwszych osiem jest już gotowych. Śpiewacy potrafią paskudnie obrzydzić życie tym, którzy nie chcą im pomagać. Burza już niemal ucichła i wkrótce będzie ich tu pełno – wszyscy jak najszybciej chcą znaleźć się w Pasmach. Meteo jutro w południe powinno udzielić zezwolenia. No, ruszajcie do roboty. Bierzcie się za nie tak, aby były czyste i dobrze zaopatrzone – a śpiewacy znaleźli się w górach, tam gdzie ich miejsce.

Z powrotem zasiadł na swym fotelu – za kontrolną konsolą, wyglądając na rozległe, równe rzędy powietrznych sań, wokół których uwijali się stali pracownicy hangaru. Kiedy jego spojrzenie omiotło niezdecydowanych rekrutów, zmarszczył lekko brwi, po czym na widok uszkodzonego pojazdu, przeciąganego na miejsce w szyku, skrzywił się jeszcze bardziej.

– Cech musi w jakiś sposób radzić sobie z leserami typu Carigany – powiedział Borton, zezując w stronę bramy. – Nie wierzę, żeby jej się to upiekło!

– Wcale nie musimy sprzątać po bandzie zasranych śpiewaków – oznajmiła Jezerey, buntowniczo błyskając oczami. – Pamiętam te sanie. Błę! – i zatkała nos palcami.

– Chciałbym przyjrzeć się bliżej wyposażeniu – stwierdził Rimbol, obracając się na pięcie w stronę rzędów sań.

– I powąchać z bliska, co? – dodała Jezerey.

– Do każdego smrodu można się z czasem przyzwyczaić. Poza tym, to im pozwala zapomnieć o innych rzeczach.

– Te sanie sprawiają, że zapomnisz o wszystkim – warknęła.

Przez chwilę cała grupa milczała. Dokładnie wiedzieli, co miał na myśli Rimbol. Musiały jeszcze minąć dwa dni, nim u kogokolwiek z nich pojawią się pierwsze objawy gorączki symbiotycznej.

– Płacą nam za to. A zarządca hangaru wspominał coś o premii... – Shillawn nie dokończył, nerwowo przełykając ślinę.

– Hej, wy tam! Przydałaby mi się jakaś pomoc! – zaopatrzeniowiec, sądząc po odcieniu munduru, nachylił się ku nim z wyższej kondygnacji.

Jezerey, nadal naburmuszona, ruszyła jednak wraz z innymi ku rozłożonym w kącie najprzeróżniejszym sprzętom czyszczącym.

Od czasu gdy Killashandra opuściła rodzinną farmę drzewną na Fuerte, nigdy nie była zmuszona ubabrać się do tego stopnia. Rimbol miał rację – przy piątých saniach zdążyła już całkowicie zobojętnieć na wszelkie możliwe wonie. Tak jak powiedział, warto było przyjrzeć się z bliska saniom powietrznym śpiewaków kryształu: od ich najgorszej i, po dokładnym oczyszczeniu, najlepszej strony.

W części dziobowej znajdowała się tablica kontrolna i fotel pilota, w którego poręcze wmontowane były przyciski ręcznego sterowania. Tuż obok głównego wjazdu sterczały uchwyty, normalnie podtrzymujące piłę śpiewaka – otwarte, ponieważ po każdej wyprawie do Pasm narzędzia poddawano przeglądowi. Większą część pojazdu zajmowało pomieszczenie mieszkalne na czas pobytu w górach, wygodne, choć raczej ciasne. Gruba zasłona oddzielała od części przedniej ładownię i pomieszczenie napędu.

Zaopatrzeniowiec, bowiem taki oficjalny tytuł miał ów starzec, był głuchy do tego stopnia, iż Killashandra musiała potrząsać nim gwałtownie za każdym razem, gdy chciała przyciągnąć jego uwagę. Potrafił jednak znakomicie czytać z ruchu warg i, kiedy już zadała mu pytanie, w odpowiedzi padał potok encyklopedycznych wiadomości i cała historia poszczególnych sań wraz z ich śpiewakami. Może i był stary, ale pracował tak zrećźnie, że musiała naprawdę się wysilać, by dotrzymać mu kroku.

Jej towarzysz, którego nawet w myślach zwała zaopatrzeniowcem, nie odpowiedział bowiem na uprzejme pytanie o imię, zdawał się mieć istnego hysia na punkcie uporządkowanych, błyszczących czystością, doskonale wyposażonych sań, choć Killashandra zastanawiała się nad sensem całego tego poświęcenia. W końcu najbardziej lśniąca czystość miał rychło zastąpić brud.

– Zawsze można dostać się do kryształu – stwierdził starzec. Wskazał przy tym ręką pięć wjazdów: pierwszy, prowadzący do głównej kabiny, dolny do części napędowej i trzy do ładowni: po obu stronach i na górze. – W dodatku to najmocniejsza część sań. Oczywiście specjalnie, bo to właśnie kryształ jest najważniejszy. Jeśli śpiewak zostanie ranny albo gorzej – urwał z szacunkiem – szczególnie jeśli zostanie ranny, kryształ można uratować i jego znalazcy nie zabraknie kredytów. Śpiewacy potrafią wpaść w prawdziwą furję, jeśli stracą swój urobek, wiesz. Może i tobie się to zdarzy. Jesteś rekrutką, tak? To wszystko musi być dla ciebie czymś zupełnie nowym. Może to jedyny raz, kiedy oglądasz sanie z bliska. A może i nie, kto wie? Nie, siatka ochronna jest zawsze rozpięta – sam umocował ją sprawnie, spoglądając na Killashandrę z lekkim wyrzutem, bowiem zbyt pośpieszyła się przy rozmieszczaniu obecnie pustych skrzynek na kryształ. – Puste czy pełne, nie mogą obijać się po całej ładowni w czasie lotu czy podczas burzy.

Spojrzał na swą bransoletę, po czym wyrzwał na zewnątrz, aby sprawdzić numer pojazdu.

– A, tak, tu mamy specjalne zamówienie. Nie jada białek zwierzęcych, woli też napoje pozbawione kwasów. – Gestem polecił Killashandrę, aby udała się za nim do magazynów. Minęli sekcje, do który skręcali zazwyczaj, i znaleźli się w pomieszczeniach o ścianach barwy łagodnego różu. Killashandra miała nadzieję, że jedzenie nie będzie tego samego koloru. Wystarczyłoby to, by zupełnie odeszła ją ochota na posiłek.

Selektory pojazdów nie oferowały zbyt wielkiego wyboru dań, lecz jej towarzyszy zapewnił Killashandrę, iż żywność jest zawsze najlepszej jakości, nawet jeśli, w szale pracy, śpiewacy czasem nie zdają sobie nawet sprawy z tego, co jedzą.

Szał, jak stwierdziła Killashandra, był bardzo łagodnym słowem na określenie tego, co zastała w większości sań, choć zaopatrzeniowiec wiele razy przypominał jej, że wichura też mogła przyczynić się do panującego w środku bałaganu.

Podczas tego kolejnego męczącego dnia pomogła oczyścić i zaopatrzyć dziesięć sań, o trzy więcej niż – jak poinformował ją jej przełożony – zdołałby to zrobić samotnie.

Teoretycznie następny dzień był wolny od pracy, ale zarządca hangaru oznajmił rekrutom, iż wszyscy, którzy zdecydują się kontynuować swe zajęcie, otrzymają podwójny kredyt.

Shillawn pierwszy uniósł rękę, za nim, robiąc minę do Killashandry, uczynił to Rimbol. Zatem i ona zgłosiła swoją gotowość. Gdy cała grupa zasygnalizowała chęć dalszej pracy, zarządca wyraźnie się zdziwił. Mruknął aprobowająco, po czym wrócił do swego biura.

– Czemu się zgłosiliśmy? – spytała z niedowierzaniem Jezerey, potrząsając głową,

– Myśl o podwójnym kredycie i pozbyciu się koszmaru nie spłaconych długów! – Rimbol wywrócił oczami. – Mój zaopatrzeniowiec miał świra na punkcie długu.

– Mój też – odparła Killashandra.

– W tym tempie – Borton przeciągnął się, poruszając zbolące mięśnie – będziemy do przodu nawet przedtem, nim dostaniemy gorączki.

– Policzą nam za nieuzasadniony czas wolny – wtrąciła kwaśno Jezerey.

– Nie – poprawił ją Shillawn – obsługa medyczna jest darmowa.

– Tyle że nie zapłacą ci za pracę, której nie wykonasz.

– Obyście nigdy nie znaleźli się na zewnątrz w pełni Przejścia – rzucił Rimbol, niemal wyśpiewując tradycyjne pozdrowienie.

– Chyba nie harowałem tak ciężko od czasu dzieciństwa na trawlerze mojego ojca – ciągnął nie zrażony Borton. – A rybołówstwo na Argmie jest naprawdę staroświeckie.

- I dlatego studiowałeś kosmonautykę? – domyśliła się Killashandra.
- Zgadłś.
- No to znów musisz zasuwać – stwierdziła Jezerey, wyczerpana i wyraźnie zła.
- Ale jesteśmy członkami Cechu – mruknął drwiąco Rimbol.
- I zmniejszamy nasz początkowy dług – uzupełnił Shillawn z westchnieniem ulgi.
- Byle tak dalej!

Słowa Rimbola zabrzmiały w momencie, gdy dotarli na szczyt pochylni. Rimbol z tęsknym uśmiechem uniósł dłoń do ust, w geście naśladującym opróżnianie szklanki.

- Nie teraz. Najpierw muszę się wykapać. Chcę być naprawdę czysta, zupełnie czysta!
- Ja też – stwierdziła Jezerey i zadrżała.

Wszyscy ruszyli w stronę swych pokoi. Przechodząc

obok oświetlonych na czerwono drzwi Carigany, Killashandra przystanęła na moment.

– Nie przejmuj się nią, Killa. Nie tylko Cech trzyma ją w swoich szponach – powiedział Rimbol, ujmując jej łokieć i lekko popychając naprzód.

– Nic mnie ona nie obchodzi – odparła Killashandra, zirytowana zarówno własnym zachowaniem, jak i komentarzem przyjaciela.

– Nikogo nic tu nie obchodzi – rzekł ze smutkiem Shillawn. – Nikt nikomu nie dziękuje. Nikt w ogóle nie ma dobrych manier.

Jakże to prawdziwe, pomyślała, stojąc pod strumieniem gorącej, pachnącej wody, która zmywała z jej ciała pot i smród całodziennego harówki.

Problem długu i obsesja starego zaopatrzeniowca na tym punkcie powracały do niej bez przerwy. Killashandra wyciągnęła się na łóżku i przysunęła do siebie konsolę.

Zaopatrzeniowcy zarabiali więcej niż zwykli pomocnicy. Dostawali też premię za szybkie wykonanie zadania. Poprosiła o własny rachunek i odkryła, że bieżące zarobki pokrywają w pełni jej utrzymanie i powoli zmniejszają opłatę za prom. Jeśli jutro dostanie podwójną wypłatę i może jeszcze premię, zupełnie spłaci dług. Dopiero wtedy przypomniała sobie dwa gwaranty kredytowe Cechu. Gdyby przekazała je na konto, mogłaby nawet opłacić całe wyposażenie, potrzebne w przyszłej pracy, kiedy już będzie wiedziała, co przyniósł jej symbiont. Cudowna świadomość. Być o krok przed Cechem. Czy właśnie to powodowało starym człowiekiem z zaopatrzenia?

Z czystej ciekawości poprosiła o pełny spis członków Cechu. Listę otwierał Lanzecki jako Cechmistrz, następnie trójka szefów: kontroli, sprzedaży i badań. Po nich nastąpiły nazwiska aktywnych zawodowo śpiewaków. Nie o te informacje jej chodziło. Killashandra zastanowiła się przez moment, po czym zażądała spisu w kolejności wstępowania do Cechu.

Pierwszym członkiem był Barry Mikeley. Po ekranie przesuwaly się nazwiska i planety, z których pochodzili kolejni ludzie. Oni wszyscy muszą już od dawna nie żyć, przemknęło jej przez głowę. Zaciekało ją, czemu tego nie odnotowano. Kiedy zostaje się śpiewakiem kryształu, to już na zawsze? Nie, część z nich to na pewno personel pomocniczy. Oczywiście, jeżeli można wierzyć statystykom Borelli: początki Cechu to czasy, gdy procent udanych adaptacji był znacznie niższy. Gdy tak beczynnie przyglądała się kolejnym pozycjom na liście, zaciekał ją fakt, iż w spisie reprezentowana była niemal każda figurująca w Federacji Planet Rozumnych planeta, zamieszkała przez jej gatunek. Kilkanaście miało nieproporcjonalnie dużo przedstawicieli, szybko jednak przypomniała sobie, że były to światy o szczególnie gęstym zaludnieniu. Znalazła nawet dwie osoby z Fuerte. Wszystko to jakby otworzyło jej oczy. Natomiast nie znalazła nigdzie najmniejszej wzmianki, kiedy kolejni członkowie wstępowali do Cechu. Nazwiska musiały być ułożone chronologicznie, z pewnością bowiem nie był to spis alfabetyczny. Przed oczami Killashandry mignęło imię Borelli, potem Malaine i Carrika. Zastanawiała się właśnie, czy Enthor przyleciał już wcześniej, kiedy pojawił się jakby na zawołanie. Pochodzi z Hyperiona, jednej z pierwszych zasiedlonych planet Alfry Proximy, skolonizowanej podczas Wielkiej Fali wypraw badawczych, w wyniku której powstała Federacja Planet Rozumnych. Czyżby był młodszy niż Borella czy Carrik? A może przyłączył się do Cechu już jako starszy mężczyzna? A zaopatrzeniowiec, który nie chciał zdradzić swego imienia – kiedy został członkiem Cechu? Zadrżała. Słowo „sortowacz” doskonale opisywało zdolności Enthora, podczas gdy „zaopatrzeniowiec” był wspaniale brzmiącym określeniem pracy, jaką spokojnie mogły wykonywać maszyny. „Górnicy kryształu”, lakoniczny opis funkcji śpiewaka, nie sugerował nawet wysokiej rangi, jaką mu przypisywano.

Wyłączyła konsolę. Komputery nie zmieniły się aż tak bardzo od czasów ich wynalezienia: nawet przy najbardziej zaawansowanym systemie nadal trzeba było wiedzieć, o co zapytać. Gigantyczne banki pamięci Cechu, wykorzystujące ballybrańskie kryształy z ich naturalną quasi–nerwową strukturą, mogły przechowywać informacje przez tysiące lat. Killashandra jednak przywykła raczej do wyszukiwania zapomnianych kompozytorów i wykonawców niż do rozwiązywania galaktycznych zagadek.

W sali rekreacyjnej dołączyła do reszty. Miała ochotę na drinka, a poza tym była ciekawa, czy Shillawnowi udało się wydusić coś nowego z komputera. Był on jednakże dużo bardziej zafascynowany wymyślaniem metod mechanicznego czyszczenia sań i Killashandra z radością powitała Rimbola, który postukał ją w ramię i mrugnął.

– Chyba jestem zbyt zmęczony na coś więcej, Killa – oznajmił, gdy dotarli do jego pokoju – ale chciałbym przytulić coś miękkiego, delikatnego i mniej więcej w moim wieku.

Killashandra uśmiechnęła się szeroko.

– Czuję dokładnie to samo. Czy twoje konto zdzierży jedno yarrańskie piwo?

– I drugie dla ciebie – odparł, z rozmysłem źle interpretując jej słowa.

Ten nocy spali twardo i zgodnie, jakby wzajemne towarzystwo istotnie uczyniło im wiele dobrego. Gdy komputer zbudził ich następnego dnia, zjedli razem solidne śniadanie. Rozmawiali niewiele, ale dalej panowała między nimi dziwna harmonia. Po śniadaniu oboje zgłosili się do zarządcy hangaru. Jako że byli pierwsi, oczekujący niecierpliwie mężczyzna obejrzał się z niepokojem na pochylnię, którą przyszli.

– Zaraz się zjawia – zapewnił go Rimbol.

– Mam tu sanie, które muszą być gotowe do południa. Wy dwoje zaczniście od nich. Na tablicach informacyjnych pojawiają się numery innych, gdy tylko uda mi się dowiedzieć, kiedy dokładnie ci cholerni śpiewacy mają zamiar ruszyć stąd swoje tyłki.

Killashandra i Rimbol oddalili się pośpiesznie. Na wszelki wypadek woleli znaleźć się poza jego zasięgiem, jeśli reszta rekrutów nie pojawi się wkrótce. Do południa oczyścili osiem sań i uzupełnili w nich zapasy. Z tablic regularnie znikwały kolejne numery, wiedzieli zatem, że i inni zabrali się do roboty.

Niemal dokładnie o dwunastej dźwięk podniesionych głosów ostrzegł Killashandrę i Rimbola o zbliżającej się pierwszej fali odlotów.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła, po raz ostatni przecierając uchwyty piły w saniach, które właśnie wyszykowali do drogi.

– Krzyk gniewnego tłumu... – odparł Rimbol, po czym pociągnął ją w stronę magazynów i prawie pustego pomieszczenia, skąd mieli znakomity widok na rzędy sań i wejście do hangaru.

Wokół rozbrzmiewały wrzaski, przekleństwa, trzaśnięcia, metaliczny pogłos i łomot plastyku. Zaczęły startować napędy sań, zbyt szybko jak na zamkniętą przestrzeń – tak przynajmniej twierdził Rimbol. Killashandra zakryła dłońmi oczy, a jej towarzysz, krzywiąc się na szczególnie ostry zgrzyt metalu o metal, podążył za jej przykładem. Cały exodus nie trwał długo, jednak Killashandrę oszołomił odbywający się przed nią pokaz pilotażu. Zdumiało ją, iż śpiewacy nie powpadali na siebie w tym szale. Zgiełk ustał nagle, równie gwałtownie jak przedtem powstał, gdy ostatnie sanie wyfrunęły w stronę Pasm Brerrertona.

– Zrobiliśmy osiem, tak? – spytał Rimbol. – To wystarczy za podwójną stawkę. Chodźmy! Mam dosyć na dzisiaj.

Gdy dotarli do wspólnej sali, nie zastali nikogo. Drzwi Carigany były zamknięte, nadal świeciła nad nimi czerwona lampka. Rimbol wciąż trzymał dłoń Killashandry. Przyciągnął ją teraz do siebie i dziewczyna oparła się o jego szczupłe ciało.

– Nie jestem już zmęczony. A ty?

Killashandra też nie była, bowiem Rimbol – dowcipny, stale wesoły, sprawiający wrażenie dużo młodszego niż w rzeczywistości – jeśli chciał, potrafił być nieodparcie czarujący. Widziała, że właśnie na to liczył, ponieważ jednak dotąd jej nie rozczarował i nie wykazywał najmniejszych oznak zaborczości, chętnie uległa. Był jak piwo z jego planety, chłodne, smaczne i pozbawione goryczy. Przyjemne, lecz pozostawiające uczucie niedosytu.

Przylączyli się do innych, kiedy tamci dotarli w końcu na poziom mieszkalny i, oglądając pokaleczone i poparzone rozpuszczalnikami palce, pocieszali się myślą o podwójnych kredytach, właśnie wpływających na ich konta.

– A wiecie, co Cech może zrobić? – zaczął Shillawn, sadowiąc się naprzeciwko Rimbola i Killashandry. Uniósł do ust szklankę i wypił duszkiem połowę drinka.

– Co? – spytali Borton i Jezerey, dołączając do nich.

– Z takimi jak ona – i Shillawn ruchem głowy wskazał drzwi Carigany.

– No? – Jezerey osunęła się na fotel. Jej oczy błyszczały wyczekująco.

– No więc mogą zmniejszyć jej racje. Jezerey były wyraźnie rozczarowana.

– Inne udogodnienia również mogą być odłączone – rzucił – na chybił trafił.

– Na przykład? – Jezerey zorientowała się, że twarz kolegi wykrzywia rozbawienie, a nie trud towarzyszący zwykłe mówieniu.

– Na przykład gorąca woda zamiast zimnej, to samo z jedzeniem. Wiesz, zimne zamiast ciepłego i odwrotnie. Potem komputer zaczyna hałasować i poruszać łóżkiem. Inne meble rozlatują się i padają w najmniej spodziewanych momentach, drzwi nie zawsze reagują na twoje odciski... Poza tym... – Shillawn wyraźnie rozgrzewał zachwyty widowni – ponieważ odcisk jest też wymagany przy zamówieniu każdego posiłku, czasem można go nie dostać. – Rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się złośliwie. – Mogą się przydarzyć najróżniejsze nieprzyjemne i kłopotliwe rzeczy.

– Jak, na wszystkich świętych, zdołałeś zmusić komputer, żeby ci to powiedział?! – spytała Killashandra. Inni, nękami podobną ciekawością, podchwycili pytanie.

– Nie pytałem komputera – przyznał Shillawn, odwracając wzrok. – Tylko zaopatrzeniowca, z którym wczoraj pracowałem.

Rimbol wybuchnął śmiechem, klepiąc się po udach.

– Ludzki mózg to wciąż jeszcze najlepszy komputer.

– A mojemu szefowi pozostała chyba ta jedna ludzka cecha – dodał z niesmakiem Shillawn.

– I to właśnie przytrafiło się Cariganie? – zapytała z nadzieją Jezerey.

– Jeszcze nie, ale może, jeśli nadal będzie się tak zachowywała. Na razie ma dodatkowe dwa dni długu za wikt i opierunek, a my jesteśmy cztery dni do przodu.

– Ale przepisy cechowe twierdzą... – zaczął Borton.

– Jasne – Rimbol znów zachichotał – ale tu nikogo nie pozbawia się schronienia ani utrzymania. Po prostu utrudnia się ich otrzymanie tak, że życie staje się mniej wygodne.

– Przeraża mnie perspektywa spędzenia reszty życia na pracy w magazynach albo zaopatrzeniu – stwierdziła Jezerey, i sądząc po ponurym milczeniu, jakie zapadło na te słowa, wyraziła ukryte obawy całej piątki.

– Trochę optymizmu – poradził Shillawn, lecz zająknął się na drugim słowie, toteż wyszło to raczej mało przekonująco.

– No cóż, niedługo powinniśmy wiedzieć – dodał Rimbol. – Jesteśmy tu już osiem dni.

– Prawie dziewięć – poprawił automatycznie Shillawn.

– Jutro? – w głosie Jezerey pobrzmiwało przerażenie.

– To może trwać znacznie dłużej, jeśli dobrze pamiętam, co mówiła Borella na temat okresu inkubacji – zapewnił ją Shillawn sztucznie radosnym tonem.

– Wystarczy, przyjaciele – powiedziała stanowczo Killashandra i opróżniła swój kubek. – Jedzmy, pijmy i weselmy się...

– Bo jutro pomrzemy? – dokończył Rimbol, unosząc brwi.

– Nie mam zamiaru umierać – odparła Killashandra i zamówiła podwójne piwo dla siebie i Rimbola.

Zanim razem poszli do łóżka, wypili jeszcze sporo kolejek. Killashandra, obudziwszy się następnego ranka we własnym pokoju, uznała, że tam właśnie wyładowali, lecz Rimbola u niej nie było. Światło słoneczne raziło ją, toteż przyciemniła plastoszkło odsłoniętych okien. Po huraganie i towarzyszącej mu ciężkiej pracy przyjemnie było znów wyrzeć na wzgórza. Czyżby brakowało ci widoków? – zapytała siebie szyderczo. Deszcz musiał podzielać ożywczo na roślinność, bowiem zbocza pokrywały jaskrawe czerwono-fioletowe kwiaty, a szarozielone porosty zdawały się rosnąć jak na drożdżach. Pomyślała, że bez wątpienia nauczy się kochać i cenić zmiany pór roku na Ballybranie. Póki nie wyruszyła z Carrikiem na turystyczną wyprawę po Fuerte, nie doceniała naturalnej scenerii – przyzwyczaiła się do używanych podczas przedstawień hologramów.

Pierwszą osobą, jaką ujrzała w sali, była Carigana. Killashandra miała nadzieję, że dzień okaże się lepszy niż jego początek. Wyniosła koleżanka miała talent do zupełnego ignorowania ludzi, toteż Killashandra również nie czuła się obowiązana, aby ją powitać. Upór Carigany ją drażnił. Nikt nikogo nie zmuszał do przylotu na Shankill i zgłoszenia się do Cechu Heptyckiego. Rekruci dość ospale zajmowali tego dnia swoje miejsca. Tukulom wykazywał oznaki wyraźnego zniecierpliwienia. – Do zrobienia wiele dziś mamy – oznajmił. – Podstawowe lekcje opóźnione zostały.

– Co za ulga móc usiąść i odprężyć się – powiedział ktoś ze środka grupy. Głos nie należał do Rimbola. – Odprężenie na myślenie nie pozwala, a myśleć dziś trzeba – upomniął Tukulom, poszukując wzrokiem krnąbrnego studenta. – Geografia nas dziś zajmuje. Całego Ballybranu. Kiedy przystosowanie nastąpi, na inny kontynent możecie trafić.

Wyraźnie przesadzone westchnienie Carigany znalazło swój oddźwięk u innych, choć Tukulom tylko ją zmiażdżył spojrzeniem. Bogaty zasób monosylab Carigany bezustannie przerywał potok wymowy nauczyciela, aż w końcu ktoś syknął na nią, aby umilkła.

Ktokolwiek ułożył materiał wykładu, musiał mieć poczucie humoru i, choć Killashandra gotowa się była założyć, że Tukulom nie ma najmniejszego pojęcia o istnieniu tych zabawnych fragmentów w rutynowej przemowie, zarówno ona, jak i inni z utęsknieniem wyczekiwali każdego podobnego akcentu. Humor podkreślał często ważniejsze aspekty lekcji. Być może Tukulom recytował cierpliwie wyuczony materiał albo zmieniał w myślach klatki zapisanego w fotograficznej pamięci filmu, nauczył się jednak także podawać Wiadomości w odpowiednim tempie, przerywać i ożywiać wypowiedź intonacją. Killashandrze, świadomej trudności, jakie sprawia nieprzerwane mówienie, zaimponowała też jego wytrzymałość.

– Nie miałbym nic przeciwko uprawie gruntu w Północnym Ballinteerze – zwierzył się jej Rimbol, gdy pozywiali się podczas południowej przerwy. – Miłe, pożyteczne życie... zimą śnieg i sporty...

Killashandra wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem.

– Rolnictwo?

– Jasne, czemu nie? To sto razy lepsze niż praca w zaopatrzeniu! Albo w sortowni. Na świeżym powietrzu...

– W gigawichrach?

– Słyszałaś przecież wykład z geografii. Tereny produkcyjne zostały „starannie rozmieszczone na brzegach pasa wichrów lub też, w miarę potrzeby, mogą zostać osłonięte”.

– Rimbol naśladował ton i manierę Tukuloma tak udanie, że Killashandra nie mogła powstrzymać śmiechu.

Wtedy właśnie dostrzegła skupioną grupę, poruszającą się z groźnym rozmysłem, odcinającą kąt, w którym siedziała tylko jedna osoba. Widząc, że przyjaciółka obserwuje coś za jego plecami, Rimbol odwrócił się i zaklął pod nosem.

– Wiedziałem! – zerwał się na nogi.

– Po co się mieszasz, Rimbol? Zasłużyła sobie na to.

– Nic nie może poradzić, że taka jest. Myślałem, iż w twoim świecie czyjaś prywatność jest rzeczą ważną. Na mojej planecie nie dopuszczamy do takich scen! Wolimy bardziej wyrównane szansę.

Killashandra musiała się z nim zgodzić i razem ruszyli ku zebranym.

– A co mnie to obchodzi? – uniesiony głos Carigany wzbił się ponad dyskretny szept przywódcy grupki. – I czemu miałyby obchodzić was? Kogokolwiek z was? Oni po prostu grają na czas, czekają, aż się pochorujemy. Do tej chwili nie liczy się nic innego, żadna współpraca, uwaga, dobre wychowanie czy zgłaszanie się na ochotnika... – tu w jej słowach zabrzmiała pogarda – do sprzątania ohydnie brudnych sań. Nie, dziękuję! Przyjemnie spędziłam dzień...

Co takiego? – odrzuciła w tył głowę i roześmiała się gwałtownie. – Dług? Mogą go ze mnie ściągać... później. W tej chwili mam dostęp do wszystkiego, co znajduje się w magazynach. Gdybyście mieli choć cień rozumu, zrobilibyście to samo i zapomnieli o ględzeniu tego nadętego półgłówka.

– Pomagałaś w wyładunku kryształu. – Killashandra rozpoznała głos Jezerey.

– Jasne, że tak. Chciałam zobaczyć ten kryształ, tak samo jak wy wszyscy. Tylko że – jej ton zdawał się szydzić z obecnych – szybko zmądrzałam. Wykorzystują was do najgorszych robót, jakie tylko znajdą, póki nie załatwi was zarodnik. Potem już nic się nie będzie liczyło oprócz tego, do czego będziemy się nadawać.

– A jak sądzisz, do czego ty będziesz się nadawać? – spytała ostro Jezerey.

– Do śpiewania kryształu. Przecież każdy z nas o tym marzy! – wyraz jej twarzy otwarcie drwił z ich ambicji. – Jedno jest pewne, nie zamierzam sortować, przerzucać zapasów ani babrać się w świństwach czy... Grajcie dalej przykładnych, chętnych do współpracy obywateli. Ja wolę robić to, na co mam ochotę, póki jeszcze zostały mi oczy, uszy i prawidłowo funkcjonujący umysł.

Uniosła się szybko, przepchnęła przez wrogi tłumek i pomaszerowała korytarzem w kierunku swego pokoju. Nad drzwiami zabłysło czerwone światło.

– Mówiłeś coś na temat prywatności? – Killashandra nie mogła powstrzymać zjadliwego komentarza. Odwrócili się i odeszli od milczącej grupy.

– Wyjątek potwierdza regułę – odparł nie zrażony Rimbol.

– Co miała na myśli mówiąc o sprawnie działającym umyśle? – spytała Jezerey, dołączając do nich. Nie była już tak pewna siebie jak przed chwilą, w czasie konfrontacji z Cariganą.

– Nie myśl o tym, Jez. – Borton zbliżył się również. – Carigana ma kosmicznego świra. I powiedziałem ci to od razu, gdy tylko ją zobaczyłem.

– Ale miała rację co do jednego – wtrącił podniecony Shillawn. – Nic tak naprawdę się nie liczy, póki nie zadziała symbiont.

– Wolalabym, żeby nie wspominała o chorobie. – Jezerey zadygotała, jakby podkreślając ostatnie słowo. – Tego jednego nam nie pokazali... pracowni medycznych.

– Widziałaś bliźnię Borelli – odparł Shillawn.

– To prawda, ale ona przeszła pełną adaptację.

– Ktoś ma gorączkę, dreszcze, ból głowy czy brzucha? – dopytywał się Rimbol z fałszywym zaciekawieniem.

– Jeszcze nie czas – rzuciła Jezerey.

– Już niedługo. Niedługo – wyrzekł Rimbol grobowym tonem. Nagle machnął ręką, ucinając zebranych, i kciukiem wskazał powracającego Tukuloma. Westchnął ciężko, po czym uśmiechnął się na wspomnienie podobnej reakcji Carigany. – Wolę już spędzić ten czas na czymś produktywnym...

Większość rekrutów podzielała jego uczucia. Cały proces symbiotycznej adaptacji nie był już dla nich jedynie teorią, której wysłuchiwali w sterylnym pomieszczeniu bazy księżycowej – stał się bliskim, wyczuwalnym zagrożeniem. Zarodniki znajdowały się w powietrzu, którym oddychali, żywności, jaką jedli, najprawdopodobniej były też we krwi każdego człowieka, jakiego napotkali przez ostatnie dziesięć dni.

Dziesięć dni, tak? – pomyślała Killashandra. Kto będzie pierwszy? Rozejrzała się, wzruszyła ramionami i zmusiła swój umysł do skupienia się na wykładzie.

Kto będzie pierwszy? Pytanie to czaiło się we wszystkich oczach, gdy następnego ranka rekruci, z wyjątkiem upartej Carigany, zebrali się na śniadaniu. Poszukiwali towarzystwa innych zarówno dla większego bezpieczeństwa, jak i z ciekawości.

Był jasny, pogodny dzień, a w promieniach porannego słońca pokrywająca wzgórza trawa sprawiała wrażenie ciemniejszej niż zwykle. Nikt nie zaprotestował, gdy Tukulom oznajmił, że odwiedzą osadę na płaskowyżu Joslina, gdzie hodowano rzadką roślinność.

Gdy przybyli do hangaru, do środka wpłynął akurat ciężki holownik, ciągnący poskręcany wrak sań. Jediną częścią pojazdu, która zachowała swój pierwotny kształt, była ładownia, choć dwa z trzech włazów zostały uszkodzone.

– Czy oni to wszystko planują? – spytał Rimbol cichym, powątpiewającym głosem.

– Pokazanie nam odzyskanych sań? Może. Ale huragan... Daj spokój, Rimbol. Poza tym, czemu miałyby służyć takie przedstawienie? Jesteśmy tu uwięzieni i zostaniemy śpiewakami... albo czym innym. – Killashandra przemówiła ostro, aby podtrzymać pewność siebie Rimbola oraz swoją własną.

Mruknął coś, jakby wyczuwając jej niepokój, po czym śmiało wbiegł po rampie do oczekującego transportowca, nie oglądając się więcej na wrak.

Siedzieli razem, ale żadne z nich nie odezwało się podczas lotu ani słowem, choć Killashandra kilka razy zaczęła wskazywać na piękne skupiska kwitnących krzewów o jaskrawych, często gryzących się barwach czerwieni i różu. Szarość gruntu zniknęła bez śladu. Jego głęboką zieleń przerywały od czasu do czasu brązowe plamy. Rimbol był jednak głęboko zatopiony w myślach i czuła, że wszelkie uwagi na temat krajobrazu mogłyby zakłócić jego prywatność.

Panująca w ogromnych cieplarniach wilgoć, duszny upał i unoszące się w powietrzu wonie bujnej roślinności przypominały Killashandrze tropikalne tereny na Fuerte i Carrika. Agronom zademonstrował im ochraniacze, osłaniające plasdachy przed atakami gigawichrów, oraz systemy odżywczo–nawilżające, które mogły kontynuować swą pracę bez asysty człowieka. Wygłosił także wykład na temat różnorodnych odmian i gatunków owoców, warzyw, traw, porostów i grzybów, którymi rozporządzali specjaliści Cechu. W skład departamentu rolnictwa wchodziły też komórki badawcze, pracujące nad poprawianiem natury, gdziekolwiek to było możliwe, ulepszając słodycz, smak bądź rozmiary. Nie przerywając wyjaśnień, wyprowadził ich poza pomieszczenia o sterowanym klimacie.

– Musimy także naprawiać skutki kaprysów natury – dodał w chwili, gdy rekruci dostrzegli grupy robocze i uszkodzenia sąsiednich budynków.

Killashandra i Rimbol wymienili spojrzenia. Oboje wzruszyli ramionami i dołączyli do reszty, pomagającej przy końcowych naprawach.

– Przynajmniej to już końcówka – mruknął Rimbol, naciskając spust wiertarki. – Co oni robią, kiedy nie mają pod ręką trzech roczników rekrutów?

– Pewnie zaganiają do pracy zaopatrzeniowców, sortowaczy i wszystkich, którzy akurat nie mają nic lepszego do roboty. Tutaj przynajmniej wszyscy odrabiają swoje – dodała,

dostrzegając Tukuloma i szefa rolnictwa, jak energicznie unoszą płachty plaskitu, równie chętnie co Borton i Jezerey.

– Dobra, możesz już puścić, Killa. – Rimboł cofnął się i zaczął podziwiać płytę, którą właśnie zamocował, – Powinno trzymać... przynajmniej dopóki następny gład nie walnie w ścianę.

Oślaniając oczy przed padającym z lewej strony słonecznym blaskiem, Killashandra zerknęła na północ, w stronę kryształowych Pasm.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział Rimboł, ściągając w dół jej dłoń i obracając dziewczynę ku sobie. Zebrał narzędzia. – Ciekawe, co nas czeka jutro?

Podczas drogi powrotnej nawet nie żartował, zresztą podobnie jak inni. Killashandra żałowała, że nie spytała agronoma o rosnące dziko rośliny, z rozbawieniem pomyślała, że zapewne w ogóle nie interesowały go tak pospolite gatunki. .

Tego wieczoru napięcie skutecznie zniszczyło panujący pośród studentów nastrój i nawet alkohol niewiele pomógł. Rimboł, który zawsze odgrywał rolę klasowego dowcipnisia, nie miał dziś ochoty na wejście w swoją rolę.

– Dobrze się czujesz? – spytała Killashandra, gdy zaczął wpatrywać się w opróżnioną do połowy szklankę.

– Ja? – Uniósł brwi, udając zaskoczenie. – Jasne. Jestem tylko zmęczony. Nic wielkiego. Po prostu przez kilka ostatnich dni pracowałem ciężiej niż przez parę lat. Studencki żywot rozmiękcza mięśnie.

Poklepał ją po ramieniu, uśmiechając się uspokajająco, i grzecznie zmienił temat. Gdy udała się po kolejną porcję napoju, zniknął. No cóż, pomyślała z żalem, ma takie samo prawo do prywatności jak ja, a żadne z nas nie stanowi dziś wieczór miłego towarzystwa.

Ten nocy sen nie przyszedł tak łatwo. Wątpiła, czy tylko ona jedna cierpi na bezsenność, stanowiło to jednak nikłą pociechę. Jej umysł bez przerwy rozpatrywał wymienione przez Borellę objawy, stanowiące początek adaptacji. Gorączka? Czy rozpoznają, skoro nigdy dotąd nie cierpiała na nic poważniejszego? Mdłości? Tak, kilka razy zjadła coś szkodliwego albo zbyt wiele wypila. Rozwolnienie? Doświadczyła go, gdy jako mała dziewczynka na farmie przejadła się pierwszych słodkich melonów. Nagle myśl o tym, że jest zupełnie bezsilna, bezbronna wobec obcej inwazji – tak, to znakomicie oddawało sytuację – nieznośnie jej zaciążyła. Całe jej ciało spowił chłód – wynik strachu i napięcia.

Na Shankillu wszystko zdawało się takie łatwe: symbioza obcym zarodnikiem, który wzbogaci jej wrodzone zdolności, obdarzy cudownymi możliwościami regeneracyjnymi, znacznie dłuższym życiem, kredytem pozwalającym na luksusowe podróże, prestiżem

towarzyszącym członkostwu w nader elitarnym Cechu. Blaski szczęśliwej adaptacji aż do tej długiej i ciemnej nocy zdecydowanie przesłaniały cienie. Głuchota? I tak nie będzie już śpiewać, nie po tym, co sędziowie powiedzieli o jej głosie. Ale już nigdy nie usłyszeć samej siebie, zostać sortowaczem o wzmocnionym wzroku jak Enthor? Czy zniosłaby coś takiego? Musiałaby, nieprawdaż? A przecież Enthor wyglądał na zadowolonego i wyraźnie był dumny ze swego talentu do oceny kryształu.

Czyż nie pragnęła wysokiej rangi? Główny sortowacz Cechu Heptyckiego z pewnością odpowiadał tym wymaganiom. Jak wiele czasu musiałyby upłynąć, nim zostałaby głównym sortowaczem? Szczególnie przy długim życiu mieszkańców Ballybranu?

A ile trwałoby, nim osiągnęłaby pozycję śpiewaczki klasy międzygwiazdnej, a nawet solistki w jakimkolwiek teatrze, gdyby jury zaakceptowało jednak jej głos? Ta myśl szydziła z niej i Killashandra odwróciła się na drugi bok, próbując zasnąć.

Czuła się jak w potrzasku i nie mogła o to obwiniać nikogo poza samą sobą. W potrzasku? O co spytał Borellę ów stary śpiewak na promie? „Nowy połów?” Nie: „Jak tam połów?” „Jak zwykle”, odparła Borella. „Wiesz przecież, że na tym etapie nic da się jeszcze nic powiedzieć”.

Półów? Podobni jej głupcy? A przecież ostrzegali ją, Carrik i Maestro Valdi, nie mówiąc już o przedstawicielu FPR. To właśnie połów, który zamienił rzeczywistość na ułudę – ułudę władzy, bogactwa, wysokiej pozycji i szacunku zmieszanego z lękiem, jakie wzbudzała ogromna potęga śpiewaków kryształu.

I żadnej gwarancji, że zostanie się śpiewakiem. Carigana miała rację. Nic się nie liczy, dopóki nie nastąpi adaptacja, bowiem żaden z wykładowców nie przygotowywał do roli śpiewaka: nie wyjaśniano im nawet, na czym polega sztuka wycinania kryształu ze zbocza, jak nastroić piłę ani dokąd ogóle się udać.

Przewracając się z boku na bok Killashandra wspomniała wykrzywione rysy Uyada błagającego o kredyt, aby móc opuścić planetę. Wymęczeni, brudni śpiewacy, wysypujący się ze swych sań w zatłoczonym hangarze, i stan samych sań brutalnie uświadamiały, ile trzeba było znieść, aby wydobyć wystarczająco dużo kryształu, by uciec z Ballybranu i odpocząć od niego.

A jednak w głosie Borelli słyszeć było tęsknotę, kiedy mówiła o powrocie do kryształowych Pasm – jakby nie mogła się tego doczekać.

Czy śpiewanie kryształu potrafi zastąpić główną rolę w słynnej, międzygwiazdnej trupie?

Killashandra niespokojnie rozrzuciła ręce i potrząsnęła głową. Wszystko było lepsze od pozycji anonimowej chórzystki. Czyż nie?

Skuliła się i przyjęła klasyczną pozycję do medytacji. Skoncentrowała się na własnym oddechu, odganiając od siebie wszelkie nękające ją obawy.

Następnego ranka głowa ciążyła jej nieźnośnie, a oczy paliły. Nie miała pojęcia, jak długo w końcu spała, lecz poranne światło stanowiło obrazę dla jej nastroju. Z jękiem zaciemniła okna. Dziś żadnego podziwiania wzgórz, Reszta nie była w lepszym stanie. Wszyscy cicho zamówili śniadania i jedli w milczeniu, każdy sam na sam ze sobą. Mimo to Killashandra była zła na siebie, iż nie spostrzegła braku paru osób. Szczególnie Rimbola. Później, z poczuciem winy, usiłowała znaleźć racjonalne wytłumaczenie: była oszołomiona i oślepiała, nie tak uważna jak zazwyczaj. To Shillawn, jękający się gorzej niż zwykle, pierwszy skomentował nieobecność przyjaciół: – Killashandra, czy widziałas już Rimbola? Albo Mistrę?

– Mistra była szczupłą, ciemną dziewczyną, którą Shillawn wyraźnie wyróżniał.

– Zaspali? – odparła czując niespodziewaną irytację.

– Kto mógłby przespać sygnały budzące? Rimbola nie było w pokoju. Jest tam zbyt... pusto.

– Pusto?

– Jego rzeczy. Nic nie zostało.

Killashandra niemal pobiegła do pokoju Rimbola. Sterylna czystość, jak wcześniej celnie stwierdził Shillawn, podkreślała pustkę. Jakby nikt w ogóle tu nie mieszkał.

– Gdzie jest Rimbol, były mieszkaniec tego pokoju? – spytała Killashandra.

– Na oddziale medycznym – odparł bezosobowy głos po niemal niezauważalnej pauzie.

– Stan?

– Zadowolający.

– Mistra? – zdołał wykrztusić Shillawn.

– Oddział medyczny.

– Stan?

– Zadowolający.

– Hej, popatrzcie! – okrzyk Bortona przyciągnął uwagę czekającej na korytarzu grupki. – Carigany też nie ma.

Czerwone światło, zakazujące wejścia, zniknęło.

Shillawn głośno przełknął ślinę i zadając pytanie, spojrzał przepraszająco na Killashandrę. Stan Carigany również był zadowolający.

– Ciekawe, czy umieranie uważane jest za zadowolające – powiedziała Killashandra, nie kryjąc nawet swej frustracji.

– Odpowiedź negatywna – odrzekł komputer, zaskakując wszystkich.

– Zatem zabierają nas w nocy i nikt nas więcej nie widzi? – spytała Jezerey, przytulając się do Bortona. Jej oczy były przygaszone, ciał się w nich strach.

– Wrażliwe czujniki zakłócenia wykrywają, natychmiast odpowiednie leczenie się zaczyna – oznajmił Tukulom. Nikt nie zauważył jego przybycia. – Wszystko zgodnie z planem przebiega. – Obdarzył ich ojcowskim uśmiechem, który szybko zniknął, zastąpiony czujnym skrzywieniem, z jakim nauczyciel przyglądał się rzędowi twarzy przed sobą. Wyraźnie zadowolony z tego, co widzi, gestem nakazał, aby podążyli za nim do sali.

– Przez niego czuję się winna, że choroba jeszcze mnie nie dopadła – wymamrotała Jezerey tak cicho, że usłyszeli ją tylko Borton i Killashandra.

– Sama tego żałuję – zapewniła ją Killashandra. Próbowwała zapomnieć o Rimbolu, ale wciąż wyobrażała go sobie wstrząsanego drgawkami i przewracającego się w gorączce. – Dziś pogodą zajmiemy się – ogłosił Tukulom, krzywiąc się złowrogo na dochodzące go od słuchaczy jęki. Killashandra ukryła twarz w dłoniach, po czym zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Musiał sobie wybrać akurat ten dzień na gadanie o pogodzie.

Część z tego, co mówił na temat meteorologii, jak ta nauka odnosi się do Ballybranu wraz z jego księżycami, przedarło się przez jej przygnębienie. Mimo woli poznała wszystkie zabezpieczenia, ostrzeżenia, wizualne objawy nadciągających

zakłóceń i alarmy burzowe. W czasie burzy wyładunkiem sań zajmował się cały personel, nie tylko niewyszkoleni rekruci. Następnie Tukulom zaprowadził klasę do sekcji meteo, mieszczącej się w pomieszczeniach kontrolnych Cechu. Tam mogli obserwować ludzi, śledzących obrazy z satelitów, ruchy księżyców i wydruki przeróżnych czułych instrumentów rejestrujących temperaturę, szybkość i kierunek wiatru, przekazywane przez sieć czujników rozmieszczonych na całej planecie.

Killashandra nie przypuszczała, by mogła stać się kiedyś znakomitą pracownicą działu meteorologii. Wędrujące chmury fascynowały ją, ale z najwyższym trudem pamiętała, który obraz księżycy podlega jej obserwacji. Komputer wysnuwał z danych prognozy pogody, stale uaktualniane, porównywane, kontrolowane zarówno przez ludzi, jak i maszyny. Jeszcze jeden rodzaj symbiozy. Miała tylko nadzieję, że nie będzie jej dane go osiągnąć.

Tukolom ponownie zaprowadził ich do hangaru, aby towarzyszyli załodze naprawczej do jednego z najbliższych czujników. Właśnie wspinali się do transportera, gdy Jezerey zeszytniała i upadła na plaston z zaczerwienioną twarzą. Jęknęła, gdy chwyciły ją konwulsje.

Borton ukląkł koło niej, lecz w tym momencie pojawiło się dwóch obcych, jakby teleportowanych na miejsce. Ostrożnie umieścili ją w wyścielanym kokonie i wynieśli z hali.

– Całkowicie normalne takie objawy adaptacji są – stwierdził Tukolom, spoglądając w twarz Bortona, który z niepokojem odprowadzał wzrokiem swą przyjaciółkę. – Dłużej opóźniać tych techników nie możemy.

– I tak ni cholery ich to nie obchodzi – odparł dziko Borton, opadając na twarde siedzenie koło Killashandry. – Była dla nich jak przedmiot. Cieszą się, gdy widzą nas chorych.

– Wolałabym sama paść, niż widzieć innych – odrzekła, nieco przyciszając głos z szacunku nad zalem Bortona. Już tęskniła za złośliwymi komentarzami Rimbola i jego zaraźliwym humorem. Borton mieszkał razem z Jezerey przez cały długi okres oczekiwania na Shankillu.

– Niewiedza, kiedy cię wreszcie dostanie – to dopiero denerwuje.

Borton wyjrzał na zewnątrz, nieobecny wzrokiem przyglądając się przepływającym w dole pagórkom, zatopiony w myślach, i Killashandra nie zakłócała jego prywatności.

Załamanie Jezerey rzuciło jeszcze głębszy cień na resztę rekrutów. Shillawn, siedzący naprzeciw Killashandry, przetykał nerwowo ślinę rytmicznie i tak często, że nie mogła patrzeć w jego stronę. To jego przyzwyczajenie zawsze ją drażniło, teraz zaś stało się wręcz nieznośne. Odwrócona ku oknu, wlepiła wzrok w stale zmieniający się krajobraz. Kolory roślin, karłowate drzewa, nawet przebłyski światła – efekt spotkania promieni słonecznych z odsłoniętą skałą – dawały zachwycające widowisko. Choć zawsze świadoma wagi scenicznego ruchu, rytmu i płynności, Killashandra nie miała zbyt wielu okazji, aby przyjrzeć się światu w naturze. Powierzchnia tej nie oglądzonej, nieporządkanej, prastarej planety podkreślała jeszcze sztuczność świata teatru i jego stałej fascynacji „najnowszymi” formami ekspresji. Kiedyś uważała to za ostateczne spełnienie wszystkich ambicji. Ballybran w swej odwiecznej walce o przetrwanie przeciw gigantycznym siłom natury poruszył w niej inną strunę.

Rekrutom zademonstrowano stację pogodową. Tego dnia czujniki były w pełni wysunięte, a gruby korpus urządzenia wychylił się całkowicie z instalacji, do której cofał się, niczym zwierzę do nory, w razie „niepogody”. Ten opis wywołał uśmiechy na twarzach

sluchaczy. O dziwo, przewodnik sam również uśmiechnął się w odpowiedzi. Mieszkańcy Ballybranu wydawali się dotąd Killashandrze ludźmi całkowicie pozbawionymi poczucia humoru. Zaciekało ją, czy gorączka ją także pozbawi owego wycucia zabawnych sytuacji. Rimbol nie byłoby tą samą osobą bez swych dowcipów.

Tukolom oznajmił, że ich zadaniem będzie dziś pomoc w pokrywaniu stacji warstwą ochronną, osłaniającą przed unoszonymi wichurą cząstkami skały. Rekruci musieli najpierw zeszkrobać poprzednią warstwę, co nie było zbyt trudne zważywszy, iż wichura wykonała za nich większą część pracy. Substancja nie była zresztą ani smarem, ani płynem, ani też prawdziwą farbą.

Killashandra szybko odkryła, że skrobanie i malowanie działa dziwnie kojąco, musiała bowiem skupić się na tym, by miarowo i regularnie poruszać pędzlem. Lepiej zrobić podwójną warstwę niż coś ominąć. Wyraźnie widziała cienkie rysy w miejscach, gdzie strop ucierpiał od wiatru – nie wszyscy robotnicy przed nią byli dość uważni. Koncentracja pozwalała jej uniknąć niepokojących myśli o „zadowolającym” stanie Rimbola i ataku Jezerey.

Zdenerwowanie Bortona objawiło się w drodze powrotnej, kiedy bez przerwy głośno narzekał i nękał Tukoloma pytaniami o dokładne znaczenie słowa „zadowolający”. Choć Killashandra znakomicie rozumiała byłego pilota promów kosmicznych i jego niepokój o przyjaciółkę, wkrótce ta bezustanna gadanina zaczęła jej działać na nerwy. Miała ogromną ochotę kazać mu się zamknąć, lecz świeże powietrze i niezwykle doświadczenie, jakim było malowanie, wyczerpało ją kompletnie i po prostu nie miała dość energii, aby coś powiedzieć.

Kiedy transporter osiadł na podłodze hangaru, Killashandra odczekała i wysiadła jako ostatnia. Jedyne, czego teraz pragnęła, to wykąpać się i mieć święty spokój.

Jednak gorąca kąpiel zupełnie jej nie ożywiła. Killashandra poprosiła o yarrańskie piwo i informację o Rimbole. Jego stan nadal był „zadowolający”, za to piwo zupełnie straciło smak. Jakiś inny gatunek, pomyślała, zupełnie nie pasujący do standardów Cechu. Sączyła go jednak, przyglądając się, jak zamierający dzień barwi „jej” wzgórze głębokim fioletem i ciemnym brązem cieni. Zostawiła na wpół wypite piwo i wyciągnęła się na łóżku. Czy zmęczenie, które czuła, było skumulowanym efektem kilku ostatnich dni ciężkiej pracy? A może to objaw gorączki symbiotycznej? Jej puls bił regularnie, a skóra nie wykazywała najmniejszego śladu podwyższonej ciepłoty. Naciągnęła na siebie kołdrę, odwróciła się na bok i zasnęła, rozważając, jaką to pracę wyznaczają jutro dla reszty rekrutów. Sygnał pobudki sprawił, że aż usiadła na łóżku.

– Ściszcie ten diabelski hałas! – krzyknęła, zatykając uszy rękami, chroniąc się przed nieznośnym rykiem.

Nagle ze zdumieniem rozejrzała się wokół. Ściany jej pokoju nie były już szare – lśniły wieloma kolorami w oślepiającym blasku porannego słońca. Szybko zmniejszyła przejrzystość okien. Czuła się niezwykle wypoczęta, jej myśli nie były tak jasne od dnia, kiedy odkryła, iż nie jest nic winna Fuerte ani Centrum Muzycznemu. Wstała, aby udać się do toalety. Pod jej bosymi stopami wykładzina sprawiała wrażenie dziwnie szorstkiej. Killashandra wyczuwała delikatne wonie, unoszące się w łazience: ostre, nieprzyjemne, zamaskowane ciężkim zapachem używanych przez nią perfum. Nie przypominała sobie, aby wczoraj wylała choć część. Gdy myła twarz i ręce, woda miała w sobie miękkość, której wcześniej nie dostrzegła.

Materiał kombinezonu także zaczepiał o jej dłonie. Zatarła ręce i uznała, że we wczorajszej farbie musiało być coś, co uszkodziło naskórek. Ale przecież nie malowała stopami!

Gdy tylko drzwi odsunęły się na bok, uderzył w nią hałas. Aż podskoczyła i prawie cofnęła się z korytarza, który jednak, ku jej zdumieniu, był zupełnie pusty. Dźwięki dochodziły ze wspólnej sali. Mogła odróżnić każdy głos, oddzielić poszczególne rozmowy – wystarczyło obrócić głowę. Nagle jej oczy spoczęły na linii farby, prowadzącej do ich kwater. Nie była już wcale mętnoszara, lecz błękitnoliliowa.

Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi. Nie potrafiła pojąć, co się z nią stało, ogarnąć ogromnej przemiany, jaka nastąpiła w niej w ciągu jednej nocy.

– Czy jestem zadowolająca?! – krzyknęła, ogarnięta dziką euforią. – Czy MÓJ stan można nazwać zadowolającym?

Odpowiedziało jej stukanie do drzwi.

– Proszę!

Na zewnątrz stał Tukulom w towarzystwie dwóch medyków Cechu. To jej nie zaskoczyło. Zdumiewał natomiast wyraz twarzy nauczyciela. Na jej widok odstąpił o krok, oszołomiony, a jego zwykła obojętność zniknęła, zastąpiona niedowierzaniem, lekkim przerażeniem i wreszcie oburzeniem. Dziwne. Dlaczego ten człowiek, który niewątpliwie był świadkiem transformacji tysięcy rekrutów, miałby być niezadowolony akurat z przemiany Killashandry?

– Zostaniesz odprowadzona na oddział medyczny, gdzie symbioza zostanie ukończona. – Tukulom uciekł w rutynową formułkę. Jego ręka poruszyła się nieznacznie, wskazując, że Killashandra ma pójść z medykami.

Rozbawiona jego reakcją i zdecydowanie zadowolona z siebie, chętnie ruszyła naprzód. Odwróciła się nagle z zamiarem zabrania lutni. Teraz, kiedy wiedziała już, nie będzie głucha, chciała zachować instrument.

– Twoje rzeczy w późniejszym terminie zostaną dostarczone. Idź! – Z głosu Tukuloma zniknął już gniew, lecz jego twarz nadal pokrywały czerwone plamy.

Nie istniało najmniejsze nawet fizyczne podobieństwo pomiędzy Tukulomem i Maestro Valdim, a przecież w tym momencie Killashandra niemal ujrzała przed sobą dawnego nauczyciela. Odwróciła się do niego plecami i ruszyła w kierunku pochylni. Wychodząc z korytarza usłyszała Tukuloma donośnie proszącego o uwagę. Obejrzała się przez ramię i ujrzała, jak wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Jeszcze raz zdołała wykonać dramatyczne zejście sceny bez najmniejszej nawet publiczności.

ROZDZIAŁ VI

Jakby nie dość było tego, że porwano ją nagle, niczym zbrodniarkę, to medtechnik bez przerwy wypytywał Killashandrę, czy nie nękają jej zawroty głowy, gorączka albo dreszcze – jakby jej słowa, iż czuje się wprost znakomicie, nie docierały do niego zupełnie. Nie próbowała zatem informować go, że przepełnia ją energia i żywotność, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyła, że wszystko wokół, nawet zwykłe zielone tuniki służby medycznej, nabrało nowego połysku, a w uszach wibrują wcześniej niesłyszane dźwięki. Przede wszystkim jednak chciała krzyczeć w zachwycie, wyśpiewać go sięgając oktaw niemożliwych dla ludzkiego głosu.

Ostateczne rozczarowanie nastąpiło w momencie, gdy główna medtechniczka, urocza kobieta o ciemnych włosach, splecionych w skomplikowaną koronę, chciała poddać Killashandrę kompletnym badaniom kontrolnym.

– Nie potrzebuję badań! Nigdy w życiu nie czułam się tak dobrze!

– Symbiont potrafi być bardzo podstępny, droga Killashandro, i mogą to wykazać jedynie badania. Proszę, połącz się. Wiesz, że to potrwa długo. Naprawdę potrzebny nam obraz tego, co dzieje się w twoim organizmie. Killashandra stłumiła ochotę, aby krzyczeć na całe gardło, i ustąpiła. Jej uniesienie było jednak tak wielkie, że zazwyczaj przyprawiający o klaustrofobię hełm nie przeszkadzał jej ani trochę, a próba progu bólu wywołała jedynie radosny śmiech.

– No cóż, Killashandro Ree – stwierdziła Antona, bezmyślnie poprawiając niesforny kosmyk – prawdziwa szczęściara z ciebie. – Uśmiechnęła się, pomagając jej wstać, i był to najsympatyczniejszy uśmiech, jaki Killashandra widziała dotąd na twarzy jakiegokolwiek członka Cechu. – Trzeba się tylko upewnić, czy nie wystąpią jakieś zakłócenia. Chodź, pokażę ci twój pokój.

– Naprawdę jestem zdrowa? Myślałam, że będę mieć gorączkę...

– Może jeszcze kiedyś ci się to trafi – odparła Antona pogodnie, prowadząc dziewczynę w dół szerokiego korytarza.

Killashandra zawahała się, marszcząc nos. Ze wszystkich stron atakowały ją duszące zapachy: mdły pot, mocz, odchody, wymiociny i, równie dławiący, co inne wonie, strach.

– Tak – powiedziała przewodniczka, widząc jej reakcję. – Przypuszczam, że przywykniecie do wyczulonego węchu zajmie ci nieco czasu. Na szczęście, ta adaptacja

akurat mnie nie dotknęła. Nadal rozróżniam zapachy, w moim zawodzie to konieczne, ale nie przytłaczają mnie tak bardzo. Umieściłam cię na samym końcu, z dala od innych. Możesz zaprogramować klimatyzator, aby wyczyścić powietrze.

Również hałasy otaczały Killashandrę ze wszystkich stron. Nawet poprzez grube, dźwiękochłonne ściany rozpoznała jeden głos.

– Rimbol! – skoczyła w prawo i zanim Antona zdążyła zaprotestować, otworzyła drzwi.

Młody Scartyńczyk, wygięty w spazmie bólu, wrywał się dwóm podtrzymującym go silnym medtechnikom. Trzeci w tym czasie spryskiwał czymś jego klatkę piersiową. W ciągu tych dwóch dni, odkąd go nie widziała, Rimbol stracił na wadze, a jego skóra nabrała dziwnego jasnożółtego odcienia. Twarz wykrzywiał mu grymas.

– Nie wszystkim tak łatwo idzie – skomentowała Antona, ujmując jej rękę.

– Łatwo! – Killashandra oparła się lekarce, próbującej wyprowadzić ją z pokoju. – Faks podał, że jego stan jest zadowalający. Coś takiego uznajecie za zadowalające?

Towarzyszka zmierzyła ją wzrokiem.

– Tak, w pewnym sensie jego stan jest zadowalający. Nadal nie poddaje się całkowicie symbiontowi. Zachodzą tu ogromne zmiany: instynktowny odruch obronny z jego strony, ze strony symbionta kolejna mutacja. Według prognozy komputerowej Rimbol ma spore szansę na zadowalające przystosowanie.

– Ale... – Killashandra nie mogła oderwać wzroku od wijącego się ciała przyjaciela. – Czy i mnie to czeka?

Antona pochyliła głowę, kryjąc twarz, co zirytowało Killashandrę.

– Nie sądzę, Killashandro Ree, nie denerwuj się. Trzeba jeszcze zanalizować wyniki ostatnich badań, ale wstępny odczyt sugeruje łagodny przebieg adaptacji. Jeśli okaże się, że jest inaczej, będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie. To może kiepska pociecha, ale wtedy musiałabyś tu zakotwiczyć.

Killashandra puściła mimo uszu ostatnią uwagę.

– Czy wyliczyliście, jak długo będzie w takim stanie?

– Tak. Jeszcze jeden dzień i najgorsze powinno ustąpić.

– A Jezerey?

Przez moment spojrzenie Antony wyrażało całkowitą dezorientację.

– A, dziewczyna, która wczoraj zemdląła w hangarze? W porządku. No, uściśnę to – Antona uśmiechnęła się pojednawczo – cierpi na typową w takich okolicznościach wysoką gorączkę, ale jest jej tak wygodnie, jak to tylko możliwe w podobnym stanie.

– A więc można go nazwać zadowolającym? – słowa Killashandry przepajała gorycz, wywołana tym jakże mylącym zwrotem. Dziewczyna pozwoliła się jednak wyprowadzić z pokoju Rimbola.

– Owszem – według naszych kryteriów i doświadczenia. Musisz zrozumieć, że siła, z jaką symbiont wpływa na nosiciela, różni się znacznie w zależności od osoby. Tak samo reakcja obronna organizmu nosiciela. – Antona wzruszyła ramionami. – Gdybyśmy tylko znali wszelkie możliwe skutki i odmiany, łatwo byłoby wybierać jedynie kandydatów o wymaganych chromosomach, Nie jest to jednak takie proste, choć dzięki nieprzerwanym badaniom dotarliśmy już dość blisko idealnych parametrów. – Obdarzyła Killashandrę jeszcze jednym ciepłym uśmiechem. – Mylimy się teraz znacznie rzadziej niż kiedyś.

– Jak długo tu jesteś?

– Dostatecznie długo, by wiedzieć, jak wielkie miałaś szczęście. I mieć nadzieję, że nadal tak będzie. Ponieważ zazwyczaj pracuję z pacjentami na chodzie, bezradni mnie przygnębiają. No, jesteście.

Antona otworzyła drzwi na końcu korytarza i zawróciła. Killashandra przytrzymała ją.

– Ale co z Rimbolem? Czy będę mogła go odwiedzić? Kolejne wymowne wzruszenie ramion.

– Jeśli chcesz. Niedługo dostaniesz swoje rzeczy. Rozgość się – dodała uprzejmie. – Zaprogramuj klimatyzator i wypocznij. Jak na razie nic więcej nie masz do roboty. Zawiadomię cię o wynikach badań, gdy tylko je otrzymam.

– Albo to ja cię zawiadomię – odparła Killashandra nieco cierpko.

– Nie zastanawiaj się nad tym zbyt wiele – poradziła lekarka.

Killashandra posłuchała jej rady. Pokój, już trzeci w ciągu ostatnich tygodni, został zaprojektowany tak, by ułatwić opiekę nad pacjentami, choć w tej chwili nie było w nim żadnego sprzętu. Przenikliwa woń choroby przesączała się z korytarza i w całym pomieszczeniu unosił się zapach antyseptycznych środków odkażających. Prawie godzinę zabrało jej znalezienie przyjemnego odświeżacza powietrza. W trakcie poszukiwań przechwyciła najnowszy biuletyn, informujący o stanie innych pacjentów. Killashandra nigdy nie była chora ani nie miała okazji do odwiedzin u chorych przyjaciół, toteż wydruk niewiele jej powiedział. Ponieważ poszczególne przypadki określano wedle numerów pokoi, udało jej się wyodrębnić Rimbola. Jego monitory wykazywały większą aktywność niż u osoby w sąsiednim pomieszczeniu. Nie potrafiła się zmusić do tego, by sprawdzić, kto to był.

Wieczorem odwiedziła ją Antona. Sprężystym krokiem weszła do pokoju, jej twarz opromieniał uśmiech.

– Wyniki badań są znakomite. Nie powinnaś mieć żadnej gorączki. Przytrzymamy cię tu przez kilka dni, tak na wszelki wypadek. Łatwa transformacja nie zawsze należy do najbezpieczniejszych – rozległ się nagły dzwonek. – A, następny pacjent. Muszę uciekać, przepraszam.

Gdy tylko drzwi zasunęły się za medtechniczką, Killashandra włączyła informator medyczny. Na samym dole mrugająca zielona wiadomość uprzedzała o przyjęciu nowego chorego. Dzięki temu Killashandra mogła pójść i zobaczyć, jak do kliniki wwożą Bortona. Następnego dnia pojawił się Shillawn. Faks nadal wypisywał „zadowolający” obok każdego nazwiska. Chyba nawet zaakceptowała to, zafascynowana wykresami funkcji życiowych. Właśnie je oglądała, gdy na jej oczach wykres osoby obok Rimbola nagle spadł do zera.

Killashandra pobiegła korytarzem. Drzwi pokoju były otwarte, kilku techników pochylało się nad łóżkiem. Nie dostrzegła między nimi Antony, przez moment pochwyciła jednak wzrokiem stężoną twarz Carigany.

Zawróciła na pięcie i wpadła do gabinetu głównej medtechniczki. Antona, przygarbiona, ślęczała nad skomplikowaną konsolą, jej piękne dłonie śmigały po klawiszach.

– Dlaczego Carigana umarła? – spytała ostro Killashandra.

Nie odrywając wzroku od światełek migoczących na ekranie, Antona powiedziała:

– Cech nadał ci pewne przywileje, Killashandro Ree, ale nikt nie upoważnił cię do przeszkadzania kierownikom działów. Ani mnie, szczególnie w tej chwili. Też chcę wiedzieć, czemu ona nie żyje, i interesuje mnie to dużo bardziej niż ciebie!

Słusznie zawstydzona Killashandra opuściła gabinet. Pośpieszyła z powrotem do siebie, a przechodząc obok pokoju Carigany odwróciła oczy. Wstydziła się za siebie, bowiem tak naprawdę nie obchodziła jej Carigana, a jedynie fakt, że nie żyła. Ta kobieta naprawdę potrafiła być denerwująca. W Centrum Muzycznym śmierć stanowiła często kulminacyjny punkt przestawień i Killashandra na co dzień stykała się z jej wersją dramatyczną, lecz zgon Carigany był dla niej pierwszym kontaktem z rzeczywistością w tej materii. Śmierć mogła również spotkać ją samą, Rimbola – a gdyby umarł Rimbol, to naprawdę by ją poruszyło. Nawet gdyby zmarł Shillawn.

Sama nie wiedziała, jak długo siedziała wpatrzona w wykresy funkcji życiowych, starając się ignorować ten jeden. Grzeczne pukanie do drzwi wyrwało ją z transu. Do pokoju weszła Antona i jej zmęczona twarz uświadomiła Killashandrę, że od ich rozmowy musiało minąć kilka godzin. Antona oparła się o drzwi i wydała z siebie długie westchnienie.

– Jeśli chodzi o twoje pytanie...

– Przepraszam za wcześniejsze zachowanie...

– Nie wiemy, czemu Carigana umarła – ciągnęła Antona, potwierdzając przeprosiny lekkim skinieniem głowy. – Mam prywatną teorię, nie popartą żadnymi faktami. Intuicja, tak to można nazwać. Sądzę, że chęć poddania się symbiontowi, pragnienie bycia zaakceptowanym jest równie istotna co odporność fizyczna, czego Cariganie nie brakowało, oraz chromosomy, które, jak ustaliliśmy, wywołują zazwyczaj pozytywną adaptację. Bardzo chciałaś zostać śpiewaczką kryształu, prawda?

– Tak, ale innym też na tym zależało.

– Czyżby? Naprawdę wszystkim? – w głosie Antony pobrzmiwała zaduma i smutek.

Killashandra zamilkła, boleśnie świadoma niepewności własnych pragnień. Gdyby teoria Antony była choć w części słuszna, ona także powinna już nie żyć, a przynajmniej ciężko chorować.

– Cariganie nic się nie podobało. Kwestionowała wszystko – powiedziała wreszcie, starając się pocieszyć Antonę. – Nie musiała zostać śpiewaczką kryształu.

– To prawda, mogła zostać w przestrzeni – lekarka uśmiechnęła się słabo i wyprostowała. Wtedy dostrzegła wykresy na ekranie. – A więc stąd wiedziałaś. No cóż – postukała palcem w jeden z nich, w samym lewym rogu – to twój przyjaciel Rimbol. W tej chwili jego stan jest lepiej niż tylko zadowalający. Reszta posuwa się całkiem ładnie. Możesz spakować rzeczy. Nie ma najmniejszych podstaw medycznych do tego, by cię tu dalej trzymać. Znacznie lepiej, byś zaczęła uczyć się technik przetrwania, niezbędnych w twojej profesji, niż siedziała tu na warcie. Od tej pory oficjalnie odpowiada już za ciebie Lanzecki, nie ja. Ktoś po ciebie przyjdzie.

– Więc się nie rozchoruję?

– Nie ty. Miałaś tak zwany przeskok Mikeleya. Praktycznie żadnych dolegliwości i maksimum przystosowania. Życzę ci szczęścia, Killashandro Ree. Będiesz go potrzebowała – Antona mówiła to wszystko bardzo poważnie. W tym momencie drzwi otworzyły się nieco szerzej. – Trag? – spytała wyraźnie zdziwiona, lecz po sekundzie uśmiech powrócił na jej twarz. Chwila zaskoczenia była tak krótka, iż Killashandra niemal zwątpiła we własną spostrzegawczość. – Bez wątpienia jeszcze się zobaczymy, Killashandro Ree.

Antona wysliznęła się z pokoju, a jej miejsce zajął ponury mężczyzna przeciętnej budowy. Obdarzył Killashandrę uważnym spojrzeniem, ona jednak doświadczyła już uwagi tak wielu dyrygentów, że niełatwo ją było onieśmielić.

– Nie mam zbyt wiele do spakowania – oświadczyła. Zsunęła się z łóżka i szybko pozbierała rzeczy. Mężczyzna dostrzegł lutnię, zanim ją schowała, i coś błysnęło w jego oczach. Czyżby grał kiedyś na tym instrumencie?

Wreszcie stanęła przed nim z workiem na ramieniu, czując, jak wali jej serce. Zerknęła na ekran, podążając wzrokiem ku wykresom Rimbola. Ciekawe, ile czasu minie, nim go wypiszą. Skinęła głową i ruszyła za Tragem.

Wkrótce miała odkryć, że Trag z natury był bardzo powściągliwy, teraz jednak, gdy maszerowali korytarzami oddziału medycznego, z radością przyjęła jego milczenie. Zbyt wiele przydarzyło się jej w bardzo krótkim czasie. Uświadomiła sobie nagle, że trwała w nieustannym niepokoju, czy i jej sygnały życiowe nie pojawią się na ekranie. Nagła ulga, połączona z radością spowodowaną wypisaniem ze szpitala, oszołomiła ją. Dopiero później doceniła fakt, że Trag, pierwszy zastępca Cechmistrza, zajmujący się szkoleniem śpiewaków kryształu, zazwyczaj nie odprowadzał na miejsce nowego narybku.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi windy, Trag ujął prawą rękę Killashandry i zamknął na jej przegubie cienką metalową bransoletkę.

– Musisz nosić ten identyfikator do chwili, póki nie wyruszysz w Pasma.

– Identyfikator? – bransoletka pasowała idealnie, nie uciskając przy tym ręki, lecz sam metal wydawał się dziwnie szorstki. Ale tylko przez chwilę i Killashandra nie wiedziała, czy może czasem sobie tego nie wymyśliła. – Aby koledzy znali twój status. Umożliwia ci też zachowanie śpiewaczej prywatności.

Coś w jego głosie sprawiło, że zapłonęły jej policzki, jednak twarz Traga nie wyrażała nic. Winda przystanęła i jej drzwi rozsunęły się.

– Wpuszcza także na poziomy mieszkalne, należące do śpiewaków. Są trzy. Na tym znajdują się wszystkie sale ogólne. – Razem wyszli do ogromnego, sklepionego, dyskretnie oświetlonego holu. Killashandra poczuła, jak jej nerwy, napięte do ostateczności, rozluźniają się nieco. Masywne kolumny dzieliły cały poziom na części i korytarze. – Szyb windy – ciągnął Trag – stanowi punkt centralny tych poziomów kompleksu. Zespół selektorów, sala widokowo-kinowa, jadalnie indywidualne i zbiorowe – to wszystko znajduje się tuż obok szybu. Kwatery prywatne podzielone są na sekcje, oznaczone różnymi kolorami, a na łuku zewnętrznym dodatkowe, mniejsze windy, prowadzące na wszystkie poziomy. Twoje pokoje znajdziesz w sekcji błękitnej. Tędy – skręcił w lewo i Killashandra podążyła jego śladem.

– Czy to już moja stała kwatera? – spytała wspominając, ile ich już miała od poznania Carrika.

– W Cechu, tak.

Ponownie pochwyciła dziwny ton w jego głosie. Przypuszczała, iż musi to mieć coś wspólnego z faktem, że jako pierwsza z całej klasy opuściła szpital. Była dziwnie rozstrojona. Już wcześniej, w Centrum Muzycznym kilka razy doświadczyła tego uczucia, kiedy nikt nie

mógł zapamiętać swej roli, kolejności wejść czy właściwego tempa. Przez takie dni trzeba po prostu przebrnąć i nie przejmować się resztą. Ale tego dnia, z pewnością jednego z najważniejszych w jej życiu, trudno było pogodzić się z tym wszystkim.

Niemal wpadła na Traga, gdy ten przystanął przed drzwiami po prawej stronie korytarza. Mętnie uświadomiła sobie, że od pewnego czasu regularnie mijali wnętrza w ścianach.

– Tę kwaterę przydzielono tobie. – Trag wskazał płytkę zamka.

Killashandra posłusznie przycisnęła do niej kciuk. Drzwi odsunęły się.

– Resztę przedpołudnia wykorzystaj na zadomowienie się i wprowadzenie swojego osobistego programu do komputera. Możesz użyć dowolnego kodu: dane personalne są zawsze kodowane głosowo. O czternastej Concera odprowadzi cię do mechanika pił. Nie uda mu się wykręcić – będzie musiał szybko cię wyposażać.

Ten raczej niezwykły komentarz nie uszedł uwagi Killashandry. Zastanawiała się, czy wszyscy będą teraz przy niej rzucać zagmatwane aluzje, które w ich opinii wyraźnie powinna rozumieć. Ale Trag odchodził już w głąb korytarza.

Zamknęła drzwi, zapaliła światelko oznaczające, że chce być sama, i obejrzała swoje stałe mieszkanie. Jego rozmiar, podobnie jak na innych planetach, wiązał się ze statusem właściciela. Główny pokój był tu dwa razy większy od tego, w którym mieszkała ostatnio. Po jednej stronie znajdowała się sypialnia, najwyraźniej składająca się wyłącznie z ogromnego łóżka. Otwarte drzwi prowadziły do wyłożonej lustrami ubieralni, która z kolei stanowiła przedsionek pomieszczenia higienicznego, wyposażonego we wpuszczony w podłogę zbiornik i niezwykłą ilość różnorodnych kranów, przycisków i pokręteł. Po drugiej stronie znajdowała się szafa, większa niż jej studencki kąpiel na Fuerte, oraz niewielka jadalnia z indywidualnymi selektorami.

– Proszę o yarrańskie piwo – powiedziała, mniej z ochoty na napój, a bardziej po to, by zakłócić panującą w mieszkaniu ciszę, która aż dźwięczała w uszach. Podajnik otworzył się, ukazując kubek charakterystycznej czerwonej cieczy.

Zabrała piwo z powrotem do pokoju, przyglądając się bezpłciowemu umeblowaniu. Złożywszy ostrożnie lutnię na krześle, pozwoliła workowi ześliznąć się z ramienia i opaść na podłogę. Nagle poczuła chęć porzucenia wokół swoich rzeczy, by surowe pomieszczenie zaczęło sprawiać wrażenie zamieszkanego.

Oto ona, Killashandra Ree, zainstalowana we wspólnym, przestronnym apartamencie. Osiągnęła status śpiewaczki kryształowej, straszliwej, przerażającej istoty, krzemowego pająka, kryształowej kukułki o luksusowym gnieździe. Jeszcze tego popołudnia

otrzyma piłę, która umożliwi jej cięcie żywego ballybrańskiego kryształu i osiągnięcie oszałamiających zysków w kredytach, a przecież bez wahania oddałaby to wszystko za dźwięk przyjaznego głosu.

– W dodatku nie jestem wcale pewna, czy w ogóle mam gdzieś przyjaciela – powiedziała do siebie.

– Zapis?

Bezosobowy głos, coś pomiędzy tenorem i kontraltam, zaskoczył ją kompletnie. Ręka jej zadrżała, omal nie rozlewając piwa.

„Program osobisty”. O to właśnie chodziło Tragowi. Miała nagrać fakty ze swego życia, które chciała pamiętać przez wszystkie lata, kiedy to śpiewanie kryształu naruszy obwody jej pamięci.

– Zapis?

– Tak, zapis. Do przechowania wyłącznie w formie dźwiękowej, pod kodem głosowym.

Podając na głos różne informacje, takie jak data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, dziadków, sióstr i braci, poziom i zakres edukacji, przechadzała się po pokoju, starając się znaleźć jak najlepsze miejsce dla lutni.

– Po otrzymaniu stypendium wstąpiłam do Centrum Muzycznego – urwała i roześmiała się. – Jak szybko zaczyna się zapominać to, czego nie chce się pamiętać?

– Od razu!

– Zapis?

– Koniec zapisu. – I tyle. Wiedziała, że może jeszcze zmienić zdanie, ale nie chciała pamiętać o tych dziesięciu latach. Teraz mogła wymazać je z pamięci. Jeśli o nią chodzi, od tej chwili i już na zawsze nic ważnego nie wydarzyło się w jej życiu do czasu, gdy spotkała Carrika. Te dziesięć lat nieprzerwanej ciężkiej pracy i całkowitego poświęcenia dla swych ambicji nie istniało dla Killashandry Ree, śpiewaczki w Cechu Heptyckim.

Aby uczcić swe wyzwolenie od mrocznej przeszłości, Killashandra zamówiła kolejne yarrańskie piwo. Zegar poinformował ją, że ma jeszcze godzinę, zanim Concera zabierze ją na umówione spotkanie. Zdecydowała się na pożywną, sycącą supę jarzynową i sprawdziła swoje konto – rzecz, o której musiała stale pamiętać. Odkryła, że nadal jest na plusie. Jeśli przerzuciłaby tam resztę gwarantu Cechu i wartość otrzymanego biletu, miałaby do dyspozycji całkiem niezłą sumkę. Którą pochłonąłby sprzęt śpiewaka kryształu. Nie, na razie zachowa ten kredyt w zapasie.

To przypomniało jej o Shillawnie i dyskusjach na temat debetów kredytowych. Wystukała katalogi Cechu, zamówiła nieco dodatkowych sprzętów i gobeliny, ręcznie tkane na Ghni, a o czternastej, kiedy Concera nacisnęła dzwonek u jej drzwi, Killashandra dysponowała już widokami na ścianach, łączącymi najmniej spodziewane elementy: od lodowej planety do wybujałej roślinności ze śmiertelnie niebezpiecznego układu Eobarona. Razem sprawiało to dość oszałamiające wrażenie, z pewnością jednak stanowiło odmianę po poprzedniej sterylności pokoju.

Concera, kobieta średniego wzrostu i lekkiej budowy, aż wykrzyknęła na widok gobelinów. Spojrzała pytająco na Killashandrę.

– Bardzo sprytnie! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy połączenie różnych światów. No chodź, proszę. On ma okropny temperament, nawet gdy jest w najlepszym nastroju, ale bez jego umiejętności my, to znaczy śpiewacy, mielibyśmy się z pyszna. To naprawdę artysta w swym fachu i dlatego wszyscy ustępują jego najdziwniejszym kaprysom. Tędy.

Posuwisty krok Concery okazał się bardzo szybki i Killashandra z trudem za nią nadążała.

– Bardzo prędko zorientujesz się, gdzie co jest. Miło być dla odmiany samemu, nie w stadzie, tak mi się wydaje, choć oczywiście różni ludzie mają różne gusta – tu Concera zerknęła na Killashandrę, jakby sprawdzając, czy ta się z nią zgadza. – Rzecz jasna, pochodzimy z całej galaktyki, więc musi się w końcu trafić na kogoś podobnego, To ósmy poziom, tutaj wykonuje się większość prac technicznych. Naturalnie, piły też się tu produkuje, jako najlepszy wytwór techniki. No, jesteśmy.

Concera przystanęła przy otwartym wejściu i z zupełnie nieoczekiwaną uprzejmością pchnęła Killashandrę przodem do niewielkiego pomieszczenia. W głębi pokoju znajdowała się długa lada, za nią zaś widniały prowadzące do warsztatu drzwi. Wtargnięcie dwóch kobiet musiało uruchomić ukryty alarm, bowiem pojawił się w nich mężczyzna o zarumienionej od słońca twarzy, wykrzywionej grymasem.

– Ty jesteś Killashandra? – spytał gwałtownie. Gestem nakazał jej, by podeszła bliżej i wtedy zauważył Concere. – A ty po co? Mówiłem, że będziesz musiała poczekać. Co za sens przygotowywać dla ciebie trójpalczasty uchwyt? Szybko stanie się niepotrzebny, szkoda marnować robotę, którą można wykorzystać do znacznie potrzebniejszych celów.

– Myślałam, że może to stanowić dla ciebie wyzwanie...

– Mam aż za dużo wyzwań – odparł z taką zaciętością, że Killashandra zaczęła się lękać, by kłótnia z kobietą nie odbiła się na niej. – Pokaż mi ręce.

Killashandra uniosła je nad ładą, dłońmi ku górze. Obmacując je długimi, fachowymi palcami podniósł pytająco brwi. Rozłożył jej palce, dostrzegł brak fałdów skórnych między nimi – efekt wieloletnich ćwiczeń – twardy mięsień wzdłuż dłoni, wyrobiony wzgórek obok kciuka.

– Dobry użytek robiłaś ze swych dłoni, co? – ponownie obdarzył Concerę piorunującym spojrzeniem.

Dopiero wówczas Killashandra zauważyła, że u lewej dłoni jej przewodniczki brakuje dwóch palców. Kikuty były różowobiałe, zagojone, lecz nieco dziwnie ukształtowane. Nagle, z pewnością, od której zrobiło jej się mdło, Killashandra uświadomiła sobie, iż brakujące palce powoli odrastały.

– Jeśli zostajesz, musisz siedzieć cicho. Lepiej, żebyś sobie poszła, wtedy nie będziesz czuła pokusy. To zajmie dwie, trzy godziny.

Concera postanowiła odejść, co bynajmniej nie poprawiło nastroju technika. Killashandra naiwnie sadziła, że dostrajanie piły to dość prosta sprawa, był to jednak żmudny proces, trwający kilka dni. Dziś, przy badaniach głosu, musiała odczytać na głos nudny traktat o historii i rozwoju narzędzi tnących. Dowiedziała się na ten temat znacznie więcej, niż musiała wiedzieć. Niektóre bardziej skomplikowane mechanizmy zawodziły wystawione na ekstremalne warunki atmosferyczne. Inny, niegdyś popularny model oskarżono o wywoływanie wyładowań elektrycznych, których owocem były wystawione na Shankillu zwęglone zwłoki. Najsprawniejszy i najpewniejszy model, wymagający od użytkownika idealnego słuchu, był urządzeniem piezoelektrycznym, przekształcającym fale dźwiękowe poprzez materiał pośredni w drgania o wysokiej częstotliwości na nośniku poddźwiękowym. Model ten stanowił znacznie udoskonaloną wersję prymitywnej piły Barry'ego Mikeleya. „Ostrze” piły było za każdym razem dostrajane przez śpiewaka do tonu, dominującego w ciętej kryształowej ścianie.

Raz ustawiona na dany głos piła nie mogła być przeprogramowana. Wyrób podobnych pił był zastrzeżony wyłącznie dla Cechu, a tajemnic ich budowy strzegł specjalny program strażniczy, którego kod znali wyłącznie Cechmistrz i jego zastępca.

Concera nie kłamała. Technik naprawdę miał paskudny charakter. Kiedy Killashandra czytała na głos, on bez przerwy narzekał na Cech i jego poszczególnych członków. Jednym z jego kozłów ofiarnych była sama Concera. A szczególnie zirytowała go jej prośba o trójpalczasty uchwyt. Concera i tak była nieudolna, zawsze uszkadzała rękojeść. Poza tym przed powrotem do pracy powinien mieć jeszcze trzy tygodnie wolnego i spokojnie łowić ryby. Właśnie zaczynały brać i czy Killashandra mogłaby teraz zaśpiewać gamę C–dur.

W sumie odśpiewała kilkanaście gam w różnych tonacjach i stwierdziła, że na świecie istnieją jednak gorsze audytoria niż pozornie zachwyceni sędziowie muzyczni. Nie używała swego głosu od czasu, gdy poznała Carrika, toteż wkrótce piekło ją całe gardło, a śpiew stawał się coraz bardziej chrapliwy.

Kiedy Concera wpłynęła do pracowni, Killashandra poczuła ogromną ulgę.

– Jutro o tej samej porze. Zajmę się wtedy odlewem twoich dziesięciu porządnym palców – technik rzucił złośliwe spojrzenie w kierunku Concery.

Obie pośpiesznie opuściły jego pracownię.

– On tak lubi te swoje żarciki – stwierdziła przewodniczka, prowadząc Killashandrę w dół jednego korytarza i skręcając w lewo w następny. – Prosiłam tylko o maleńką grzeczność, żeby móc wrócić w Pasma i nie marnować czasu – weszły do pomieszczenia oznaczonego napisem „Sala szkoleniowa” i Concera z uśmiechem zamknęła drzwi, po czym zapaliła nad nimi czerwone światelko. – No, ale przecież – jej oczy umknęły gdzieś w bok – czeka na nas nauka! – Gestem nakazała Killashandrze, by zajęła jedno z kilku stojących w salce krzeseł i usiadła naprzeciw wielkiego ekranu holograficznego. Sama zdjęła z półki wielofunkcyjnego pilota, przygasiła światło i uruchomiła ekran, na którym pojawiły się wielkie litery, formując się w przepisy, prawa i przykazania Cechu. – Może i miałaś Przeskok Mikeleya, ale tego tak łatwo przeskoczyć się nie da.

– Tukolom...

– Tukolom zajmuje się tylko najbardziej podstawowymi informacjami, niezbędnymi każdemu, kto wstępuje do Cechu, niezależnie w jakiej roli. – W głosie Concery zabrzmiało lekkie rozgoryczenie. – Teraz czas na specjalizację i repetycje, stałe repetycje – śpiewaczka westchnęła. – Wszyscy musimy powtarzać – dodała z cichą rezygnacją. – Jeśli stanowi to dla ciebie jakąkolwiek pociechę, sama też będę to robić. Zawsze uważałam, że łatwiej jest wyjaśniać, niż wykuwać na pamięć. Często będziesz mogła usłyszeć, jak nawet najstarsi śpiewacy mamroczą do siebie prawa i reguły w sali wypoczynkowej. Oczywiście nigdy nie pojmiesz wagi tego ćwiczenia, póki nie przekonasz się, jak bardzo jest ono niezbędne! Kiedy osiągniesz ten etap, nie będziesz nawet pamiętać, skąd właściwie wiesz, co masz robić. Ponieważ wtedy nie będziesz już wiedziała nic więcej.

Pomimo dźwięczącego w słowach Concery przekonania Killashandra uznała, że w tym rozumowaniu są pewne luki. Nie mając jednak wyboru co do programu nauki ani co do nauczycielki, zabrała się za wkuwanie przepisów, regulujących znajdowanie działek, rejestrację działek i złoż krysztalu, naruszeń prawa własności, odszkodowań i grzywien, kar i

mnóstwa innych zasad, w których sens istnienia wątpiła, bowiem wszystko to było jasne dla każdego, kto dysponował jakim takim rozsądkiem.

Kiedy wreszcie wróciła w zacisze swej kwatery, ozdobionej szaleństwem na ścianach, wywołała informację medyczną i dowiedziała się, że Rimbol wciąż jest słaby, lecz zachował wszystkie zmysły. Shillawn, Borton i Jezerey byli nadal w stanie „zadowolającym”, tym razem we właściwym znaczeniu tego słowa. Udało jej się też wydobyć z banków danych fakt, że zranieni śpiewacy, tacy jak Borella i Concera, podejmowali się roli nauczycieli ze względu na związaną z tym premię. To tłumaczyło ich wrogie i dwuznaczne uwagi. Następnego ranka, gdy Concera przepytывała ją dokładnie z tego, co powiedziała jej wcześniej, Killashandra odniosła wrażenie, iż nauczycielka sama recytuje w myślach paragraf za paragrafem, jedynie o krok wyprzedzając swą uczennicę.

Po przerwie całe dość nieprzyjemne popołudnie spędziła w pracowni Rybaka, który wykonywał odciski jej dłoni. Technik bez przerwy głądził o setkach odlewów, jakie musi pobrać od każdego śpiewaka. Oznajmił też, by nie przychodziła do niego z płaczem i narzekaniami na odciski, spowodowane naturalnym rozwojem mięśni, nie było to bowiem jego winą.

Wieczór Killashandra spędziła na zmianach dekoracji w swym pokoju.

Rano znów miała ćwiczenia z Concerą, na pół godziny odwiedziła pracownię i wysłuchiwała kolejnej przemowy o tym, że ryby kiepsko biorą, plastik jest coraz gorszej jakości, a ranga ma swoje przywileje. Killashandra postanowiła nie przejmować się wszelkimi adresowanymi do niej niezrozumiałym uwagami – było ich stanowczo zbyt wiele. Przez resztę popołudnia zajmowały się z Concerą kształtami i tonami kryształów oraz ich kombinacjami, które w tej chwili cieszyły się największym popytem; czarny kryształ, niezależnie od postaci, zawsze osiągał najwyższe ceny. Killashandra musiała przejrzeć katalogi i wykuć na pamięć zastosowanie poszczególnych form, rozpiętość cen oraz czynniki, od których zależała wartość poszczególnych kolorów. Zwiedziła też oddziały badawcze, gdzie pracowano nad nowymi sposobami wykorzystania ballybrańskich kryształów.

Kolejne dni przyniosły treningi na symulatorze lotów, próbne „kierowanie” saniami w szalejącym gigawichrze. Po pierwszej lekcji była tak wykończona, roztrzęsiona i złana potem, jakby walka z wichurą miała miejsce naprawdę.

– Będziesz musiała lepiej się postarać – oznajmił bezlitośnie instruktor, gdy wytoczyła się z symulatora. – Pół godziny w wannie, a po południu z powrotem tutaj.

– W wannie?

– Właśnie. Opalizujący płyn. Krany po lewej. No, dalej! Masz być tu znowu o piętnastej.

Killashandra przez całą drogę do swej kwatery powtarzała owe zwięzłe instrukcje. Pośpiesznie zrzuciła ubranie i pomaszerowała do łazienki. Odkręciła kran, z którego rzeczywiście popłynęła gęsta, kleista ciecz. Szybko ustawiła odpowiednią temperaturę i bez specjalnego entuzjazmu zanurzyła się w wannie. W ciągu kilku minut napięcie i zmęczenie opuściło jej mięśnie i rozluźniona leżała w odświeżającej kąpieli, póki płyn całkiem nie ostygł. Po południu nawet instruktor musiał niechętnie przyznać, że bardzo poprawiła swe wyniki.

Kilka dni później, podczas samotnego szkoleniowego lotu nad Morzem Białym, gdzie warunki szczególnie sprzyjały ćwiczeniom, wszystkie światelka ostrzegawcze zapłonęły nagle ostrą czerwienią. Kabina rozbrzmiała zgodnym chórem klaksonów, syren i dzwonek alarmowych. Killashandra natychmiast zawróciła na pomocny wschód, w stronę kompleksu Cechu i z ulgą stwierdziła, że połowa wskaźników wróciła do normy. Pozostałe mrugały i piszczały, póki nie posadziła samolot na lądowisku i zgasiła silnik. Kiedy poskarżyła się swemu instruktorowi na napastliwość sygnałów alarmowych, mężczyzna obdarzył ją długim, potępiającym spojrzeniem.

– Nigdy nie dość ostrzeżeń przed nadciągającymi turbulencjami – powiedział. – Wy, śpiewacy, potraficie być równie głusi co niektórzy z nas, nieważne, jak głośno alarmujemy. Póki jeszcze możesz, zapamiętaj: gigawicher nie da ci drugiej szansy. Robimy wszystko co w naszej mocy, abyś miała choć jedną. A teraz przebierz się do wyładunku. Nadciąga sztorm!

Burza nie była specjalnie gwałtowna i alarm dotyczył jedynie południowej części kontynentu. W tym rejonie przebywało czterdziestu śpiewaków, z czego trzydziestu dziewięciu już zameldowało się w bazie. Killashandra, mijając szefów hangaru i lotów, usłyszała tylko:

– Brakuje Keborgena. Wariat, zabije się.

– Przechwalał się, że tym razem przywiezie czarny. Oczywiście, jeśli zdołał przypomnieć sobie, gdzie jest jego działka...

Nie miała żadnego pretekstu, by dalej przysłuchiwać się ich słowom. Jednak po oczyszczeniu i przygotowaniu wszystkich statków Killashandra została w hangarze, nawet gdy reszta pomocników już dawno wyszła.

W samym kompleksie wiatr nie był na tyle silny, aby wznosić zapory, toteż Killashandra usadowiła się w miejscu, skąd mogła obserwować południowy kwadrant. Nie

spuszczała też oka z obojga szefów i dzięki temu dostrzegła moment, kiedy wzruszając ramionami i kręcąc głowami opuścili posterunek.

Jeśli Keborgen naprawdę wydobyl czarny kryształ, to chciałby go rozładować. Nie potrzebowali jej w tej chwili w sortowni. Pocieszała się, że zarobiła właśnie dodatkową premię, a dekoracja i nauka nie kosztowały zbyt wiele. Bycie rekrutem miało swoje dobre strony.

Przechodziła środkiem hangaru, kierując się w stronę wyjścia, gdy usłyszała ten dźwięk. A raczej wyczuła go niczym muśnięcie, dotykające samych koniuszków nerwów. Nie przywykła jeszcze do wzmocnionego wzroku i potrząsnęła głową, starając się pozbyć plamki, widocznej na prawej źrenicy. Ta jednak pozostała na miejscu, lekko podskakując. Nie, to nie było przywidzenie, lecz sanie, wyraźnie zmierzające ku kompleksowi. Zastanawiała się właśnie, czy powinna kogoś zawiadomić, gdy personel hangaru ruszył biegiem ku ciężkiemu holownikowi. W panującym zamieszaniu nikt nie zauważył, że Killashandra przyłączyła się do grupy ratowniczej.

Nie musieli lecieć zbyt daleko, bowiem sanie wbiły się w zbocze wzgórza nie opodal budynków. Komtechnik nie był w stanie nawiązać kontaktu z pilotem.

– Cholerny głupiec! Czekał zbyt długo – szef lotów nerwowo, przebierał palcami. – Ostrzegałem go, kiedy wylatywał, uprzedzałem, żeby się nie spóźnił. Ale oni nigdy nie słuchają – bez przerwy powtarzał różne wariacje tego samego stwierdzenia, wyraźnie coraz bardziej podenerwowany, w miarę jak holownik zbliżał się do sań i można już było dostrzec uszkodzenia.

Pilot posadził pojazd parę kroków od wraku.

– Wy zajmijcie się kryształem – polecił szef lotów, skacząc w kierunku strzaskanej kabiny sań, do połowy zarytej w ziemię.

Killashandra, posłuszna poleceniu, pobiegła wraz z innymi. Już przy saniach odwróciła się. W pewnej odległości dostrzegła dwa ślady na ziemi powstałe, nim spadający pojazd ostatecznie wylądował.

Ładownia wytrzymała wstrząs. Killashandra z zainteresowaniem obserwowała, jak trzech mężczyzn zwolnili zamek najbliższego włazu. Gdy tylko wyłonili się z pudłami w dłoniach, wśliznęła się do środka. Wewnątrz przystanęła, słysząc jęki rannego śpiewaka, w które wdzierał się potok przekleństw opatrującego go medyka i samego szefa lotów.

W chwili gdy dotknęła najbliższego pojemnika, zapomniała jednak zupełnie o rannym, bowiem nagle łagodny dreszcz przeszedł jej ciało od stóp do głów. Mocno chwyciła pudło, lecz niezwykle uczucie zdążyło już ustąpić.

– Pośpiesz się. Trzeba go zawieźć do szpitala – pogonił ją jeden z powracających członków grupy.

Killashandra dźwignęła swój ciężar i ostrożnie, ignorując napomnienia załogi, ruszyła naprzód. Na statku przycupnęła obok kartonu i trwała na posterunku, dopóki do środka nie wpłynął kokon z rannym śpiewakiem.

Podczas krótkiej drogi powrotnej do kompleksu zastanawiała się, po co ten pośpiech. Z pewnością symbiont zdoła wyleczyć wszystkie rany, trzeba tylko dać mu trochę czasu. Przypuszczała, iż również łagodzi ból. Borella nie wyglądała na cierpiącą z powodu tej strasznej rany na udzie i nawet Concera, która lubiła narzekać, ani słowem nie wspomniała o jakimkolwiek bólu w odrastających palcach.

Gdy tylko wylądowali, oczekujący medycy zabrali rannego. Tuląc do siebie pojemnik, który, miała nadzieję, zawierał czarny kryształ, Killashandra pomaszerowała prosto do sortowni. Odszukanie Enthora nie nastreczyło jej specjalnych kłopotów, bowiem praktycznie wpadli na siebie.

– Enthor – powiedziała, z trudem utrzymując się na nogach i podając mu karton. – Wydaje mi się, że to czarny kryształ.

– Czarny kryształ? – Sortowacz wpatrzył się w nią z zaskoczeniem. – A, to ty. Ty? – zdumienie rozszerzyło jego skryte za soczewkami oczy. – Co ty tu robisz? – zawrócił na pięcie i ruszył w kierunku oddziału medycznego. – Nikt nie miał wycinać czarnego kryształu.

– Keborgen mógł. Rozbił się. To pochodzi z jego sań – nagłaco szturchnęła go pojemnikiem. – Szef lotów twierdził, że Keborgen wybierał się na czarne.

Z czystego przyzwyczajenia Enthor odebrał jej pudło. Nadal spoglądał na nią w oszołomieniu, nie mogąc pojąć jej wyjaśnień ani nawet samego nagłego pojawienia się Killashandry. W głębi duszy dziewczyna czuła zniecierpliwienie jego opieszałością. Nie chciała przyznać się do lekkiego wstrząsu, jaki przeżyła w ładowni sań Keborgena. Zdecydowanie pchnęła Enthora w stronę jego stołu. Nadal nieco ogłupiały, podsunął kod identyfikacyjny pod czytnik. Jego dłonie na moment zawisły w powietrzu tuż nad pojemnikiem, szybko jednak opadły.

– No, dalej – pogoniła go, zdenerwowana tą zwłoką. – Obejrzyj je.

– Wiem, co tam jest. Ale skąd ty to wiesz? – z jego głosu zniknął wszelki ślad wahania, oczy oskarżycielsko wpatrzyły się w Killashandrę.

– Wyczułam je. Otwórz! Co znalazł Keborgen? Ani na moment nie spuszczaając z niej spojrzenia swych nieziemskich oczu, Enthor otworzył pudło i uniósł jeden kryształ. Na widok nieregularnego, mętnego kawałka długiego na co najmniej piętnaście centymetrów

Killashandra wstrzymała oddech i musiała zmusić swe płuca do normalnej pracy, gdy sortowacz z szacunkiem wypakował dwa pozostałe kawałki kompletu.

– Dobrze ciął – stwierdził, dokładnie oglądając trio. – Bardzo dobrze. Tuż pod skazą, stąd te kształty.

– Znalazł swoje ostatnie – usłyszeli głęboki głos Cechmistrza.

Całkowicie zaskoczona, Killashandra błyskawicznie odwróciła się na pięcie. Uświadomiła sobie, że Lanzecki musiał przybyć tu zaledwie chwilę wcześniej. Teraz przywitał ją skinieniem głowy, po czym zawołał do kogoś w głębi pomieszczenia.

– Przynieść resztę ładunku Keborgena!

– Czy jest tu jeszcze jakiś czarny? – spytał Enthor, ostrożnie przebierając palcami w plastypianie.

Killashandra czuła na sobie skupiony wzrok Lanzeckiego.

– W pojemniku czy w całym ładunku?

– I tam, i tam – odparł Lanzecki, wyraźnie zniecierpliwiony jej niezdecydowaniem.

– Nie w pojemniku – stwierdziła, przesuwając dłonią wzdłuż jednej ścianki. Nerwowo przełknęła ślinę, kątem oka zerkając na władczą postać Cechmistrza. Jego strój, który jeszcze niedawno uznała za szary i nieciekawym, zachwycił bogactwem tkaniny i subtelnością wzoru, jakże odpowiednią dla stanowiska Lanzeckiego. Ponownie przełknęła, widząc, jak Cechmistrz kiwa głową i sześć pojemników z ładowni Keborgena nagle znajduje się na stole Enthora.

– Jeszcze jakiś czarny kryształ? – spytał sortowacz.

Raz jeszcze przełknęła uporczywie wypełniającą jej usta ślinę. Pomyślała, że kiedyś ten sam zwyczaj niepomrotnie irytował ją u Shillawna, i przesunęła dłońmi nad kartonami. Zmarszczyła brwi. Jej ręce przebiegł lekki, niezwykle dreszcz.

– Nic podobnego do tych poprzednich – oznajmiła zdumiona.

Enthor uniósł brwi i Killashandra wyobraziła sobie, że w jego oczach, pokrytych ochronnymi soczewkami, błyskają wesołe iskierki. Otworzył pierwsze z brzegu pudło i ostrożnie wydobyl z niego garść przydymionych odłamków, demonstrując je Lanzeckiemu i dziewczynie. Pozostałe pojemniki zawierały podobne kryształowe drzazgi.

– Czy wyciął tę triadę pierwszą, czy ostatnią? – spytał cicho Lanzecki, unosząc odłamek długości palca i oglądając nieregularności powierzchni kryształu.

– Nie powiedział? – wtrącił cicho Enthor. Lanzecki odpowiedział jedynie westchnieniem i lekkim ruchem głowy.

– Myślałam, że wasz bezcenny symbiont leczy... – wypaliła Killashandra, zanim nawet zdążyła się zorientować, że w ogóle mówi.

Spojrzenie Lanzeckiego powstrzymało jej wybuch.

– Istnieje kilka ograniczeń. Jednym z nich jest świadome, stałe nadużywanie jego możliwości. Inne to wiek nosiciela. Dodaj do tego trzeci czynnik: Keborgen zbyt długo zwlekał z powrotem mimo ostrzeżeń przed burzą – ponownie skupił wzrok na trzech kryształach, spoczywających na płycie wagowej i ich mrugającej jaskrawo wycenie.

Skoro Keborgen nie żył, to kto dziedziczył jego kredyt? Niemal podskoczyła, gdy Lanzecki przemówił nagle:

– A zatem, Killashandro Ree, jesteś wrażliwa na czarny kryształ j odbyłaś Przeskok Mikeleya.

Killashandra nie potrafiła umknąć jego badawczemu spojrzeniu. Nie był już tak odległy i obojętny jak tego dnia, gdy wraz z Carrikiem przybyła na Shankill. Szczególnie jego oczy, pełne energii i siły, nakazywały szacunek. Leciutki ruch warg sprawił, iż uwaga dziewczyny skupiła się na ustach Cechmistrza. Szerokie, kształtne, z pewnością lepiej odzwierciedlały jego myśli niż oczy, twarz czy nawet całe ciało. Czyżby go bawiła? Nie, chyba nie. Lanzecki nie słynął z poczucia humoru, budził natomiast ogromny respekt, a nawet lęk u ludzi, którzy nie bali się prawie niczego, a poważali jedynie kredyty. Poczuła, jak jej kark i ramiona odruchowo sztywnieją.

– Dziękuję, Killashandro Ree, za szybkie znalezienie tej triady – skinieniem głowy Lanzecki podkreślił, jak bardzo jest wdzięczny. Następnie odwrócił się i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Uwolniona od podtrzymującego ją napięcia, Killashandra wsparła się o stół Enthora.

– Zawsze dobrze wiedzieć, że w pobliżu jest czarny kryształ – rzucił Enthor, ostrożnie wypakowując kolejne odłamki. Mrugnięciem ustawił soczewki i spojrzał na wyświetlacz ceny. – Kłopot w tym, że najpierw trzeba go znaleźć, to po pierwsze.

– A po drugie? – spytała niecierpliwie. Soczewki wróciły na miejsce, a ich właściciel obdarzył Killashandrę przebiegłym spojrzeniem.

– Trzeba zapamiętać, gdzie było to pierwsze. Zostawiła go tak i ruszyła przez sortownię i magazyny do hangaru, skąd prowadziła najkrótsza droga do jej kwatery. Grupa pracowników krzątała się przy saniach Keborgena, pośpiesznie je rozbierając. Killashandra skrzywiła się. A zatem uszkodzony statek reperowano tak często i dokładnie, jak to było konieczne – za życia właściciela... a potem rozkręcano na części. Czy sanie Carrika również zostały rozebrane?

Nagle zatrzymał ją pewien pomysł. Obróciła się gwałtownie i spojrzała ku wzgórzom, w kierunku skąd przyleciał Keborgen. Niemal pobiegła do salki informacyjnej, aby rzucić okiem na wydruki meteo, zawsze gotowe i nieustannie aktualizowane.

– Wichura na południowym wschodzie. Czy już się uspokaja?

Pracownik służby pogodowej uniósł wzrok i zmarszczył brwi. Killashandra ubiegła jego odmowę, demonstrując swą bransoletę. Na widok tej śpiewaczej odznaki natychmiast włączył nagranie satelitarne, ukazujące formację burzową i jej drogę wzdłuż głównego kontynentu i Pasm Mikeleya. Huragan zerwał się równie szybko i niespodziewanie co inne ballybrańskie wiatry, musnął spory sektor Pasma i runął w kierunku morza, poza krawędź Długiej Równiny, gdzie ciepłe powietrze napotkało zwarte masy zimnego.

– Byłam na holowniku, który przywiózł Keborgena, i musiałam tam zgubić swój sygnalizator. Czy mogę wziąć ślizgacz?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo. W naszej strefie nic ciekawego się nie dzieje. Zamelduj się w lotach.

Loty uznały, że utrata sprzętu świadczy o jej niedbalstwie i przydzieliły jej bardzo wysłużony pojazd. Przystanęła na moment, by sprawdzić, czy na ekranie alarmowym nadal widać trasę lotu holownika. Gdy tylko wydostała się z biur, dokonała kilku szybkich obliczeń.

Wsiadła do ślizgacza i opuściła hangar w umiarkowanym tempie, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Podczas lotu na miejsce wypadku zatopiła się w myślach. Była coraz bardziej przeświadczona, iż Keborgen w swym wyścigu na śmierć i życie z pewnością musiał wrócić do kompleksu najkrótszą możliwą drogą. Choć Concera bez przerwy głądziła, jak bardzo ostrożni byli śpiewacy i jak chronili swe działki, używając szalenie skomplikowanych tras lotu, Keborgen równie dobrze mógł wybrać prostą drogę, zdążając ku bezpieczeństwu. Jego sanie i tak wyleciały dużo później niż inne z tego samego rejonu.

Biorąc pod uwagę tę możliwość, mogła dowiedzieć się z banku danych z dokładnością do jednej sekundy godziny, o której nadano ostrzeżenie przed wichurą. Znając dokładny czas, maksymalną prędkość san i kąt, pod jakim leciały w momencie katastrofy, mogła wyliczyć, gdzie mniej więcej wydobywał czarny kryształ. Być może z czasu powrotu pozostałych trzydziestu dziewięciu śpiewaków dałoby się nawet wywnioskować, jak długo zamarudził na swej działce. Zatrzymała ślizgacz i zawisła nad miejscem wypadku. Ostre wgłębienia i wyrwy zaczynały już ginąć pod nanoszoną wiatrem ziemią. Udało jej się odnaleźć kolejne dwa ślady, gdy nagle natknęła się na głęboką rysę na gołej skale wyższego zbocza. Wylądowała i dokładnie obejrzała to miejsce. Szrama była głębsza po stronie północnej, jakby sanie odbiły

się od kamienia. Stanęła nad wgłębieniem i dokładnie zapisała je na bransolecie, po czym wsiadła do ślizgacza i zaczęła badać sektor, poszukując dalszych śladów ostatniego lotu Keborgena. Wydłużające się cienie i bliski zachód słońca przerwały wreszcie jej poszukiwania. Sprawdziła swe położenie, po czym wróciła do kompleksu.

ROZDZIAŁ VII

Killashandra odsunęła się od terminalu w swoim pokoju, zauważywszy mimochodem, że zegar wskazuje wczesny ranek. Była zmęczona, paliły ją oczy i nękał wściekły głód. Ale wyciągnęła z cechowych banków danych wszystkie strzępy informacji, jakie tylko mogły pozwolić na zawężenie pola poszukiwań działki Keborgena, z której pochodził czarny kryształ. Przeniosła cały program do swych prywatnych plików, po czym, cała obolała, przeszła sztywnym krokiem do selektora i zamówiła gorącą proteinową zupę. Choć zapamiętała już dane, nie mogła przestać myśleć o swym planie. I wszystkich przeszkodach, które mogły go zniweczyć.

Keborgen nie żył. Wszystkie jego działki, gdziekolwiek były, stały się w ten sposób własnością niczyją, zgodnie z obszernymi paragrafami dotyczącymi działek, ich tworzenia i oznaczania, kar za przywłaszczenie, grzywien i ograniczeń, a także wszystkich punktów i podpunktów. Najpierw jednak trzeba je było znaleźć. Jak powiedział Enthor, to po pierwsze. Killashandra mogła mieć swoje teorie co do lokalizacji złoza, nie posiadała jednak ani sań, by się tam udać, ani piły, którą dałoby się wydobyć kryształ z odsłoniętej ściany. Podczas swych badań odkryła, iż Keborgen czerpał z tej działki przez co najmniej cztery dekady. Analiza porównawcza wykazała, że dwanaście urobków czarnego kryształu pochodziło z tego samego złoza, a przedostatnie wycięto z niego mniej więcej przed dziewięciu laty. Drugim problemem, jak to celnie ujął Enthor, była pamięć. Kiedyś, aby przerwać na chwilę nużące recytacje przepisów, Killashandra spytała Concere, w jaki sposób śpiewacy znajdowali drogę do swych działek po długiej nieobecności. Szczególnie jeśli pamięć była tak zawodna.

– Och – odpowiedziała lekko Concera – ja zawsze pamiętam, aby polecić mym saniom, żeby szukały pewnych szczególnych punktów terenu. Sanie mają komputery kodowane głosowo, są więc absolutnie bezpieczne – zawahała się, spoglądając na swą uczennicę rozbieganym wzrokiem, tak dla niej charakterystycznym. – Oczywiście burze potrafią czasem zmienić teren, najrozsądniej jest zatem zapisywać wysokości, doliny albo uskoki, coś, czego nawet potężny podmuch nie jest w stanie tak łatwo pozmieniać. Poza tym – ciągnęła znacznie pogodniejszym tonem – kiedy już cięło się kilka razy tę samą ścianę, zaczyna sama wpadać w rezonans. Więc jeśli przypominasz sobie nawet ogólny kierunek, na miejscu znacznie łatwiej już odszukać właściwy punkt.

– A zatem to nie tyle śpiewanie kryształu, co wysłuchiwanie kryształowego śpiewu – zauważyła Killashandra.

– O tak, bardzo dobrze powiedziane – odparła Concera z fałszywą pewnością siebie kogoś, kto nic nie zrozumiał.

Killashandra skończyła zupełnie i znużonym krokiem udała się do sypialni, po drodze ściągając ubranie. Informacje, które zgromadziła, były całkiem ścisłe. Mogła ograniczyć swe poszukiwania do sektora wskazanego przez najwyższą prędkość starych sań Keborgena, godziny, o której ogłoszono alarm burzowy, i zarejestrowanej prędkości wiatru. Nie była pewna jednego: co z komputerem sań. Widziała, jak je rozbierano, ale czy technicy Cechu potrafili odzyskać dane, zamknięte w środku? Nie miała pojęcia, czy komukolwiek udało się złamać kod głosowy. Jeśli nawet, to nigdy o tym nie wspomiano. Poza tym przepisy nie mówiły, czy Cech był legalnie uprawniony do podjęcia takich działań, które według Kodeksu FPR stanowiły ogromne naruszenie prywatności. Z drugiej strony nigdzie nie było powiedziane, że takich praw nie mają, szczególnie po śmierci zainteresowanego.

Trag twierdził, że prywatne zapisy są nie do odzyskania. Ciemność i totalna cisza panująca w sypialni podsycaly wątpliwości Killashandry. Cech potrafił i często wykazywał pewną bezwzględność. Dla własnego spokoju musiała zdecydować, czy Cech stosował się do własnych, bezustannie cytowanych przepisów. Niespodziewanie pocieszyła ją sama grubość karty Cechowej. Jej obszerne sekcje i paragrafy odzwierciedlały wypadki i wyjątki wynikające z przeszło czterystu lat praktyk, dobrych i złych.

Z westchnieniem przewróciła się na drugi bok. Omijanie zakazów i łamanie prawa leżało całkowicie w ludzkiej naturze. Cech nie tylko zabraniał. Musiał też chronić, bo inaczej ta diabelska planeta już dawno znalazłaby się w wyłącznym władaniu zarodników i kryształu.

Rano obudziło ją natarczywe burczenie terminalu. Poinformowano ją, że jej piła jest już gotowa. Miała odebrać narzędzie i zameldować się w pokoju 47. Otepiła z niewyspania, Killashandra wzięła szybki prysznic i zjadła wysokobiałkowy posiłek. Przylapała się na tym, że stale zerka w stronę konsoli, jakby spodziewała się, iż wczorajsze dane nagle wyskoczą ze środka i ukażą się światu.

Komputery musiały zadowalać się faktami, ona zaś miała jedną przewagę, która nie poddawała się obliczeniom: wrażliwość na czarny kryształ. Komputery nie podawały też same z siebie informacji, nie wątpiła jednak, że śmierć Keborgena wzbudzi szerokie zainteresowanie jego bogatą działką. Tylko trzydziestu dziewięciu śpiewaków wróciło, uciekając przed tą samą wichurą. Nie miała pojęcia, ilu mogło zaraz rozpocząć poszukiwania.

Zdawała sobie sprawę z tego, że szansę na to, by akurat ona odnalazła działkę, były z jednej strony spore, z drugiej zaś – znikome. Dostarczenie gotowej piły uznała za dobry omen.

Czekała właśnie na windę, gdy usłyszała, jak ktoś z niedowierzaniem wykrzykuje jej imię.

– Killashandra! Wyzdrowiałem. Też jestem śpiewakiem! Całkowicie zaskoczona odwróciła się i ujrzała Rimbola, zmierzającego ku niej szybkim krokiem.

– Rimbol! – poddała się jego entuzjastycznemu uściskowi, uświadamiając sobie z całą ostrością, że nie poświęciła mu nawet jednej myśli przez ostatnie kilka dni.

– Powiedzieli mi, że przeszłaś przemianę zadowalająco, ale nikt inny cię nie widział. Wszystko w porządku? – Rimbol przytrzymał ją przed sobą, jego zielone oczy powędrowały ku twarzy dziewczyny. – Czy to tylko gorączka, czy naprawdę odwiedziłaś mnie kiedyś? – I to kilka razy – odparła dyplomatycznie, ani o włos pnie mijając się z prawdą. – Potem stwierdzili, że przeszkadzam w leczeniu. Kto jeszcze wyszedł? Twarz Rimbola posmutniała.

– Cariganie się nie udało. Shillawn ogłuchł i przydzielono go do działu badań. Mistra, Borton, Jezerey, niech żyją w stadle długo i szczęśliwie; w sumie dwadzieścia dziewięć osób przeszło w porządku. Celee, ten pilot, uzyskał jedynie niewielką adaptację, ale zachował wszystkie zmysły.

Ma pilotować prom. Nie sędzę, aby kłóciło się to z jego upodobaniami.

– A Shillawn? Czy bardzo to przeżył? – Killashandra wiedziała, że pytanie zabrzmiało oschle. Oblicze Rimbola zachmurzyło się, póki go nie uściskała. Teraz musiał nauczyć się nie dbać tak bardzo o innych. – Naprawdę sędzę, że będzie szczęśliwszy prowadząc badania, niż poszukując kryształu w Pasmach. Celee pracuje w swoim zawodzie, więc nie stracił niczego. Antona mówiła, że Carigana nie chciała poddać się symbiontowi. Rimbol zmarszczył brwi, a jego ciało zesztyniało.

– Buntowała się przeciw wszystkiemu. Nie pytałeś Antony?

– Nie. – Rimbol przekrzywił głowę. Uśmiechnął się niezbyt mądrze. – Bałem się, bo inni byli jeszcze w trakcie adaptacji.

– Teraz mamy to już za sobą. I umieszczono cię na poziomie śpiewaków – dostrzegła jego bransoletę i pokazała mu swoją. – Gdzie idziesz?

– Mają mi dopasować piłę – entuzjazm rozjaśnił jego oczy.

– A więc możemy pójść razem. Ja idę odebrać swoją.

– Odebrać?

– Powiedzieli ci chyba, jak długo chorowałeś? – Killashandra wiedziała, że to pytanie miało zapewnić jej nieco czasu do namysłu. W oczach Rimbola błysnęło zaskoczenie i

zakłopotanie. – Och, po prostu miałam szczęście. Antona nazwała to Przeskokiem Mikeleya. Bardzo szybko wykopali mnie ze szpitala, bo blokowałam komuś miejsce, i wysłali na ćwiczenia, żebym nie broiła. No, jesteśmy, i nie przejmuj się zachowaniem technika. Nie cierpi, kiedy odrywa się go od jego ryb. Weszli do pracowni, gdzie natknęli się na Jezerey, Mistrę i jeszcze dwie osoby.

– Killashandra! Udało ci się!

Killashandra odniosła wrażenie, że w głosie Jezerey pobrzmiewa nuta nieprzyjemnego zaskoczenia. Dziewczyna zmizerniała i straciła całą swą urodę.

– Cisza tam! – zawołał Rybak, ucinając w zarodku odpowiedź Killashandry. W dłoni dzierżył lśniąca nową piłę.

– Ty tam, Killashandra – gestem wezwał ją do swej lady. Pozostali się odsunęli.

Przyjmując narzędzie pracy, Killashandra czuła na sobie spojrzenia kolegów. Gdy jednak zacisnęła palce na uchwycie i przyłożyła prawą dłoń do sterownika, zapomniała o swym zakłopotaniu. Była o krok bliżej kryształowych Pasm! Westchnęła cichutko, widząc swoje nazwisko wybite eleganckimi literami na plastikowej pokrywie, chroniącej poddźwiękowe ostrze.

– Przynosz ją na przegląd po każdej wyprawie, słyszysz? Inaczej nie miej do mnie pretensji, jeśli nie będzie prawidłowo cięła. Zrozumiano?

Killashandra chciała mu podziękować, ale przeniósł już swą uwagę na innych, wzywając Bortona. Z piłą w dłoni obróciła się i dostrzegła oburzenie w oczach Jezerey, a ból, zaskoczenie i urazę u Rimbola.

– Antona wyrzuciła mnie ze szpitala – powiedziała, bardziej do niego niż do kogokolwiek innego, choć wszyscy wpatrywali się w nią równie oskarżycielsko. – A Cech oczywiście natychmiast znalazł mi robotę.

Wysoko unosząc głowę obdarzyła ich uprzejmym uśmiechem i wyszła z pracowni.

Maszerując w dół korytarzem ku szybom wind, czuła dziwną złość na samą siebie, własną arogancję i na Cech za to, że wepchnął ją na uprzywilejowaną pozycję. Pamiętała podobne sceny z Centrum Muzycznego, kiedy dzięki nieustającym ćwiczeniom udało jej się uzyskać rolę albo solo instrumentalne, a większość rówieśników wołała, by otrzymała je inna osoba. Wtedy to ona była odpowiedzialna. Teraz jednak nie zrobiła absolutnie nic, by sprowokować swych kolegów: cierpiała za to, że miała trochę więcej szczęścia od innych, tak jak w Centrum Muzycznym grzechem była cięższa praca. Jaki to ma sens?

– Uważaj na tę cholerną piłę! – wściekły pokrzyk przerwał te ponure rozmyślenia i ktoś odepchnął ją na bok z zupełnie niepotrzebną siłą. – Powiedziałem ci, uważaj!

Mężczyzna odskoczył pośpiesznie, bowiem Killashandra, reagując na dźwięczącą w jego głosie agresję, instynktownie uniosła piłę. Jej kontuzję pogłębiła jeszcze świadomość, iż zachowała się nieostrożnie, a w dodatku zareagowała jak idiotka. Słuszne napomnienie nie poprawiło jej humoru.

– Nie jest włączona.

– Włączona czy nie, to cholernie niebezpieczne narzędzie. Nie przesłaś właściwego szkolenia? – Rozpoznała wysokiego mężczyznę, który wpatrywał się w nią gniewnie. Był to towarzysz Borelli z promu.

– Miej pretensje do Borelli. Ona nas uczyła.

– Borella? – śpiewak spojrzał na nią z wyraźnym zdumieniem. – Co ona ma z tobą wspólnego?

– Należę do jej ostatniego „połowu”, tak to chyba nazwała.

Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Jego oczy zmierzyły ją od stóp do głów, zatrzymując się na bransolecie.

– Właśnie odebrałaś piłę, moja droga? – uśmiechnął się z wyniosłym pobłażaniem. – W porządku, zapomnę o twojej niegrzeczności – z lekkim ukłonem i sardonicznym uśmieszkiem ruszył w stronę pracowni.

Spojrzała za nim, znów czując ów dziwny magnetyzm śpiewaka kryształu. Była na niego wściekła, a przecież jej złość wynikała po części z jego lekceważenia, z chęci, aby mu zaimponować. Czy Carrik też kiedyś tak się zachowywał? Zbyt była zielona, aby to ocenić.

Dotarła wreszcie do wind i wsiadła do jednej. Spotkanie ze śpiewakiem pozwoliło jej trzeźwiej ocenić sytuację. Cokolwiek by się działo, była śpiewaczką kryształu, bardziej niż inni z jej klasy dzięki anomalii fizycznej i czynnikowi czasu, który zupełnie od niej nie zależał.

Gdy weszła do sali treningowej numer 47, spotkała ją kolejna niespodzianka. Trag, wsparty o ciężki plastikowy stół, cierpliwie czekał na nią z założonymi na piersi rękami.

– Nie spóźniłam się? – ponownie ogarnęło ją zakłopotanie, bowiem jej pytanie rozbrzmiało gorzkim echem w pokoju. Nagle dostrzegła niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym plastypianowe pudło. – Cóż to takiego?

– Rozstrojony kryształ – oznajmił, a jego głęboki głos wzbudził podobne echa. Wyciągnął rękę po jej piłę.

Oddała mu ją z lekkim wahaniem – w końcu tak niedawno ją dostała. Dokładnie obejrzał każdą część urządzenia, szczególną uwagę zwracając na poddźwiękowe ostrze.

Przeszedł na lewą stronę Killashandry, oddał jej narzędzie i obserwował, jak ujmuje jego uchwyt. Sprawdził pozycję dziewczyny i z aprobatą skinął głową.

– Umiesz się tym posługiwać? – spytał, choć musiał wiedzieć, że Rybak dokładnie jej wszystko wyjaśnił. – Zasady strojenia? – ponownie przytaknęła, zniecierpliwiona całym tym katechizmem.

Bez cienia szacunku dla jego zawartości Trag rzucił na stół jeden z pojemników i uśmiechnął się szeroko.

– To rozstrojony kryształ. Przysłano nam go z jednego z pobliskich układów, które nie zawracają sobie głowy zatrudnianiem stroicieli. Pomogę ci poznać tę broń, jaką dostałaś do ręki.

Przez jedną okropną sekundę Killashandra przeraziła się, iż Trag w jakiś sposób był świadkiem jej spotkania z tamtym śpiewakiem. Zerknęła na urządzenie. Rzeczywiście, nagle uświadomiła sobie, że mogłoby posłużyć jako broń.

Trag wyjął z pudła pięć oktagonów różowego kwarcu. Młoteczką podobnym do tego, którego używał Enthor, postukał w każdy element. Trzeci kryształ był wyraźnie rozstrojony.

– Ta piątka musi zostać z powrotem spasowana. Sugerowałbym, abyś zaśpiewała je o pełny ton poniżej tego – znów stuknął w wybrakowaną bryłę – i ścięła temu górę, póki nie odpowie czysto. – Umieścił go w uchwycie, zacisnął ruchome obejmę i szarpnął, by przekonać się, czy kryształ jest stabilny.

– W jaki sposób doszło do rozstrojenia?

– Uszkodzenie uchwytów. Dość częste przy różowym kwarcu.

– Dur czy moll?

– Moll wystarczy.

Skinął aprobująco głową i Killashandra włączyła piłę, pamiętając, aby mocno wesprzeć się na nogach i nie poddać się nagłemu uderzeniu mocy. Trag zastukał w kryształ, a ona zaśpiewała wymagany niższy ton, przesuwając kciukiem pokrętło strojenia, póki śpiew piły nie zabrzmiał tą samą nutą.

Gdy przyłożyła do niego ostrze, kryształ zaczął krzyczeć. Musiała przywołać całą swą samokontrolę, by się nie cofnąć.

– Tnij równo – upomniął Trag i jego ostra reprimenda przywróciła Killashandrze równowagę.

Krzyk różowego kryształu stopniowo przeradzał się w czysty ton, w miarę jak poddźwiękowe ostrze powoli kończyło operację. Nauczyciel polecił jej wyłączyć urządzenie,

zupełnie ignorując fakt, iż ledwo trzymała się na nogach i ręce jej drżały. Sprawdził kryształ, który zabrzmiał czystym a-moll. Uderzył następny. A-dur.

– Zejdź na g-moll – nakazał mocując kolejny oktagon.

Killashandra odkryła, że wymazanie z pamięci echa poprzedniego dźwięku wymaga sporego wysiłku. Włączając piłę i ustawiając ją na g-moll, była już nastawiona na nagłe szarpnięcie i krzyk kryształ. Tym razem nie był on aż tak przeszywający, lecz różowa bryła zdawała się opierać zmianie tonu, gdy dziewczyna przesuwiała po niej ostrze. Trag skontrolował wynik i z satysfakcją skinął głową, szykując następny kryształ.

Kiedy skończyła całą piątkę, czuła się całkiem wykończona i jednocześnie dziwnie podniecona. Naprawdę cięła kryształ. Oparła się o stół obserwując, jak Trag pakuje kwarc i notuje nowe dane na pojemniku, po czym sięga po nowy. Znow otwarcie obejmmy. Tym razem dość nieelegancko określił technika, który nie wiedział, iż właściwy uchwyt przedłuża żywot kryształ.

– Jak mogliby początkujący śpiewacy, tak jak ja, nauczyć się czegokolwiek, gdyby nie podobne omyłki? – spytała. – Z pewnością nie dajecie nam surowego kryształ prosto z Pasm?

– Te oktagony są stosunkowo nowe. Nie powinny jeszcze wymagać strojenia. Zawsze drażni mnie niedbalstwo.

Tak też podejrzewała i nie miała zamiaru dać mu najmniejszego powodu do narzekań.

Przeszlifowała zawartość dziewięciu pojemników, dwanaście zestawów kryształów: błękitnego, różowego i żółtego. Cały czas miała nadzieję, że jedno z pudeł ukaże czarny kryształ i kiedy już odpakowali ostatnie, zawierające dwa solidne niebieskie dwunastościany, jeden z prostopadłym pęknięciem, spytała, czy czarne kiedykolwiek wymagały dostrajania.

– Nie za moich czasów. – Trag spojrział na nią bystro. – Częściowo dlatego, że segmenty nie znajdują się razem, a częściowo ponieważ instalacją zajmują się nienagannie wyszkoleni technicy. Czarny kryształ nie niszczy z powodu uszkodzeń obejm czy błędów obsługi. Jest na to zbyt cenny – wsunął wybrakowany błękitny kwarc w uchwyt pękniętą stroną ku górze. – Ten będzie wymagał nieco innej techniki. Jeśli całkowicie zetniesz uszkodzoną część, zniszczysz symetrię kształtu. Trzeba go zatem wyciąć na nowo, zachowując formę dwunastościanu. Zazwyczaj schodzimy od dur do moll, od moll do dur w dół skali. Tym razem musisz zejść co najmniej o sześć pełnych tonów, aby osiągnąć czysty dźwięk. Ponieważ błękitne są niemal tak pospolite jak różowe, ewentualny błąd nie będzie oznaczał specjalnie dużej straty. Spokojnie. Do dzieła.

Killashandra nie czuła się na siłach sprostać takiemu zadaniu, lecz uwaga Traga, że może pomylić się bezkarnie, dodała jej skrzydeł. Usłyszała właściwy dźwięk już w momencie, gdy sprawdziła tonację kryształu, nastawiła piłę i zaczęła ciąć, zanim jeszcze nauczyciel zdążył odejść na bok. Bez śladu wahania wykonała dwa następne szlify, nasłuchując zmiany tonu. Zdecydowanym gestem wezwała go, aby obrócił dwunastościan i wykonała trzy kolejne cięcia. Dopiero gdy ukończyła pracę, wyłączyła swe urządzenie i spojrzała wyzywająco na Traga. Bez słowa umieścił w uchwycie drugi kryształ, postukał go, po czym sprawdził przeszlifowany element. Współgrały. – Wystarczy na jeden dzień, Trag. Niespodziewany dźwięk głosu za plecami sprawił, że Killashandra odwróciła się błyskawicznie, w obronnym geście unosząc piłę, zanim jeszcze Lanzecki dokończył zdanie. Z leciutkim drgnięciem warg przyjrzał się zwróconemu ku niemu ostrzu. Natychmiast je opuściła odwracając wzrok, zakłopotana własną reakcją i krańcowo wyczerpana ogromną koncentracją, utrzymywaną przez cały poranek.

– Zawsze słyszałem, że Fuerte to pokojowa planeta – stwierdził Lanzecki. – A jednak dobrze ci idzie cięcie, Killashandro Ree.

– Czy to oznacza, że wkrótce będę mogła wyruszyć w Pasma?

Usłyszała, jak Trag prychnął na taką bezczelność, Lanzecki jednak nie podzielał chyba uczuć swego zastępcy. Jego brązowe oczy pochwyciły wzrok dziewczyny. Odpowiadając na to taksujące spojrzenie, Killashandra w duchu zaciekała się, czemu Lanzecki nie był śpiewakiem kryształu: tak bardzo przewyższał Carrika czy Borellę oraz każdego śpiewaka, jakiego do tej pory poznała.

– Na tyle szybko, aby nie zniszczyć tak obiecującej kariery. Niedługo. A na razie... trening czyni mistrza. To ćwiczenie – i Lanzecki wskazał pudła nastrojonego kryształu – jest tylko jednym z kilkunastu, które musisz bezbłędnie opanować, zanim stawisz czoło Pasmom.

I zniknął. Odszedł tak szybko i niepostrzeżenie, iż Killashandra nie była pewna, czy rzeczywiście złożył im wizytę. Ale jego odwiedziny stanowiły bezsprzeczny fakt, sądząc po tym, jak wpłynęły zarówno na nią, jak i na Traga.

Zastępca Cechmistrza przyglądał się jej z nowym zainteresowaniem.

– Weź u siebie opalizującą kąpiel. Na dzisiejsze popołudnie masz zaplanowane ćwiczenia na symulatorze. – Odwrócił się, dając do zrozumienia, że może już odejść.

Ten układ zajęć powtarzał się niezmiennie aż do następnego wolnego dnia, choć często marzyła, aby ćwiczenia zamieniły się porami: symulujące rano, kiedy miała nieco szybszy refleks, a cięcie po południu, aby mogła potem paść do łóżka. Nic nie działało się

jednak bez powodu. Skoro niewątpliwie będzie prowadziła sanie już po cięciu kryształu, musiała nauczyć się dobrze oceniać swe przytępiało zmysły.

Lepki opalizujący płyn, muskający jej ciało niczym

najdelikatniejszy masaż, rzeczywiście odświeżał po intensywnych porannych zajęciach. Skonsultowawszy się z komputerem odkryła, że za poranną pracę otrzymuje pensję stroiciela, lecz musi opłacać popołudniowe instrukcje.

Po sześciu dniach równie wyczerpującego szkolenia z utęsknieniem wyczekiwała na dzień odpoczynku. Znad Morza Białego nad kontynent napływała strefa niskiego ciśnienia, toteż wolny dzień mógł być pochmurny i wilgotny. Zaczynała rozwijać w sobie ballybrańską obsesję na punkcie pogody, podsycaną jeszcze nieodmiennymi pytaniami Traga, dotyczącymi prognoz meteo na początku każdego zajęcia.

Instruktor lotów również bez przerwy starał się wyrobić w niej stałe zainteresowanie pogodą. Jego nalegania jednak miały więcej sensu, bowiem znaczna część ćwiczeń na symulatorze dotyczyła właściwego zachowania podczas najprzeróżniejszych turbulencji. Zaczynała już rozróżniać subtelne odmiany tonu sygnalizatorów alarmowych, w które wyposażono nawet symulatory. Dźwięk potrafił równie wyraźnie co wydruk na ekranie poinformować o rodzaju i zasięgu wichury, którą uczono ją przetrwać.

Prywatnie Killashandra doszła do wniosku, że urządzenia ostrzegawcze działają aż za dobrze. Po tym, jak człowiek wysłuchał już łomotów, dzwonków i brzęczyków, umysł i tak odcinał większość hałasu. Natomiast nie dało się zignorować lekkich wstrząsów, drażniących wszystkie nerwy. Stanowiły one ostatni stopień alarmu.

Tymczasem jej umiejętności stopniowo się zwiększały, aż w końcu automatycznie reagowała na każde warunki. Latała nad lądem, morzem i lodami Arktyki. Nauczyła się rozpoznawać natychmiast główne prądy powietrzne i wodne planety, gdy tylko pojawiały się w jej planach lotów.

W miarę ćwiczeń zwiększało się jej zaufanie dla pojazdu. Sanie były bardzo zwrotne, mogły startować i lądować pionowo, a ich krystaliczny napęd posiadał przeróżne wspomaganie i był specjalnie dostosowany do nietypowych warunków Ballybranu.

Pozostałych członków klasy 895 widywała jedynie przelotnie. Rimboł pomachał jej kiedyś na przywitanie. Raz dostrzegła Jezerey, maszerującą przez hangar, nie liczyła jednak na tolerancję, jeśli oczywiście usposobienie dziewczyny nie uległo jakiejś radykalnej zmianie. Może trochę złagodniała, poznawszy na własnej skórze, co znaczy pełny trening.

Tego wieczoru pierwszego zauważyła Bortona. Po całym tygodniu ciężkiej pracy spotkała go we wspólnej sali na poziomie śpiewaczym. Większość członków Cechu spokojnie

wypoczywała. Nie zapowiadano żadnych burz, pomimo panującego niskiego ciśnienia, a Przejście, złowieszcze spotkanie trzech księżyców, czas najgorszych huraganów, miało nadejść dopiero za dziewięć tygodni. Borton nie zauważył jej, bowiem wraz z innymi siedział na samym końcu sali. Wzmocniony wzrok miał swoje zalety: najpierw widzisz, potem planujesz.

Zamówiła yarrańskie piwo, kubek dla siebie i dzbanek dla grupy. Była lekko zła na siebie za to, że dostrzegła potrzebę niewielkiej łapówki, lecz uczyniona w dobrej wierze oferta rzadko bywa odrzucona. Szczególnie jeśli jest to yarrańskie piwo.

Borton dojrzał ją, gdy była od nich o dwadzieścia metrów. Na jego twarzy odbiło się lekkie zaskoczenie. Skinął na nią, jednocześnie mówiąc coś do kogoś ukrytego przed jej wzrokiem. Nastąpiło lekkie poruszenie, dobiegło ją parę okrzyków i z grupy wyłonił się Rimbol, z szerokim uśmiechem wychodząc na spotkanie Killashandry. Poczucie ulgi, jakie ją ogarnęło, sprawiło, iż dzbanek zadrżał jej w dłoniach.

– Nie należy marnować ani kropli dobrego yarrańskiego piwa – upomniał ją, w ostatniej chwili ratując trunek przed wylaniem. – Nie wszyscy są tutaj. Kilka osób pławi się w odprężającej kąpieli. Shillawn został przeniesiony do Północnego Helton, na drugi kontynent. To tam prowadzi się większość badań podstawowych. Wyobrażasz sobie, Killa? Już się nie jąka.

– Poważnie?

– Antona stwierdziła, że symbioza musiała naprawić uszkodzenie podniebienia. – Rimbol z determinacją stara się być miły, pomyślała Killashandra, sadowiąc się na szerokim siedzeniu. Jezerey powitała ją kwaśnym uśmiechem, Mistra skinęła głową, Celee i jeszcze dwójka mężczyzn, których imion w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, przywitali ją ciepło. Wszyscy wyglądali na zmęczonych.

– Nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że żał mi, iż Shillawnowi nie udało się zostać śpiewakiem, bo z pewnością znakomicie da sobie radę w dziale naukowym – powiedziała, wznosząc kubek za zdrowie nieobecnego kolegi.

– Naprawdę jeszcze nie cięłaś kryształu? – spytała w napięciu Jezerey, wskazując jej uczniowską bransoletkę, wyraźnie widoczną na uniesionym przegubie.

– Ja? Do diabła, nie! – niesmak i frustracja w jej głosie szczerze rozbawiły Rimbola, który zaśmiał się hałaśliwie.

– Mówiłem ci, że nie zaszła jeszcze aż tak daleko – rzucił. – Kiedy ją spotkaliśmy, odebrała właśnie piłę.

Killashandra obróciła bransoletkę, świadoma, że stanowi jej przepustkę nie tylko na poziom śpiewaczy, ale i do przyjaźni.

– Co więcej, Jezerey – ciągnęła, a uraza wyostrzyła jej słowa – następne kilka tygodni spędzę na strojeniu kryształu i symulowanych lotach podczas huraganu. Dopiero potem pozwolę mi wyściubić nos poza tereny dostępne dla ślizgaczy. A wtedy zacnie się Przejście!

– A, tak – nastrój Jezerey wyraźnie się poprawił. – Wtedy wszyscy będziemy uziemieni.

Killashandra wyczuła zmianę atmosfery i postanowiła wykorzystać tę przewagę.

– Może nieco wyprzedziłam was w szkoleniu – wiecie, że ranni śpiewacy podejmują się go jedynie za kredyt? Dobrze. Cóż, kiedy dostaniecie już te diabelskie piły, poznacie, co znaczy prawdziwe zmęczenie. Rano cięcie, potem wysyłają was na symulator, a jeśli akurat nie robicie ani jednego, ani drugiego, to zawsze są jeszcze pamięciówki: przepisy, zasady, działki, kary... – w gronie słuchaczy rozległy się ciche jęki. – A, widzę, że to już przerabiacie. – Jakie więc jeszcze rozkosze czekają nas w najbliższym czasie? – spytał Rimbol. W jego oczach lśniły isierki złośliwej uciechy.

Większość domagała się wszystkich szczegółów dotyczących strojenia i przeszlifowywania kryształu. Tłumaczyła, jak tylko umiała najlepiej, opowiadając szczerze, choć nie do końca, bowiem zataiła mile łechzczące dumę wizyty Lanzeckiego, jej zgranie z czarnym kryształem i szybkie postępy, jakie czyniła przy szlifowaniu trudniejszych form. Odkryła, iż podobna dyskrekcja wymaga pewnego wysiłku, jako że w Centrum Muzycznym nigdy nie wyróżniała się specjalnym taktem. Miała spędzić z tymi ludźmi resztę bardzo długiego życia, niemal utraciła ich przyjaźń z powodu wydarzeń pozostałych całkowicie poza jej kontrolą i nie miała zamiaru świadomie uczynić tego ponownie.

Tego wieczoru rekruci spożyli wystarczające ilości piwa i innych, mocniejszych trunków, aby dobrze się bawić. Killashandra odkryła, iż nadal gotowa jest utrzymywać dawne stosunki z Rimbolem, i spora część nagromadzonego przez ostatnie kilka tygodni napięcia zniknęła w obliczu tej najbardziej chyba harmonijnej czynności. Po przebudzeniu kontynuowali przerwane zajęcie, choć

Killashandra zdziwiła się lekko, że wylądowali w końcu w mieszkaniu Rimbola. Zresztą miejsce nie miało tu specjalnego znaczenia, bowiem rozkład kwater był praktycznie identyczny. Rimbol niewiele zdziałał w dziedzinie dekoracji wnętrza i chętnie przyjął pomoc Killashandry. Spędzili na tym kilka miłych godzin, z poczucia obowiązku kończąc dzień powtórką przepisów i zasad – na punkty. Totalnie odprężona, Killashandra o mały włos nie wspomniała Rimbolowi o czarnych kryształach Keborgena. Później tłumaczyła sobie w

duchu, że utrzymała sekret wyłącznie po to, by nie zaprzętać przyjacielowi głowy zbędnymi szczegółami.

W następnym tygodniu zaproponowała Concerze, że nie będzie jej już zatrzymywać i dołączy do reszty grupy. Oba palce śpiewaczki odrosły już zupełnie, brakowało im jedynie paznokci.

– Wcale mnie nie zatrzymujesz – odparła Concera, spoglądając w dal ponad głową uczennicy. – Najwyraźniej moje doświadczenie niewiele dla nich znaczy. Zresztą przyjął cię w drodze wyjątku, poza tym nauka indywidualna jest o wiele skuteczniejsza niż zajęcia grupowe. A teraz wracamy do przepisów dotyczących zajmowania i eksploatacji działek.

– Znam te paragrafy na pamięć, z dołu do góry i z góry na dół.

– Wobec tego zaczniemy od środka – odparła Concera z niespodziewanym poczuciem humoru.

Ponieważ Killashandra rzeczywiście nie przechwalała się na próżno, mogła podczas recytacji zająć się w myślach swymi największymi problemami: jak zdobyć sanie i przekonać Lanzeckiego, by pozwolił jej ciąć kryształ, a nie wyklepywać święte regułki. Mając w perspektywie rozpoczynające się za dziewięć tygodni straszliwe huragany odkryła, iż nawet po Przejściu musi minąć jeszcze kilka tygodni, nim nowi śpiewacy uzyskają zezwolenia na pierwszą wyprawę w Pasma, bowiem wcześniej może to być dla nich niebezpieczne. Działka Keborgena też zapewne ulegnie znacznym przeobrażeniom i kto wie, czy nawet wrażliwość na czarny kryształ okaże się tu wystarczająca. Gigawichry potrafiły zniszczyć bądź znacznie uszkodzić odsłonięte żyły kryształu, który stawał się wtedy bezużyteczny. Musiała wydostać się z kompleksu i to szybko.

Przez ostatnie dwa tygodnie Lanzecki nabrał zwyczaju zjawiania się znienacka, niczym teleportowany, w jej sali ćwiczeń. Najczęściej zdarzało się to, gdy pod okiem Traga przestrajano kryształy. Raz zasiadł w fotelu obserwatora w symulatorze lotów – akurat kiedy wykonywała szczególnie niebezpieczny manewr. Jego obecność, miast wzbudzić treść i zdenerwowanie, sprawiła, iż leciała lepiej niż zwykle. Wieczorami Cechmistrz często pojawiał się w salach wypoczynkowych, tu i tam zamieniając słówko z jakimś śpiewakiem, sortowaczem czy technikiem. Teraz jednak, kiedy szczególnie jej zależało, by zmaterializował się gdzieś w pobliżu, zniknął jak kamfora.

Czwartego dnia zapytała mimochodem Concerę, czy wie, co się dzieje z Cechmistrzem, i uzyskała odpowiedź, że Trag jest z pewnością dużo lepiej poinformowany. Lecz Traga niełatwo było wypytać, w ogóle samo nawiązanie z nim rozmowy stanowiło nie

lada sztukę, oczywiście poza zagadnieniami obsługi piły czy szlifowania kryształu. Szóstego dnia Killashandra zebrała się na odwagę.

Trag kazał jej ścinać stożki. Poprzedniego dnia zrujnowała już trzy i spodziewała się, że również na tej lekcji niełatwo przyjdzie jej uniknąć niepowodzenia. Po każdym cięciu oglądała się za siebie. Za czwartym razem Trag zmarszczył brwi.

– Wydajesz się rozkojarzona. O co chodzi?

– Cały czas mam wrażenie, że zaraz przyjdzie tu Cechmistrz. Zawsze pojawia się w momencie, gdy najmniej go oczekuje.

– Cechmistrz jest na Shankillu. Zajmij się swoją pracą.

Posłusznie wróciła do roboty, wykazując jednak zdecydowany brak entuzjazmu. Z radością pomyślała, że następny dzień jest wolny od zajęć. Wstępnie obiecała Rimbolowi, że spędzi z nim wieczór i jutrzejszy dzień; wstępnie, bowiem przyjaciel nie podzielał wcale jej palącej chęci wydostania się z ośrodka. Gdy Trag zwolnił ją wreszcie po ponurych ćwiczeniach, wypełnionych niezwykle precyzyjną pracą, jego beznamienna twarz nie pozwoliła jej stwierdzić, czy nareszcie nauczyła się prawidłowo ciąć stożki. Wszelako ból wszystkich mięśni świadczył o tym, że osiągnęła w tym przynajmniej pewną biegłość.

Zastanowiła się, czy warto brać opalizującą kąpiel przed popołudniową symulacją lotu. Zamiast tego wybrała numer Rimbola – jego obecność stanowiłaby znakomity środek zapobiegający narastającej frustracji. W oczekiwaniu na odpowiedź wzięła szybki gorący prysznic, po czym zaczęła nerwowo spacerować po mieszkaniu. Gdzie, u diabelskich planet, podziewał się Rimbol? Przerwa dobiegała końca, a ona nawet nic nie zjadła. Pośpiesznie zamówiła wysokobiałkowy posiłek, przełykając gorące jedzenie. Poparzony przełyk – oto kolejna pozycja na liście nieszczęść, pomyślała, zbiegając na poziom hangarów.

Nie była już jedyną osobą korzystającą z symulantorów, musiała więc zdążyć na czas. Wiedziała, że lot potrwa tylko godzinę, ale ten, łączący skomplikowane warunki pogodowe i ograniczoną nocną widoczność, wymagał szczególnej koncentracji. Pożałowała, że nie wypoczęła lepiej podczas przerwy – ćwiczenia zdawały się nie mieć końca. Z satysfakcją uniknęła kilku „katastrof i nienaruszona wyłoniła się z symulatora. Bezczelnie pomachała oficerowi szkoleniowemu, usadowionemu w kabinie nad saniami, mijając po drodze Jezerey.

– Ten facet albo uwielbia rozwalać sanie, albo mnie nie cierpi – powiedziała.

– On? To wariat. Wczoraj „zabił” mnie trzy razy.

– Zabił czy wyleczył?

– To motto Cechu, prawda? – odparła kwaśno Jezerey.

Killashandra przyglądała się jej, jak zasiada wewnątrz symulatora. Ciekawe. Ona sama jak dotąd ani razu jeszcze nie „zginęła”. Pomyślała, że warto byłoby przejść się do pokoju obserwacyjnego i obejrzeć lot Jezerey. W pomieszczeniu nie było nikogo, więc zamówiła węglowodanowy napój, aby podnieść sobie poziom cukru we krwi. Właśnie patrzyła, jak Jezerey „startuje”, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś stoi w drzwiach. Odwróciła się i ujrzała Cechmistrza.

– Podobno mnie szukałaś – powiedział, powiększając jeszcze jej zdumienie.

– Jest pan przecież na Shankillu. Tak twierdził Trag.

– Byłem. Teraz jestem tutaj. Czy skończyłaś już popołudniowe ćwiczenia?

– Chyba to one mnie wykończyły. Odsunął się, wskazując, że ma iść przed nim.

– Trening może wydawać się przesadnie surowy, ale rzeczywistość gigawichru jest stokroć gorsza niż jakakolwiek symulacja – odparł, prowadząc ją za łokieć w stronę windy. – Musimy was przygotować na najgorsze. Burza nie da wam drugiej szansy. Staramy się podarować wam chociaż pierwszą.

– Ostatnio często słyszę to zdanie.

– Zapamiętaj je – odrzekł sucho.

Killashandra oczekiwała, że winda ruszy w dół, ku kwaterom śpiewaków. Zamiast tego zaczęli unosić się w górę. Zachwiała się, wyczerpana, i Lanzecki musiał ją podtrzymać.

– Następne potężne burze to już Przejście, tak? – spytała, starając się wypełnić czymś ciszę, bowiem dotyk Lanzeckiego wzbudził w niej dziwny dreszcz. Samo jego pojawienie się i tak ją zdenerwowało. Jakby mimochodem zerknęła w bok, lecz zwrócona do niej profilem twarz była bez wyrazu.

– Tak, za osiem tygodni przeżyjesz swe pierwsze Przejście.

Winda przystanęła i drzwi rozsunęły się. Znaleźli się w niewielkim holu. Gdy tylko Lanzecki skręcił w prawo, trzecie drzwi otwarły się bezszelestnie. Pomieszczenie, do którego weszli, było niewątpliwie jego gabinetem. Jedną ścianę zajmowała ogromna komputerowa konsola, druga zawieszona była wydrukami i wykresami. Faks wypluwał z siebie nie kończącą się wstęgę papieru, spadającą wprost do pojemnika. Pośrodku pokoju stało kilka wygodnych foteli, jeden z nich usytuowano dokładnie naprzeciwko dziewięciu ekranów, ukazujących przekazy meteo z głównych stacji badawczych i trzech księżycowych baz.

– Osiem tygodni – potwierdziła Killashandra i głęboko zaczerpnęła powietrza – i jeśli nie dostanę się w Pasma przed tym, minie jeszcze wiele tygodni...

Przerwał jej śmiech Lanzeckiego.

– Siadaj – przysunął dwa fotele, niecierpliwie wskazując jej jeden.

Zaskoczona tym, że Mistrz Cechu Heptyckiego w ogóle się śmieje, i wściekła, bowiem nie pozwolił jej dokończyć, niezgrabnie opadła na fotel. Nagle pewność siebie ją opuściła. Oszołomiona, usłyszała znajomy szczeł naczyń. Lanzecki podał jej kubek.

– Sam też lubię yarrańskie piwo, w końcu pochodzę z tej planety. Powinienem podziękować twojemu koledze, że mi o tym przypomniał.

Killashandra ukryła zmieszanie wychylając potężny łyk

napoju. Lanzecki sporo wiedział o Klasie 895. Uprzejmie uniósł ku niej kubek.

– Tak, musimy wyprawić cię w Pasma. Jeśli ktokolwiek zdoła odnaleźć działkę Keborgena, to najprawdopodobniej będziesz to ty.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Kubek zaczął wyslizgiwać się spomiędzy pozbawionych czucia palców. Na szczęście Cechmistrz odebrał jej naczynie i odstawił na stół.

– Próżność u śpiewaka, nieważne, koncertowego, czy kryształ, bywa podobno uznawana za zaletę. Nie pozwól jej jednak się oszukiwać. Inni również potrafią wyciągnąć wnioski z tych samych danych.

– Wiem. Dlatego jak najszybciej muszę wyruszyć w góry – nagle skrzywiła się lekko.

– Ale jak pan do tego doszedł? Tamtego wieczoru nikt mnie nie śledził. Tylko pan i Enthor wiedzieliście, że wyczułam kryształy Keborgena.

Lanzecki obdarzył ją długim spojrzeniem, w którym, jak zdecydowała, można było odczytać współczucie. Spuściła wzrok, z całej siły zaciskając ręce. Miała ochotę go uderzyć, gwałtownie zatupać nogami albo w inny sposób dać ujście złości, jaką poczuła, wystawiona na podobne poniżenie.

Lanzecki, siedzący naprzeciw niej, zaczął starannie rozginać jej palce, jeden za drugim.

– Grałaś nie tylko na lutni, ale i na pianoli – zauważył, muskając koniuszkami palców twarde wzgórek Wenery. Dostrzegał wszystko – brak fałdów skórnych między palcami, giętke stawy, stwardniałe opuszki. Gdyby na jego miejscu siedział ktoś inny, nie Cechmistrz, Killashandra z przyjemnością poddałaby się tej dziwnej pieszczocie. – Mam rację?

Wymamrotała jakieś potwierdzenie, niezdolna zachować całkowite milczenie. Z ulgą przywitała moment, gdy uwolnił jej dłoń i ponownie sięgnął po napój.

– Nikt cię nie śledził. I tylko my dwaj wiedzieliśmy o twojej wrażliwości na kryształy Keborgena. Bardzo nieliczni doceniają prawdziwe znaczenie Przeskoku Mikeleya. Sądzą, że pozwala jedynie uniknąć pewnych niedogodności, jakie oni musieli przecierpieć. Zupełnie nie biorą pod uwagę tego, jak całkowita jest w takim przypadku symbioza.

– To dlatego Antona życzyła mi powodzenia? Lanzecki z uśmiechem skinął głową.

– Czy ma to coś wspólnego z tak łatwym rozpoznawaniem czarnego kryształu? – ciągnęła, bowiem wydawał się przychylnie nastawiony. – Czy Keborgen też miał Przeskok Mikeleya?

– Tak, w obu kwestiach.

– A jednak nawet całkowita symbioza nie ocaliła mu życia.

– Nie tym razem – odrzekł łagodnie, ignorując gniewny ton jej głosu. Lanzecki wywołał na ekranie chronologicznym listę członków Cechu. Nazwisko Keborgena znajdowało się mniej więcej w jednej trzeciej spisu. – Jak już ci mówiłem, symbiont także się starzeje i jego pomoc dla starego, wyczerpanego organizmu podlega coraz większym ograniczeniom.

– Ależ Keborgen musiał mieć ponad dwieście lat! Wcale na tyle nie wyglądał! – Killashandra tylko przez chwilę zerknęła na twarz rannego śpiewaka, ale nigdy nie dałaby mu dwudziestu dziesięcioleci. Nagle poczuła, jak przygniata ją ciężar setek lat.

– Na szczęście w naszej profesji rzadko uświadamiamy sobie upływ czasu, póki nie zdarzy się coś, co nas do tego zmusi.

– Pan też miał Przeskok Mikeleya – wystrzeliła nagle. Skinął głową.

– Ale nie śpiewa pan kryształu.

– Robiłem to – kiedyś.

– Więc... dlaczego... – szerokim gestem wskazała cały gabinet, a następnie jego samego.

– Cechmistrzów wybiera się wcześniej i odbierają oni rygorystyczne szkolenie we wszystkich możliwych dziedzinach.

– Keborgen też... ale on śpiewał kryształ. I pan także – zerwała się na nogi, niezdolna ogarnąć pełne znaczenie spokojnych słów Cechmistrza. – Nie macie chyba zamiaru... Muszę przejść szkolenie, aby... Pan bredzi!

– Nie, to ty bredzisz – odparł Lanzecki z lekkim uśmiechem, nakazując jej wrócić na fotel i wziąć kubek piwa. – Opanuj nerwy. Jedynym celem tej rozmowy było zapewnienie, że wyślę cię w Pasma, jak tylko zdołam znaleźć ci przewodnika.

– Przewodnika?

Zazwyczaj Killashandra umiała szybko przyjąć do wiadomości nieoczekiwane informacje. Tym razem jednak szczególne zainteresowanie Lanzeckiego jej osobą oraz wykazywana przez niego znajomość jej najskrytszych zamiarów, jedno i drugie okazane w ciągu zaledwie kilku minut, zupełnie ją oszołomiły.

– Czyżby Concera zapomniała wspomnieć o tej części szkolenia? Tak, przewodnika, Killashandro Ree, doświadczonego śpiewaka, który zezwoli ci, abyś mu towarzyszyła, najpewniej na najmniej cenną działkę, i tam zademonstruje w praktyce to, co do tej chwili stanowiło jedynie teorię.

– Teorii nam powyżej uszu.

– Lepiej by było, gdyby znalazła się nieco głębiej, moja droga, w miejscu gdzie masz mózg. Dopiero tam wiedza przerodzi się w refleks. Od takich odruchów może zależeć twoje życie. Prawdziwy śpiewak musi przezwyciężyć konieczność świadomego wykonywania swej pracy.

– Mam ejdetyczną pamięć, potrafię wyrecytować...

– Inaczej nie byłabyś tutaj – oznajmił Lanzecki tonem,

który przypomniał Killashandrze o randze jej towarzysza i wadze omawianej sprawy. Pociągnął kolejny łyk piwa. – Jak często Concera powtarzała ci przez ostatnie tygodnie, że słuch absolutny zazwyczaj łączy się z fotograficzną pamięcią? I jak często zakłócenia tejże są przypadłością śpiewaków kryształu? Przeładowanie sensoryczne, powinnaś zresztą o tym wiedzieć, wciąż jeszcze zdarza się w Pasmach. Nie martwi mnie twoja zdolność zapamiętywania, lecz to, jak bardzo ucierpi ona podczas wypraw. Aby zapobiec zakłóceniom, zostałaś poddana serii ćwiczeń, które będą trwać nadal. Interesuje mnie też rekrutka, która doświadczyła Przeskoku Mikeleya, dostraja kryształ tak dobrze, że Trag nie może jej nic zarzucić, i tak świetnie prowadzi sanie, że oficer szkoleniowy zadaje jej symulacje, których sam nie ośmieliłby się wypróbować. Osoba na tyle sprytna, aby przechytrzyć tak starego wyjadacza, jakim był Keborgen.

Komplementy Lanzeckiego podane, jakby stanowiły suche fakty, poruszyły ją bardziej niż wszystkie inne odkrycia. Skupiła się na informacji, że Lanzecki rzeczywiście życzył sobie, aby wyruszyła na poszukiwania działki Keborgena.

– Czy wie pan, gdzie powinnam szukać?

Cechmistrz uśmiechnął się, co całkowicie zmieniło wygląd jego surowej twarzy, i splótł ręce na piersi, nadal sącząc piwo.

– Pracowałaś nad rachunkiem prawdopodobieństwa. Czemu nie sięgniesz do danych, które zebrałaś?

– Skąd pan wie, co robiłam? Sądziłam, że mój osobisty kod głosowy nie da się złamać.

– Bo tak jest – ironiczny wyraz twarzy Lanzeckiego stanowił reprimendę za jej wątpliwości. – Ale dało się zauważyć, jak korzystałaś z banku danych pogodowych i

informacji na temat możliwości sań. Można także sprawdzić ile czasu spędziłaś ostatnio przy komputerze. Zazwyczaj nie interesują nas zajęcia rekrutów i świeżo ozdrowiałych śpiewaków. Kiedy jednak dana osoba nie tylko jest czuła na czarny kryształ, ale też wypożycza ślizgacz i udaje się na miejsce katastrofy sań, w których, jak wiadomo, znajdował się właśnie ten rodzaj kryształu, ciche dochodzenie jest chyba usprawiedliwione? Zgadzasz się ze mną? Moja droga, strasznie wolno pijesz. Skończ piwo i wejdź w program, jaki opracowałaś – wstał, wskazując jej miejsce przy konsoli. – Przyniosę jeszcze coś do picia i może małą przekąskę – odwrócił się do selektora.

Killashandra szybko zajęła miejsce, podając kod programu. Jeszcze przed chwilą mogła czuć wątpliwości, lecz upomnienie Lanzeckiego zrobiło swoje. Nie wątpiła też, iż potrzebował czarnych kryształów z działki Keborgena, ponieważ zaś jej osoba dawała Cechowi największe szansę na ich odzyskanie, był gotów ją wspierać.

– Czy znał pan Keborgena? – spytała, po czym natychmiast uświadomiła sobie idiotyzm tego pytania. W końcu rozmawiała z Mistrzem Cechu.

– Ani mniej, ani więcej niż wszyscy tutaj.

– Moja teoria – oznajmiła szybko Killashandra, wywołując informacje dotyczące prędkości sań, czasu nadania ostrzeżenia i szybkości wiatru oraz hipotetycznego szlaku sań martwego śpiewaka – opiera się na założeniu, że Keborgen leciał najprostszą możliwą drogą.

Lanzecki postawił na brzegu konsoli nowy dzbanek napoju, umieścił obok tacę z parującym posiłkiem i uśmiechnął się zachęcająco.

– Żaden wzgląd, nawet na własne bezpieczeństwo, nie zmusiłby Keborgena do narażenia się na odkrycie tej szczególnej działki.

– A ponieważ wszyscy spodziewali się po nim dokładnie takiego postępowania, czy nie mógł raz, znalazłszy się w prawdziwie krytycznej sytuacji, wybrać najkrótszej trasy? Lanzecki zamyślił się, wsparty o konsolę.

– Proszę pamiętać, że sądząc po czasie jego powrotu, odłożył ucieczkę na ostatnią możliwą chwilę – dodała prędko Killashandra. – Sanie nie były uszkodzone: raport medyczny stwierdza, iż Keborgen cierpiał na przeładowanie sensoryczne. Lecz kiedy wyruszał, wiedział zapewne z raportów meteo, że burza nie potrwa długo. I że wszyscy inni opuścili już Pasma, więc nikt nie zdoła zaobserwować jego trasy. I nie ciął na tej działce od dziewięciu lat. To chyba ważne, prawda?

– Niespecjalnie. Nie dla kogoś, kto śpiewał kryształ tak długo jak Keborgen. – Lanzecki znacząco popukał się w czoło, po czym spojrzał na ekran, gdzie jej wyniki

nakładały się na mapę terenu. – Inni szukają na zachód od proponowanego przez ciebie miejsca.

– Inni? – Killashandra poczuła suchość w ustach.

– To cenna działka, moja droga Killashandro. Oczywiście musiałem zezwolić na rozpoczęcie poszukiwań. Nie denerwuj się jednak za bardzo – dodał, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Nikt z nich nigdy nie śpiewał czarnego kryształu.

– Czy wrażliwość na niego daje mi jakąś przewagę?

– W twoim przypadku najprawdopodobniej tak. Byłaś pierwszą osobą, która dotknęła kryształów po Keborgenie. Coś takiego podobno zestrąja daną osobę z właściwym złochem. Podkreślam – podobno, nie na pewno. Większa część wiedzy o wydobywaniu kryształu spoczywa na zawsze w paranoidalnych mózgach. To ich obrona przed wykryciem i ewentualnym zniszczeniem. Lecz pewnego dnia nauczymy się, jak bronić tych ludzi przed nimi samymi. – Stał za nią, obejmując lekko jej ramiona. Jego dotyk rozpraszał Killashandrę, choć wyczuła, iż miał dodać jej otuchy. Czy może pocieszyć, bowiem następne słowa zabrzmiały pesymistycznie. – Najważniejsza rzecz, która działa na twoją niekorzyść, moja droga, to fakt, iż w dziedzinie znajdowania i cięcia kryształu jesteś kompletną nowicjuską. Gdzie... – i jego palec wskazał nieregularny trójkąt, wyrysowany na mapie – proponowałabyś rozpocząć poszukiwania działki?

– Tutaj! – Killashandra bez wahania wybrała punkt, leżący w jednakowej odległości od północnego wierzchołka trójkąta i dwóch przyległych doń boków.

Mocniej ścisnął jej ramiona, po czym odszedł, krocząc wolno po grubej wykładzinie, z rękami splecionymi za plecami. Uniósł wzrok, jakby właśnie na suficie spodziewał się odkryć coś, co pozwoliłoby przeniknąć umęczone myśli umierającego śpiewaka kryształu.

– Częścią Przeskoku Mikeleya jest wyczulony instynkt pogodowy. Zarodnik zawsze wie, kiedy nadciąga burza, nawet gdy jego ludzki nosiciel woli zaufać instrumentom, nie zaś własnym przeczuciom. Keborgen był stary, zaczynał już tracić zaufanie do wszystkiego, nawet własnych sań. Zapewne zdał się na swój instynkt, ignorując czujniki – ponury wyraz twarzy Cechmistrza ostrzegł ją przed podobnym brakiem zaufania. – Jak już ci mówiłem, symbiont traci część swoich możliwości wraz z wiekiem nosiciela. W twoim programie brak jednej kluczowej informacji – Keborgen desperacko pragnął wydostać się z planety na czas Przejścia, a nie miał na to wystarczająco wysokiego kredytu. Wydobywanie czarnego kryształu, nawet najmniejszego, dostarczyłoby mu upragnionych funduszy. Wystarczyłyby nawet te odłamki. Według mnie, kiedy już je zebrał, odkrył, iż może dokonać bezbłędnego ciecienia.

Zignorował zarówno urządzenia alarmowe w saniach, jak i wezwanie własnego instynktu, i ukończył cięcie. Stracił cenny czas.

Ponownie przystanął za Killashandrą i położył jej ręce na ramionach, nachylając się naprzód i wpatrując w ekran.

– Uważam, że twoje ustalenia są bliższe prawdy niżli propozycje innych – jego dźwięczny śmiech zdawał się wibrować w powietrzu i poprzez dłonie poruszać całym ciałem dziewczyny. – Świeży punkt widzenia, nie skażony jeszcze latami sprytnych wybiegów i ciągłego przechytrzania wszystkich, nie wyłączając własnej osoby. – Nagle uwolnił jej ramiona w chwili, gdy akurat najmniej sobie tego życzyła, i zupełnie zmienił temat. – Czy to Carrik wzbudził w tobie zainteresowanie Cechem?

– Nie – obróciła swe krzesło i udało jej się pochwycić wzrokiem niezwykle i niezrozumiale skrzywienie warg Cechmistrza. Jego twarz i oczy nie wyrażały niczego, wyraźnie jednak czekał, by rozwinęła temat. – Nie, powiedział mi, że wcale nie chcę zostać śpiewaczką kryształu. Zresztą nie tylko on starał się mnie ostrzec.

Lanzecki pytająco uniósł brwi.

– Wszyscy znajomi z Fuerte byli przeciwni temu, bym opuściła planetę w towarzystwie śpiewaka kryształu mimo faktu, że ocalił on życie wielu ludzi. – Nadal czuła zapamiętaną gorycz, która o dziwo wcale nie złagodniała z czasem. Wiedziała, że to nie wina Maestra Valdiego, lecz gdyby nie jego zastrzeżenia i próby powstrzymania jej wyjazdu, oboje z Carrikiem znajdowaliby się teraz daleko od Fuerte, a Carrik zachowałby zdrowe zmysły. Ale czy zostałaby śpiewaczką?

– Wbrew wszystkim krążącym o nas plotkom, Killashandro, nawet śpiewacy kryształu mają przebłyски ludzkich uczuć.

Spojrzała na niego w milczeniu, zastanawiając się, czy miał na myśli bohaterski czyn Carrika, czy fakt, że śpiewak zniechęcał ją do przybycia na Ballybran.

– Wracajmy jednak do naszych spraw. – Lanzecki nacisnął jakiś przycisk. Nagle trójkąt rozciągający się pomiędzy liniami F42NW do F43NW pojawił się na ogromnym ekranie. – Tak. Mamy tu sporo nie oznaczonych terenów.

Przy tym powiększeniu mogła również dostrzec plamy farby na niektórych zboczach. Wiedziała, że tereny wewnątrz okręgu o promieniu pięciu kilometrów, nakreślonego wokół plamy, zamknięte tam wzgórza i rozpadliny – wszystko stanowi zastrzeżoną działkę. Śpiewak mógł też oznaczyć działkę, zapisując w rejestrze jej współrzędne geograficzne, lecz Concera twierdziła, że zdarzało się to bardzo rzadko.

– Można przeszukać całą rozpadlinę i nadal nie zauważyć złoża ukrytego w ścianie – powiedział Lanzecki, wpatrując się w cel przyszłej wyprawy. – Albo wpaść na prawowitego właściciela działki – zmniejszył powiększenie. Trójkąt zaczął maleć, póki z powrotem nie wtopił się w otaczające go skały wokół zatoki.

– Wyruszasz w poniedziałek. Moksoon nie ma zbyt wielkiej ochoty. Nigdy nie okazuje specjalnego entuzjazmu. Ale próbuje wydostać się z planety i, przy dość przyzwoitej zdobyczy, premia za przewodnictwo powinna tym razem wystarczyć. Killashandro?

– Tak, wyruszam w poniedziałek. Moksoon nie ma zbyt wielkiej ochoty, ale premia...

– Killashandro, znajdziesz czarny kryształ, słyszysz? – Lanzecki wpatrzył się w nią. Jego niezwykle intensywny wzrok podkreślał zawartą w słowach wiadomość: „Killashandro Ree, pozostajesz pod moją kontrolą”.

– Tylko jeśli będę miała cholernie duże szczęście – zaśmiała się, odzyskując równowagę, i szerokim gestem wskazała rozległy teren, wymagający przeczesania.

Lanzecki nadal spoglądał jej głęboko w oczy. Przypomniła sobie pewien starożytny dramat: historię mężczyzny, który hipnozą stworzył z muzycznej analfabetki niezrównaną

śpiewaczkę. Nazwisko uciekło jej z pamięci, ale sama myśl, że Lanzecki, mistrz najbardziej prestiżowego Cechu pośród Federacji Planet Rozumnych, miałby postąpić jak... eee, Zvengali, i zmusić ją do odnalezienia bezcennego czarnego kryształu była zbyt idiotyczna, by w ogóle brać ją pod uwagę. Nie potrafiła jednak powiedzieć o tym Lanzeckiemu, zwłaszcza teraz, gdy wpatrywał się w nią takim wzrokiem.

Nagle odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Całe jego ciało poddało się gwałtownej wesołości: klatka piersiowa unosiła się i opadała, wsparte na udach dłonie podtrzymywały zgiętą w ataku radości postać. Gdyby jeszcze pięć minut temu ktoś powiedział jej, że Cechmistrz Lanzecki posiada ogromne poczucie humoru, nazwałaby go kosmicznym wariatem. Lanzecki padł na fotel, wyjąc ze śmiechu.

W jego wesołości było coś zaraźliwego. Killashandra uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym także zaczęła się śmiać, widząc Cechmistrza w takim stanie.

– Killashandro... – wykrztusił jej imię, kiedy zdołał już opanować rozbawienie. – Przepraszam, ale wyraz twojej twarzy... Naraziłem w tej chwili reputację całego Cechu, mam rację? – otarł łzy z kącików oczu i wyprostował się. – Od bardzo dawna tak się nie śmiałem.

Pobrzmiwająca w tej ostatniej uwadze nostalgia sprawiła, iż Killashandra zmieniła szykowaną odpowiedź.

– Na Fuerte mawiali często, że byłabym znakomitą śpiewaczką komiczną, gdyby nie to, że tak pociągają mnie główne role.

– Nie widzę w tobie nic komicznego, Killashandro – jego oczy zalśniły, gdy wyciągnął ku niej rękę.

– Może jestem tragiczna?

– Nie. Nieoczekiwana, niezwykła.

Ujął rękę, którą nieświadomie wyciągnęła. Poglądził kciukiem wewnątrz dłoni, po czym odwrócił ją i złożył na niej pocałunek.

Wstrzymała oddech, czując, jak przebiega ją nagły dreszcz, rozchodzący się od dłoni przez całe ciało, aż do koniuszków piersi. Zapragnęła uwolnić rękę, lecz w tym momencie dostrzegła czuły uśmiech na jego wargach. Lanzecki kontrolował swe oczy i twarz. Ale usta go zdradzały.

Nacisk, jaki począł wywierać na jej rękę, przyciągając ją ku sobie, był tyleż delikatny, co nieubłagany. Kiedy zaś siedziała już na jego kolanach, przytulona, z głową wspartą o ramię mężczyzny i ponownie uniósł jej dłoń do ust, przymknęła oczy, obezwładniona zmysłowością tego delikatnego pocałunku. Dotknęła ciepłej skóry czując, jak Lanzecki gładzi jej włosy, owija sobie kosmyk wokół palca. Po chwili jego ręka opadła na jej pierś i spoczęła tam, lekko i umiejętnie.

– Killashandro Ree? – cichy szept zadał pytanie, które nie miało nic wspólnego z jej imieniem, dotyczyło natomiast samej jej istoty.

– Lanzecki!

Jego usta dotknęły warg Killashandry w tak lekkiej pieszczocie, że z początku nie zdała sobie nawet sprawy z tego, iż ją całuje. Tak samo wyglądała reszta jej pierwszego zetknięcia z Cechmistrzem, pełnego miłości i poczucia jedności, które sprawiły, iż w zestawieniu z tym każde inne przeżycie stało się nieważne.

ROZDZIAŁ VIII

Następnego poranka po przebudzeniu stwierdziła, że Lanzecki nadal trzyma jej dłoń. Drgnęła zaskoczona, a jego palce zacisnęły się lekko, po czym pogładziły rękę Killashandry w delikatnej pieśczoce. Otworzyła oczy i, obróciwszy ku niemu głowę, napotkała senne spojrzenie Cechmistrza. Leżeli obok siebie, ona na plecach, on – wyciągnięty na brzuchu, stykając się jedynie dłońmi, jednak Killashandra czuła, iż każdy nerw i mięsień jej ciała reaguje na obecność tego mężczyzny. Zamrugła oczami i westchnęła. Lanzecki uśmiechnął się leniwie, jego pełne usta drgnęły, jakby świadome faktu, że tak bardzo ją fascynują. Przekręcił się na wznak, nie wypuszczając jej ręki, i ucałował wewnątrz dłoni Killashandry. Przymknęła oczy, przytłoczona niewiarygodnym uniesieniem, jakie wywoływał w niej nawet najlżejszy dotyk jego ust.

Po chwili dostrzegła cieniutkie białe linie, przecinające ramię i klatkę piersiową Lanzeckiego, czasem biegnące równolegle, czasem krzyżujące się nawzajem.

– Chyba wspominałem już, że śpiewałem kiedyś kryształ – powiedział.

– Raczej ciążęś, sądząc po twoim wyglądzie – przysiadła na łóżku, aby lepiej przyjrzeć się jego muskularnemu torsowi. Nagle zmarszczyła brwi. – Skąd tak dobrze wiesz, o czym myślę? Nie słyszałam, aby jednym z objawów adaptacji mogła być telepatia.

– Bo nie jest, kochanie. Po prostu po latach nabrałem pewnej biegłości w odczytywaniu wyrazu twarzy i mowy ciała.

– To dlatego jesteś Cechmistrem, a nie śpiewakiem? – dosłyszana w jego głosie czułość sprawiła, iż zatrzepotało w niej serce.

– Ktoś musi być Cechmistrem.

– Trag nigdy nie dotrze tak wysoko.

– I kto tu jest telepatą?

– No, no, uważaj, co mówisz.

– Nie powiedziałem nic, co dotyczyłoby przyszłości Traga.

– Nie musiałeś. Czy świadomie dobieracie rekrutów? Jego usta tym razem nic nie zdradzały.

– Skąd przyszedł ci do głowy podobny pomysł, Killashandro Ree? – Rozbawienie w jego oczach klóciło się z podsłuchanymi na promie słowami Borelli.

– Podobny pomysł przyszedł mi do głowy dzięki potężnym barierom, jakie FPR stawia przed ludźmi, próbującymi dostać się do Cechu.

– FPR – wargi Lanzeckiego zacisnęły się w cienką linię – jest również największym nabywcą kryształu. Szczególnie czarnego – przysunął się do niej, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. – Dziś ja również mam wolny dzień. Bardzo pragnę odpocząć w twoim uroczym towarzystwie. – Istotnie, sprawiał wrażenie tak szczerego, jak tylko mogła sobie wymarzyć, i niezwykle uprzejmego. Podczas krótkiej przerwy na śniadanie spytała, jak dostali się z jego gabinetu do apartamentu na poziomie śpiewaków.

– Prywatna winda – lekceważąco wzruszył pokrytymi szramami ramionami, wyszukując kęsy jedzenia pośród gęstego pikantnego sosu. – Jeden z moich przywilejów.

– To w ten sposób zawsze pojawiaasz się znienacka?

Lanzecki uśmiechnął się szeroko. Jego dziwnie chłopięcą radość przypomniła Killashandrze Rimbola. Na moment ogarnęło ją poczucie winy.

– Często muszę zjawiać się gdzieś nieoczekiwany.

– Dlaczego?

– W twoim przypadku? – uśmiech Cechmistrza uległ lekkiej zmianie, dostrzegła w nim jakby cień goryczy. – Szczęśliwe przecucie. Podobała mi się twoja lojalność w stosunku do Carrika i chciałem, abyś znalazła się jak najdalej od układu Scorii. Kiedy jednak z powodzeniem przesłaś egzamin wstępny, poczułem się za ciebie odpowiedzialny.

– Jak za wszystkich członków Cechu.

– Owszem. Ale ty, Killashandro Ree, miałaś Przeskok Mikeleya.

– Znowu zaczynasz... – jego bezwzględność ubodła ambicję Killashandry, która wyprostowała się i uniosła wysoko głowę pogardliwym ruchem obrażonej divy operowej.

– Oczywiście, że nie – odrzekł, wybuchając śmiechem. Pochwycił jej dłoń i złożył na niej pocałunek ze zwykłym skutkiem; nie pomogło nawet jej oburzenie. – Spotkanie z tobą nie należy do mych codziennych zajęć. To przywilej, którym mnie obdarzyłaś. Chciałbym, abyś zapamiętała to jak najlepiej, póki pamięć zupełnie cię nie zawiedzie. Naprawdę pragnąłem poznać cię, zanim wyruszysz na pierwszą wyprawę.

– Zanim? – pochwyciła subtelny nacisk, jaki położył na to słowo.

Złożył jej talerze na nieporządkny stos i wepchnął je do zsypu.

– Nim kryształ skazi twą krew. Odwrócił się ku niej i dostrzegła smutek malujący się na jego twarzy.

– Ale ty przecież śpiewałaś kryształ?

Położył ręce na jej ramionach i spojrzał na nią uważnie oczami bez wyrazu. Jego oblicze było jak wyciosane z kamienia.

– Czy to znaczy, że kiedy wrócę, nie będę już dość dobra? A przynajmniej dość dobra dla ciebie? – rzuciła gwałtownie.

Zamiast zareagować ostro, Lanzecki pochwycił jej sztywne ciało w ramiona i przytulił do siebie.

– Moja miła, będę się z tobą kochał aż do jutrzejszego ranka, kiedy to odprowadzę cię do twych sań i do Moksoona. Po tym, jak już zademonstruje ci on w praktyce sztukę wydobycia kryształu, zrobisz, co tylko będziesz mogła, aby odszukać działkę Keborgena. A gdy wrócisz ze swej pierwszej wyprawy – zaśmiał się zagadkowo – ja nadal będę Mistrzem Cechu. Ale ty – pocałował ją, a Killashandrze wydało się, że ma to być jakby pożegnanie – staniesz się prawdziwą śpiewaczką kryształu.

Nie pozwolił jej nic odpowiedzieć, później też nie wracali już do tego tematu.

Rano, kiedy spotkała go, oczekującego wraz z Moksoonem w pokoju obserwacyjnym lotów, Lanzecki był znowu niedostępnym Cechmistrzem. Wracła właśnie z hangaru, gdzie dokonała przeglądu swoich sań, miłośnie umieściła piłę w uchwycie i wdychała ostry zapach nowego plastyku i metalu, dobywający się z rozgrzanego systemu napędowego.

Moksoon nie przypominał bynajmniej idealnego przewodnika, jakiego Killashandra życzyłaby sobie na pierwszą wizytę w niebezpiecznych Mikeleyach. Jego przebiegłe, ukradkowe spojrzenia wyraźnie świadczyły o tym, że i on

miął wobec niej spore wątpliwości. Moksoon był mężczyzną drobnej budowy, a jego twarz zapewne zawsze miała czujny, inteligentny wyraz. O dziwo, w odróżnieniu od innych śpiewaków sprawiał wrażenie starego oraz, przynajmniej w tym momencie, zirytowanego, bowiem oficer techniczny tłumaczył właśnie, czemu remont jego pojazdu potrwa tak długo. Ponieważ Lanzecki wyjaśnił jej, że najważniejszym czynnikiem, decydującym o wyborze Moksoona na jej przewodnika, był fakt, że śpiewak prowadził swe poszukiwania w okolicach Zatoki, Killashandra wiedziała, że opóźnienie zostało sprokrowane umyślnie.

– Oczywiście, Moksoonie, musisz pamiętać, że nawet sama premia wystarczy ci na wakacje poza planetą – wtrącił Lanzecki, umiejętnie ingerując w rozmowę podwładnych. – To jest Killashandra Ree. Włączcie główny zapis! Moksoonie, ten test będzie cały czas odtwarzany w twojej kabinie. Jesteś przewodnikiem Killashandry Ree na podstawie artykułu 53, paragraf jeden do pięciu. Została ona poinformowana, że nie ma prawa do niczego, co wydobędzie na twojej działce i pod twoim nadzorem. Ma pozostać z tobą przez dwa pełne dni robocze, po czym opuści cię i wyruszy na poszukiwania własnej działki. Zgodnie z artykułem

49, paragraf 7, 9 i 14, po upływie przeznaczonego jej czasu nigdy nie będzie próbowała powrócić na twoją działkę. Killashandro Ree, czy przyrzekasz... – Killashandra stwierdziła, że powtarza, potwierdza i przyrzeka, pod groźbą najsurowszych restrykcji cechowych, że będzie posłuszna literze wymienionych uprzednio artykułów i paragrafów. Moksoon również musiał potwierdzić swoją gotowość do – za obiecaną premię – zademonstrowania i poinstruowania jej w zakresie cięcia kryształu przez dwa pełne dni robocze, tak jak przewiduje Kodeks Cechu Heptyckiego.

Odpowiedź Moksoona była tak pełna wahania, przerw i upomnień Lanzeckiego albo szefa lotów, że Killashandra miała ochotę wycofać się z kontraktu, lecz jedno spojrzenie Lanzeckiego wystarczyło, aby uśmierzyć jej bunt.

Po sporządzeniu zapisu jego kopie umieszczono w komunikatorach obu pojazdów. Szef lotów eskortował śpiewaka do jego sań, lekko nachylonych w lewo i sprawiających wrażenie zniszczonych, mimo grubej warstwy świeżej farby, próbującej zamaskować uszkodzenia. Lanzecki odprowadził Killashandrę do nowiutkiego wehikułu.

– Jeśli tylko zaczniesz zachowywać się dziwnie, natychmiast włącz nagranie. Twój przełącznik uruchamia również jego odtwarzacz.

– Jesteś pewien, że Moksoon to właściwy wybór?

– Dla twoich celów jedyny – ton Lanzeckiego nie dopuszczał najmniejszego sprzeciwu. – Po prostu nie ufaj mu w niczym. Zbyt długo już tnie kryształ, i to samotnie.

– A więc dlaczego... – Killashandra była zupełnie zdezorientowana. Lanzecki ujął ją za łokieć i niemal uniósł do kabiny.

– Jego ręka automatycznie wykona wszystko, co musisz zobaczyć. Obserwuj, jak tnie, co robi, nie zwracaj uwagi na słowa. Kieruj się instynktem. Jak najczęściej sprawdzaj prognozy meteo. Na szczęście podczas pierwszej wyprawy będziesz jeszcze o tym pamiętać. Za siedem tygodni nadejdzie Przejście, ale pierwsze burze mogą pojawić się już kilka dni wcześniej. Tak, wiem, że już o tym słyszałaś, ale mała powtórka nie zaszkodzi. No, Moksoon jest już w kabinie, właśnie zapiął pasy. Nie ma czasu. Leć za nim. Mapy całej okolicy masz w czytniku, wystarczy tylko wywołać. I pamiętaj, Killashandro – pakuj kryształ natychmiast po wycięciu.

Sprawnie pokierował jej odjazdem, pomyślała, nie dając czasu na rozmyślenia ani pożegnania. Wczoraj był Lanzeckim – mężczyzną, zwykłym człowiekiem. Dziś – Mistrzem Cechu. Tak to już jest.

Moksoon wystartował w momencie, gdy uruchomiła silniki. Jego pojazd nachylał się w powietrzu – charakterystyczna sylwetka, niczym człowiek o jednym ramieniu wyższym od

drugiego. Mimo sporych wątpliwości co do osoby przewodnika, wyprowadzając sanie z hangaru Killashandra poczuła, jak ogrania ją fala podniecenia. Nareszcie wyruszyła na poszukiwania kryształu. Nareszcie? Pierwsza z całej Klasy 895. Pomyślała o Rimbolu i skrzywiła się. Powinna była chociaż zostawić mu wiadomość, wyjaśnić powody nieobecności. Nagle przypomniała sobie o wywołaniu, na które nie odpowiedział. To powinno wystarczyć!

Ten głupiec Moksoon pędził jak wystraszony szaleniec! Zwiększyła prędkość swych sań, utrzymując właściwy dystans. Po szybkiej zmianie kursu skierował się wprost na północ i opadł niżej, przeskakując nad pierwszymi wzniesieniami Pasm Mikeleya. Unosząc się nad nim dostrzegła kolejny skręt, tym razem na wschód, po czym straciła go z oczu, kiedy zniknął za wysokim wzniesieniem. Zwolniła, prawie unosząc się w miejscu, i uważnie obejrzała oba krańce żlebu. Moksoon wisiał nad pomocnym krańcem doliny. Pochwyciła lekki odbłask pomarańczowej farby, pokrywającej sanie. Naśladując jego taktykę, przeskoczyła za następne zbocze, zachowując się, jakby w ogóle go nie dostrzegła, i ruszyła wzdłuż wzniesienia, póki nie ujrzała go nad południową krawędzią, dokładnie tam, gdzie oczekiwała.

Stary dureń zapomniał, że mam z nim jechać, powiedziała do siebie i włączyła nagranie. Komunikator w saniach Moksoona powinien przekazać mu wiadomość. Westchnęła głęboko, z rezygnacją godząc się na trudy nadchodzącego dnia, nagle jednak sanie przewodnika pojawiły się tuż obok niej, nie wykazując chęci do ponownej ucieczki.

Sprawdziła nowy kurs, tym razem południowy. Nareszcie kierowali się wprost do celu! Ale jak długo będzie mogła ufać jego odświeżonej nagraniem pamięci? Nawet najkrótszą trasą lot w okolice Zatoki potrwa przy tej prędkości co najmniej dwie godziny. Co prawda nie wiedziała, gdzie dokładnie wiódł ją przewodnik, ale miała nad nim przewagę w postaci nowych sań, nieco szybszych i bardziej zwrotnych.

Nawet na prostym kursie Moksoon nie umiał zachować równowagi. Jego pojazd podskakiwał i kołysał się, mimo że na tej prędkości nie powinny występować żadne gwałtowne zawirowania ani prądy. Czyżby chciał wywołać u niej chorobę powietrzną?

Czemu Lanzecki wybrał akurat jego? Z powodu słabej pamięci? Dlatego, że kiedy Moksoon zdoła wreszcie spełnić swe marzenie i wyrwie się z Ballybranu, nie będzie już, podobnie jak inni śpiewacy o dłuższym stażu, pamiętał, że kiedyś był przewodnikiem niejakiej Killashandry Ree? No cóż, to logiczne, oczywiście, jeśli uda jej się odszukać działkę Keborgena. Niewątpliwie Lanzecki grał po jej stronie.

„Kiedy śpiewak raz ciął kryształ z jakiegoś złoża, musi jedynie znaleźć się w okolicy i już poczuje przyciąganie żyły”. Tak powiedziała Concera. „Twój wzmocniony wzrok pomoże

ci odszukać barwę kryształu pod warstwą burzowych naleciałości, kamieni i skaz”. „Starczy jeden promień słońca, padający pod właściwym kątem, i nie da się przeoczyć wyrobiska”.

Te i podobne rady wypełniały teraz głowę Killashandry, kiedy jednak spojrzała w dół na nie kończące się wzniesienia Pasm Mikeleya, poczuła poważne obawy, że nigdy nie zdoła odnaleźć pośród nich jednego szczególnego miejsca. W promieniu wielu kilometrów we wszystkich kierunkach rozciągały się pozornie identyczne faliste tereny: szczyt, dolina, wzgórze, bruzda.

Nagły przesywający błysk sprawił, iż z całej siły ścisnęła drążek sterowniczy, starając się odzyskać równowagę. Zerknęła na dół i ujrzała pomarańczowy czubek sań, niemal w całości ukrytych w głębokiej rozpadlinie. Dostrzegła je jedynie dzięki jaskrawej farbie i niskiemu pułapowi lotu. Na najwyższym z otaczających skalną szczelinę szczytów widniała plama farby oznaczająca działkę.

Ten błysk kryształu, równie nieprawdopodobny co wszystkie spotykające ją ostatnimi czasy zdarzenia, potwierdził, że na Ballybranie również inne niezwykle rzeczy naprawdę mogą się ziszczyć.

Do diaska! Gdzie się podział Moksoon? W czasie tej krótkiej chwili nieuwagi Killashandry pomarańczowe sanie starego śpiewaka zdążyły zniknąć z jej pola widzenia. Przyspieszyła i dotarłszy do jego ostatniej pozycji, zauważyła czubek ogona pojazdu pośród skał. Nie zmieniając wysokości podążała w ślad za nim, dopasowawszy swą prędkość do ostrożnego tempa przewodnika i nastawiwszy ekran na powiększenie. Ponieważ utrzymywała swe sanie na widoku, na razie nie uruchamiała taśmy. Gdyby go teraz zaskoczyła, równie dobrze mógłby roztrzaskać się na którymś skalnym występie, jakich pełno było w całym kanionie.

Sprawdziła kierunek. Moksoon skręcił na północ o jedenaście stopni. Nagle wyprysnął w górę, przeskoczył wzniesienie i opadł w głębszą, zacienioną dolinę. Killashandra zanurkowała, zauważając po drodze, że zagłębienie rozciąga się na południe. Poza kolejnym przeskokiem nad wzniesieniem, Moksoon musiał trzymać się tego kursu. Rozpadlina ciągnęła się nadal, wprost na południe. W panującym półmroku Killashandra nie widziała swego przewodnika, wiedziała jednak, że musi gdzieś tu być.

Wreszcie rozpadlina skończyła się wysokim rumowiskiem. Nadal ani śladu Moksoona. Skoro jednak leciała z identyczną prędkością, nie mogła go wyprzedzić. Zapewne skrył się gdzieś w cieniu. Nagle na skalnej ścianie ujrzała wyblakłą plamę farby. Aby uzyskać podobny odcień, musiała tu być od dziesięcioleci, tak przynajmniej twierdziła Concera.

Porzucona działka miała drugi znak, o barwie jaskrawej zieleni. Przez całą drogę nie dostrzegła ani jednej podobnej plamy.

Ostrożnie wprowadziła sanie w głąb szczeliny. W niektórych miejscach jej ściany niemal się stykały, w innych można było nawet dostrzec dalsze górskie pasma. Coś załśniło w słabych promieniach słońca, które zdołały przeniknąć tak głęboko. Killashandra wzmocniła powiększenie i ze zdumieniem ujrzała wąziutki strumyk, wijący się na dnie kanionu. W zablokowanym miejscu nie było jeziora, więc musiała przyjąć, iż wodna struga spływa pod ziemię w poszukiwaniu ujścia do zatoki.

Zaczynała już czuć niepokój, kiedy kolejny zakręt odsłonił szerszą dolinę. Pomarańczowe sanie stały zaparkowane po prawej stronie, na zacienionym kawałku terenu niewidocznym z góry. Dostrzec go można było jedynie z tego miejsca.

Włączyła nagranie i przekręciła głośność do maksimum, tak że głos Lanzeckiego rozległ się echem pośród skalnych ścian. Dokładnie w tym momencie pojawił się Moksoon, który rzucił się w jej stronę chwiejnym krokiem, unosząc nad głową piłę.

– Szabrownik! Szaber! – wrzasnął, wspinając się na skalną platformę. Zbliżając się do drzwi jej pojazdu, włączył piłę i szedł naprzód, dzierżąc przed sobą groźnie wzniesione narzędzie.

– ...na podstawie artykułu 53, paragraf jeden do pięciu... – ryczała taśma.

– Lanzecki? On jest z tobą? – Moksoon rozejrzał się szaleńczo w poszukiwaniu drugich sań.

– To nagranie! – huknęła Killashandra, przekrzykując słowa Cechmistrza. – Nie naruszyłam ci działki. Jesteś moim przewodnikiem. Dostajesz premię – wyjaśniła operowo szkolonym głosem podczas przerw w nagraniu.

– To ja! – Moksoon oskarżycielskim gestem wskazał jej pojazd, z którego dobywał się jego własny, pełen wahania głos.

– Tak, zarejestrowałeś to dziś rano. Obiecałeś zostać moim przewodnikiem za dużą premię.

– Premie! – Moksoon opuścił piłę, lecz Killashandra na wszelki wypadek zręcznie odsunęła się dalej od niebezpiecznego ostrza.

– Tak, premię, zgodnie z artykułem 53, paragraf 1 do 3. Pamiętasz?

– Tak, pamiętam – głos śpiewaka nie brzmiał zbyt pewnie. – Teraz ty mówisz.

– Owszem, przyrzekam zastosować się do artykułu 49, paragrafów 7, 9 i 14. Zostaję tu tylko dwa dni, aby przyjrzeć się ekspertowi, wydobywającemu kryształ. Lanzecki bardzo cię polecał. Twierdził, że należysz do najlepszych.

– Ten Lanzecki! Chce tylko nowych kryształów! – prychnął pogardliwie Moksoon.

– Tym razem otrzymasz sumę wystarczającą na wyjazd poza planetę.

Ostrze skierowało się w dół, zmęczone palce starego człowieka niepewnie trzymały narzędzie. Killashandra miała nadzieję, że go nie upuści. Dostatecznie często powtarzano jej, jak łatwo uszkodzić to piekielne drogie urządzenie.

– Muszę wydostać się z Ballybranu. Muszę. To dlatego zgodziłem się na przewodnictwo. – Stojąc z pochyloną głową, Moksoon mówił sam do siebie, nie zwracając uwagi na płynące z taśmy przyrzeczenia.

Nagle znów uniósł pilę i z groźną miną ruszył w stronę Killashandry. Dziewczyna pośpiesznie odsunęła się tak daleko, jak tylko pozwalały jej skały.

– Skąd mam wiedzieć, że tu nie wrócisz, kiedy tylko opuszczę planetę, i nie okradniesz mi działki?

– Nie potrafiłabym znaleźć tego przeklętego miejsca – wybuchnęła. Przy rozmowie z tym fanatykiem nie było miejsca na dyplomację. – Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Cały czas musiałam wpatrywać się w ciebie, jak skręcałeś to tu, to tam. Zapomniałeś, jak należy pilotować sanie? W końcu najzupełniej legalna umowa, sporządzona zaledwie pięć godzin temu, też wyleciała ci z głowy!

Moksoon, mrużąc podejrzliwie oczy, lekko opuścił broń.

– Wiesz, gdzie jesteś.

– Znam tylko ogólny kierunek: czwarty sektor, południe. Przy tych cholernych zakrętach twoja rozpadlina może równie dobrze wychodzić na północ, zupełnie nie umiem się połapać. Co ta ma zresztą za znaczenie? Pokaż mi, jak się tnie kryształ, a za godzinę już mnie tu nie będzie.

– Nie da się w godzinę wyciąć kryształu. Nie, jeśli ma to być dobrze zrobione – odrzekł pogardliwie śpiewak. – O niczym nie masz pojęcia.

– To prawda, nie mam. A ty dostajesz dużą premię za to, że mi to wyjaśnisz. Pokaż mi, Moksoonie.

Dzięki kombinacji przymilności, bezwstydnym pochlebstw, stałemu powtarzaniu takich słów, jak „premia”, „Lanzecki oczekuje”, „wakacje poza planetą” i „wspaniały śpiewak” zdołała w końcu spacyfikować Moksoona. Zaproponowała, żeby przed praktyczną demonstracją coś zjadł, i pozwoliła mu sądzić, że wyciągnął od niej zapasy. Jak na szczupłego faceta, miał zdumiewająco duży apetyt.

Nakarmiony i wypoczęty, napelniwszy jej głowę stekiem bzdur (jak osądziła Killashandra) na temat kątów padania promieni słonecznych, porannych i wieczornych

wycieczek wzdłuż ciemnej rozpadliny i wysłuchiwanie budzącego się lub zasypiającego kryształu, Moksoon nie wykazywał najmniejszej ochoty, aby podjąć narzędzie i dotrzymać swej części umowy. Próbowала właśnie wymyślić taktowny sposób, aby mu o tym przypomnieć, kiedy nagle zerwał się na równe nogi, wyciągając ręce na powitanie promienia słońca, który wpadł do rozpadliny i oświetlił kamienną ścianę tuż obok starych sań śpiewaka.

Przez skałę, na której siedziała Killashandra, przebiegło niezwykle drzenie. Moksoon chwycił swą piłę i rzucił się naprzód z radosnym okrzykiem, stopniowo przeradzającym się w czyste dźwięczne a poniżej średniego c. Jego donośny tenorowy głos zabrzmiał wśród skał.

I część rozpadliny odpowiedziała!

Gdy Killashandra wreszcie go dopadła, zaczął już ciąć żyłę różowego kryształu, zasłoniętą przez sanie. Cholerny stary...

I wtedy usłyszała krzyk kryształu. Mimo swych wszystkich wad Moksoon miał zadziwiającą jak na jego wiek siłę głosu. Nadal utrzymywał czysty ton, nawet po nastrojeniu piły, nawet wycinając w nierównej powierzchni pięciokąt, połyskujący i migoczący w słońcu. Dysonans, który zapoczątkował, wgryzając się coraz głębiej, stanowił tak przeraźliwą mękę, że wstrząsnął całym ciałem Killashandry. Było to znacznie gorsze niż przestrajanie kryształu. Zamarła w obliczu nieoczekiwanego bólu, instynktownie wydając z siebie przenikliwy okrzyk. Męczarnie zrodziły dwa czyste, wysokie dźwięki.

– Śpiewaj dalej! – polecił Moksoon. – Trzymaj ten ton! – przestawił swe poddźwiękowe narzędzie i dokonał drugiego cięcia, dostroił piłę, by wykonać sześć szybkich zagłębień ostrza. Jego szczupła postać zadrżała, lecz ręce były nadspodziewanie pewne, kiedy tak ciął i ciął, póki nie sięgnął krawędzi. Krzyknął uszczęśliwiony, skoczył na nową pozycję i czterema ruchami ostatecznie oddzielił kryształy od zbocza.

– Moje śliczne! Moje śliczne! – powtarzał, gdy odłożywszy delikatnie piłę, rzucił się do sań po pojemnik. Pakując zdobycz, nadal do niej przemawiał. W jego ruchach wyczuwało się dziwny pośpiech, a jednocześnie jakby niechęć, palce pieściły odkładane oktagony.

Killashandra nawet nie drgnęła, oszołomiona w jednakim stopniu pierwszym zetknięciem z kryształem, jak i niezwykłą fachowością przewodnika. Kiedy wreszcie westchnęła, aby zwolnić nieco napięte nerwy, Moksoon wydał z siebie nieartykułowany okrzyk i sięgnął po narzędzie. Z łatwością odciąłby jej rękę, gdyby nie to, że potknął się o pudło, dzięki czemu zdążyła umknąć do jego sań, wpaść do środka i z całej siły uderzyć w przycisk komunikatora, uruchamiając w ten sposób nagranie. Następnie rzuciła się do drzwi. Zamykając je, przytrzasnęła czubek piły Moksoona.

I Lanzecki oddał ją pod opiekę temu wariatowi? Głos Cechmistrza rozbrzmiewał dokoła, a jego echo wzbudziło rezonans części skał.

– Przepraszam, Killashandro Ree – odezwał się Moksoon z prawdziwą skrucą w głosie. – Nie łam mojej piły. Nie zamykaj tych drzwi.

– Jak mogę ci zaufać, Moksoonie? Dwa razy o mało mnie dziś nie zabiłeś.

– Bo zapominam. Zapominam – stary śpiewak niemal płakał. – Po prostu przypominaj mi przez cały czas, zwłaszcza kiedy tnę. To kryształ sprawia, że nie pamiętam. Śpiewam i wtedy zapominam.

Killashandra przymknęła oczy, starając się uspokoić. Jej towarzysz był taki żałosny!

– Pokażę ci, jak należy ciąć. Naprawdę.

Głos Moksoona z taśmy potwierdzał jego gotowość. Artykuł 53. Mogła z łatwością przesunąć drzwi o centymetr, bezpowrotnie niszcząc jego bezcenne narzędzie pracy. Jej własny głos tymczasem oznajmił wszem i wobec, że przyrzeka dostosować się do odpowiedniego artykułu i paragrafu.

– Lepiej, żebyś zdołał pokazać mi coś, czego nie mogłam nauczyć się w kompleksie.

– Pokażę. Zobaczysz, jak odnaleźć pieśń wśród skał. Jak odkryć kryształ. Byle głupiec może go ciąć. Cała sztuka to znaleźć żyłę. Tylko nie zamykaj tych drzwi!

– W jaki sposób mam cię powstrzymać przed zabiciem mnie?

– Mów do mnie. Nie wyłączaj nagrania. Po prostu mów do mnie, kiedy będę ciął. Oddaj mi piłę!

– Mówię do ciebie, Moksoonie, i otwieram drzwi. Nie uszkodziłam ci piły – pierwszą rzeczą, jaką zrobił, kiedy zwolniła nacisk, było dokładne obejrzenie czubka ostrza. – A teraz, Moksoonie, pokaż mi, jak odnaleźć pieśń wśród skał.

– Tędy, tędy – pośpiesznie gramolił się do otwartego złoża. – Spójrz... – jego palec podążył wzdłuż ledwie dostrzegalnego brzegu żyły. – I tutaj – teraz przez pokrywający wszystko brud prześwitywał już błyszczący kwarc. Moksoon starł osłonę i na kryształowej powierzchni zamigotało słońce. – Zazwyczaj to słońce wskazuje drogę, ale musisz umieć patrzeć. Patrzeć i widzieć! Kryształ zalega warstwami, tu i tam, czasem równoległe do powierzchni, czasem pod kątem. Jesteś pewna, że nie trafisz tu z powrotem? – rzucił jej nerwowe spojrzenie.

– Całkowicie pewna!

– Różowy zawsze opada na południe. Możesz na tym polegać – jego palce przebiegły lekko wzdłuż wypukłości. – Nie zauważyłem tego wcześniej. Czemu tego nie widziałem?

– Nie patrzyłeś, prawda, Moksoonie? Zignorował ją. Tym razem spodziewała się już krzyku kryształu i nie podzielał on na nią aż tak mocno. Cały czas starała się również pozostawać w polu widzenia przewodnika, szczególnie kiedy ukończył kolejne cięcia. Przyniosła mu pojemnik, odniosła i odłożyła na miejsce, cały czas mówiąc do swego towarzysza i zmuszając go do rozmowy. Naprawdę wiedział, jak ciąć kryształ. I jak go znaleźć. Cała rozpadlina była pełna opadających na południe żył różowego kwarcu. Moksoon mógł najprawdopodobniej czerpać z tej działki do końca swego cechowego życia.

Kiedy słońce skryło się za wschodnią krawędzią kanionu, śpiewak natychmiast przerwał pracę i oznajmił, że jest głodny. Killashandra nakarmiła go, wysłuchując cierpliwie nieskładnej gadaniny o liniach skaz, cięciach i wtrętach, którym to mianem określał skałę przerywającą ciąg kryształowych żył.

Wspomniawszy kiepską opinię Enthora na temat różowego kwarcu, spytała Moksoona, czy kiedykolwiek ciął inne kolory. Było to nierozsądne pytanie, bowiem Moksoon wpadł w furję, wrzeszcząc, że wydobywał różowy kwarc przez całe swe aktywne życie, to znaczy na długo przed narodzeniem jej samej, jej rodziców, a może i dziadków, i że powinna się zająć własnymi sprawami. To rzekłszy odmaszerował do swych snów.

Pamiętając o dokładnym zamknięciu drzwi pojazdu, ułożyła się najwygodniej, jak potrafiła. Nie była pewna, czy zdoła znieść – i przeżyć – kolejny dzień w towarzystwie tego paranoika. Ani na chwilę nie wątpiła, iż nawiązana cienka nić porozumienia rozwieje się w ciągu nocy, nie pozostawiając śladu w tym kryształowym mózgu.

W chłodnej ciemności rozpadliny, pośród trzasków i pomruków skał rozmyślała o Lanzeckim. Powiedział, że chce poznać ją, zanim zacznie śpiewać kryształ. Czy miało to być jej błogosławieństwem, czy przekleństwem? Czyżby jedna wyprawa w Pasma mogła tak bardzo ją odmienić? A może dni i noce spędzone razem stworzyły między nimi

jakaś więź? Jeśli tak, to przez kilka następnych tygodni Lanzeckiego czeka mnóstwo roboty nad zacieśnianiem więzów z Jezerey czy Rimbolem – i w tym momencie poczucie humoru Killashandry przewyciężyło kapryśne rozważania. Lanzecki może i jest piekielnie przebiegły, ale przecież nie aż tak!

Zresztą tym pozostali nie doświadczyli Przeskoku Mikeleya ani nie byli wrażliwi na czarny kryształ. To niezwykle i rzadko spotykany zbieg okoliczności. Poza tym powiedział, że lubi jej towarzystwo. On, Lanzecki, lubi jej towarzystwo. Ale Cechmistrz Lanzecki wysłał ją w góry z szaleńcem Moksoonem.

Killashandra z determinacją nastawiła swój budzik na godzinę tuż przed wschodem słońca, aby znaleźć się z dala od rozpadliny, zanim jeszcze Moksoon zdąży się obudzić.

ROZDZIAŁ IX

Po przebudzeniu Killashandrę przywitała ciemność i dziwny świat. Ostrożnie wystawiła głowę przez drzwi sań, pierwsze spojrzenie kierując w stronę Moksoona. Ani śladu życia. Uniosła wzrok ku niebu, jaśniejącemu z wolna pomiędzy stromymi ścianami. Po wczorajszej zabawie w chowanego zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa lotu w półmroku, nie chciała jednak pozostawać w pobliżu starego śpiewaka, gdy ten się ocknie.

Sprawdziła, czy wszystkie skrytki sań są bezpiecznie zamknięte – automatyczny nawyk po długich godzinach na symulatorze. Na szczęście przeciwiczyła „ślepe” starty i lądowania w wymaginowanych dolinach i wąwozach. Żałowała teraz, że nie zwróciła uwagi na ukształtowanie terenu otaczającego działkę Moksoona. Nie chciała ryzykować odtworzenia wczorajszej trasy, zbyt łatwo mogłaby spowodować lawinę.

Zapięła pasy i uruchomiła silnik na najniższym biegu. Pół metra w pionie, dziesięć w poziomie. Włączyła górny skaner, aby uniknąć kolizji.

Było już dla niej dość jasno, lecz krąg wschodzącego słońca wciąż krył się za horyzontem. Uniosła się ostrożnie, powolutku, nie spuszczać oczu ze skanera – bała się skalnych występów.

Nagle znalazła się ponad rozpadliną. Zawisła w powietrzu, pośpiesznie przełączając skaner na dolny i dorzucając powiększenie. Jej odjazd nie obudził Moksoona. Jeśli dopisze jej szczęście, w ogóle zapomni, że tu była, póki nie otrzyma premii za opiekę. Choć tak naprawdę to ona na nią zasłużyła!

Myśl, że być może kiedyś skończy tak jak Moksoon, przemknęła jej co prawda przez głowę, ale szybko postanowiła, że nastąpi to w dalekiej przyszłości. Najdalszej, jak tylko możliwe.

Dość szybko ruszyła ku kwadratowi F42NW–43NW, gdzie na powietrznej mapie Lanzeckiego widniało pięć starych plam farby, tworzących nieregularny wzór. Wschodziło słońce. Zawsze był to imponujący widok, lecz teraz, gdy pierwsze promienie złociły zachodnie fałdy i wzniesienia Pasma Mikeleja, spektakl wręcz oszałamiał. Killashandra posadziła sanie na spłaszczonym przez erozję garbie i jedząc śniadanie, rozkoszowała się widowiskiem. Poranek był prześliczny, wiał lekki wietrzyk niosący z sobą posmak morza – niedaleko leżała Zatoka. Odczyty meteo wskazywały, że dobra pogoda utrzyma się przez następne sześć godzin.

Killashandra zdecydowała, że przekroczy linię F42NW na pewnej wysokości i poleci wprost ku F43NW, aby ogólnie zorientować się w terenie. Jeśli przecucie nie zwodziło jej, a zastrzeżone informacje Lanzeckiego tylko to potwierdzały, jedna z tych pięciu działek musiała należeć do Keborgena i kryła jego czarny kryształ.

Z góry okolica nie sprawiała wrażenie zbyt gościnnej: doliny i urwiska, ślepe wąwozy, kilka strumieni i ani śladu kryształowych błysków w promieniach młodego słońca. Co więcej, jedna z plam oznaczających działki była zdecydowanie świeższa niż inne. Słońce odbijało się od lśniącej farby. Czyżby ktoś znalazł już działkę Keborgena? Killashandra w duchu zbesztala się stanowczo. Nikt inny nie wyruszył tak daleko na północ. Jeden nowy znak – z pięciu. Ale mapa Lanzeckiego pokazywała pięć starych znaków.

Nagle zaparło jej dech. Keborgen nie odwiedzał tej działki od dziewięciu lat. Czyżby nie mógł jej odnaleźć? Zebrał sporo cennych odłamków i fragmentów oraz triadę, wartą majątek. Może wykorzystał pozostający mu margines czasu na to, by odnowić znak, aby po wichurze łatwiej trafić do złoża?

Pośpiesznie przypomniła sobie przepisy dotyczące działek i naruszenia praw górniczych. Nic nie zabraniało sprawdzenia oznakowanego terenu. Dopiero zebranie albo cięcie kryształu stanowiło przestępstwo.

Najpierw zmniejszyła wysokość i zatoczyła nad działką krąg o promieniu dwóch i pół kilometra, licząc od jaskrawej plamy farby. Nie dostrzegła żadnych obcych sań, choć uważnie sprawdzała wszelkie zacienione skalne półki i nawisy, aby się upewnić. Nie udało jej się też zauważyć nawet najmniejszego kryształowego rozbłysku. Wreszcie wylądowała na wzniesieniu obok znacznika. Warstwa farby była świeża i gruba, jedynie w kilku miejscach naruszona przez ostatnią burzę. Przyglądając się brzegom plamy Killashandra odkryła ślady starego znaku, wyglądającego spod pośpiesznie nałożonego nowego koloru. Znalazła też pojemnik po farbie między skałami, gdzie został wciśnięty przez wiatr – albo ludzką rękę. Podniosła go, uśmiechając się z podniecenia. Tak, Keborgen nie chciał zapomnieć tej szczególnej działki. Stracił bezcenny czas, by ją zaznaczyć.

Rozejrzała się po skalistych zboczach i bruzdach. Gdzie to mogło być? Ze swego miejsca sięgała wzrokiem pięć kilometrów w każdą stronę.

Skoro Keborgen zebrał wszystkie odłamki kryształu, Killashandra nie mogła liczyć na namacalne ślady jego pracy. Musiał jednak gdzieś ukryć sanie tak, by były niewidoczne z powietrza, podobnie jak to zrobił Moksoon. Resztę poranka Killashandra spędziła zatem przeszukując cały teren. Znalazła pięć kryjówek: dwa nawisy na południu w sektorze siódmym, skałę w dziesiątym zachodnim, bardzo wąską ślepą szczelinę w czwartym i parę

zacienionych rozpadlin w drugim północnym. Zaznaczyła je na swej mapie, za każdym razem wykorzystując jakiś charakterystyczny punkt terenu, z uwzględnieniem kąta, pod jakim należało nań spojrzeć.

Pogoda przestała jej sprzyjać, bowiem na południu zaczęła padać drobna mżawka. Tym razem nie pomogą jej promienie zachodzącego słońca, a rozgrzany kryształ nie przemówi nagle w panującej ciszy. Killashandra nie uznała też za stosowane nocować na wzgórzu obok znaku – inni śpiewacy także szukali działki Keborgena. Nie ma sensu pozostawać na widoku.

– Ene, due, like, fake – zanuciła, wskazując kolejno wszystkie kryjówki – torbę, borbe, ósme smake. Eus deus kosmateus i morele baks!

„Baks” wypadło na szczelinę w czwartym sektorze.

Nadlatując z południa, dostrzegła, że skalna krawędź jest dziwnie przechylona. Ponieważ ze wszystkich stron otaczały ją wyższe zbocza, wiatr nie mógł spowodować podobnej erozji. Posadziła sanie na nierównym podłożu najlepiej, jak tylko umiała. Najpierw chciała się rozejrzeć. Wciągnąwszy kurtkę przeciwdeszczową dostrzegła, że osłonięty kawałek, otoczony odłamkami skał, jest akurat dość duży, by można było na nim postawić pojazd.

Odkrycie to dodało jej otuchy. Wyszła na zewnątrz i ruszyła na inspekcję. Kamienne odpryski leżały tu już dość długo i częściowo wrosły w podłoże. Nawis wyglądał solidnie, lecz z jednej strony znać było ślad obróbki zbocza. Smuga pomarańczowej farby na kamieniu ostatecznie upewniła Killashandrę. Kiedyś parkowały tu sanie. Z satysfakcją postawiła tam teraz swój pojazd.

Kiedy jednak wspięła się na najwyższe wzniesienie ponad doliną, jej entuzjazm częściowo wyparował. Rozejrzała się w zapadającym mroku. Wąwóz miał kształt tępo zakończonego półksiężyca, z sań łatwo było dotrzeć do każdego miejsca. Śpiewacy wyteżali siły jedynie przy cięciu kryształu, dźwiganie ich nie bawiło. Złoże Keborgena musiało znajdować się gdzieś w tej dolinie.

Ześliznęła się po stromym zboczu, drobne kamyki chrzęściły jej pod nogami. Kiedy dotarła do sań, natychmiast wywołała prognozę pogody. Zachmurzenie miało ustąpić około południa, chyba że nadciągający znad południowego bieguna front zimnego powietrza drastycznie zwiększy swą prędkość. Deszcz nie deszcz, powiedziała do siebie Killashandra, od rana sprawdzam teren. Keborgen popełnił dwa kapitalne błędy, pozostawił świeży znak i ślad starej farby z sań.

Przez cały szary poranek nie mogła trafić na miejsce wyrobiska, choć systematycznie szukała najmniejszych oznak na skałach. Ręce paliły ją od ciągłego pocierania kamienia.

Ściany wąwozu były nierówne – dłuższe zbocze sięgało dziesięciu metrów, by po przeciwnej stronie, naprzeciwko jej kryjówki, opaść niemal całkowicie. Z dna doliny nie potrafiła dostrzec niczego, nawet biorąc pod uwagę fakt, że Keborgen dokładnie sprzątnął wszelkie ślady. Zrezygnowana, wróciła do sań, aby coś przekąsić. Równie dobrze mogła zostać jeszcze jeden dzień z Moksoonem. I tak nic nie działała. Nagły błysk światła przyciągnął jej wzrok ku oknu.

Chmury umykały na północ, między nimi dostrzegła skrawki jasnego nieba. A kiedy wyszła z sań, poczuła na twarzy powiew lekkiego wiatru. Spomiędzy obłoków wyglądało słońce, niemal oślepiające po dwóch dniach ponurej szarości. Złotawe promienie wydobywały z otaczających ją skał ukryte barwy.

Przy tej pogodzie może się jej poszczęści i zdoła dostrzec przeblysłk kryształu – jeśli będzie spoglądać we właściwym kierunku o właściwej porze. Po krótkiej burzy złoże musiało być prawie odsłonięte.

Słońce znajdowało się już po zachodniej stronie nieba. Zatem powinna zwrócić się na zachód, w ten sposób jej szansę wzrosną. Pośpiesznie ruszyła w głąb wąwozu, po czym skręciła w prawo i zamarła. W blasku słońca ujrzała coś, co wcześniej skrywał przed jej oczami siąpiący deszcz – wyraźną, choć nierówną i krętą ścieżkę, odpowiednią dla zręcznego człowieka. Niegdyś wydeptał ją bardzo wysoki mężczyzna i Killashandra, entuzjastycznie podążająca w jego ślady, musiała czasami przeskoczyć jakąś przeszkodę. Tak była zaabsorbowana, że niemal wpadła w dziurę, która niespodziewanie otworzyła jej się pod nogami. Na szczęście sekundę wcześniej spostrzegła wygładzony kawałek gruntu jakieś dwa metry od krawędzi. Idealne miejsce na pudła z kryształem. Z początku złożyła to na karb podniecenia, lecz nagle poczuła wyraźny dreszcz. I wtedy usłyszała ciche westchnienie, dźwięk nieco głośniejszy, by mógł go wywołać tak lekki wietrzyk. Zupełnie jakby ktoś w dali nucił coś półgłosem. Tyle że źródło dźwięku leżało tuż przed nią.

Drżąc ze zdenerwowania, zrobiła jeszcze dwa kroki i spojrzała w dół. Zobaczyła szczelinę w kształcie litery V, opadającą ku dolinie, jakieś dziesięć metrów poniżej krótszego zbocza. Z góry sączyła się mętna woda. W połowie ściany Killashandra dostrzegła zdecydowanie zbyt regularną kałużę. Zbocza były nierówne, bowiem Keborgen przygotował dla siebie stopnie, ułatwiające zejście w samo serce jego działki. Schodząc teraz w dół, wyczuwała otaczający ją czarny kryształ. Dotarłszy do dna, uklękła obok kałuży, głębokiej na centymetr, i pomacała jej brzegi. Gładkie. Zaswędziały ją palce.

Wstała i rozejrzała się wokół. Długa na mniej więcej sześć metrów szczelina, wycięta w skale tak, by zachować surowy, naturalny wygląd, wychodziła na wąwóz, tworząc w jego

stoku wyrwę szerokości prawie czterech metrów. Killashandra z nabożeństwem wyjęła z kieszeni na udzie ściereczkę i odgarnęła błoto. Ukazał się mętny połysk zimnego czarnego kryształu. Tą samą szmatką usunęła wodę. Triada Keborgena idealnie pasowała do siebie, nie odpowiadała jednak do końca profilowi żyły, toteż po jej wycięciu pozostało owe małe, klinowate zagłębienie. Nie, ten fragment był uszkodzony, zapewne przez wichurę. Poglądziła go, wyczuwając szorstką powierzchnię skaży. Nagle gorączkowo zaczęła czyścić żyłę, aby sprawdzić, gdzie kończy się skaza, gdzie można znaleźć czysty czarny kryształ. Ach, to tu, z boku, dokładnie w miejscu, gdzie Keborgen skończył ciąć, gdy nadeszła burza.

Jak rozległa, głęboka, szeroka jest ta żyła kryształu, ten skarbiec? Euforia Killashandry przewyciężyła początkową ostrożność i dziewczyna ze śmiechem poczęła odsłaniać kwarc – najpierw w jednym miejscu na przeciwległej ścianie, potem wzdłuż ramion litery V. Ścierając maskującą warstwę błota, mruczała radośnie, jej głos powrócił do niej echem i Killashandra zaczęła się śmiać, czując, jak ściany wibrują pod wpływem donośnego dźwięku.

Otaczał ją kryształ. Śpiewał jej swą pieśń! Nie zważając na błoto, osunęła się na ziemię i zaczęła gładzić kryształowe zbocze, z trudem powstrzymując śmiech. Starła się, wśród oszołomionych myśli, uświadomić sobie, że ona, Killashandra Ree, naprawdę znalazła działkę Keborgena. I że należy ona do niej, zgodnie ze wszystkimi artykułami i paragrafami.

Zupełnie straciła poczucie czasu. Przez kilka godzin oglądała złożę, sprawdzała, w których miejscach Keborgen usunął już warstwę uszkodzonego kryształu. Niewątpliwie spodziewał się wrócić tu zaraz po tym, jak burza ucichnie. Ostatnio ciął z półki położonej metr ponad wyższym ramieniem V. Robił to zresztą znakomicie, nie wycinał bowiem całych kawałów kwarcu, lecz pracował nad bezbłędnymi formami, w triach i kwartetach, zestawach, za które zachłanna FPR oferowała najwyższe ceny, w ciągłej pogoni za połączeniem wszystkich zamieszkanym planet siecią kryształowych łączy. Keborgen utrzymywał naturalny wygląd szczeliny, pozwalając, by na dnie zbierało się błoto i pył. Wiatr i woda dokonywały reszty pracy, znakomicie maskując złożę. W porównaniu z Keborgenem Moksoon był bardzo niedbały – ale on dysponował jedynie różowym kwarcem.

Kryształ wokół niej począł trzaskać i szeptać cicho, przyjaźnie. Zupełnie jakby uznał i zaakceptował zmianę właściciela, pomyślała Killashandra. Oczarowana, wsłuchiwała się w delikatne dźwięki, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na kolejną serię, póki nie zdała sobie sprawy z panującego chłodu. I z tego, że zapadła już prawie ciemność.

Nadal pod urokiem kryształowego chóru, niechętnie wygramoliła się ze szczeliny i znaną już ścieżką wróciła do sań.

Dopiero w lśniącej nowością kabinie wróciła jej względna przytomność. Zasiadła przy pulpicie i sporządziła szkic działki, poddając próbie swą pamięć do szczegółów. Zanotowała też domysły co do możliwych nawyków Keborgena.

Od rana zabierze się do pracy, pomyślała, spoglądając na swą piłę. Ma przed sobą kilka pogodnych dni.

Mam kilka pogodnych dni? – pewność, jaką czuła w tym względzie, zaskoczyła Killashandrę. Wywołała prognozę meteo. Jutro będzie ładnie, istnieje też duże prawdopodobieństwo, że pogoda utrzyma się przez jakiś czas.

Co Lanzecki powiedział o instynkcie pogodowym przy Przeskok Mikeleya? Że można wierzyć symbioutowi? Brak zaufania do urzędów sprawił, że Keborgen zbyt późno wyruszył do bazy. Ale jeśli zwlekał, by odnowić znak, musiał jednak posłuchać jakichś ostrzeżeń.

Killashandra złożyła ręce na piersi. Teoretycznie symbiout stanowił teraz część jej struktury komórkowej, z pewnością zaś nie miał nic wspólnego z jej umysłem. Nie był też nieproszonym gościem w organizmie, przynajmniej póki nie odwołała się do jego zdolności regeneracyjnych ani nie oparła nakazowi powrotu na planetę.

Zakodowała w komunikatorze swe spostrzeżenia. Trzeba będzie to sprawdzić.

Zanim się położyła, przypomniała sobie, że powinna coś zjeść. Podniecające doświadczenie wyczerpało ją zupełnie. Nastawiła alarm na dwadzieścia minut przed wschodem słońca.

Odświeżona, po kąpieli i solidnym śniadaniu, w momencie gdy zza Pasm wyłoniło się słońce, znajdowała się już na ścieżce prowadzącej ku złożu. Piłę przewiesiła sobie przez ramię, w wolnej ręce kołysał się pojemnik.

Zostawiła pojemnik tam, gdzie niegdyś Keborgen – jak długo echa dawnych uczynków będą towarzyszyły jej w tym miejscu? – i zeszła ku złożu. Promienie słońca nie dotarły jeszcze nawet do najwyższej części V. Łatwiej będzie ciąć teraz, pomyślała, zanim kryształ rozpocznie swą poranną pieśń. Oczyszczyła dokładnie fragment, od którego zamierzała zacząć, długi na około pięćdziesiąt centymetrów, szeroki na dwadzieścia, głębokości dziesięciu, piętnastu centymetrów. Musiała dostosować się do krawędzi ostatniego cięcia

Keborgena. Czemu nie trzymał się linii prostej? Skazy? Przesunęła dłonią po powierzchni, w niemal przepraszającym geście, jakby prosząc o wybaczenie za to, co miała zrobić. Kryształ zaszeptał pod jej dotykiem.

Dość tego, powiedziała do siebie surowo i wyobraziła sobie, że obok stoją Trag i Lanzecki. Uderzyła kwarcową ścianę kamertonem i nagle zalała ją ogromna fala dźwięku. Wszystkie kości zdawały się wibrować do wtóru. Killashandra miała wrażenie, jakby pękała

jej czaszka, krew pulsowała niczym metronom w rytm drgań. Dźwięk powrócił, odbity od drugiej ściany, po chwili dołączyło doń dziwnie nieharmonijne echo z doliny.

– Tnij! Masz dostroić piłę i ciąć! – krzyknęła do siebie Killashandra, a echo przedrzeźniało każde jej słowo.

Kiedy Moksoon zaśpiewał w poszukiwaniu odpowiedniego tonu, nie zdarzyło się nic podobnego. Czy to dlatego, że była wrażliwa na czarny, a nie różowy kryształ, i nie zestrojona ze złożem? Moksoon nie stał też na środku działki, lecz na bezpiecznym granicie. Obecne doświadczenie nie przypomniało również krzyku szlifowanego kryształu: choć oszałamiająca, fala dźwięków nie była przepełniona bólem i wrogością.

Nie musiała ponownie używać kamertonu. Czyste a nadal dzwoniło w jej głowie i uszach. Zawahała się jeszcze raz, po czym zdecydowanym ruchem zaczęła pierwsze cięcie w dół. I tylko podświadomy upór, zaciętość, której nigdy dotąd nie musiała przywoływać, wiodły jej dłoń. Znalazła się w świecie dźwięku a w różnych akordach i tonacjach. Muzyka sprawiała, że każdy nerw jej ciała wibrował, nie czuła jednak bólu, lecz dziwną przyjemność, która jednak bardzo rozpraszała uwagę. Nagle usłyszała, jak dźwięk ostrza pogłębia się i cofnęła piłę. Następne, poziome cięcie przebiegało tuż nad starym cięciem Keborgena. Ten blok będzie więc krótszy niż inne i bardziej płaski. Nic nie można na to poradzić. Zaciśnęła zęby, przygotowana na wstrząs zetknięcia metalu z kryształem, dźwięku z nerwem. Jej ręce zdawały się działać pod wpływem niezliczonych godzin ćwiczeń pod kierunkiem Traga. Killashandra sama nie zdała sobie sprawy z tego, kiedy ukończyła szlif – zatrzymał ją wytrenowany impuls, instynktowne połączenie ręki i oka. Poddawała się tym impulsom, wykonując kolejne cięcie – to, które oddzieli bryłę od podłoża. Krzyk kryształu nie był już aż tak przeszywający.

Ostrożnie odłożyła piłę, zdumiona i zachwycona tym, jak łatwo poszło. Ujęła w drżące jeszcze z wysiłku ręce pierwszy blok i uniosła go nad głowę. Przezrysty kwarc pochwycił promień słońca i pociemniał, ukazując lekkie odchylenie od właściwej linii. Killashandry nie obeszło to ani trochę. Płacząc z radości, wsłuchała się w pieśń rozgrzanego słońcem kryształu, teraz już naprawdę czarnego. Melodia sączyła się przez skórę Killashandry, pobudzając wszystkie zmysły.

Nigdy nie dowie się, jak długo trwała tak w zachwycie, wznosząc swój klejnot ku niebu niczym jakaś starożytna kapłanka. W pewnym momencie jeden z niezliczonych tego dnia obłoków zasłonił na chwilę słońce, przerywając pieśń. Killashandra uświadomiła sobie, że bola ją ramiona, a od dźwiganego ciężaru zdrętwiały palce i nogi. Czuła dziwną niechęć na myśl o rozstaniu z kryształem. Nagle usłyszała w duchu słowa Lanzeckiego: „Pakuj

natychmiast po wycięciu”. Moksoon także odkładał kryształ, gdy tylko odłączył go od złoza. Przypomniła sobie, z jakim wahaniem chował do pojemnika swe różowe bryły. Teraz doceniła zarówno radę, jak i przykład.

Dopiero umieściwszy kryształ w ochronnym plastikowym kokonie, dostrzegła, jak bardzo jest oszołomiona. Zupełnie wyczerpana, oparła się o kryształową ścianę i wolno osunęła na ziemię, ledwie słysząc otaczający ją pomruk złoza.

– W ten sposób nic z tego nie będzie – powiedziała głoś, ignorując delikatne dzwoneczki, odpowiadające echem na każde jej słowo. Wyjęła z kieszeni rację żywieniową i zaczęła mechanicznie jeść i pić. Po chwili trans począł ustępować.

Spojrzawszy na niebo stwierdziła, iż słońce chyli się ku zachodowi. Podziwiała swe dzieło przez pół dnia!

– To idiotyczne!

Ściany odpowiedziały szyderczym d.

– Na twoim miejscu, przyjacielu, nie drwiłabym za bardzo – powiedziała pod adresem złoza, wybierając jednocześnie miejsce na kolejną bryłę. Tym razem trzeba będzie ciąć po kwadracie, inaczej zostawi po sobie podejrzanie symetryczne zagłębienie, jak to uczynił Keborgen.

Nie potrzebowała ponownego strojenia – a nadal rozbrzmiewało gromko w jej głowie. Włączyła pilę i przygotowała się psychicznie na protest kryształu, toteż czysty, pogodny ton zupełnie zbił ją z pantafyku. Z ogromną ulgą wykonała dwa pionowe cięcia, uważając, by ostrze szło prosto. Po trzecim, poziomym, zakłęła w duchu – bezwiednie powtórzyła dokładnie pierwszy, nierówny wzór. Gotowa bryła przyciągała ją z nieodpartą siłą, lecz Killashandra poznała już sztuczki kryształu i błyskawicznie ukryła ją obok poprzedniej.

Trzeci kryształ powinien być najłatwiejszy. Sprawnie zabrała się do pracy, zadowolona z własnej zręczności. Lecz pionowe cięcie, które miało oddzielić prostopadłościan od podłoża, zabrzmiało nieczysto. Killashandra przerwała, zerknęła na blade, szarobrazowy kamień, pomacała go i poczuła, że weszła w skazę. Gdyby tak o pół centymetra dalej... kryształ nie będzie pasował do tamtych, ale przynajmniej zabrzmiał czysto. Obróciła go i obejrzała uważnie, przezornie odwróciła plecami do słońca, poszukując innych możliwych uszkodzeń. Dawało to pretekst do gładzenia bryły palcami, rozkoszowania się gładką, śliską powierzchnią kryształu, jego cichym szeptem, uczuciem, które poruszało jej nerwy równie delikatnie co... co pocałunek Lanzeckiego?

Killashandra zachichotała, a jej śmiech wzbudził niezliczone krystaliczne echa. Wspomnienie Lanzeckiego, w tej niezwyklej dolinie muzyki i wrażeń, stanowiło pewny

punkt oparcia. Czy doceniłby podobną rolę? A kiedy – i jeśli w ogóle – ona sam wróci jeszcze w ramiona Lanzeckiego, czy będzie wtedy pamiętać kryształ?

Te myśli skutecznie zagłuszyły zew trzeciego prostopadłościanu i pozwoliły go spakować. Uświadomiła sobie wtedy, że wokół panuje chłód, a lekki wietrzyk porusza powietrze, które przed chwilą trwało jeszcze całkiem nieruchomo. Spojrzawszy na zachód pojęła, że kryształ ponownie ją oszukał. Dzień niemal już się skończył, a ona przez Szesnaście godzin zdobyła jedynie trzy czarne kryształy.

Pozostała jeszcze cała ściana.

Najwyraźniej cięcia kryształu nie da się po prostu wytłumaczyć, zaprogramować i zamknąć w teorii. Trzeba go doświadczyć. Obserwacja Moksoona też nie wyjaśniła zbyt wiele. Sporo za to powiedziały jej stare ślady pracy Keborgena. Intuicja podpowiedziała Killashandrze, że nigdy do końca nie opanuje wszystkiego, co wiązało się z wydobywaniem kryształu. To powinno urozmaicić długie śpiewacze życie. Oczywiście, jeśli uda jej się uniknąć frustracji. Jak można tracić tyle godzin napawając się owocami własnej pracy!

Trzy kryształy spoczywały spokojnie w pojemniku, mimo wszystko jednak dłonie Killashandry z trudem oderwały się od niego po zabezpieczeniu ładunku w saniach. W kabinie przygotowała obfity gorący posiłek i dzbanek yarrańskiego piwa. Zabrała kolację i wyszła na dwór.

Patrzyła, jak zachodzi słońce i na niebo wpływają księżyce. Stygnący kryształ wołał ją z drugiej strony doliny.

– Tym razem postawiłyście na swoim... – Killashandra urwała w połowie drwiącego zdania, bowiem nowo odkryty kryształ powtórzy jej słowa.

– Ty raaa – i samogłoska znów powróciła, w harmonii. Rozbawiona niezwykle zjawiskiem, Killashandra odkrzyknęła nowe „tyyy raaa” o trzy tony niżej i usłyszała, jak i ono powraca, przeplatane delikatnym echem poprzedniego. Zaśmiała się na tę dziecinną zabawę. Kryształ roześmiał się również. A pierwsze podmuchy nocnego wiatru, towarzyszące wschodowi wielkiego Shankilla, dopełniły harmonii.

Killashandra zaśpiewała. Zaśpiewała dla kryształu, wiatr podjął melodię, choć stopniowo kryształowy chór przygasał, gdy opuszczały go resztki słonecznego ciepła. I tylko wiatr powtarzał cicho słowa arii.

Wstał Shilmore i nocne powietrze pochłodziło. Zimny powiew wyrwał ją wreszcie z transu, o który zapewne chodziło Maestro Valdiemu. Miał rację, pomyślała, zbyt zmęczona, by się odezwać, nawet do samej siebie. Pieśń kryształu potrafiła uzależnić człowieka i

wyczerpywała do cna. Z trudem wgramoliła się z powrotem do sań, nawet nie zdejmując kombinezonu zaciągnęła na siebie podgrzewany koc i padła na łóżko. Zasnęła.

Obudził ją cichy dźwięk. Nie był to alarm budzika, bowiem zapomniała go nastawić. Zaspana, uniosła głowę, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę konsoli, lecz ta pozostawała martwa. Żadnych światełek, nic. To musiało być coś innego.

Na dworze świeciło słońce. Killashandra zwlokła się z łóżka i zamówiła silny środek pobudzający. Zegar wskazywał późny ranek – straciła pięć godzin dobrego światła. Bolały ją kolana, jedna ręka zdrętwiała. Dopiero

gorący napój przywrócił sprawność umysłowi i mięśniom. Pośpiesznie wychyliła kubek, potem jeszcze jeden, zamówiła też kilka wysokobiałkowych batonów, które wepchnęła do kieszeni kombinezonu. Bez wahania zdjęła ze ściany piłę, zarzuciła ją sobie na ramię, z ładowni wyjęła latarkę oraz pusty pojemnik, po czym ruszyła w stronę działki. Od chwili przebudzenia minęło dziesięć minut. Dźwiękiem, który ją obudził, był szept surowego kryształu, czującego na sobie ciepłe promienie słońca.

Najpierw musiała uprzątnąć odłamki, jako że pod wpływem gwałtownych zmian temperatury krawędź wczorajszego wyrobiska odrobinę się ukruszyła. Wierna podjętemu postanowieniu, bez entuzjazmu zbierała drobne kawałki kryształu, niedbale wrzucając je do przygotowanego pudła. Teraz w świetle latarki dostrzegła kolejną linię skazy, przecinającą zbocze. Wykorzystując brzeg wczorajszego cięcia, mogła jednak uzyskać pełny zestaw, cztery średnie bądź pięć mniejszych brył. Zdecydowała się ciąć od razu – chłód nocy sprawi, że odsłonięte warstwy zanieczyszczonego kryształu same się wykruszą. Wystarczy kilka niewielkich muśnięć i temperatura poradzi sobie ze skazami. Czeką ją wspaniałe dni.

Killashandra nastawiła się na wstrząs, towarzyszący pierwszemu nacięciu poddźwiękowego ostrza, spotkała ją jednak niespodzianka – szok był dużo mniejszy. Poczowała ulgę, przemieszana z rozczarowaniem. Czyżby złóże chciało dać jej w ten sposób do zrozumienia, że ją akceptuje? A może już jeden dzień wystarczył, by dostroić organizm do drgań? Niemal zatęskniła za przeszywającym, rozkosznym uczuciem, poruszającą nerwy pieśczętą, jakby wewnątrz jej ciała znalazł się zręczny kochanek. Zapewne to zaabsorbowanie owymi myślami sprawiło, iż zapomniała o natychmiastowym pakowaniu zdobyczy. Pamiętała jedynie, by osłonić kryształ przed słońcem, kiedy tak stała, gładząc swe dzieło. Z zachwytem przyglądała się sprytnie poprowadzonym kątom, umiejętnemu wykorzystywaniu starych nacięć...

I nagle uświadomiła sobie, że znów wpada w trans. Zdecydowanym ruchem schowała bryłę do pojemnika, a następnie cztery znalazły się tam, gdy tylko odłożyła piłę. Musi nauczyć

się robić to automatycznie. Concera powtarzała to bez przerwy i nie bez racji: „Przyzwyczajenie – tylko ono może uratować śpiewaka”.

Zabrała się do oczyszczania ściany, lecz odbijające się w kwarcu słoneczne promienie raniły jej oczy. Straciła dziś zbyt wiele cennego czasu – najpierw na sen, potem w kryształowym transie.

Tej nocy obudziła się niespodziewanie, czując dziwny lęk. Sprawdziła pojemniki, niepewna, czy coś nie wywołało rezonansu kryształów. Noc była pogodna, księżyc już zaszły, a góry sprawiały wrażenie pogrążonych w głębokim śnie. Spojrzała na konsolę i ekrany alarmowe. Zaklęła pod nosem. Zaniedbała odczyty pogody. Informacja podała, że nad Morzem Białym gromadzą się chmury, ostrzegła też o ruchach powietrza na znacznej wysokości. Turbulencje te jednak mogły rozpląnąć się we wschodnim prądzie powietrznym. Niewątpliwie należało śledzić rozwój wypadków.

Spała niespokojnie do świtu. Nękana obawami, natychmiast po przebudzeniu wywołała odczyt meteo. Nadal nic alarmującego, choć pokrywa chmur zgęstniała, wzrosła też jej prędkość. Na południe przesuwała się zatoka wysokiego ciśnienia, nie wydano jednak ostrzeżenia burzowego dla okolic Zatoki. Gdyby nadciągał huragan, satelita do tej chwili zdążyłby ją uprzedzić.

Stała świadomość, że coś jest nie tak, sprawiła, iż cięcie stało się łatwiejsze. Wydobyła cztery duże pięciościenne bryły i uprzątnęła odłamki, ale jej niepokój stopniowo rósł i wreszcie nie mogła już pracować. Intuicja, zbyt silna, by ją zlekceważyć, kazała jej zabrać piłę, oba pojemniki i ruszyć w stronę sań. W połowie drogi usłyszała klakson i niemal wywróciła się, zadzierając głowę. Niebo było nadal czyste.

Wywołała najnowszy biuletyn. Klakson stanowił jedynie pierwszy sygnał ostrzegawczy: znak, że należy uważać na pogodę. Lecz głos w głowie Killashandry nadal szeptał, iż nadciąga coś znacznie groźniejszego niż przewidywał Cech. Ekran ukazywał rosnące turbulencje, które, w zależności od frontu niskiego ciśnienia, mogły przemieścić się na południe bądź północ.

Killashandra wpatrywała się w monitor, bynajmniej nie uspokojona. Pośpiesznie dokonała własnych obliczeń. W najgorszym przypadku burza mogła przesunąć się nad krawędzią największego kontynentu, trafiając wprost na okolicę Zatoki. Dotarłaby tu w cztery, pięć godzin, nabierając po drodze ogromnego pędu.

– Myślałam, że macie nas ostrzegać! – krzyknęła w stronę milczących ekranów alarmowych. Klakson wyłączył się automatycznie, gdy tylko wywołała prognozę meteo. – Cztery, pięć godzin. Nie daje mi to nawet czasu na jeszcze jedno ciecie. Muszę tu siedzieć

bezcennie, póki się nie obudzicie. Czy nikt tam nie analizuje map pogody? Po co ta polka z wczesnym ostrzeganiem i czujnikami meteorologicznymi, jeśli cały system nie działa?

Ciągnąc dalej swą wściekłą tyradę, sprawdziła zabezpieczenia statku. Cztery bezcenne pojemniki z czarnym kryształem leżały pewnie umocowane naprzeciw drwiących z niej pustych pudeł. Zmieniła kombinezon i widząc pokrywającą przeguby i kostki warstwę brudu uświadomiła sobie, że nie kąpała się od przybycia w Pasma. Przed powrotem do kompleksu Cechu chciała doprowadzić się do stanu używalności. Krótki prysznic podziałał odświeżająco, podobnie jak lekki posiłek. Jedząc planowała różne możliwe trasy powrotne. Właśnie ukończyła obliczenia najbardziej skomplikowanej z możliwych, gdy odezwał się pierwszy sygnał.

Najwyższy czas! Doszła do tego wniosku ponad godzinę temu!

Już w powietrzu przeskoczyła nad granią i doliną, kierując się na pomoc, w stronę sektora 11. Leciała tak pół godziny, na dwadzieścia minut skręciła na zachód i właśnie wchodziła na południowy szlak, gdy ujrzała znajomo wyglądający wąwóz. Pomarańczowa plama w dole przypomniła jej Moksoona i jego przekłete różowe kryształy. Sygnały ostrzegawcze rozbrzmiewały już bez przerwy. Ponownie zatoczyły koło i tym razem dostrzegła samego Moksoona, nachylonego nad złożem. Obok leżały dwa pojemniki. Powinien już biec w stronę sań, nie zaś beztrząsowo ciąć kryształ, jakby miał przed sobą cały pogodny dzień, a nie nadciągający huragan.

Posadziła pojazd najciszej, jak umiała, lecz zgrzyt kamieni pod płozami zaalarmowała Moksoona. Śpiewak rzucił się w jej stronę, groźnie unosząc piłę. Killashandra włączyła nagranie, lecz Moksoon tak głośno wrzeszczał o artykule 49, że nie mógł go dosłyszeć.

Tymczasem zerwał się wiatr, niemal zwalając starego z nóg, choć Killashandra wątpiła, by poddźwiękowe ostrze w ogóle mogło wyrządzić jej saniom jakąkolwiek szkodę. Prędzej uszkodziłby sobie piłę.

– Huragan, ty ciemna różowa maso! – ryknęła przez otwarte okno. – Gigawicher!

Mimo skowytu wiatru słyszała wycie syren alarmowych w drugich saniach.

– Nadciąga gigawicher! Musisz uciekać!

– Uciekać? – Z twarzy Moksoona zniknął gniew, zastąpiony paniką. Sam również słyszał już sygnały. – Nie mogę uciekać! – wiatr porwał jego słowa, lecz Killashandra odczytywała je z ruchów warg. – Dotarłem do czystej żyły. Ja... – szczególnie silny podmuch niemal go wyrzucił i Moksoon z najwyższym trudem utrzymał równowagę. – Muszę wyciąć jeszcze jeden. Jeszcze tylko jeden! – Pobiegł z powrotem na zbocze. Nie wierząc własnym oczom, Killashandra ujrzała, jak Moksoon wznosi piłę i nastroja ją pośród wycia huraganu.

Przeklinając cicho, porwała latarkę. W obliczu przypuszczalnej twardości głowy śpiewaka nie była to zbyt dobra broń, ale użyta z odpowiednią siłą i we właściwym punkcie powinna wystarczyć.

Natychmiast po wyjściu z sań poczuła próbkę tego, jak musi wyglądać burza w kryształowych Pasmach. Przez jej głowę przelewały się fale dźwięku, serie dysonansów i dziwnych harmonii. Zakryła uszy dłońmi, lecz drgania nadal docierały przez podłoże, przekazywane przez skałę pod stopami. Przerażliwe jęki wichury zagłuszyły jej ciche kroki. Moksoon był zbyt zaabsorbowany ośmiościanem, który właśnie kończył, by dostrzec cokolwiek innego. W momencie gdy zamierzyła się do ciosu, odłożył piłę i pochwycił kątem oka opadającą rękę Killashandry. Błyskawicznie podskoczył w bok, Killashandra chwyciła piłę i pobięła w stronę jego sań, bliższych niż własne. Będzie ją gonił, co do tego była stuprocentowo pewna. Wskoczyła do kabiny i oparła się o ścianę. Uchwyty, normalnie mocujące narzędzia do ściany, wpijały się jej w plecy, a ryk syren ogłuszał. Moksoon był szybszy, niż sądziła. Nagle silna ręka złapała jej lewą kostkę i pociągnęła w bok, druga zaś zamierzyła się kamieniem, celując w rękę kolanową. Gdyby nie to, że nadal trzymała jego piłę, zostałaby okaleczona na całe życie. Uderzyła na oślep, odbijając kamień i miazdząc palce śpiewaka. Wsparła się na uwięzionej nodze i zadała drugi cios, prosto w szczękę starego mężczyzny. Przez chwilę Moksoon chwiał się na nogach, aż pomyślała, że znów będzie go musiała uderzyć, ale to tylko wiatr podtrzymywał jego ciało. Wreszcie padł na ziemię.

Killashandra automatycznie odwiesiła piłę. Wywołała odczyt pogody, co uciszyło trzy najgłośniejsze sygnały. Zerknąwszy na tył sań stwierdziła, że stary śpiewak nie zadał sobie nawet trudu, by zabezpieczyć swe pojemniki. Zrobiła to za niego, nie zważając na brud i resztki jedzenia, walające się w ładowni. Nagle przypomniała sobie, że obok złoża pozostało jeszcze kilka pudeł. Odpowiednie paragrafy, dotyczące akcji ratowniczych, umknęły co prawda jej pamięci, była jednak coś winna Moksoonowi w zamian za wskazówki i przewodnictwo w Pasmach.

Na szczęście w drodze z sań do złoża nie musiała wspinać się na żadne strome, kamieniste zbocze – inaczej nigdy nie zdołałaby dotrzeć do pojazdu, bowiem pojemniki były bardzo ciężkie. Moksoon nadal nie dawał najmniejszych znaków życia. Zaciągnęła go do kabiny i umieściła na koi. Nawet nie jęknął. Żył, co sprawdziła namacalnie, choć na widok jego brudnej szyi poczuła mdłości.

W tym momencie uprzytomniła sobie podstawowy problem. Dwa statki – i jeden sprawny pilot. Próbowwała ocucić Moksoona, ale potrząsanie i polewanie zimną wodą nie pomagało, a nie mogła znaleźć apteczki, zawierającej pobudzające spraye.

Natężenie sygnałów alarmowych zwiększyło się i Killashandra pojęła, iż ma coraz mniej czasu. Nie zdołałaby przenieść całego ładunku Moksoona do własnych sań. Sama miała cztery pojemniki, cenniejsze niż wszystko, co posiadał stary śpiewak. Cech musi mieć jakieś przepisy dotyczące udzielania pomocy. W końcu za odwiezienie Carrika otrzymała dwa gwaranty kredytowe, więc zdecydowała, że to wiatr musiał przytępić jej pamięć. Wskoczyła na dwór, pobiegła do swojego pojazdu, skąd porwała piłę i dwa pojemniki. Ostrzeżenia rozbrzmiewały coraz głośniejsze, wspinając się ku granicy wytrzymałości ludzkiego ucha, nie mogła jednak w żaden sposób ich uciszyć, póki nie wystartuje.

Zawróciła. Wichura niebezpiecznie kołysała jej saniami. Czy można w jakiś sposób zabezpieczyć pojazd przed zniszczeniem? Nie, zdecydowała, nie wolno tracić czasu.

Chwyciła pozostałe dwa pudła, z radością witając dodatkowy ciężar, pozwalający lepiej zachować równowagę. Gdy wreszcie zamknęła za sobą drzwi kabiny Moksoona, dyszała ciężko. Właściciel sań nadal leżał bezwładnie na koi. Umocowała swe pojemniki i piłę pośród nie wykorzystanych pudeł. Następnie mocno przypięła mężczyznę pasami do leżanki i zasiadła za konsolą.

Wszystkie sanie miały identyczne tablice kontrolne, choć u Moksoona była ona już mocno używana.

Działka była bardzo niebezpiecznie położona – ograniczające ją wysokie skały znacznie utrudniały start przy ciężkiej pogodzie. Killashandra z trudem utrzymywała stałą prędkość poziomą i pułap wznoszenia. Gdy wreszcie znalazła się ponad skałami, pozwoliła saniom po prostu poszybować z wiatrem. Jednocześnie z całej siły naparła na stery, skręcając ku zachodowi.

Wzbudzone przez huragan dysonanse były dużo gorsze w powietrzu niż na powierzchni. Pośpiesznie złapała ochronny hełm Moksoona. Choć sztywny, zakurzony i nieco przymały, częściowo wytłumił hałas. I dobrze, bowiem sanie zachowywały się niczym wodny stwór, który właśnie połknął haczyk i teraz z całych sił miota się, aby odzyskać wolność. Pojazd podskakiwał i opadał, kołysał się na boki i Killashandra bardzo szybko doceniła sens wszystkich ćwiczeń na symulatorze.

Skrępowanie Moksoona okazało się dobrym pomysłem, bowiem śpiewak odzyskał świadomość, zanim jeszcze wydostali się z Mikeleyów. Natychmiast też zaczął bredzić z bólu. Jakby nie dość było nawałnicy dźwiękowej na zewnątrz!

Moksoon stracił znowu świadomość, uderzywszy głową o durastopową ścianę. Dzięki temu ostatnia godzina lotu do kompleksu upłynęła w miarę spokojnie i Killashandra mogła uspokoić skołataną nerwy.

Miała powody do dumy, kiedy sprowadziła sanie Moksoona ponad osłonami przeciwwietrznymi u wejścia do hangaru i posadziła je w pobliżu pomieszczeń obsługi. Gestem wezwała medyków, a kiedy przybiegli, wskazała na Moksoona. Nagle ktoś z personelu chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę biur kierownictwa lotów. Informacja, że czeka na nią Lanzecki, w zasadzie nie była potrzebna – to samo głosił migający, zielony napis na ekranie.

Pracownicy hangaru zdążyli już otworzyć ładownię i Killashandra zawróciła, aby zabrać swą bezcenną piłę i wskazać cztery pojemniki, zawierające czarny kryształ.

– Enthor! – krzyknęła do obsługi. – Zabierzcie je natychmiast do Enthora!

Pomimo uprzejmych uśmiechów i potakiwań nie była pewna, czy naprawdę zrozumieli, jakie to pilne. Ruszyła za nimi, ale w połowie drogi ktoś zrównał się z nią i z irytacją pociągnął za rękaw.

– Zamelduj się u Lanzeckiego! – polecił zarządca hangaru, odpychając ją od wejścia do magazynu. Wyraz jego oczu był zdecydowanie nieprzychylny. – Mogłaś przynajmniej uratować nowe sanie!

Szarpnięciem uwolniła rękę i, pozostawiając za sobą zdumionego podobną bezczelnością mężczyznę, pobiegła za swymi pojemnikami. W magazynie zobaczyła, jak pierwszy tragarz składa swój ładunek na półce. Sama chwyciła pudło i gromko wezwała resztę, aby podążyli za nią do sortowni.

– Killashandra? To ty? – spytał znajomy głos. Nie zwalniając zdeteminowanego kroku, odwróciła się i ujrzała Rimbola, maszerującego tuż za nią. W objęciach dzierżył jeden z jej pojemników.

Przez głowę Killashandry przebiegły dwie absurdalne myśli: Rimbol nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki majątek kryje się w tym pudle, i miał poważne trudności z rozpoznaniem jej osoby.

– Tak, to ja. O co chodzi?

– Nie oglądałaś się ostatnio w lustrze, co? – odparł Rimbol. Wydawał się rozbawiony i zdumiony jednocześnie. – Nie krzyw się. Wyglądasz okropnie, ty... ty... kryształowe stworzenie!

– Uważaj na ten pojemnik – powiedziała bardziej rozkazująco, niżby wypadało wobec przyjaciela, i powitalny uśmiech Rimbola zniknął. – Przepraszam, Rimbol. Miałam potwornie ciężki lot. Ten idiota Moksoon nie wierzył, że nadciąga burza, nawet gdy z trudem trzymał się na nogach, bo tak wiało.

– Przywiozłaś ze sobą innego śpiewaka? – w oczach Rimbola dostrzegła niedowierzanie. Nie dane mu jednak było powiedzieć nic więcej, bowiem Killashandra wypatrzyła właśnie Enthora i zawołała go.

– Tak? – sortowacz wpatrywał się w nią zaskoczonym wzrokiem. Kilka razy zamrugał niepewnie.

– Jestem Killashandra Ree – oznajmiła, starając się ukryć rozdrażnienie. Nie mogła się aż tak bardzo zmienić od czasu, gdy ostatni raz widziała Enthora. – Przywiozłam czarny kryształ!

– Czarny?

– Tak, tak, czarny. Masz!

– I jakież to szczęśliwe zrządzenie losu pozwoliło ci znaleźć to, co umyka tak wielu? – spytał nieubłagany głos.

Killashandra kładła właśnie pudło na stole Enthora, lecz ów chłodny, złowieszczy ton sprawił, iż zastygła jak sparaliżowana. Zaszło jej w gardle, gdy uświadomiła sobie w jednej sekundzie, że żadne względy nie usprawiedliwiały zlekceważenia wezwania Cechmistrza. Co gorsza, zmusiła go, by jej szukał.

– Cóż, osobiście wcale mnie to nie dziwi – powiedział Enthor, odbierając jej pojemnik.

Lanzecki podchodził coraz bliżej, cały czas patrząc jej w oczy. Killashandra, nagle niemal pozbawiona władzy w nogach, wsparła się o stół i zacisnęła zdrętwiałe palce na jego krawędzi. W jej umyśle z niesłychaną ostrością pojawiły się liczne przepisy i kary, dotyczące nieposłusznych członków Cechu, a wymierzane przez Cechmistrza, zupełnie wypierając mętne wspomnienie paragrafów, traktujących o ratownictwie. Usta Lanzeckiego były zaciśnięte, tworząc cienką, surową linię. Lekko przyśpieszony oddech świadczył o tym, że Cechmistrz pojawił się tak szybko dzięki sile własnych mięśni, a nie mocom piekielnym.

– Mogłabyś nieco poprawić ostre kąty – stwierdził Enthor, odpakowując triadę. – Ale kredyt i tak będzie spory. – Sortowacz mrugnął, po czym zmierzył Killashandrę pełnym uznania spojrzeniem. Dostrzegłszy jej paraliż, obejrzał się, zupełnie zaskoczony widokiem Cechmistrza, i znów zerknął na nią, tym razem świadom źródła napięcia dziewczyny.

– Dobrze się składa dla Killashandry Ree – powiedział Lanzecki z głęboką ironią – bowiem nie wróciła ona w swych nowych saniach.

– Z Moksoonem wszystko w porządku? – Spytań wszystko jedno o co, byle tylko odezwać się w obliczu furii Cechmistrza, pomyślała.

– Niedługo dojdzie do siebie i niewątpliwie zdobędzie jeszcze dużo różowego kwarcu!

Choć w jego głosie nie brzmiała już drwina, Killashandra doskonale zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Nadal nie potrafiła uwolnić się od jego spojrzenia.

– Nie mogłam go tak po prostu zostawić – wyjaśniła z oburzeniem, które skutecznie wyparło wcześniejszy strach. – Czemu nie? Na twoim miejscu on nie zawahałby się ani przez chwilę.

– Ale... ale on właśnie ciął. W jego saniach włączyły się wszystkie możliwe alarmy, a on nie słuchał. Próbował przepołowić mnie swoją piłą. Musiałam go ogłuszyć, zanim...

– Możesz zostać oskarżona o naruszenie praw górniczych, zgodnie z artykułem 49, paragraf 14 – ciągnął bezlitośnie Lanzecki.

– A co z paragrafami dotyczącymi pomocy i ratownictwa?

Powieki Lanzeckiego opadły lekko, ale to Enthor udzielił jej odpowiedzi. W jego głosie dosłyszala zdumienie.

– Nie ma czegoś takiego, moja droga. To Cech prowadzi akcje ratownicze, nigdy śpiewacy. Sądziłem, że nauczono cię dokładnie wszystkich przepisów. Ach, te kryształy... są naprawdę dobre, bardzo dobre. Może jedynie trochę za płaskie.

Enthor odpakował kwintet. Po raz pierwszy spojrzenie Lanzeckiego opuściło twarz Killashandry. Cechmistrz przesunął się lekko, tak by widzieć wskaźnik wagi. Uniósł brwi ze zdumienia, lecz jego usta nadal pozostały zacięte.

– Możesz wywinąć się z całej sprawy lepiej niż na to zasłużyłaś, Killashandro Ree – powiedział. W oczach nadal błyszczał mu gniew. – Oczywiście, jeśli nie zostawiłaś swojej piły.

– Mogłam ją zabrać ze sobą, podobnie jak to – odpaliła, bardziej niż wściekłością Lanzeckiego urażona pobrzmiewającą w jego głosie ironią.

– Miejmy zatem nadzieję, że zdołam wyperswadować

Moksoonowi wniesienie skargi o naruszenie praw. W końcu uratowałaś jego skórę, ten wrak, który nazywa statkiem, i kryształ. Wdzięczność, Killashandro Ree, zależy od pamięci, a ta funkcja umysłu na Ballybranie zanika bardzo szybko. Dzisiejszy dzień powinien stać się dla ciebie nauczka na całe życie.

Lanzecki odwrócił się gwałtownie i odmaszerował do najdalszego wyjścia, podkreślając w ten sposób fakt, że przybył w sprawach dyscyplinarnych.

ROZDZIAŁ X

Killashandra została u Enthora, gdy ten wyceniał zawartość jej czterech pojemników, ale jego słowa ledwie do niej docierały. Stale zerkła ku najdalszym drzwiom, którymi tak dramatycznie wyszedł Lanzecki. Świadoma też była ukradkowych spojrzeń, jakimi obrzucali ją inni sortowacze. W ich oczach dostrzegła dziwne uczucie, silniejsze niż nienawiść, bardziej beznamienne niż strach.

– No, za to możesz sobie kupić dwie pary sań. – Enthor przerwał jej zamyślenie.

– Co takiego?

– Za te czarne kryształy dostałaś dwadzieścia trzy tysiące kredytów.

– Ile? – Killashandra wpatrywała się z niedowierzaniem w mrugające zielone cyferki.

– Ale sanie kosztują tylko osiem tysięcy.

– Jest jeszcze podatek cechowy, moja droga. Trzydzieści procent to całkiem sporo. Poza tym musisz zapłacić za dwa pojazdy – stary i nowy, który wkrótce otrzymasz. Ale i tak szesnaście tysięcy sto to ładna sumka.

– Tak, całkiem zacna. – Killashandra starała się okazać wdzięczność. Powinna być wdzięczna. Enthor poklepał ją po ramieniu.

– Najlepiej będzie, jak weźmiesz teraz długą, gorącą kąpiel. To zawsze pomaga. I zjedz coś – zaczął pakować jej piękne czarne bryły.

Odwróciła się i nagle poczuła tęsknotę za swoimi kryształami, które bezpowrotnie jej odbierano. Zarzucona na ramię piła po raz pierwszy zaciążyła Killashandrze. Rano odda ją do przeglądu. Oszacowała, że pozostało jej akurat tyle sił, by dowlec się do kwatery i wypełznąć do wanny. Podeszła do najbliższych drzwi. Kątem oka dostrzegła, iż do sortowni wciąż napływają pojemniki. Skowyt wichury na tym poziomie był nadal bardzo głośny, nawet wewnątrz budynku. Powinna dziękować losowi, że dotarła na czas! Wsiadła do windy i kiedy ta ruszyła powoli w dół, Killashandra musiała mocno złapać poręcz, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Zataczając się ruszyła w stronę swego pokoju, czując na sobie spojrzenia ludzi, zebranych w sali ogólnej. Ciężar piły ciągnął ją w prawo, raz nawet wpadła na czyjeś drzwi.

Unosząc dłoń ku płytce uświadomiła sobie, że nadal ma na przegubie bransoletę identyfikacyjną. Nie będzie jej już potrzebowała, w tej chwili była jednak zbyt zmęczona, by uwolnić rękę. Przechodząc obok fotela pozwoliła, by piła osunęła się na miękkie poduszki.

Wreszcie dotarła do łazienki i spojrzała z bezbrzeżnym zdumieniem na napełniający się zbiornik. Czyżby otwarcie drzwi pokoju uruchomiło go automatycznie? Nie, kiedy weszła do łazienki, był już prawie pełen. Ktoś musiał go zaprogramować. Enthor? Rimbol? Jej umysł odmówił współpracy. Zdana z siebie kombinezon, podkoszulek i wysokie buty, te ostatnie od razu ze spodniami. Ostatkiem sił wspięła się na trzy stopnie, prowadzące do zbiornika i z wdzięcznością – znów to słowo! – osunęła się w lepki, opalizujący płyn, który sięgał jej aż do szyi. Zmęczenie i ból wywołany kontaktem z kryształem szybko opuściły jej ciało i nerwy. Przez długi czas trwała tak w zawieszeniu, zatopiona w półspiaczce, podczas gdy mięśnie odprężyły się całkowicie. Nieco później pokój zaanonsował gościa i Killashandra ocknęła się na tle, by odmówić przyjęcia go. Nie chciała spotykać się z Rimbolem. Lecz niespodziewany dźwięk i konieczność podjęcia decyzji starczyły, by wyrwać ją z odrętwienia. Opalizująca kąpiel skutecznie odświeżyła jej organizm i Killashandra poczuła przeraźliwy głód. Wynurzyła się ze zbiornika, ociekając kleistą ciecżą, i właśnie sięgała po płaszcz kąpielowy, gdy podała go jej czyjaś ręka. Przed nią stał Lanzecki.

– Drugi raz nie pozwolę się odprawić! – powiedział. – Choć przyznaję, że nie mogłaś wiedzieć, kto dzwoni do drzwi.

Zdumiona jego obecnością, zachwiała się. Mężczyzna natychmiast złapał ją za rękę, pomagając utrzymać równowagę.

– Umiesz napełniać wanny i otwierać drzwi?

– Te pierwsze można zaprogramować, a drugie były otwarte.

– Czy teraz są już zamknięte?

– Owszem – odparł lekko, lecz jego usta zdradzały rozbawienie. – Ale to można zmienić.

Przez pikosekundę zapragnęła sprawdzić, czy nie blefował. Potem jednak wspomniała, jak przy stole Enthora powiedział, że miała więcej szczęścia, niż na to zasłużyła. Jego słowa sugerowały, że i tak wystarczyłoby jej kredytu, by spłacić i sanie, i swoje wcześniejsze zobowiązania wobec Cechu. Lanzecki pamiętał o gwarantach, jakich jej udzielono – dzięki nim dysponowała odpowiednią sumą. Najważniejsze jednak, że Cechmistrz przypominał sobie o tym w momencie, gdy czuł słuszną złość z powodu lekceważenia, jakie mu okazała.

– Jestem zbyt wyczerpana, by cokolwiek zmieniać – owinęła się płaszczem i przywołując na twarz zmęczony uśmiech, wyciągnęła ku niemu zwróconą ku górze dłoń.

Przesunął spojrzeniem po jej ciele, a jego wargi zadrżały w lekkim uśmiechu. Postąpił krok naprzód i niespodzianie pochwycił Killashandrę w tali, po czym uniósł ją w górę.

Oczekiwała, że po prostu postawi ją obok siebie, on tymczasem zaniósł ją aż do pokoju. Tam poczuła smakowity zapach przypraw. Na widok suto zastawionego stołu aż wykrzyknęła z radości.

– Spodziewałem się, że możesz być głodna.

Killashandra roześmiała się, gdy ostrożnie posadził ją w fotelu. Dramatycznym, wytrenowanym gestem operowej heroiny wskazała mu drugie miejsce, by także usiadł.

Ani tego wieczoru, ani nigdy później Lanzecki nie spytał, jak znalazła czarne kryształy Keborgena, choć zdarzyło mu się napomykać przy różnych okazjach o tej działce. Nie dopytywał się też o jakiegokolwiek szczegóły, dotyczące jej pierwszej wyprawy w Mikeleye. Zresztą Killashandra nie poruszała tego tematu – oprócz jednego jedyne go razu.

Kiedy już podrażnił się z nią trochę, obdarzył ją wreszcie pieszczotą, za którą tak bardzo tęskniła. Wrażenie było niezwykle.

– Dotyk kryształu jest podobny – stwierdziła, gdy po długiej chwili doszła do siebie.

– Wiem – mruknął dziwnie szorstkim głosem i, jakby chcąc urwać rozmowę, zaczął ją całować w sposób, który wykluczał wszelkie słowa.

Obudziła się samotnie, czego resztą oczekiwała. Spała dużo dłużej niż zamierzała, był już bowiem późny wieczór. Nadal czuła w kościach zmęczenie. Ziewnęła szeroko, przeciągnęła się i zastanowiła, czy warto wziąć jeszcze jedną odświeżającą kąpiel. Poczuła jednak burczenie w żołądku i zdecydowała, że szybki posiłek stanowi sprawę pierwszej wagi. Lecz gdy tylko zamówiła gorący odżywczy napój, na jej ekranie pojawiła się wiadomość. Było to wezwanie od Cechmistrza, proszące, aby skontaktowała się z nim, gdy uzna to za stosowane.

Odpowiedziała natychmiast, nie zważając na stosowność, wygodę i możliwość.

Połączenie nastąpiło błyskawicznie. Ekran ukazał Lanzeckiego otoczonego stertami wydruków. Wyglądał na zmęczonego.

– Wypoczęłaś? – spytał. Killashandra pośpiesznie uruchomiła obwód wizyjny. – Owszem, wyglądasz już dużo lepiej.

– Lepiej?

Na jego ustach zagościł lekki uśmiech.

– Tak, pozbyłaś się napięcia, wywołanego tak dramatycznym powrotem. – Nagle wyraz jego twarzy uległ zmianie. Lanzecki znów stał się Mistrzem Cechu. – Przyjdź, proszę, do mojego gabinetu. Musimy omówić pewne zadanie, wymagające wyprawy poza planetę.

Przyjdź, pomyślała Killashandra, jak zawsze czuła na niuanse mowy. To polecenie, nie prośba.

– Zaraz będę, tylko się ubiorę. – Cechmistrz skinął głową i przerwał połączenie.

Sącząc resztkę napoju, Killashandra przyjrzała się sobie w łazienkowych lustrach. Nigdy nie była próżna. Miała twarz o zdecydowanych rysach, szerokie kości policzkowe, wysokie czoło i szerokie, mocno wygięte brwi, których nigdy nie starała się depilować, bowiem stanowiły mocny akcent, znakomicie wyglądający na scenie. Jej szczęka była dość silnie zarysowana, choć mięśnie krtani, wykształcone przez lata operowego szkolenia, zaczynały już zanikać. Poklepała podbródek. Ani śladu obwisłej skóry. Cokolwiek tak bardzo wyniszczyło jej twarz, równie surowo potraktowało ciało. Zauważyła, że obojczyki sterczą jej, jak nigdy przedtem. Jeśli, zgodnie z twierdzeniem Lanzeckiego, jej wygląd znaczenie się polepszył, to co musiało być wczoraj? W tej chwili bez żadnej charakterystyki mogłaby zagrać Kosmiczną Wiedźmę albo Upiorną Wdowę.

Znalazła w szafie luźną, powiewną bluzkę, związaną pod szyją i na nadgarstkach, oraz długą, szeroką spódnicę. Gdy wreszcie wstała, ze zdumieniem zerknęła na swoje odbicie. Coś się zmieniło. Nie miała teraz czasu, by się nad tym zastanawiać. Cechmistrz czekał. Była już niemal przy windach, gdy z sali ogólnej wynurzyła się grupka ludzi.

– Killashandra?

– Rimbol? – odparła, doskonale imitując brzmiące w jego głosie zdumienie, po czym roześmiała się. – Przynajmniej ty powinienes wiedzieć, jak wyglądam!

Rimbol obdarzył ją dziwnym uśmiechem, który po chwili ustąpił miejsca zwykłemu, ciepłemu wyrazowi twarzy. Obok niego stali Jezerey, Borton i Mistra.

– Cóż, dziś jesteś bardziej podobna do siebie niż wczoraj. – Z zakłopotaniem podrapał się w głowę i dodał ze smutkiem: – Kiedy Concera mówiła, że śpiewanie kryształu zmienia człowieka, nie wierzyłem. Ale teraz...

– Nie uważam, abym się zmieniła – oznajmiła sztywno Killashandra, zirytowana tym, że Rimbol, a sądząc po ich spojrzeniach, także inni, potrafili dostrzec coś, co jej umknęło.

Rimbol roześmiał się.

– Przeglądałaś się w lustrze – stwierdził, wskazując jej strój i uczesanie – ale nic nie widziałaś.

– Rzeczywiście, nic nie zauważyłam. Na dźwięk jej rozdrażnionego głosu Rimbol skrzywił się przepaszając.

– Śpiewacy słyną ze swego temperamentu – wtrąciła Jezerey, mierząc ją nieprzyjaznym wzrokiem.

– Och, daj spokój, Jez – uciszył ją Rimbol. – Killa naprawdę dopiero co wróciła z Pasm. Czy to faktycznie aż tak okropne, jak nam opowiadają? – spytał cicho.

– Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie Moksoon.

– I Cechmistrz – dodał ze współczuciem Rimbol.

– A więc słyszałeś? – Killashandra postanowiła rozegrać to na swą korzyść. – Oczywiście, miał całkowitą rację. I mogę podzielić się z wami ciężko zdobytym doświadczeniem: w Pasmach ratujecie własną skórę i sanie. Czy zastanę cię tu później, Rimbol? Teraz muszę iść zobaczyć się z Lanzeckim – ostatnie słowa wypowiedziała z dobrze udanym przerażeniem, szukając w ich twarzach sympatii i zrozumienia. – Jeśli będziecie jeszcze w salonie, dołączę potem do was.

– Powodzenia! – powiedział Rimbol. Czuła, że mówił szczerze. Reszta pomachała jej przyjaźnie, gdy Killashandra wkraczała do windy.

Podczas krótkiej jazdy nękało ją wiele myśli, żadna z nich jednak nie dotyczyła Lanzeckiego. Jak cięcie kryształu mogło ją aż tak zmienić, i to w ciągu zaledwie kilku dni? Jezerey nigdy nie darzyła jej specjalnym uczuciem, ale przynajmniej nie okazywała wyraźnej wrogości. Killashandra była też zła na samą siebie za lekceważące zadufanie, jakie okazała Rimbolowi. „Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie Moksoon”. Lecz jak miała opisać im to niezwykle doświadczenie, które zahartowało ją i ostatecznie potwierdziło jej wartość jako śpiewaczki kryształu? Może sam na sam z Rimbolem potrafiłaby wyjaśnić, ostrzec go, że kiedy mija już dziwne, bezbolesne cierpienie, towarzyszące pierwszemu cięciu, pojawia się euforia, niezwykła, wszechogarniająca ekstaza, którą jednak nie wolno napawać się zbyt długo, bo inaczej na zawsze opanuje umysł, zmysły i ciało.

Stojąc pod drzwiami gabinetu Cechmistrza westchnęła. W ciągu sekundy, która minęła pomiędzy jej zapowiedzią i szybką reakcją drzwi, przypomniała sobie, jak Concera nieraz usilnie starała się wytłumaczyć pewne aspekty śpiewania kryształu. Wspomniała też ów niespodziewanie szorstki ton, jakim Lanzecki przyznał się do tego, iż zna dotyk kryształu.

– Witaj, Killashandro Ree – głos Cechmistrza dobiegł z kąta dużego pomieszczenia. Zobaczyła, że siedzi przy biurku, pochylając się nad oświetlonym silną lampą stosem wydruków. Dopiero gdy podeszła do niego, uniósł wzrok. – Czy jadłaś cokolwiek? – spytał, uważnie przyglądając się jej twarzy. Killashandrze wydało się, że w jego pytaniu jest coś więcej niż zwykła uprzejmość.

– Zjadłam wysokobiałkowe płatki o dużej zawartości glukozy... – zaczęła i urwała, bowiem w momencie, gdy wspomniała o jedzeniu, znów poczuła głód.

– Hmmm. Jestem pewien, że starczyło ci czasu zaledwie na jeden talerz. Spłaś szesnaście godzin, więc i tak straciłaś już kilka posiłków.

– Jadałam w Pasmach, naprawdę! – zaprotestowała, gdy ujął jej dłoń i poprowadził w stronę selektora.

– Zachowałeś dość rozsądku, by nie zapomnieć o odżywianiu, ale nie możesz wiedzieć, jak istotne jest w tej chwili uzupełnienie zapasów.

– Nie dam rady zjeść tego wszystkiego – ilość i różnorodność zamawianych przez niego potraw oszołomiła ją.

– Sam też mam niezły apetyt – odparł z szerokim uśmiechem.

– Co się ze mną dzieje? Czemu wciąż muszę się obżerać? – spytała, pomagając mu jednocześnie przenieść pierwszą partię jedzenia na stół. Z aprobatą wdychała korzenne, egzotyczne zapachy.

– Nigdzie nie zobaczysz pulchnego śpiewaka – zapewnił ją. – W twoim szczególnym przypadku symbiont dopiero co usadowił się w komórkach. Może i Przeskok Mikeleya ma lżejszy przebieg, ale zarodnik nadal potrzebuje czasu, aby się rozmnożyć, odróżnicować i zagnieździć w systemie. Proszę, zacznij od zupy. Pogoda i inne względy sprawiły, że zdecydowałem się wysłać cię w Pasma przedwcześnie, jeśli chodzi o proces adaptacji – zerknął na nią drwiąco. – Pewnego dnia możesz być wdzięczna losowi, że spędziłaś na działce tylko dwa dni.

– Trzy. Nie zostałam z tym świrem Moksoonem na drugi dzień. To kompletny paranoik!

– Ale żyje – odparł krótko Lanzecki. Z jego spojrzenia wywnioskowała, że miało to być nie tylko stwierdzenie, ale i nagana. – Trzy dni! Przy normalnym trybie szkolenia znalazłabyś się w Pasmach wraz z innymi członkami twojej klasy.

– Teraz już nie uda im się przed burzami Przejęcia. – Na samą myśl, że i ona musiałaby czekać tak długo, Killashandrę ogarnęło przerażenie.

– Właśnie! Ale twoje szkolenie, zapał i spryt pozwoliły ci ich wyprzedzić.

– A ty potrzebowałaś czarnego kryształu.

– Tak jak i ty, moja droga.

Selektor zabrzęczał nagle, przypominając, by odebrali z podajnika dalsze dania. Lanzecki zawiesił na jakiś czas realizację zaprogramowanego menu.

– Nawet we dwoje nie zdołamy tego zjeść – powtórzyła Killashandra, kiedy zastawili talerzami dokładnie cały stół. Trzy półmiski czekały na swą kolej w podajniku.

– Jedz i słuchaj. Po okresie intensywnej pracy symbiont jest mocno osłabiony. Widzę to po twojej twarzy. Nic nie mów. Jedz! Musiałem mieć pewność, że zjadłaś coś wczoraj wieczorem, kiedy już kąpiel złagodziła twoje zmęczenie.

Masz wydajny metabolizm. Sądziłem, że obudzisz się z głodu jakieś cztery godziny temu.

– Właśnie siadałam do śniadania, kiedy mnie wezwałeś.

Lanzecki uśmiechnął się szeroko, wsuwając do ust kawałek obsypanego ziarenkami parującego ciasta. Oblizał palce, przełknął i wyjaśnił:

– Moja wiadomość została zaprogramowana tak, by pojawić się, kiedy uruchomisz selektor – podał jej kęs ciasta ze swojego talerza. – Nic nie mów. Jedz.

Cokolwiek to było, smakowało znakomicie. Killashandra nabiła na widelec następny kawałek.

– Teraz pojawiło się kilka nowych, nieoczekiwanych elementów. Po pierwsze – nałożył sobie pełną łyżkę jaskrawozielonych kulek – przywiozłaś pięć czarnych kryształów średniej wielkości, na które otrzymaliśmy jednocześnie pilne zamówienie – machnął pustą łyżką w stronę papierów na biurku. – Po drugie, nie masz sań, a obsługa techniczna nie zdoła przygotować ci nowych przed Przejściem, którego zapowiedzią była zresztą niespodziewana wichura w okolicach Zatoki. Krótka, silna i ogromnie niszczycielska. Mimo że Połączenie następuje ponad morzami na północny wschód stąd, w tym roku Przejście będzie wyjątkowo paskudne, bowiem łączy się z wiosennym przesileniem. Pogoda na Ballybranie zazwyczaj się powtarza, a tegoroczny wzór przypomina ten z roku 63... to znaczy z 2863 RG. Jedz, nie gap się. Z pewnością zapoznałaś się już z danymi i sprawdziłaś, od ilu lat jestem członkiem Cechu. Fuerte nie zdołała chyba pozbawić swych mieszkańców wrodzonej ludzkiej ciekawości, w przeciwnym razie nie znalazłabyś się tutaj.

Killashandra przełknęła ślinę, gdy dotarło do niej znaczenie jego słów. To dlatego określił stulecie!

– Nie wiem jednak, od jak dawna jesteś Cechmistrzem. Lanzecki zachichotał na tę szybką odpowiedź i podsunął jej miskę duszonych pomarańczowych i zielonych łydżek mlekowca.

– Doskonałe, jeśli chodzi o mikroelementy. Tegoroczne burze Przejścia będą potężne nawet według ballybrańskich standardów, które, pozwolę sobie dodać, są starsze nawet ode mnie. Tylko się nie zakrztuś! – wstał i mocno klepnął ją w plecy. – Odczuje je nawet poziom szpitalny. A ty, tak niedługo wystawiona na działanie kryształu, jesteś szczególnie podatna na urazy. Jako Cechmistrz mogę polecić ci, abyś opuściła Ballybran – wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Rysy stwardniały, oczy spoglądały chłodno i bezosobowo. Ujrawszy jej oburzoną minę, Lanzecki złagodniał. – Wolałbym jednak pozyskać twoją współpracę. Twój czarny

kwintet jest w tej chwili przysposabiany i wkrótce powinien być gotów do transportu. Chciałbym, abyś to ty odwiozła go do układu Trundomoux i tam zainstalowała.

– To zadanie zapewni mi kredyt na dalsze rozrzutne szaleństwa? Lanzecki roześmiał się aprobująco, słysząc bijące z jej słów rozbawienie.

– Przemyśl to, a tymczasem poczęstuj się smażoną fasolą.

– A zatem to jedynie propozycja? – spytała między kolejnymi kęsami znakomitej potrawy. – Owszem... jak na razie. Wkrótce wiatr zacznie szaleć na całej planecie i zmusi śpiewaków do powrotu. Inni z radością podejmą się tego zadania, szczególnie jeśli ich urobek nie wystarczy na opuszczenie planety.

– Słyszałam, że Przejście to wspaniałe widowisko.

– Zgadza się. Pierwotne moce Natury w ich najbardziej niszczycielskim wcieleniu – wzruszył ramionami, jakby podkreślając, że on sam jest całkowicie odporny na uroki tego spektaklu. A jednak...

– A ty? Wyjeżdżasz na czas Przejścia?

Spojrzał na nią bystro. W ciemnych oczach odbiło się światło lampy.

– Podczas Przejścia Mistrz Cechu musi być zawsze łatwo osiągalny – postawił przed nią talerz cytrynowożółtych kostek. – To dość ostry ser, ale znakomicie pasuje do mięsnej fasoli.

– Hmm. Chyba rzeczywiście.

– Nie krępuj się. – Lanzecki wstał i wyjął z selektora kolejne dania, które dotąd czekały w odpowiedniej temperaturze. – Napijesz się czegoś?

– Z chęcią. Yarrańskiego piwa – nagle zatęskniła gwałtownie za smakiem chmielu.

– Rimbol to Scartyńczyk, prawda? – spytał, wracając z dzbankiem i dwoma kubkami. Napęłnił je piwem, uważając, by nie przelać piany. – Powinien ciąc ciemniejsze odcienie. Może nawet czarny, jeśli uda mu się znaleźć żyłę.

– Skąd wiesz?

– To kwestia rezonansu, zależy też od stopnia adaptacji. Jezerey to jaśniejszy błękit, różowy, bladozielony. Borton także zajmie się ciemnymi. Mam nadzieję, że utworzą parę.

– Wiesz więc, kto się czym zajmuje? Ze ci po Przeskoku Mikeleya tną czarny kryształ?

– Niczego nie sugeruję. To po prostu domysł, nie pozbawiony wszakże podstaw. Ostatecznie Cech działa już od ponad czterystu lat galaktycznych i przez cały czas zbiera i analizuje dane o swych członkach. Byłoby skandalizującym zaniedbaniem z naszej strony,

gdybyśmy nie starali się poznać wszelkich aspektów udanej adaptacji i prawdopodobieństwa jej występowania.

– Zupełnie jakby słyszała Borellę i jej stek kłamstw. Wargi Lanzeckiego zadrżały lekko. W oczach pojawiły się błyski.

– Zdaje się, że istotnie kogoś cytuję, ale zapomniałem kogo. Co powiesz na owoce pieprzowca? Dobrze smakują piwo. Zamówilem też lody, finał wieńczy dzieło. To bardzo stary, cywilizowany deser, jednak zupełnie nie przystaje do piwa. – Podsunął jej półmisek. Ostra woń długich, mechatych „paluszków” skusiła Killashandrę. – Jak już wspominałem, kiedy kandydaci przejdą badania na Shankillu, ustalamy tyle danych, ile tylko możliwe. – Zaczął składać brudne talerze i półmiski w jeden nieporządnny stos i Killashandra zorientowała się nagle, że gdy Lanzecki tylko próbował każdej z potraw, ona zjadła dużo więcej. A jednak nie czuła się wcale przesadnie pełna. – Powinni wam byli pokazać wykresy prawdopodobieństwa – dodał i wstał, marszcząc brwi. Bezceremonialnie wrzucił brudne naczynia do zsypu, po czym przystanął przy selektorze.

– Owszem, powinni – przytaknęła, skubiąc kolejny owoc pieprzowca. Ciekawe, czemu jego twarz nie zdradzała nawet śladu starzenia. Nie śpiewał już przecież kryształu, a to właśnie uważano powszechnie za źródło sił witalnych. – Nie powiedziano nam też nic o przewidywanych indywidualnych zdolnościach.

– A niby po co? To stworzyłoby jedynie mnóstwo niepotrzebnych problemów. – Postawił na stole dwie miseczki z kolorowymi sorbetami, dwa kieliszki i oszronioną butelkę. – Nie przełknę już ani kęsa.

– Nie? Spróbuj choć odrobinę tego zielonego. Znakomicie działa na żołądek i odświeża podniebienie. – Usadowił się w fotelu i nalał jej wina. – Adaptacja nadal stanowi próg krytyczny. Antona uważa, że liczy się tu nastawienie psychiczne, nie tylko cechy fizyczne. Ta dziewczyna, Carigana, nie powinna była umrzeć – twarz Lanzeckiego wyrażała bezosobowy żal. – Zazwyczaj udaje nam się określić gwałtowność ataku i jesteśmy przygotowani na nieprzewidziane wypadki.

Killashandra pomyślała o sprawnie zorganizowanym zniknięciu Rimbola i Mistry podczas jednej nocy, o medtechnikach, którzy zabrali Jezerey, nim ta zdążyła upaść na plaston. Wspomniała również swoją wściekłość na sformułowanie „stan zadowolający”.

– Jak ci smakuje wino?

– Czy to musi być takie... mechaniczne?

– Wino?

– Nie. Cały ten proces.

– Zadbaliśmy o wszystko, moja droga Killashandro – jego ton przypomniawszy jej, iż rozmawia z Mistrzem Cechu, a procedura, którą chciała oprotować, była prawdopodobnie zatwierdzona przez niego.

– Wino jest znakomite.

– Przypuszczałem, że je docenisz – jego odpowiedź była równie cierpka co trunek. – Przy rekrutacji niewiele pozostawiamy zrządzeniu losu. Może Tukulom to nudziarz, ale jest szczególnie wyczulony na chorobę, co sprawia, że znakomicie sprawdza się jako nauczyciel.

– A więc wiadomo było, że ja...

– To nie zostało przewidziane – powiedział, robiąc króciutkie przerwy między wyrazami, jakby podkreślał ich wagę. Uniósł kieliszek w jej stronę w niemym toaście.

– I? – To nie kokieteria sprawiła, że Killashandra drażyła temat, lecz głębokie przeświadczenie, iż Lanzecki doda coś jeszcze do swego nieoczekiwanego stwierdzenia.

– Z pewnością zaś nie oczekiwaliśmy Mikeleya połączonego z wrażliwością na czarny kryształ. Być może – błyskawiczna zmiana tematu miała ukryć nie wypowiedziane myśli, Killashandra była tego pewna – powinniśmy jak najszybciej zapewnić rekrutom bezpośredni kontakt z kryształem. Ale – tu wzruszył ramionami – nie potrafimy zaprogramować burz, które pojawiałyby się w odpowiednim czasie, wymagając uczestnictwa wszystkich członków w rozładunku.

– Rimbol powiedział, że nie umiecie zaprogramować wichury.

– Bystry chłopak. Jak tam lody?

– Pyszne – ze zdumieniem stwierdziła, że miseczki, kieliszki i butelka są puste.

– Świetnie. Czyli możemy przejść do kolejnych dań. – Kolejnych? – ale dobiegający z podajnika ciężki, korzenny zapach sprawił, że nagle poczuła się znowu głodna. – Zaraz pękne.

– To mało prawdopodobne. – Lanzecki zbył jej skargi machnięciem dłoni. – Gdybyś wyruszyła wraz ze swoją klasą, dokładnie to podano by wam po powrocie. A yarrańskie piwo, które tak polubiłaś, znakomicie nadaje się do ostroryby. – Zamówił następny dzbanek. – Piwo od tysiącleci wywiera również pewien dodatkowy efekt na układ pokarmowy.

Jego nieco pompatyczny wywód rozśmieszył Killashandrę. Zjadła zatem ostrorybę, wypila piwo, prawidłowo zareagowała na jego działanie i wreszcie w pewnym momencie uświadomiła sobie, że Lanzecki pochlebstwami, zagadywaniem i groźbą zmusił ją do ciągłego jedzenia przez prawie trzy godziny. Ogarnęło ją poczucie błogiej sytości tak silne, że gdy Lanzecki zniemacka powtórzył propozycję, by podjęła się instalacji czarnego kryształu, obiecała przemyśleć jego ofertę.

– To dlatego napchałeś mnie i upiłeś? – spytała, z trudem siadając prosto i udając oburzenie.

– Niezupełnie. Dałem ci dość jedzenia, by wzmocnić symbionta, a alkohol miał cię odprężyć. – Z łagodnym uśmiechem poprawił lekko kulejącą gramatykę jej wypowiedzi. – Nie chcę, abyś musiała znosić gigawichry Przejścia. Nawet kiedy znajdziesz się dziesięć poziomów pod ziemią, otoczona plastonowymi ścianami metrowej grubości, przed rezonansami nie da się... – urwał i odwróciwszy głowę, szukał w pamięci najodpowiedniejszego słowa – uciec. – Znów spojrzał na nią, w jego ciemnych oczach czaił się głęboko skrywany ból. Nie pasująca do niego trudność w wysławianiu jeszcze mocniej podkreślała wagę słów.

– Czy ty kiedykolwiek... uciekasz?

Przez długą chwilę trwali nieruchomo, by nie naruszyć stworzonej nagle nici porozumienia. Wreszcie Lanzecki nachylił się nad stołem i pocałunkiem zbył jej pytanie.

Odprowadził ją do kwatery i upewnił się, że jej sypialnia jest dostatecznie wygodna. Zasugerował też, by rano zaniósła piłę do przeglądu i oddała na przechowanie, a jeśli interesuje ją historia meteorologii planety, w sali kontrolnej może obejrzeć stare wichury Przejścia na pokazie o jedenastej. W ten sposób zapozna się również taktyką służb kontrolnych.

Następnego poranka podczas krótkiej kąpieli i zdecydowanie obfitego śniadania zastanawiała się nad powodami okazywanej jej przez Lanzeckiego atencji – zarówno osobistej, jak i zawodowej. Doskonale rozumiała, czemu Cechmistrz wykorzystał jej zapał i posłał w Pasma, aby zabezpieczyła bezcenne złożę Keborgena. Udało jej się. Teraz, z nie wyjaśnionych przyczyn, Lanzecki pragnął, aby opuściła planetę. Cóż, dziś rano po obejrzeniu archiwalnych materiałów meteo będzie mogła zdecydować, czy przemawiał przez niego mężczyzna, czy Mistrz Cechu. Miała nadzieję, że ten pierwszy, bardzo bowiem lubiła Lanzeckiego–mężczyznę, choć Cechmistrza podziwiała bardziej niżli kogokolwiek innego.

Co miał na myśli mówiąc, że jej przypadek nie był przewidziany? Czy miało to być pochlebstwo? Może to zwykły kaprys Cechmistrza? Nie, nie po tym, jak pomógł jej wyruszyć w Pasma i jak zdołała odnaleźć czarny kryształ. Nie po tym, jak uzmysłowił jej w sortowni, na czym polega różnica pomiędzy mężczyzną a Mistrzem Cechu.

Skrzywiła się na to wspomnienie. Zasłużyła sobie wtedy na reprimendę. Potrafiła także zrozumieć, czemu obchodziło go jej zdrowie i samopoczucie. Potrzebował więcej czarnego kryształu. Jeśli oczywiście to właśnie stanowiło główny motyw jego postępowania. W porządku, Killashandro Ree, powiedziała do siebie stanowczo. Żaden artykuł ani paragraf

Karty Cechu Heptyckiego nie wymaga, aby Mistrz musiał tłumaczyć się przed członkami. Dziesięć lat spędzone w Centrum Muzycznym na Fuerte nauczyło Killashandrę, że każdy, kto wyświadcza człowiekowi przysługę, oczekuje czegoś w zamian. Lanzecki również przy każdej okazji przypominał jej o tym, by dbała przede wszystkim o siebie i swe korzyści.

Nie pałała specjalną ochotą na wyjazd z Ballybranu, choć nie miałyby nic przeciwko dodatkowemu kredytowi. Sprawdziła tabelę wynagrodzeń. Zapłata za wyprawę pozaplanetarną była całkiem spora. Może lepiej podjąć się tego zadania? Ale to oznaczałoby również rozstanie z Lanzeckim. Killashandra spojrzała ponuro na swe odbicie w lustrze. Znalazła tam jeszcze jeden powód, by wyjechać. Najpierw jednak powinna naprawić swe stosunki z Rimbolem.

Wdzięczna losowi, że ominął ją dodatkowy wydatek na nową piłę i nieuniknione w takiej sytuacji gderanie Rybaka, niosła swe narzędzie na poziom inżynieryjno-treningowy.

W maleńkiej poczekalni natychmiast dostrzegła dwie znajome postaci.

– Nie mam zamiaru ugrzęznąć tu znowu na czas Przejścia – mówiła Borella, zwracając się do śpiewaka, którego Killashandra pamiętała jeszcze z promu.

– Znowu zajmujesz się bajerowaniem rekrutów, Borello? – spytał mężczyzna, niedbale przesuwając swą piłę po ladzie i ignorując kwaśny komentarz technika.

– Rekrutów? – Borella spojrzała na niego nic nie pojmującym wzrokiem.

– Pamiętasz, kochana? – w głosie mężczyzny zabrzmiała wyraźna drwina. – Niekiedy spędzasz czas w bazie na Shankillu, nadzorując młody narybek.

– Oczywiście, że pamiętam – odparła z irytacją Borella. – Tym razem jednak, Olinie, mam coś lepszego – ciągnęła przebiegle. – Przywiozłam zielone kryształy w grupie oktaowej. Pięć. Starczy na organy ofteriańskie. Niewielkie, rzecz jasna, ale wiesz przecież, że i tak przyniosą mi sporą sumkę.

– Tak się składa, że i mnie całkiem nieźle się powodzi – powiedział Olin, wchodząc jej w słowo.

Borella mruknęła coś ciepło, jednocześnie ostrożnie podając technikowi piłę. Następnie ujęła towarzysza pod ramię. Kiedy oboje odwrócili się ku wyjściu, Killashandra uprzejmie skinęła głową. Borella jednak, rzuciwszy twarde spojrzenie w stronę jej piły, przeszła obok nie zdradzając najmniejszym nawet gestem, że ją poznaje. Jediną jej reakcją było zaciśnięcie uchwytu na ramieniu Olina.

– Oczywiście są też biedacy, którzy muszą tu zostać – ton jej głosu insynuował, że Killashandra należy do tej grupy. – Czy widziałeś ostatnio Lanzeckiego, Olin? – spytała Borella, gdy wychodzili już z pokoju.

Przez chwilę Killashandra stała bez ruchu, oszołomiona tym podwójnym afrontem, choć skąd właściwie Borella mogła dowiedzieć się, gdzie spędza czas Cechmistrz, pozostawało tajemnicą. Nadzwyczajnym wysiłkiem opanowała nagłą chęć, by wybiec za oddalającą się parą i zażądać satysfakcji.

– Oddajesz tę piłę, czy nie? – cierpki głos przerwał jej gniewne zamyślenie.

– Oddaję – delikatnie podała urządzenie Rybakowi. Dlaczego musiał to być akurat on?

– Killashandra Ree? Zgadza się? – nie patrzył na nią, skupiwszy uwagę na piłę. – Nie mogłaś zbyt wiele jej używać. – Podejrzliwie przyjrzał się pokrowcowi, kryjącemu ostrze i rękojeść. – Gdzie ją uszkodziłaś?

– Nic się nie stało. Chciałam ją oddać na przechowanie. Rybak denerwował się jeszcze bardziej niż Borella i jej uwagi.

– Mogłaś zostawić ją w saniach – ton starego stracił nieco na surowości, gdy technik upewnił się, że jedno z jego najnowszych dzieł ma się dobrze. – Wiesz chyba, że nikt inny nie może jej użyć – dodał, najwyraźniej pewien jej ignorancji.

Nie miała zamiaru przyznawać się komukolwiek, że straciła sanie.

Wyjeżdżam z Ballybranu na czas Przejścia – oznajmiła, zbyt późno uświadamiając sobie, że przed nim ta opcja jest zamknięta.

– A jedź, kiedy możesz i póki możesz – odparł szorstko, lecz raczej ciepło, po czym zniknął w swoim warsztacie.

Wędrując z powrotem do wind Killashandra pomyślała, że powinna czuć ulgę. W końcu ktoś ją zapamiętał. Całkiem możliwe, że Rybak skojarzył ją sobie z niedawnym dziełem własnych rąk. Albo może cały Cech już wiedział, że Lanzecki zwymyślał ostatnio nową śpiewaczkę. Nie powinna tak się przejmować spotkaniem z Borella. Jej zachowanie potwierdziło zresztą pośrednio słowa Lanzeckiego. Zresztą, jeśli Moksoon zapomniał o niej w ciągu kilku minut, jak mogła mieć pretensje do Borelli? Po jakim czasie pamięć ulega całkowitej dezintegracji? Killashandra stwierdziła, że będzie musiała zmienić przyzwyczajenia i gotowe oceny moralne, pochodzące jeszcze z Fuerte. Tam każdy starał się zapewnić sobie wdzięczność innych, tak by czuli się zobowiązani udzielić mu wsparcia na scenie i w sali prób, w razie potrzeby sformować trio albo kwartet, czy wydać składkowe przyjęcie. Cała ta sieć zależności wymagała współpracy, dobrej woli i... pamięci o dawnych przysługach. Lanzecki ujął to bardziej kategorycznie: "Wdzięczność zależy od pamięci". Wniosek był prosty: pamięć śpiewaka trwa krótko. Jedynym elementem, łączącym ich

wszystkich, była Karta Cechowa, jej przepisy, wymagania i ograniczenia oraz pragnienie wyrwania się z Ballybranu, gdy tylko pozwalają na to środki.

Carigana nie powinna była umrzeć. Skąd nagle przyszło mi to do głowy? – pomyślała Killashandra, wysiadając z windy na poziomie meteorologicznym. Na tablicy informacyjnej pod sufitem załśniła wiadomość, z której wynikało, że pokaz w teatrze już się rozpoczął. Killashandra zawahała się, lecz w tej chwili obok otwarły się drzwi kolejnej windy, tym razem pełnej, i grupka ludzi zagarnęła ją, kierując się ku wspólnemu celowi.

W teatrze panował półmrok. Było pełno, ludzie stali pod ścianami, bowiem wszystkie fotele już dawno zostały zajęte. Na szerokokątnym ekranie formacje chmur zmieniały się z nieprawdopodobną szybkością. Killashandra ujrzała pośród tłumu twarz Rimbola, a obok niego mignęli jej Borton i Jezerey. Dostrzegła też innych członków Klasy 895, jak również pogodowca, który zabrał ich kiedyś na stację czujnikową. Ryk wichury został wyciszony. Zamiast niego głos lektora recytował monotennie dane dotyczące ciśnienia, prędkości gigawichrów, szkód, opadów deszczu, śniegu i śniegu z deszczem, gęstości pyłów i porównań z innymi burzami Przejść. Przebiegające pod ekranem litery biegły zgodnie z komentarzem. Killashandra zdołała znaleźć sobie miejsce pod najdalszą ścianą i rozglądała się po widowni w poszukiwaniu Lanzeckiego. Miała nadzieję, że nie zaproponował instalacji kryształów komuś innemu. Skoro okazał taką wielkoduszność, z pewnością poczekałby na jej ostateczną decyzję.

Wkrótce jednak uwagą dziewczyny zawładnęły migające na ekranie obrazy. Z początku sądziła, że odtwarzano je w nieco przyspieszonym tempie. Kiedy jednak porównała zarejestrowaną prędkość wiatru i odczyt poziomu decybeli, przeraziła ją mierzona w kilometrach na sekundę wściekłość huraganu.

– Największa burza Przejścia w roku 2898 – ogłosił lektor, a za nim napisy – choć nie tak groźna, jak ta z 2863, również nadeszła z pomocnego wschodu podczas przesilenia wiosennego. Shilmore wyprzedzał wtedy Shanganagh i Shankilla nad Wielkim Oceanem. Ten pechowy układ dwóch najbliższych ciał niebieskich będzie miał znaczny wpływ na tegoroczne burze. Nowe techniki siewu, ulepszone środki chemiczne i niedawno ukończony układ łamiący fale zainstalowany u brzegów Bulandu i Hoylandu powinny zapobiec szkodom na lądzie wywoływanym przez tajfun i znacznie zmniejszyć ewentualny zasięg zniszczeń w porównaniu z niegdysiejszą katastrofą na kontynencie południowoduriańskim.

Obrazy na ekranie zmieniały się co chwilę, ukazując na przemian dalekie ujęcia satelitarne i materiały zarejestrowane przez naziemne stacje meteorologiczne. Nagle porywy wiatru unosiły w górę śmieci i drobne skalne odłamki. Killashandra zapadła w niemal

półhipnotyczny trans i przez jedną potworną sekundę wydało się jej, że słyszy piekielny skowyt wiatru. Nagle szczególnie wściekły atak huraganu przerwał jej zamroczenie. Poczula ogaraniające ją mdłości. Pośpiesznie wypadła z teatru, szukając najbliższej toalety. Kiedy jednak znalazła się w dźwiękoszczelnej ciszy pustego korytarza, mdłości minęły natychmiast, zastąpione ostrym głodem.

– Jadłam śniadanie – powiedziała zaciskając zęby. – Bardzo duże śniadanie.

Wsiadła do pustej windy, zastanawiając się z irytacją, jak długo po powrocie z Pasm utrzyma się ten niezwykle apetyt. Wcisnęła przycisk poziomu szpitalnego i po chwili stała już w tej samej izbie przyjęć, którą opuściła ledwie cztery tygodnie wcześniej. W pomieszczeniu nie dostrzegła nikogo.

– Jest tu kto? – spytała ostro.

– Jest – odpowiedział głośnik.

– Nie o ciebie mi chodzi. Chciałabym się zobaczyć z...

– Killashandra Ree? – drzwi z prawej strony odsunęły się i pojawiła się w nich Antona, spoglądając na dziewczynę ze zdumieniem. – Nie jesteś chyba ranna? – szefowa działu medycznego wyjęła z kieszeni niewielki aparat diagnostyczny i podeszła do Killashandry.

– Nie, ale umieram z głodu.

Antona roześmiała się, z powrotem chowając instrument.

– Och, przepraszam, Killashandro. To wcale nie jest zabawne! Dla ciebie. – Spróbowała przybrać stosowniejszy wyraz twarzy. – Ale znakomicie to ujęłaś. Naprawdę umierasz z głodu – ponownie uśmiechnęła się na to określenie – i to z kilku powodów. Podczas gdy twoi przyjaciele odbywali rekonwalescencję, mogliśmy dostarczyć im dodatkowych środków odżywczych. Ty nie miałaś gorączki i wkrótce wysłano cię w góry. To zupełnie normalne, że teraz czujesz głód. Rozumiesz? Nie, widzę, że nie, i wyglądasz, jakbyś chciała coś przekąsić. Właśnie wybieram się na śniadanie. Kantyna będzie zupełnie pusta, wszyscy oglądają zeszłoroczne burze. Przyłączysz się do mnie? Nie wyobrażani sobie nic nudniejszego, niż gdy człowiek zmuszony jest pochłaniać całe góry jedzenia w samotności. Pamiętasz, oczywiście – Antona poprowadziła Killashandrę z powrotem do windy i, kiedy wysiadły, dalej do kantyny, cały czas nie przerywając swego monologu – że symbiont potrzebuje dwudziestu tygodni, by na dobre usadowić się w organizmie. Nigdy nie udało nam się ustalić średnich potrzeb zarodnika *per diem*, zbyt wiele bowiem zależy tu od metabolizmu nosiciela. – Antona wywołała menu. – Nie masz nic przeciw temu, że zamówię też dla ciebie? Wiem, czym zredukować twój głód i zaspokoić symbionta. – Killashandra zgodziła się i

lekarka ruszyła wzdłuż ściany z selektorami, składając w każdym kilkanaście zamówień. Gestem nakazała Killashandrze, aby ta wzięła tacę i zaczęła odbierać dostarczane dania.

Wkrótce na dwóch wielkich stołach znalazło się tyle jedzenia, że starczyłoby go na pożegnalne przyjęcie dla wszystkich studentów ostatniego roku Centrum Muzycznego. Killashandra natychmiast zabrała się za pierwsze danie.

– Jeśli to jakaś pociecha, apetyt z czasem przejdzie, szczególnie kiedy symbiont przygotuje się już na Przejście – słysząc jęk towarzyszki, Antona uśmiechnęła się szeroko. – Nie obawiaj się. W szczytowym okresie Przejścia w ogóle nie będzie ci się chciało jeść. To pozostałość z czasów, gdy zarodnik ukrywał się w szczelinach skalnych. Przetrwanie to jego specjalność. W laboratorium życia trzymamy skalne kraby i robaki ziemne liczące sobie po czterysta lat – w głosie lekarki zabrzmiał nieco cierpki ton. – Nie sądzę, aby ten aspekt ekologii Ballybranu figurował pośród przedmiotów twojego szkolenia. Na tej planecie występuje niewiele form życia, ale wszystkie istniejące pozostają w symbiotycznej zależności od zarodnika. W ten sposób utrzymuje się on przy życiu – zwiększając zdolności przetrwania u swego nosiciela. Nam, jako nowej dominującej formacji, wypada studiować miejscowe zwyczaje.

Pochłaniająca jedzenie Killashandra z ciekawością przysłuchiwała się gadaniu Antony. Było to dużo ciekawsze niż wykłady Tukuloma. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że Antona po prostu uwielbia opowiadać o swej pracy i z radością przyjmuje każdego nowego słuchacza. Sama zresztą również nie próżnowała, opróżniając talerz za talerzem. Widać było, że – choć nie aż tak, jak Killashandra – Antona także potrzebowała sporo pożywienia.

– Cały czas próbuję – lekarka podkreśliła to słowo – wyodrębnić cechę albo cechy, które raz na zawsze pozwolą nam rekrutować śpiewaków bez obaw o ich zdrowie. – Urwała i, uniósłszy głowę, wpatrzyła się nie widzącym wzrokiem w odległy kąt sali. – To znaczy, ja na przykład doskonale wiedziałam, co chcę robić po przybyciu tutaj, ale gdyby moja adaptacja była całkowita, musiałabym śpiewać kryształ. – Antona skrzywiła się z niesmakiem, po chwili jednak jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. – Perspektywa tak długiego życia, które można w całości poświęcić badaniom, była jednak cudowna...

– Nie chciałaś być śpiewaczką kryształu?

– Na formę i dźwięk, dziewczyno, oczywiście, że nie! Jest tyle innych rzeczy w życiu!

– Miałam wrażenie, że śpiewanie kryształu to podstawowe zajęcie na tej planecie.

– O tak – zgodziła się radośnie Antona. – Ale śpiewacy kryształu nie mogliby funkcjonować bez personelu pomocniczego. Jest nas zresztą więcej niż was. Jeden śpiewak w Pasmach wymaga pięciu i trzech czwartych osoby z obsługi. Poza tym Cech nie ma ani

środków, ani czasu na szkolenie fachowców we wszystkich wymaganych specjalnościach. Wielu ludzi z Federacji Planet Rozumnych zgadza się zaryzykować adaptację i ewentualność śpiewania kryształu, byle tylko móc tu trafić!

– Niezupełnie rozumiem... – zaczęła Killashandra.

– Nic dziwnego – stwierdziła lekarka ze współczuciem. – Pochodzisz z Fuerte, a tamtejszy konserwatywny rząd dość dziwnie podchodzi do kwestii decydowania ludzi o własnym losie. Zastanawiałam się nawet, w jaki sposób cię zwerbowano, choć okazałaś się jedną z przyjemniejszych niespodzianek – poklepała Killashandrę po ramieniu. – Fuertanie, którzy trafili tu w poprzednich dekadach, także sprawdzili się znakomicie jako nosiciele. – Nagle Antona zmarszczyła brwi, przyglądając się jej z namysłem. – Naprawdę, będę musiała poddać cię jeszcze raz badaniom. Przygotowałam pięć odrębnych testów ewaluacyjnych, z tego dwa na poziomie podstaw owym. Dzięki nim, mogę to sama przyznać – uśmiechnęła się skromnie – prawdopodobieństwo pozytywnej adaptacji wzrosło o trzydzieści pięć procent.

– Nie sądziłam, że Cechowi zezwala się prowadzić aktywną rekrutację – zauważyła Killashandra, z uporem powracając do poprzedniego tematu.

Antona spojrzała na nią zdumionym wzrokiem.

– Och, nie chodzi tu o działalność aktywną. A już z pewnością bardziej dyskretną niż programy Służb. Widzisz, FPR zdecydowanie nie aprobuje jakichkolwiek uwarunkowań ani ograniczeń wynikających ze szczególnej adaptacji. Stanowi to bezpośrednie naruszenie przepisu o swobodzie poruszania, zawartego w Karcie Federacji. Oczywiście, kiedy to FPR prowadzi rekrutację, nikt nie śmie się odezwać. – Zachichotała. – Swoboda poruszania, akurat! Większość wzorowych obywateli FPR nigdy nie opuszcza swych rodzinnych planet, nawet o tym nie marzą. Ale według FPR muszą mieć taką możliwość, w razie gdyby kiedykolwiek zechcieli to zrobić. Dlatego właśnie musimy korzystać ze stacji przesiadkowej na Shankillu.

– Czy nie przeszkadza ci uwięzienie na jednej planecie?

– A niby dlaczego? – w głosie Antony nie znać było rezygnacji.

– Śpiewacy wydają się marzyć o opuszczeniu Ballybranu – powiedziała Killashandra. W jej głowie kłębiły się myśli. Wspomniała bezkompromisowość Carigany, punkt rekrutacyjny na Shankillu, jakby żywcem wyjęty ze starej farsy, Rimbola i jego „wstępne testy”, „pułapkę” Carigany, swoją własną reakcję na podejrzenia, które teraz Antona zdawała się potwierdzać.

– Śpiewacy powinni jak najczęściej wyjeżdżać z Ballybranu – stwierdziła lekarka spokojnie i całkiem szczerze. – To wymagający, pełen napięć zawód. Od czasu do czasu powinniście móc uciec od swej pracy w zupełnie inne otoczenie.

„Uciec”. Tego samego słowa użył Lanzecki.

– A ty? Czy uciekasz od swojej pracy?

– Ja? Oczywiście. Moja praca to szpital i laboratoria. Poza nimi mam dla siebie całą planetę i do tego księżyc, gdybym kiedykolwiek zapragnęła odmiennych widoków.

– Nawet podczas Przejścia?

Antona zaśmiała się pobłaźliwie, słysząc zawarte w słowach Killashandry szyderstwo.

– W czasie Przejścia wszyscy zaszywiają się w najcichszy kąt. Albo – dodała lekko – jest to możliwe, opuszczają planetę. – Nachyliła się nad Killashandrą i dotknęła jej ramienia. – Ze względu na twoje własne dobro żałuję, że zetknęłaś się z kryształem w okresie tuż przed Przejściem. Ale możesz być pewna, że otrzymasz wszelką możliwą pomoc.

– Czemu miałabym potrzebować pomocy? – Killashandra bez trudu udała całkowitą niewiedzę. – Tylko raz cięłam kryształ.

– I to jest ten najgroźniejszy raz. Naprawdę dziwię się, że Lanzecki pozwolił na coś takiego. Zawsze bardzo uważa na swych nowych śpiewaków. Co do mnie, to musiałam przekazać cię na szkolenie. Nie było sensu trzymać cię tu razem z chorymi. Ale tegoroczne Przejście zapowiada się wyjątkowo paskudnie. Minie mnóstwo czasu, nim pogoda się ustabilizuje i będzie można naprawić zniszczenia. Przypuszczam, że chciał uzyskać jak najwięcej kryształu, póki jeszcze mógł. Oczywiście ciebie, jako śpiewaczki, nie obchodzą naprawy. Gdy to tylko możliwe, wszyscy wyruszą w Pasma, żeby sprawdzić, jakich zmian dokonały wiatry na waszych działkach.

– Co się stanie przez to, że raz cięłam kryształ? Antona głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym wypuściła je z głośnym westchnieniem.

– Zawsze muszę za wiele gadać. No dobrze, i tak wkrótce trzeba by ci powiedzieć. Po prostu nie lubię niepokoić ludzi bez potrzeby.

– Właśnie to robisz, więc przejdź do rzeczy.

– Powiedziano ci już, że burze w kryształowych Pasmach są śmiertelnie niebezpieczne, bowiem wiatr wzbudza rezonanse pośród skał, a te powodują przeładowanie sensoryczne. Podczas Przejścia całe to miejsce, cała planeta – czasem mam wrażenie, że aż po jądro – drży. Wszędzie powstają dźwięki, wibracje, wielokrotne drgania, przed którymi nie da się... – Antona znów bezradnie wzruszyła ramionami – uciec. Podamy ci środki uspokajające,

umieścimy w odprężającej kąpieli w pomieszczeniu szpitalnym, wyposażonym w specjalne osłony. Podejmiemy wszystkie możliwe środki.

– Rozumiem.

– Nie, ale sama się przekonasz. Usłyszysz. To najgorsze. A teraz jedz. Dużo jedzenia, a jeszcze lepiej przesyć, to w istocie najlepsza ochrona, jaką mogę ci zalecić. Pomyśl o tym jak o hibernacji.

Killashandra zabrała się za nie tknięte jeszcze półmiski, podczas gdy Antona w milczeniu skończyła swoją porcję.

– Czy inni też przez to przechodzą? – Killashandra machnęła ręką w stronę stosu brudnych talerzy.

– Och, teraz wszyscy zaczniemy mieć spory apetyt.

– Czy innych też trzeba będzie uśpić i...

– Nie będzie im najprzyjemniej, ale to dotyczy wszystkich, którzy zachowali słuch, istnieje też spora grupa ludzi w normalnych warunkach niesłyszących, którzy odbierają burzowe drgania. Dostarczymy wszystkim słuchawki blokujące. Zwykle szумы likwidują dzwonięcie w uszach, wywołane przez turbulencje. Naprawdę staramy się pomóc.

– Jestem tego pewna.

– Może myślisz, że to złudna pociecha, ale wszystko jest rzeczą względną. Poczytaj sobie wczesną historię Cechu i komentarze członków. Muszę bieć, nie chcę, żeby ktoś mnie tu zastał. – Antona zerwała się z fotela. Killashandra obejrzała się i ujrzała tłum ludzi, wylewających się z wind. – Wyśliznę się tylnym wyjściem. Ty dokończ swój posiłek! – lekarka stanowczym gestem wskazała pozostałe jeszcze pełne talerze i wycofała się w słabiej oświetlone rejony jadalni.

Killashandra skończyła łądyżki mlekowca i przyjrzała się ostatniemu danu – niewielkim sześcianom, pokrytym orzechami. Ludzie stali w kolejce do selektorów, pierwsi odchodzili już z pełnymi tacami. A zatem nie tylko ona czuła głód.

– Tutaj jesteś! – radosny okrzyk Rimbola ją zaskoczył. Obróciwszy się na fotelu, ujrzała Scartyńczyka, za jego plecami stali Mistra, Jezerey, Borton i Celee. – Mówiłem wam, że widziałem ją na przeglądówce. Czyżbyś była głodna? – dodał Rimbol i zaczął liczyć puste talerze. W oczach błyskały mu psotne iskierki.

– Musiałas znaleźć mnóstwo kryształu, jeśli stać cię na coś takiego – stwierdziła Jezerey, spoglądając na nią wrogo.

– To zamówienie Antony. Nie przeszłam rekonwalescencji tak jak wy, więc teraz muszę jeść w dwójnasób.

– Tak, ale byłaś już w Pasmach, a my nadal tkwimy tutaj! – głos Jezerey zabrzmiał niemal histeryczną nutą. Borton potrząsnął jej ramieniem.

– Daj spokój, Jez, Killa nie zrobiła tego wyłącznie tobie na złość – zerknął błagalnie na Killashandrę.

– Rzeczywiście, masz już za sobą pierwszą wyprawę – wtrąciła cicho Mistra – i byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś mogła powiedzieć nam dokładnie, co się właściwie dzieje, kiedy tniesz kryształ. Mam straszne wrażenie, że przy wszystkim, czego nas uczą, nadal nie mówią całej prawdy.

– Dobra, najpierw pozbadźmy się tego śmiecia – oznajmił Rimbol, zbierając talerze i półmiski. – Niech ktoś zamówi piwo i inne takie. Później Killashandra będzie mogła zdradzić nam kilka zawodowych sekretów.

Killashandra nie była w nastroju do zwierzeń, lecz jako ich koleżanka z klasy nie umiała zlekceważyć niemej prośby w brązowych oczach Mistry, troski i obaw w spojrzeniu Rimbola ani sztywnej, beznamietnej twarzy Bortona. Nieważne, co względem poszanowania własnych interesów zalecał jej Lanzecki. Jezerey bez wątpienia da sobie radę, Rimbol, Mistra i Borton to zupełnie inna sprawa.

Celee wrócił z dzbankami i kubkami.

– Słuchajcie, ponieważ to nie mój fach, zajmę się dostarczaniem jedzenia, dobra? – spytał pogodnie. Mrugnął do Killashandry, jakby podkreślając, że nie przejął się wynikiem swojej adaptacji.

Zebrał zamówienia, a kiedy odszedł, narzekając, że się zarwie, targając takie ciężary, grupka usadowiła się przy stole, wpatrując oczekująco w Killashandrę.

– Większa część tego, co się dzieje, to nic nowego – zaczęła Killashandra, nie wiedząc dokładnie, jak opisać cały proces.

– Teoria to jedno. W czym różni się od praktyki? – spytała Mistra łagodnie.

– Mistra nie mówi zbyt wiele, ale od razu przechodzi do rzeczy – stwierdził Rimbol, wznosząc ręce w geście komicznej rozpacz.

Killashandra uśmiechnęła się do nich.

– Te symulacje lotów w trudnych warunkach... prawdziwy jest jeszcze gorszy. Mimo całej praktyki przy przestrajaniu kryształów nie cięłam zbyt prosto. Przypuszczam, że z czasem jest coraz lepiej, ale nie zdziwcie się, jeśli wasz pierwszy kawałek będzie przypominał pijanego węża. – Rimbol zachichotał, wyginając się przesadnie. – Wiecie, że podczas pierwszej wyprawy musicie mieć opiekuna, jakiegoś doświadczonego śpiewaka? Zapamiętajcie jedno: w każdej chwili wasz opiekun może zapomnieć, że znaleźliście się na

jego działce najzupełniej legalnie. Mój omal nie odciął mi nogi. Po prostu cały czas odtwarzajcie nagranie, żeby mu przypomnieć. Rozmawiajcie z nim, pchajcie mu się przed oczy, szczególnie zaraz po tym, jak ciął kryształ...

– Tak, tak, wszystko to już nam mówiono. Ale kiedy znajdziesz kryształ... – Jezerey urwała nagle.

Killashandra spojrzała na nią chłodno. „Kiedy”. Ona mówi: „kiedy”.

– To kwestia Jeśli”, nie „kiedy”.

– Ale ty znalazłaś kryształ. Czarny kryształ – obruszyła się Jezerey.

– Zamknij się, Jez! – Borton ostrzegawczo wpił jej palce w ramię i Jezerey z trudem uwolniła się z jego uchwytu.

– Naprawdę niespodziewane rzeczy zaczynają się dziać, kiedy zabieracie się do cięcia własnego kryształu. Sprawdzacie tonację żyły, dostrajacie piłę i... – Killashandra znalazła się z powrotem na swojej działce. W dłoniach poczuła ciężar pierwszej, nierównej bryły. Wpatrywała się w nią z zachwytem, oszołomiona powolną zmianą, zachodzącą w kryształ pod wpływem promieni słonecznych – od pełnej przejrzystości po matową czerń termowrażliwego kwarcu. Zatopiona we wspomnieniach, znów usłyszała dźwięczne rezonanse, nieprawdopodobną muzykę, budzącą echa we krwi i kościach...

Natarczywe pociąganie za rękaw wyrwało ją w końcu z transu.

– Killa, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Mam wezwać Antonę? Killa! – niepokój, brzmiały w głosie Rimbola, przywołał ją do rzeczywistości. – Straciłaś świadomość na...

– Sześć minut i cztery sekundy – wtrącił Borton spoglądając na bransoletę, wskazującą dokładny czas.

– Co takiego?

– Ona mówi: „Co takiego” – przedrzeźniał ją Rimbol, odwracając się ku innym – a tymczasem składa szybką wizytę na swej działce. Spójrzcie tylko – ani śladu kontaktu, a przecież... Czy naprawdę człowiek staje się tak bardzo związany z tym wszystkim, Killa? – odrzucił błazeńską pozę i pogładził jej rękę. Jego twarz miała zatroskany wyraz.

– Cóż, nie sądziłam, że może mnie to dopaść, kiedy siedzę przy stole z przyjaciółmi, ale – po stosownym przykładzie – dam wam dobrą radę. Natychmiast pakujcie kryształ! W przeciwnym razie będziecie stać bezmyślnie, zupełnie jak ja przed chwilą, i trwać w kryształowym transie, póki burza nie rozpęta się wam nad głowami.

– Kryształowy trans! – rzuciła niecierpliwie Jezerey, wyraźnie sceptycznym tonem.

– Zresztą może tobie to się nie przydarzy. – Killashandra starała się zachować spokój, choć postawa Jezerey, irytowała ją niepomiernie. – Dostałeś już sanie? – spytała Rimbola.

– Tak... – odrzekł.

– ...ale nie pozwalają nam ich używać! – dokończyła Jezerey, rzucając jej nieprzyjazne spojrzenie.

– I bardzo dobrze, biorąc pod uwagę twoje wyniki na symulatorze – stwierdził Borton.

– A zatem śpiewanie kryształu to naprawdę rodzaj nałogu? Jak szybko następuje uzależnienie? – Rimbol, pragnąc rozluźnić atmosferę, zadawał swe poważne przecież pytania zdecydowanie komicznym tonem. – Można je złamać? Czy w ogóle opłaca się wchodzić w ten cały interes?

– Tak, szybko, nie i tak – odparła Killashandra. – Nie będę wam dłużej zakłócała miłego posiłku – wstała, powstrzymując Rimbola, który chciał zrobić to samo. – Zobaczymy się tu wieczorem?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę wyjścia, bowiem dostrzegła wkraczającą właśnie do kantyny wysoką postać, niemożliwą do pomylenia z kimkolwiek innym. Lanzecki. Przecięła mu drogę.

– Przyjmuję to zadanie. – Tak właśnie myślałem.

Nie powiedzieli nic więcej, minawszy się w drzwiach. On powędrował do kantyny, ona – w stronę wind.

ROZDZIAŁ XI

Powrót na kwaterę stanowił prawdziwą ulgę. Absurdalne, dziwaczne obrazy ściennie, przedstawiające widoki z trzech całkowicie odmiennych światów, nieco uspokoiły Killashandę. Próba wyrażenia słowami i opisanie kolegom przeżyć towarzyszących wydobyciu kryształu wzbudziła w niej pewien niepokój. Jak wspomnienie, nawet dotyczące tak podniosłej chwili, mogło do tego stopnia zdominować jej umysł i ciało? Zerwała przecież więź z kryształem, kiedy go zapakowała. A może nie? Kogo jednak miała zapytać? Czy to dlatego śpiewacy nie przejmowali się zbytnio utratą pamięci?

Czyżby jej wahania, czy przyjęcie propozycję Lanzeckiego, brały się stąd, iż nie chciał oddalać się od Pasm? Przypomniała sobie nagle tęsknotę, brzmiącą w głosie Borelli, kiedy śpiewaczka mówiła o powrocie w góry, gdy tylko zagoją się jej rany. Z drugiej strony, obecnie Borella nie mogła doczekać się chwili, kiedy opuści planetę.

Po namyśle zdecydowała, że sprzeczność tę da się wytłumaczyć – o dziwo, przez analogię do otrzymania

głównej roli w słynnym zespole operowym. Oklaski tłumu to śpiew kryształu świeżo dobytego z żyły, wibrującego radością i ekstazą. To samo podniecenie za każdym razem, kiedy wyruszasz na poszukiwanie i tniesz, aż do całkowitego wyczerpania ciała i ducha, zmęczenia muzyką i koniecznością bezustannego skupienia. Zniewolenie kryształem przeciwstawione palącej potrzebie odpoczynku i ulgi.

Usiadła przy klawiaturze komputera, postanawiając zapisać przynajmniej część swoich refleksji. Automatyczny wyświetlacz czasu zamrugał, gdy zmieniła się liczba oznaczająca godzinę. Nawet myślenie o kryształach zajmowało potwornie dużo czasu. Wróciła do pokoju ponad dwie godziny temu.

Killashandra wyprostowała się i energicznie wystukała odtwarzanie poprzedniego nagrania. Beznamiętnie wysłuchiwała własnego głosu, recytującego nieliczne fakty z jej poprzedniego życia. Następnie uruchomiła zapis.

– Znalazłam porzuconą kryształową żyłę i z powodzeniem zaczęłam ciąć. Cała sztuka polega na tym, by pakować kryształ, nim wzbudzona słonecznymi promieniami pieśń opanuje umysł. Straciłam pojazd, starając się uratować starego Moksoona. Szkoda dobrych snów. Lanzecki zachował się wspaniałomyślnie i wybieram się teraz do układu Trundomoux, aby

dokonać instalacji czarnego kwintetu – pierwszego, jaki wydobyłam. W ten sposób uniknę burz Przejścia, które w tym roku mają być szczególnie gwałtowne.

Jeszcze raz przesłuchiwała zwięzłą relację z ostatnich dwóch tygodni. Czy za parę lat ten podstawowy szkielet wspomnień przywoła na myśl towarzyszące im szaleństwo uczuć? Skrzywiła się, dostrzegając pretensjonalność swych rozważań. Ostatecznie nigdy nie uważała się za dobrą pisarkę.

Odchylając się na krześle, poczuła nagle natarczywe burczenie w brzuchu.

No nie! Znowu?

Aby nie poddać się uczuciu głodu, z determinacją wywołała katalog mebli, choć przecież i tak nie miała nic, co mogłaby położyć na stole czy półkach. Jej lutnia wisiała na ścianie. Killashandra zapragnęła nagle zagrać, po raz pierwszy od bardzo dawna. Struna e pękła w momencie, gdy przekręciła kolek. Bardzo ostrożnie odłożyła instrument, po czym zaciskając zęby ruszyła szybkim krokiem w stronę selektora, aby zaspokoić nieznośny apetyt.

Właśnie z wściekłością wprowadzała swe zamówienie, gdy zabrzmiał komunikator.

– Tu Lanzecki.

– Czyżbyś był podłączony do mojego selektora?

– To nie przypadek. Cechmistrze również jadają, jeśli tylko pozwalają im na to ich zajęcia. Czy mogę przyłączyć się do ciebie?

– Tak, oczywiście – starała się, by w jej głosie zabrzmiała radość tak szczera, jak to możliwe po podobnie żartobliwym powitaniu.

Pomyślała, że w gruncie rzeczy Lanzecki tak samo jak inni padł zapewne ofiarą zwiastującego Przejście apetytu. Nie przypuszczała, by próbował ją wykorzystać, a potem odesłać z planety. A może... Zabierając ze sobą filiżankę wysokobiałkowego. bulionu, który zdążyła zamówić nim zadzwonił, podeszła do konsoli i sprawdziła dane działu handlowego. Zgadza się, pięć dni wcześniej otrzymano zamówienie z układu Trundomoux na pięcioelementowy system komunikacyjny, wykorzystujący czarny kryształ. Federacja Planet Rozumnych, a ściślej biorąc Zarządca Sektora nadał temu zamówieniu najwyższy priorytet. Zamyślona Killashandra powolnym krokiem wróciła do selektora i zaczęła, wybierać kuszące potrawy dla zmęczonego, głodnego mężczyzny.

I rzeczywiście, to Lanzecki–mężczyzna wkroczył do jej pokoju dokładnie w chwili, gdy starała się pomieścić na niewielkim stole liczne talerze, półmiski i dzbanki. Naprawdę, powinna sprawić sobie więcej mebli.

– Już zaczęłam – oznajmiła, pokazując filiżankę. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz – podała mu parujący bulion.

- Ależ nie – uśmiechnął się i zmarszczki zmęczenia w kącikach oczu zniknęły.
- Rano przekąsiłam co nieco u Antony po tym, jak niemal padłam z głodu na pokazie meteo – powiedziała, kiedy już usiadł, prostując długie nogi.
- Niewątpliwie zapewniła cię, iż w tej chwili wszyscy sporo jemy.
- Sama też miała niezły apetyt. Lanzecki roześmiał się.
- Nie martw się. Podczas Przejście minie ci ochota na jedzenie.
- Ale mnie tu nie będzie.
- Instynkt działa niezależnie od otoczenia. Szczególnie, przykro mi to stwierdzić, skoro tak niedawno dokonałaś adaptacji.
- Przynajmniej nie będę się tak napychać dokonując instalacji kryształów. – Na niektórych planetach, zwłaszcza młodych, tak jak Trundomoux, gdzie żywność była wciąż w cenie, zdrowy apetyt uznawano za coś skandalicznego.
- Nie, najprawdopodobniej prześpisz większość czasu – skończył zupę i zainteresował się kolejnym daniem. – Jutro Trag poinstruuje cię co do procedury instalacyjnej. Niedawno otrzymaliśmy kolejny komunikat z Trundomoux, ostatecznie potwierdzający zamówienie. Z tego, co wiem, część życzliwiej nastawionych ludzi nazywa mieszkańców tego układu Trundolami, podczas gdy bardziej wyrafinowani wolą nazwę Moux.
- Co takiego? – spytała ze śmiechem Killashandra.
- Nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek użyła któregoś przezwiska.
- Dwa kryształy zostaną umieszczone na ruchomych stacjach górniczych. Trundomoux ma trzy pasma asteroidów. To dlatego stać ich na czarny kryształ. – Lanzecki prychnął. – Wokół nich krążą złoża rudy warte majątek. Wystarczy tylko sięgnąć. Trzecia bryła znajdzie się na jedynej zamieszkannej planecie, czwarta i piąta powędrują na największe księżyce globów lodowego i gazowego. Górnicze operacje Trundomoux mocno ostatnio ucierpiały z braku natychmiastowej komunikacji. Zastawili zatem połowę pasma i, jak sędzę, wkrótce spłacą ten dług. Pierwotnie z całego układu wykorzystywano jedynie złoża rud na asteroidach. Kilkanaście potężnych masowców przewoziło metal do najbliższych przetwórni, chyba na Balisdel. Balisdelianie stali się jednak zbyt chciwi, górnicy zbuntowali się, zasiedlili najlepszą planetę i jeden z zewnętrznych księżyców. Po siedemdziesięciu pięciu latach dorobili się sporego majątku.
- Wystarczającego na zakup czarnego kryształu.
- Mają już połączenie z Balisdel i dwoma innymi układami, to jednak ma być ich pierwsze łącze wewnętrzne. Może yarrańskiego piwa?
- Killashandra wybuchnęła śmiechem.

– Kto w ogóle pił yarrańskie piwo, zanim przybył tu Rimbol? Oczywiście, oprócz ciebie.

– Nawet ja nie byłem pierwszym, który dokonał tego odkrycia. Jeżeli śpiewak kryształu w ogóle może się od czegoś uzależnić, to najprędzej właśnie od piwa.

Killashandra odniosła wrażenie, iż tego wieczoru Lanzeckiego coś gnębi. Nie było to zmęczenie, bowiem jak na mężczyznę jego postury Cechmistrz poruszał się wyjątkowo lekko.

– Zapomniałem już, jak wspaniale smakuje – ciągnął wracając z dzbankiem i dwoma kubkami.

– Czy to Przejście będzie naprawdę takie ciężkie? – spytała.

Nim odpowiedział, pociągnął długi łyk napoju. Jego oczy zaślnęły, a wyraz ust zdecydowanie złagodniał.

– Zawsze uwzględniamy w naszych założeniach najgorsze i zazwyczaj nie doznajemy rozczarowania. W ten sposób każde kolejne wyzwanie, jakie rzuca nam nowe Przejście, staje się nieodparte. Stajemy naprzeciw sił, które, choć niezmiennie, stale ulegają zmianom, i jak każde naturalne zjawisko nie dają się przewidzieć.

Killashandrę zdumiała ta niespodziewana filozofia. Czyżby myliła się co do nastroju Lanzeckiego?

– Tobie się to podoba! Naprawdę podoba!

– Hmmm. Nie. „Podoba” to niewłaściwe słowo. Już prędzej pobudza do walki. – Drażnił się z nią. Zdradzał to lekki uśmieszek. Nie, nie tylko drażnił – to było coś głębszego, może właśnie ów przygniatający go ciężar? – Przestań myśleć i jedz. Zamówiłem coś specjalnego, mam nadzieję, że będzie ci smakowało. O tej porze ballybrańskiego roku służby kuchenne szczególnie się starają. Nie możemy stracić tej okazji.

Dziś apetyt Lanzeckiego dorównywał jej własnemu. Oboje oddali się rozkoszom smakowania najbardziej egzotycznych i wykwinnych potraw kuchni całej Federacji. Lanzecki był prawdziwym koneserem i obiecał Killashandrze, iż kiedyś sam osobiście przygotuje dla niej cały posiłek.

– Kiedy jedzenie przestanie już być koniecznością, jak teraz, i z powrotem będziemy mogli rozkoszować się nim w spokoju.

– Teraz nie mamy spokoju?

– Niezupełnie. Gdy tylko nasycę swe symbiotyczne ja, muszę ponownie spotkać się z obsługą meteorologiczną.

Z trudem opanowała rozczarowanie na wieść, że wspólna kolacja nie stanie się wstępem do kolejnej miłosnej nocy.

– Dziękuję ci, serce moje – powiedział.

– Dziękujesz mi? Za co?

– Za to, że... wiesz.

Przez długą chwilę spoglądała na niego w milczeniu.

– Jesteś pewien, że telepatia nie należy do twych symbiotycznych...

– Zdecydowanie nie! – słowa Cechmistrza zabrzmiały śmiertelnie poważnie, lecz Killashandra nie była pewna, co wyrażają jego usta.

Łyskawicznie przeanalizowała swoje niektóre reakcje na niego i westchnęła. .

– Cóż, szkoda, że nie możesz zostać!

Lanzecki roześmiał się, po czym ujął jej dłoń i ucałował lekko. Nie tak lekko jednak, by ciało nie odpowiedziało na dotyk jego warg.

– Nigdy nie miałem zamiaru naruszać twojej prywatności, Killashandro, szczególnie gdy obserwowałem niespokojne zmiany i wędrówki twych myśli. Lubię to. Lubię też ciebie. – Cechmistrz wstał. – Gdyby nie spotkanie z kontrolą burzową... – ponownie musnął wargami jej dłoń, po czym szybkim krokiem opuścił pokój.

Pozwoliła, by ręka bezwładnie opadła na kolana. Wdzięczny komplement Lanzeckiego nadal dźwięczał jej w uszach. Jeden z najpiękniejszych, jakie jej kiedykolwiek powiedziano.

O dziwo, fakt, iż Cechmistrz naruszył bezcenną fuertańską prywatność, niegdyś jej najdroższy skarb, nie wzruszyła Killashandry. Skoro Lanzeckiemu podobało się to, co ujrzał... Pociągnęła łyk yarrańskiego piwa. Jak bardzo zmieniła się od czasu, gdy szarpana bólem wyruszyła ruchomym chodnikiem w podróż bez celu, która zawiodła ją do kosmoportu Fuerte! Ile z tych zmian zawdzięczała swemu „symbiotycznemu ja”? To zresztą również stanowiło naruszenie prywatności, na które wyraziła zgodę w obliczu przedstawiciela FPR.

Teraz, kiedy trzymała w swej dłoni wibrujący kryształ, a światło i dźwięk otaczały ją migotliwym obłokiem, nie żałowała już utraconej prywatności. Inwazja obcego organizmu stanowiła przepustkę do nowego świata.

Killashandra zaśmiała się lekko. Skończyła piwo. Była najedzona i śpiąca, a jutro czekał ją męczący dzień. Miała nadzieję, że Trag nie dostał raportu od Enthora, opisującego, jak nierówne były jej pierwsze cięcia.

Następnego ranka po solidnym śniadaniu zameldowała się u Traga w pokoju ćwiczeń. Inni członkowie Klasy 895 pracowali już pod nadzorem Concery i jeszcze jednego członka Cechu. Killashandra przywitała się ze starszą śpiewaczką i uśmiechnęła do reszty.

Trag skinieniem głowy wskazał jej boczne drzwi. Posłusznie poszła za nim. I przeżyła podwójny wstrząs, bowiem tam, na roboczym stole, pośród instalacyjnych obejm i wyściółki leżało pięć czarnych kryształów. A ona nie zareagowała na ich obecność!

– Nie przejmuj się. – Trag wziął jedną z brył i niedbale rzucił ją Killashandrze.

Otworzyła usta, by przekląć go z całego serca, w tym momencie jednak przedmiot dotarł do jej rąk i wiedziała już, że to nie czarny kryształ.

– Nigdy więcej nie strasz mnie w taki sposób! – czuła w gardle palący smak wściekłości.

– Nie sądziłaś chyba, że ryzykowalibyśmy czarny na ćwiczeniach. – Trag z przyjemnością obserwował jej furję.

– Jestem nowa w tej grze i nie mam pojęcia, jakie podejmujecie ryzyko – odparła, z trudem opanowując gniew. Zważyła bryłę w dłoni i zapragnęła cisnąć nią z powrotem w Traga.

– Spokojnie, Killashandro – mężczyzna w ochronnym geście uniósł rękę. – Wiedziałaś, że to nie czarny kryształ, w chwili gdy weszłaś do tego pokoju!

Chłód w jego głosie przypominał jej, iż Trag należał do najwyższych urzędników Cechu.

– Miałam dość niespodzianek w Pasmach i wołałabym uniknąć ich tutaj. – W miarę jak jej panika zniknęła, Killashandra przypominała sobie, że Trag zawsze traktował ją doskonale bezosobowo. Najwidoczniej jej związek z Lanzeckim przesłaniał inne uczucia.

– Działanie w nieprzewidzianych okolicznościach musi stać się drugą naturą śpiewaka. Niektórzy ludzie nigdy nie potrafią się tego nauczyć – wzrok Traga powędrował z powrotem ku drzwiom sąsiedniej sali. – W tej chwili udowodniłaś, że na twoim instynktownym wyczuciu czarnego kryształu można polegać. Teraz – odebrał jej ciężar – zajmijmy się pracą, do której przygotowano tę piątkę.

Dopiero wtedy Killashandra uświadomiła sobie, iż pięć sztucznych kryształów odlano dokładnie na wzór jej czarnego kwintetu, łącznie z krzywiznami, nieprawidłowymi kątami i wielkością.

– Ta substancja ma identyczną wytrzymałość na rozciąganie i stopień rozprężania co czarny kryształ, choć poza tym ich właściwości w niczym się nie pokrywają. Dzisiaj musisz nauczyć się prawidłowo instalować kryształ w obejmach dość mocno, by zabezpieczyć go od wibracji, ale nie tak silnie, aby zakłócić drgania wewnętrzząsteczkowe. – Zademonstrował jej wydruk, pełen wykresów i tabel. – Tak ma wyglądać kolejność i konfiguracja łączy Trundomoux – wskazując kolejne pozycje, stuknął palcem w odpowiednie bryły, powtarzając

informacje Lanzeckiego. – Numery jeden i dwa, najmniejsze, znajdują się na stacjach wydobywczych, trzeci na satelicie gazowej planety, czwarty – na księżycu planety lodowej, a piąty, największy, na zamieszkaney. Ty i tylko ty możesz zajmować się kryształem.

– Czy to należy do polityki Cechu? – jak wiele musiała jeszcze dowiedzieć się na temat tego skomplikowanego zawodu!

– Pomijając inne względy, nikt w układzie Trundomoux nie posiada wystarczających kwalifikacji – w słowach Traga brzmiała wyraźna dezaprobata.

Killashandrę zaciekało, czy prywatnie uważał ich za Trundoli, czy za Moux.

– Myślałam, że dział handlowy zajmuje się instalacją.

– Zazwyczaj tak – zimny ton głosu ostrzegał, by nie zadawała więcej pytań.

– Cóż, przypuszczani, iż nie wrobiliby mnie w tę robotę, gdyby nie to, że straciłam sanie, i to tak blisko Przejścia. Jej komentarz nie wywołał najmniejszej reakcji.

– Zapamiętaj to sobie – poradził Trag i dodał z nieoczekiwaną ironią: – jeśli zdołasz.

Instalowanie kryształu w wyściełanych obejmach nie było tak łatwe, jak uprzednio sądziła, z drugiej jednak strony Killashandra szybko odkryła, że w Cechu Heptyckim nic nie jest tak łatwe, jak na to wygląda. Mimo to pod wieczór, z obolałymi mięśniami i ścięgnami, drżącymi z wyczerpania rękami, które przez cały dzień musiały wykonywać drobne, precyzyjne ruchy, i piekącymi od bezustannego wpatrywania się w odczyty oczami uznała, iż rozumie już cały proces.

Filozoficznie przyjęła stwierdzenie Traga, że następnego dnia powtórzą całą procedurę. Podczas prawdziwej instalacji wszystko musi być zgrane do perfekcji. Członkowie Cechu cieszą się dobrą reputacją, której nie wolno narazić na szwank, toteż Killashandra postanowiła, iż odegra swoją rolę dokładnie wedle wskazówek Traga, choćby miała to być jedyna instalacja w jej karierze. Ponieważ zaś najwyraźniej zastępca Lanzeckiego podzielał te poglądy, perfekcjonizm Traga przestał irytować.

Lanzecki znów dołączył do niej podczas wieczornej „wyżerki”, lecz natychmiast po skończeniu posiłku przeprosił i wyszedł. Tym razem nie zmartwiła się specjalnie, padała bowiem ze zmęczenia.

Następnego dnia w porze obiadowej zasłużyła sobie wreszcie na niechętną pochwałę Traga – sprawna, szybka i umiejętna instalacja po raz pierwszy zmieściła się w arbitralnie ustalonym przez nauczyciela limicie czasowym.

– Czemu nie dasz mi więcej czasu? – spytała. – Założenie łączy między ludźmi winno stać się okazją do radości.

– Bo nie będziesz go miała – odrzekł Trag. – Dośrodkowy kurs antygrawitacyjny nie pozwala na zmarnowanie choćby sekundy. Nie będziecie mieli ani chwili do stracenia.

Nie dając jej szansy na zadanie jakiegokolwiek pytania, skinął głową i wyszedł. Może Lanzecki będzie w lepszym nastroju. Jeśli, uściśliła w myślach, w ogóle przyjdzie na kolację.

Kolację? Już w tej chwili umierała z głodu. Przechodząc przez główną salę szkoleniową ujrzała Rimbola, który pod nadzorem Concery ukończył właśnie ukośne cięcie.

– Macie ochotę coś zjeść? – spytała.

– Zjeść? Natychmiast! – Rimbol w odpowiedzi niemal jęknął, a Concera zaniósła się śmiechem.

– Najpierw skończ ostatni szlif – poleciła.

– Zajmij nam stół! – Rimbol machnął dłonią w ponagląjącym geście i skupił całą uwagę na swej pile.

Killashandra ruszyła prosto do jadalni i odkryła, że sala roi się od ludzi. Stoły były pozostawiane najróżniejszymi potrawami – niemymi świadkami problemów, jakie stawiał

przed ludźmi instynkt ich symbionta. Miała właśnie zamówić coś, co mogłaby przegryzać podczas poszukiwań wolnego stołu, gdy z jednej z kabin wymaszerowała spora grupka obiadowiczów. Killashandra pośpiesznie chwyciła kilka dzbanków piwa i postawiła je na stole, by nikt go już nie zajął. Następnie odebrała pierwsze zamówienie i zjadła w najlepsze, gdy dołączyli do niej Concera, Rimbol i dwójka innych uczniów Klasy 895.

Posiłek przebiegał w miłej atmosferze. Wszyscy obecni co chwila zamawiali nowe, niezwykle dania – odkrycia czasu głodu.

– Dobrze jest spotkać nowych członków – oznajmiła wesoło Concera, wymachując kubkiem. – Przypominają nam o rzeczach, o których dawno zapomnieliśmy. Oczywiście nie pamiętani, kto to był ostatnim razem, ale yarrańskie piwo jest naprawdę znakomite.

Rimbol wstał i uklonił się zebranym.

– Powstańmy. Wypijmy za yarrańskich piwowarów. Niech pamięć o nich nie zginie – nawet na Ballybranie.

Kompania pośpiesznie zerwała się na nogi, lecz zanim zdążyli wychylić toast, potrącony stół przewrócił się i trzeba było zetrzeć podłogę. Zamówiono więcej piwa.

Killashandrę ogarnęło poczucie wspólnoty, przynależności do grupy. Często obserwowała coś takiego w Centrum Muzycznym, nigdy jednak nie należała do zakłętego kręgu przyjaźni. Przypuszczała, iż był to ów szczególny dar Rimbola – najmniejsza okazja wystarczyła mu, by przemienić zwykłe spotkanie w radosną zabawę. Prawie nic nie mówiła, dużo się uśmiechała i z przyjemnością pałaszowała obiad.

Siedząc naprzeciw głównej sali przyglądała się ludziom. Odkryła, że jest w stanie rozpoznać większość wysokich funkcjonariuszy Cechu, jak również śpiewaków, którzy właśnie wrócili z Pasm. Część z nich sprawiała wrażenie spiętych, nerwowych i wyraźnie zagubionych pośród tłumu. Inni, choć również zbici z tropu przez panujący gwar, wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie. Ci nerwowi nie znaleźli dość kryształu, by wyjechać, pomyślała Killashandra, w odróżnieniu od pozostałych szczęśliwców. I rzeczywiście, kiedy do środka weszli Borella z Olinem w towarzystwie drugiej pary śpiewaków, cała grupka zachowywała się wyjątkowo hałaśliwie. Zdaniem Killashandry okazywali swą radość zbyt ostentacyjnie, poszeptując między sobą, wybuchając donośnym śmiechem i rozglądając się po milczących współbiesiadnikach z udawanym współczuciem.

Choć Rimbol wymieniał żarty z Concerą i Celeem, on także zauważył grupkę Borelli.

– Czy wiesz? – spytał przyciszonym tonem. – Ona nie pamięta żadnego z nas!

– Wiem. Odkąd zostaliśmy zwerbowani, była już w Pasmach. – Killashandra mówiąc to uświadomiła sobie, iż nie jest to zadowalające wytłumaczenie. Rimbol też zdawał sobie z tego sprawę.

– Wiem, wiem, ale minęło zaledwie kilka miesięcy – błękitne oczy Rimbola pociemniały z niepokoju. – Czy tak szybko stracimy pamięć?

– Borella śpiewa od bardzo dawna. – Killashandrę również dręczyły wątpliwości. – Czy założyłeś już plik z osobistymi danymi? Świetnie. W ten sposób możemy zapamiętać to, co najważniejsze.

– Ciekawe, co ona uważa za ważne. – Rimbol spojrzał na Borellę spod przymrużonych powiek.

– Opuszczenie planety na czas Przejścia! – nawet w jej uszach własne słowa zabrzmiały ostro. Rimbol popatrzył na nią w zdumieniu, po czym roześmiał się. – Słyszałam kiedyś jej rozmowę z tym wysokim gościem, Olinem – dodała już spokojniej. – Słuchaj, czy miałeś jakiegokolwiek wieści od Shillawna?

– Jasne. Zresztą jutro mamy się tu spotkać. Przyjdziesz? Killashandra odpowiedziała spokojnie na jego lekko wyzywające spojrzenie.

– Jeśli będę wolna. Kazali mi zawieźć kilka kryształów do układu Trundomoux. Ponieważ już cięłam kryształ, mam być szczególnie wrażliwa na zakłócenia, towarzyszące Przejściu, więc najwyraźniej postanowili wykopać mnie stąd.

– Kiedyś sądziłem, że z łatwością dotrzymam ci kroku, Killa – w głosie Rimbola zabrzmiał smutek.

– Co masz na myśli? – Killashandra poczuła, jak szarpia ją niespodziewane emocje: desperacja, zdenerwowanie i poczucie, iż coś straciła. Nie chciała utracić przyjaźni Rimbola. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Jesteśmy kumplami, pamiętasz? Klasa 895.

– Jeśli będziemy pamiętać.

– Co z tobą, Rimbol? Tak dobrze się bawiłam. – Killashandra wskazała resztę towarzystwa, zaśmiewającą się, plotkującą i dojadającą resztki obfitego posiłku. – Nie miałam zbyt wielu okazji, by spotkać się innymi przez ten cholerny Przeskok Mikeleya, potem musiałam lecieć w Pasma w towarzystwie tego superświra Moksoona...

– Nie wspominając o tym, że znalazłaś czarny kryształ. Odetchnęła głęboko, opanowując wściekłość, jaka ogarnęła ją na to wyraźne oskarżenie.

– Kiedy... – zaczęła wolno, cedząc słowa – znajdziesz się w Pasmach w poszukiwaniu kryształu, zrozumiesz, dlaczego nie mogłam ci tego wyjaśnić – wstała i poczuła, jak wątku nie wspólnoty nieodwołalnie pęka. – Pozdrów ode mnie Shillawna, oczywiście, jeśli będziesz pamiętał.

Minęła zaskoczoną Concere, która próbowała zaprotestować przeciwko tak nagłemu odejściu.

– Zostaw ją, Concera. Ma na głowie dużo ważniejsze sprawy. Maszerując szybko w stronę głównego wyjścia, Killashandra niemal wpadła na Traga, który właśnie wszedł do jadalni.

– Killashandra? Czy ty w ogóle nie sprawdzasz pilnych wezwań? – wskazał ekran na ścianie. Migąło na nim jej nazwisko. Trag ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę wind. – Statek Trundomoux zacumował już przy Shankillu. Specjalnie dla ciebie zatrzymaliśmy prom.

– Statek Trundomoux? Już? – Killashandra obejrzała się na opuszczony przed chwilą stół. Jedynie Concera spoglądała w jej stronę. Pomachała jej uspokajająco.

– Zyskali nieco czasu podczas okrążenia ostatniego słońca i dotarli tu z wyprzedzeniem. Nie mogą zbyt długo czekać, bo tracą cały rozpęd.

– Potrzebuję tylko kilku rzeczy...

Trag niecierpliwie potrząsnął głową i wepchnął ją do oczekującej windy.

– W bazie przygotują ci bagaż. Wszystko inne, twoje potrzeby, utrzymanie i wydatki pokrywają mieszkańcy Trundomoux. Teraz nie ma już czasu.

Protesty Killashandry ucichły. Jej początkowe zagubienie zmieniło się w złość. Nagły wyjazd nie tylko uniemożliwiał jej jakiekolwiek porozumienie z Rimbolem, ale najwyraźniej nie miała się już zobaczyć z Lanzeckim. A może on sam zaplanował dla niej równie

pośpieszny wyjazd, aby nie mogła go skompromitować? Po tym, jak zaatakował ją Rimbol, łatwo było uwierzyć w nieczyste intencje Cechmistrza.

Może Przeskok Mikeleya rzeczywiście stanowił błogosławieństwo, ale to „szczęście” rozdzieliło ją z jedyne przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miała, i pozostawiło całkowicie samotną, podatną na wszelkie spekulacje, domysły i oskarżenia.

– Nie oczekiwaliśmy, że Trundomoux przybędą tak wcześnie – oznajmił Trag – lecz biorąc pod uwagę bliskość Przejścia, przypadek ten może się okazać fortunny... – Podczas kiedy zastanawiała się nad znaczeniem tych tajemniczych słów, wcisnął jej w objęcia stos wydruków. – Od Antony. Masz wszystko przeczytać. To porady medyczne dotyczące przystosowania symbiotycznego i uzupełniania energii, więc zapoznaj się z nimi uważnie. Kryształy znajdują się już na pokładzie promu, zamknięte w specjalnie zabezpieczonej ładowni. Oto twój identyfikator cechowy – podał jej cienki folder, podobny do tego, który widziała u Carrika – i bransoleta Cechu – zapiał ją wokół przegubu dziewczyny. – Dzięki nim zyskujesz dostęp do wszelkich rządów planetarnych, włączając w to Sesję Federacji Planet Rozumnych. Choć to kupa nudziarzy i nie wiem, jak obecna misja mogłaby doprowadzić cię do spotkania z nimi. Ale mądrze jest przygotować się na wszelką ewentualność.

Dostęp do Sesji Federacji Planet Rozumnych? Killashandra nie sądziła, by Trag mógł żartować na temat podobnego przywileju. Na myśl o tak wielkim prestiżu jej depresja zniknęła.

Dotarli do poziomu hangaru i dłoń Traga pchnęła ją naprzód ku czekającemu promowi. Stojący na rampie oficer ponaglał ich do szybszego kroku. Trag przyspieszył i Killashandra zapragnęła nagle z całych sił oprzeć się, zatrzymać. Desperacko rozejrzała się po ogromnej hali w poszukiwaniu Lanzeckiego.

– No dalej! Dalej! – wrzeszczał oficer pokładowy. – Spóźnialscy zabiorą się jutrzejszym promem!

– Cisza! – Trag obrócił Killashandrę w momencie, gdy stanęła na pochylni. – Cechmistrz pokłada ogromne zaufanie w twoich umiejętnościach. Nie sądzę, aby się mylił. Lanzecki życzy ci szczęśliwej podróży i bezpiecznego powrotu. Pamiętaj!

Z tymi słowy zawrócił na pięcie, pozostawiając osłupiałą

Killashandrę, w której uszach wciąż jeszcze dźwięczało echo jego ostatnich słów.

– Nie mogę zamknąć trapu, póki na nim stoisz! – zawołał potulnym głosem oficer.

Oszołomiona, pośpiesznie wbiegła na pokład. Trap powędrował w górę i drzwi pojazdu zasunęły się z głośnym sykiem.

– Nie stój tak. Zajmij miejsce – ktoś z załogi popchnął ją ku rufie.

Odruchowo zapięła pasy, nadal trzymając w obu rękach instrukcje Antony i zestaw identyfikacyjny. Po chwili złożyła papiery na kolanach i odprężyła się, podczas gdy prom uniósł się na poduszce powietrznej i wypłynął z hangaru. Pojazd nie miał okien, toteż Killashandrze wydało się, że minęły wieki, nim poczuła falę mocy, towarzyszącą uruchomieniu kryształowego napędu. Opadła w tył na fotel, kiedy prom wreszcie wystartował. Nagły wzrost ciężenia powitała z radością. Może ściskająca ciało i kości siła zdoła wyrzucić z jej głowy nieprzyjemne myśli?

Nagle prom wydostał się poza ciężenie Ballybranu i wśród nieważkości Killashandra poczuła, jak wraca jej rozsądek. Po pierwsze, zbudowała osobistą tragedię wokół dwóch zupełnie nie związanych z sobą faktów: dziwnie agresywnej postawy Rimbola podczas pod innymi względami uroczego spotkania, kiedy zdołała zupełnie się odprężyć, oraz postępowania Lanzeckiego. Dodajmy do tego jej tendencję do dramatyzowania i półświadome poczucie winy związane z łatwą adaptacją, wypadek Keborgena, niespodziewaną przyjaźń Lanzeckiego, pierwszą, pełną przygód wyprawę w Pasma i zwiastujące nadejście Przejścia przewrażliwienie.

No tak. Odetchnij głęboko i zastanów się. Rimbol także był przewrażliwiony. Trag zaś nie tylko zaprowadził cię na prom, ale też przekazał trzy różne wiadomości: Cechmistrz jej ufał. Co dziwniejsze, Trag również podzielał to zaufanie, a ze wszystkich nauczycieli, jakich znała, jego najtrudniej było zadowolić. A Lanzecki życzył jej szczęśliwej podróży i bezpiecznego powrotu.

Killashandra uśmiechnęła się. Nowo zyskana pewność siebie sprawiła, iż przestała uważać swój nader pośpieszny wyjazd za coś więcej niż zwykły przypadek. Ostatnio jednak w ogóle los jej sprzyjał. Od chwili gdy sortowacz zatrudnił jej klasę do pomocy przy kryształach i Enthor wybrał akurat ją, poprzez jej wrażliwość na czarny kryształ, Przeskok Mikeleya, którego wedle słów Antony nikt nie jest w stanie przewidzieć. Przypadek kierował krokami Killashandry, gdy wyruszyła wraz z ekipą ratunkową na pomoc Keborgenowi. To prawda, dedukcja i analiza faktów pomogły jej wyznaczyć trasę lotu zmarłego śpiewaka. Przedwczesna wyprawa w Pasma nastąpiła na polecenie Lanzeckiego, który działał kierowany interesem Cechu – należało utrzymać bezcenną działkę. Jednak mogła przecież jej nie znaleźć, mogła zmylić ją świeża farba znacznika. Ciekawe, jak burze Przejścia wpływają na farbę?

Nagle przypomniała sobie wiadomość od Antony i, wsunawszy folder Cechu głęboko do kieszeni, rozwinęła wydruk.

Antona sprawdziła, jakie rodzaje pokarmów są dostępne w układzie Trundomoux i sporządziła listę tych, które najlepiej zaspokoją potrzeby Killashandry. Lista była zatrważająco krótka. Antona przypominała młodej śpiewaczce, iż jej apetyt ustąpi, natomiast kiedy nadejdzie Przejście, może zacząć nękać ją stała senność. Zdarzało się to najczęściej wtedy, gdy symbiont i nosiciel jeszcze nie do końca przystosowali się do siebie. Lekarka radziła jej, by ukończyła instalację najszybciej, jak to będzie możliwe, i dołączyła do wydruku łagodny środek pobudzający, który czasowo pokona senność. Killashandra miała nie wracać na Ballybran, póki nie minie Przejście, a in dalej znajdzie się od planety, tym lepiej.

Cały przekaz, zapisany przez sterowaną głosem drukarkę, przypominał Killashandrze Antonę i jej łagodny uśmiech. Poczula wdzięczność w obliczu sympatii i umiejętności przewidywania, które powodowały autorką wiadomości. Jej niepewność zniknęła, w myślach powtórzyła raz jeszcze wszystkie procedury instalacyjne, których nauczył ją Trag. Zarówno on, jak i Lanzecki jej ufali. Niech więc tak będzie.

Wsteczny ciąg silników i dziwne kołysanie promu wskazywały, iż pojazd manewruje przy wejściu do doków bazy. Poczula wstrząs świadczący o tym, że manewry się zakończyły.

– Niezgrabiasz! – stwierdził znajomy głos kilka rzędów przed Killashandrą.

– Zapewne jeden z twoich ostatnich rekrutów popisuje się przed nami – odparł przeciągle Olin.

Killashandra pomyślała, że naprawdę musiała być półprzytomna, kiedy wsiadała na pokład, skoro nie zauważyła Borelli i jej towarzysza. Właśnie odpięła pasy, gdy ze zdumieniem usłyszała w ustach Borelli własne nazwisko.

– Killashandra Ree? – powiedziała śpiewaczka znajomym, pogardliwym tonem. – A skąd mam wiedzieć, czy jest na pokładzie? Nie znam jej.

Całkowita obojętność na zapewne uprzejme pytanie rozwścieczyła Killashandrę. Nie dziwota, że śpiewacy kryształu nie cieszyli się najlepszą opinią.

Kiedy dotarła do drzwi, przystanęła nagle, bowiem jej wyczulony wzrok zaatakowała feeria barw mundurów dwóch oczekujących przy wejściu ludzi. Na ich piersiach widniały obce emblematy o jaskrawych, oślepiających i całkowicie niezharmonizowanych kolorach: planeta i dwa księżyce, otoczone dwoma ruchomymi pasmami asteroidów. Przemykając na moment oczy Killashandra zdecydowała, iż wrażenie ruchu musi pochodzić od oddechu odzianych w mundury przybyszów.

– Jestem Killashandra Ree – oznajmiła uprzejmie, w duchu jednak niemal zrozumiała, skąd wzięła się arogancka reakcja Borelli. W oczach ludzi po adaptacji, operujących w odmiennym spektrum barw, uniform Trundomoux był nie do zniesienia.

– Gwiazdny kapitan Francu z Marynarki Trundomoux, do pani usług, członkini Cechu Ree – sztywnym gestem wskazał swego towarzysza. – Starszy porucznik–inżynier Tallaf.

Mrużąc oczy zdołała częściowo wyeliminować odrażające kolory i docenić, że przybysze są wyjątkowo przystojni. Podobnie jak większość pilotów byli smukli i wysocy, w tej chwili zaś – najwyraźniej podenerwowani. Trema?

W wejściu do śluzy pojawił się pilot promu, stanowiący w swym zwykłym kombinezonie całkowite przeciwieństwo oficerów z Trundomoux.

– Jesteście ze statku Trundoli? Ładunek można odebrać na niższym pokładzie.

Killashandra ujrzała, jak kapitan Francu skrzywił się na dźwięk popularnego przezwiska. Wydało jej się, iż porucznik był tym raczej rozbawiony.

– Starszy porucznik–intendent Pendel zajął się wyładunkiem, kapitanie...

– Starszy kapitan Amon, Francu. Czy Pendel został dokładnie poinstruowany co do kryształu? Francu zeszywniał.

– Gdzie dokujecie? – ciągnął Amon spoglądając na swą bransoletę.

– Nasz krążownik – Francu podkreślił typ statku wyjątkowo nadętym tonem – znajduje się na trajektorii hiperbolicznej. – Killashandrę ogarnęło nagłe przeczucie, iż jej towarzysz podróży musi być wyjątkowym nudziarzem.

– Och, zatem kupiliście siedemdziesiątkósemkę – odparł Amon z tak wspianym lekceważeniem, że Killashandra musiała powstrzymać śmiech. Oficerowie wymienili zaskoczone spojrzenia. – Faktycznie, w którejś z waszych starych pięćdziesiątkdziewiątek nie dotarlibyście tu tak szybko. To dla ciebie prawdziwy komplement, Killa – w końcu polecisz ich najnowszym statkiem.

Killashandra była przekonana, że nigdy wcześniej nie widziała Amona na oczy, dostrzegła jednak lekkie mrugnięcie, jakie towarzyszyło zdrobnieniu.

– Nie sądzę, aby komplement ten przeznaczony był dla mnie, Amonie – uśmiechnęła się ze zrozumieniem – lecz raczej dla czarnych kryształów.

– Wy, Trundole, macie szczęście, że dostaliście ten kwintet. – Amon również zorientował się, jak bardzo to przezwisko irytuje kapitana Francu.

– Ostatecznie układ Trandoumox otrzymał priorytet FPR – odrzekła dyplomatycznie, wiedząc, że musi podróżować z tymi ludźmi. Amon świetnie się bawił, doprowadzając Francu do wrzenia, ona jednak powinna zachować umiar.

– To prawda. Killa, jest jeszcze parę drobiazgów... – poprowadził ją w stronę wyjścia Cechu.

– Kapitanie Amon, zapewniano nas, iż po przybyciu członkini Cechu nie będzie już dalszych opóźnień... – bransoleta Francu zapiszczała. – Tak? Zabezpieczone? Będziemy w ładowniku...

– Killashandra musi najpierw odmeldować się w centrum dowodzenia Bazy Shankill, kapitanie. Musicie na nią zaczekać w... gdzie cumuje wasz ładownik?

– Poziom 4, wyjście 18 – słowom Francu towarzyszyło gniewne, a jednocześnie pełne obaw spojrzenie. – Jesteśmy na hiperbolicznej.

– To nie potrwa długo.

Amon pociągnął ją za sobą i Killashandra zdążyła jedynie przesłać zdumionym oficerom uspokajający uśmiech.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała gwałtownie, uwalniając ramie, gdy tylko drzwi zasunęły się za ich plecami. – Jeśli są na hiperbolicznej, mamy niewiele czasu, by dotrzeć do ich krążownika.

– Tutaj! – ponownie złapał jej rękę i pociągnął do bocznej salki. Natychmiast otoczyły ją woń jedzenia i Killashandra poczuła, jak bardzo jest głodna. Jęknęła.

– Jedz! – rozkazał Amon. – Musisz wepchnąć do żołądka tak wiele, jak tylko zdołasz – wsunął jej w usta kilka owoców pieprzowca. – Dopóki krążownik będzie leciał na napędzie wewnętrzkładowym, nie dostaniesz tam nic do jedzenia. Siedemdziesiątkósemki są pozbawione selektorów i innego luksusowego wyposażenia, a podczas rozpędzania statku mesa będzie zamknięta. Padniesz z głodu. Mam tu wszystko, czego możesz potrzebować podczas podróży. Wiem, że wśród załogi Trundoli są również kobiety, lecz ich mundury nie nadają się dla śpiewaków. Wypaliłyby ci oczy. W zestawie znajdziesz soczewki korygujące, które obniżą nasycenie barw do mniej więcej znośnego poziomu. – Amon recytował spis wyposażenia, po kolei sprawdzając zawartość niewielkiej torby. – Kilka zmian ubrań, ale wszystko najwyższej jakości. Dam ci też zapas żywności. Musimy naprawdę się pośpieszyć, skoro tkwią na hiperboli. Te ich pasy asteroidów chyba rzeczywiście przynoszą niezły dochód, jeśli stać ich było na siedemdziesiątkósemkę – dodał z podziwem. – Widziałem, ile przywieźli zasobników. Ale Cech i tak z pewnością ich wykiwał. Masz, spróbuj tych orzechów. Pełno w nich witamin i innych niezbędnych składników. Słyszałem, że lubisz yarrańskie piwo. Popij. Dobra. A teraz jeszcze słówko przyjacielskiej przestrogi. W obecności tych wieśniaków odgrywaj śpiewaczkę kryształu do kwadratu. Ten kapitan nie sprawia zbyt korzystnego wrażenia, widziałem już wielu takich. Jedz! Nie mogę zatrzymać cię zbyt długo – pośpiesznie zamykał nienaruszone pojemniki z jedzeniem i wpychał do jej bagażu. Zabrzęczała bransoleta: – Słucham? Tak, wiem. Czysta formalność? Do diabła, ona konała z

głodu, baranie. Nadchodzi Przejście, a znasz przecież krążowniki. Będziemy za milisekundę.

– Amon przewiesił sobie torbę Killashandry przez ramię, chwycił w jedną dłoń talerz niewielkich chrupkich kwadratów, w drugą złapał dzbanek yarrańskiego piwa. – Możesz jeść po drodze, ale Francu szaleje w dowództwie. Narzeka na spóźnienie. Czy ktoś uprzedził cię o atakach senności? – Amon prowadził ją w dół korytarza, ku bocznym windom.

– Antona o nich wspomniała. Mam instrukcje i środek pobudzający.

– W bagażu znajdziesz opakowanie różowych tabletek. Cholera! I dopiero co wróciłaś z Pasm! To nie fair w stosunku do ciebie, wiesz.

– Trag nauczył mnie instalacji.

– Trag? A, przyboczny Lanzeckiego. – Amon spojrzał na nią z szacunkiem. – Nie chodzi o to, co masz zrobić, ale gdzie i z kim. Trundole to idealny przykład tego, co nazywamy Problemem. No, jesteśmy. Odetchnij głęboko, mała, i od tej chwili wkraczasz na scenę jako członkini Cechu Heptyckiego. Powodzenia!

Amon wyrwał jej talerz, gestem nakazał, by otarła usta. Drzwi windy rozsunęły się.

Killashandra zamrugała, gdy wściekle kolory uniformów sześciuosobowej, sztywnej eskorty niemal ją oślepiły. Po chwili znalazła się w oczekującym ładowniku. Ledwie zdążyła wymamrotać słowa podziękii w stronę Amona, który pozdrowił ją wesołym, nieoficjalnym salutem, gdy zatrzasnęła się służa. Killashandra o mało nie upadła na pojemnik z kryształem, przymocowany dokładnie pośrodku wąskiego przejścia. Dostrzegła znajomy dwunastościan Cechu i zaskakująco wielki symbol Trundomoux. Nawet ich znak promieniował natrętymi barwami. Kapitan wskazał dla niej miejsce, a porucznik sprawdził zabezpieczenia fotela.

Ku zaskoczeniu Killashandry kapitan zajął miejsce przy sterach, Tallaf natomiast przysiadł na tradycyjnym fotelu drugiego pilota – nieco z tyłu i po lewej stronie. Dowództwo Bazy Shankill udzieliło ostatnich zezwoleń i łącznik między służą a korytarzem oddzielił się od korpusu statku.

Francu z wprawą kierował statkiem, lecz Killashandra nie mogła uwolnić się od myśli, iż kapitanowie krążowników raczej rzadko startują marnymi ładownikami z baz księżycowych. A może to zwyczaj Trundoli? Nie wolno jej przyzwyczaić się do nazywania ich tym mianem.

Ładownik był wyposażony w zewnętrzne przekładniki wideo i Killashandra z przyjemnością obserwowała spektakularne widoki Ballybranu, małego Shihnore'a i niezliczonych błyszczących statków, przycumowanych w dokach bazy bądź krążących po zsynchronizowanych orbitach. Prawdopodobnie wszyscy starali się zdobyć jak najwięcej

kryształu, nim zacznie się Przejście. Zaciekało ją, czy jest tam też Andurs. W pobliżu ładownika nie dostrzegła żadnego statku Rag Delta Blue Swan.

Niemal od początku krótkiej podróży widziała krążownik. Blask planety oświecał go wzdłuż dłuższej osi, dzięki czemu statek wydawał się większy. Niemal spodziewała się, iż będzie ustrojony w szalone, barwne wzory, lecz kadłub miał tradycyjny pomarańczowy odcień. Przymocowane do niego zasobniki były mocno zużyte, połatane i powgniatane. Ładownik powoli zrównywał się ze statkiem i Killashandra nie mogła oszacować prędkości krążownika, który zdawał się mówić: „Zdążam w tę stronę i nic mnie nie zatrzyma”. I słusznie, pomyślała Killashandra, bowiem pojazd wędrował po dokładnie skalkulowanej hiperbolicznej trajektorii, wykorzystującej ciążenie słońca i planet znajdujących się w pobliżu.

Kapitan czysto wprowadził ładownik do doku, śluza z łagodnym szczękiem uderzyła o wewnętrzny płaszcz statku. Członkowie załogi zerwali się ze swych miejsc. Kapitan wraz ze zdążającym o pół kroku za nim Tallafem przystanął gwałtownie obok fotela Killashandry. Pośpiesznie odpięła zabezpieczenia, uświadamiając sobie nagle, iż powstrzymała całą procedurę lądowania.

Z głośnym sykiem pokrywa wyjścia odskoczyła do przodu i czaszkę Killashandry przeszył potworny wysoki pisk. Po chwili dźwięk ustał. Wtedy ujrzała dwa rzędy sztywno wyprostowanych ludzi flankujących przejście od ładownika do wyjścia z doku. Tam czekało na nią kilku oficerów, wśród nich dwie osoby o kobiecych sylwetkach.

Trzask i syk za jej plecami i oto kątem oka dostrzegła członków załogi, unoszących pojemnik z kryształem. Poczuła kolejne ukłucie niechęci. Nawet jeśli wydostanie się z planety na czas Przejścia było aż tak istotne, czy wszystkie te formalności i oficjałki stanowiły korzystniejszą alternatywę?

Głęboko zaczerpnęła powietrza i ruszyła naprzód, wysoko unosząc głowę. Stąpając z godnością starożytnej królowej, zeszła na pokład krążownika.

Obie kobiety, pełniące w załodze funkcje podoficerów – nazwała je Tik i Tak, bowiem nigdy nie udało jej się dosłyszeć ich prawdziwych imion – odprowadziły ją do kabiny, w porównaniu z którą nawet kwatera studencka na Fuerte była szczytem przestronności. Gdy jednak pokazano jej pomysłowe rozwiązania, dzięki którym w maleńkim pomieszczeniu zdołano upakować wszelkie niezbędne urządzenia,

Killashandra upomniała się w duchu. Ballybran przyzwyczał ją do pewnych luksusów i obdarzył poczuciem własnej wyższości. Skromniejsze warunki sprowadzą ją bliżej poziomu zwykłych śmiertelników. Tik i Tak zademonstrowały, jak koja przekształca się w stolik, gdzie przechowuje się dzbanek z wodą – po jednym na każdą kabinę, nie więcej; wskazały szafkę,

kryjącą tri-di, podały kod biblioteki statku i pięć razy przypomniały o ścisłym racjonowaniu wody. Sprytnie ukrytą toaletę łatwo było zlokalizować dzięki silnej woni chemikaliów.

Pomruk kryształów, dochodzący przez ściany, pozwolił Killashandrze zasugerować dziewczynom, że mają zapewne obowiązki w sterowni. Chciała założyć wreszcie soczewki na swe piękne oczy, aby przytłumić wstrętny blask otaczających ją kolorów. Poza tym w niewielkiej przestrzeni kabiny wyraźnie czuła niewyczuwalne dla innych zapachy swego nie dokończonego posiłku, a nie miała najmniejszej ochoty dzielić się z towarzyszkami. Te kilka kęsów, które zdążyła przełknąć na Shankillu, jedynie zaostriły jej apetyt.

Tik i Tak zareagowały wreszcie na kolejny przeszywający jęk napędu. Obiecały, że kiedy tylko silniki nabiorą pełnej mocy, powrócą, aby spełnić jej nawet najbardziej błahe życzenia.

W tak niewielkiej kabinie można było jedną ręką zamknąć drzwi i jednocześnie kopnięciem spuścić koję. Killashandra zaspokajała potrzeby swego symbionta, odczytując w tym samym czasie instrukcję dołączoną do soczewek. W przerwie między kęsami wsunęła je na obolałe gałki oczne i diabelskie kolory kabiny natychmiast zbladły. Z początku Ballybran wydawał jej się taki bezbarwny! Skończyła zapakowaną przez Amona żywność i spróbowała obliczyć, ile czasu dzieli ją od następnego posiłku.

Poczuła, jak napęd się stabilizuje, kryształy były znakomicie nastrojone i nie sprawiały jej żadnych kłopotów. Na tym etapie podróży nie miała już nic do roboty, toteż ułożyła się możliwie najwygodniej na wąskiej koi i zasnęła. Kolejny przenikliwy skowyt poderwał ją na równe nogi. Czy zdoła w jakiś sposób wygłuszyć swą kabinę przeciw tym potwornym hałasom?

– Prędkość międzygwiazdna osiągnięta. Od tej chwili obowiązuje regulamin podróży. Wszyscy oficerowie zameldują się w mesie. Czy członkini Cechu Killashandra Ree zaszczyli nas swym towarzystwem?

Będzie również musiała coś zrobić z tymi ogólnostatkowymi komunikatorami.

– Członkini Cechu? Słyszysz mnie pani?

– Tak, tak, oczywiście – odparła członkini Cechu, pośpiesznie wciskając przełącznik umieszczony obok koi na poziomie oczu. – Z przyjemnością przybędę do mesy.

Opróżniła torbę na łóżko, przerzuciła ubrania, znalazła tabletki, o których wspominał Amon, i włożyła je do kieszonki na ramieniu kombinezonu. Następnie przebrała się w bardziej elegancką tunikę i właśnie zaczęła się zastanawiać, gdzie też na siedemdziesiątceósemce ma szukać mesy, gdy zaanonsowana krótkim stukaniem do drzwi do kabiny wkroczyła Tik albo może Tak.

– Prywatność, panienko, prywatność. Nigdy nie otwieraj moich drzwi, póki ci nie powiem.

– Tak jest, proszę pani, przepraszam. To znaczy... – Dziewczyna aż się skuliła słysząc surowe upomnienie.

– Czy na drzwiach kabiny nie ma światełka ostrzegawczego? – Killashandra nie mogła łatwo pogodzić się z nieograniczonym dostępem do jej kabiny, ani jako Fuertanką, ani jako członkini Cechu.

– Nie, proszę panie. To statek wojskowy – odparła drżącym głosem dziewczyna.

– Owszem, należący do układu Trundomoux. Ale ja jestem przedstawicielką Cechu Heptyckiego i spodziewam się poszanowania mojej prywatności. Gdziekolwiek się znajdę.

– Przekażę to innym, proszę pani. Nikt z nas już o tym nie zapomni.

Killashandra nie wątpiła w jej słowa, teraz jednak musiała uzyskać podobne zapewnienie od oficerów. Francu nie będzie stwarzał problemów, ale Tallaf... Podążając za Tik w stronę mesy postanowiła, iż jak najszybciej musi wydostać z biblioteki plan statku. Najwyraźniej krążownik nadal dostosowywano do potrzeb Trundomoux, bowiem w mijanych przez nie korytarzach pracowały grupki członków załogi. Wszyscy przyglądali jej się z szacunkiem.

Mesa oficerska mogłaby być całkiem przyjemnym pomieszczeniem, gdyby nie to, iż była kiepsko umeblowana. Na jej ścianach wisiały wykresy i płachty wydruków sugerując, że sala służyła nie tylko jako jadalnia. Francu ceremonialnie przedstawił Killashandrę licznym oficerom, z których część natychmiast potem pożegnała się i udała na wachty. Pozostali otrzymali po kieliszku cienkiego wina, po czym kapitan zaprosił ich do stołu.

Wkrótce dla Killashandry całe spotkanie zamieniło się w bardzo kiepską operę komiczną, w której nikt nie znał tekstu swej roli ani nie wiedział, co właściwie robi. Francu i jego zastępca odpadliby już przy wstępnych przesłuchaniach. Pozostali po kolei zadawali jej idiotyczne, konwencjonalne pytania, na które, poirytowana, udzielała sprzecznych, bezsensownych odpowiedzi. Z całego towarzystwa jedynie Tallaf, siedzący w przeciwnym krańcu stołu, zdawał się mieć jakiekolwiek poczucie humoru. Superintendent, również usadzony w bezpiecznej odległości, był poza nią jedyną osobą pochodzącą spoza układu Trundomoux. Ponieważ wyglądał na równie znudzonego co ona, Killashandra postanowiła zawrzeć z nim znajomość, gdy tylko będzie to możliwe.

Jedzenie, które podano, było koszmarnie, choć sądząc po apetycie, z jakim pałaszowali je młodszy oficerowie, tu musiano je uważać za prawdziwą ucztę. Killashandra nie znalazła na

talerzu nic, co odpowiadałoby wymienionym przez Antonę daniom, toteż bez entuzjazmu żuła i połykała niestrawną papkę.

Obiad zakończył się, gdy zebrani zerwali się na nogi i oświadczyli chórem, iż poświęcą wszystkie swe siły dalszemu rozwojowi układu Trundomoux, przezwyciężając wszelkie możliwe przeszkody.

Killashandra zdołała opanować wyraz twarzy podczas tego niespodziewanego wybuchu patriotyzmu, szczególnie kiedy uświadomiła sobie, iż niektórzy młodszy oficerowie wygłaszali owe komunały z autentycznym żarem. Biorąc pod uwagę niedawny zakup Siedemdziesiątkiosemki, jak również pięciu czarnych kryształów, ślepa lojalność obywateli mogła okazać się potrzebna. Cech również zyskiwał sobie lojalność swych członków, lecz powodowały nimi bardziej samolubne niż altruistyczne względy. Cóż, wyniki, jakie osiągnęli Trundomoux, były imponujące, lecz to od Cechu zakupili najbardziej prestiżowy dowód powodzenia.

Obsługa mesy sprawnie sprzątnęła ze stołu. Killashandra, z braku lepszych zajęć, przyglądała im się w milczeniu. Nie wiedziała, co powiedzieć, a perspektywa podobnych wieczorów w przyszłości napelniała ją przerażeniem.

– Czy miałyby pani ochotę na drinka, członkini Cechu? – spytał superintendent, który z nienacką pojawił się obok niej.

– Z przyjemnością. Łyk yarrańskiego piwa stanowiłby uwieńczenie podobnie znakomitego posiłku – odparła ironicznie, bowiem piwo sprawiłoby raczej, że cała ta niestrawna papka z powrotem stanęłaby jej w gardle.

Ku jej niekłamanemu zdumieniu mężczyzna uśmiechnął się radośnie.

– Pani – podkreślił ten wyraz, jakby sugerując, iż jest ona ostatnią osobą, po której spodziewałby się podobnej reakcji – lubi yarrańskie piwo?

– Tak, to mój ulubiony napój. Słyszał pan o nim?

– Oczywiście, że o nim słyszałem – do wesołego śmiechu mężczyzny dołączyli inni stojący w pobliżu. – Jestem Yarraninem. Nazywam się Pendel. Dostanie pani kufel z mojej prywatnej baryłki! – wezwał jednego z członków obsługi, gestem naśladując nalewanie piwa do szklanki, po czym uniósł dwa palce.

– Członkini Cechu... – wtrącił kapitan – mamy tu wina...

– Tak się składa, kapitanie Francu, że Cech Heptycki darzy szczególnym upodobaniem yarrańskie piwo – odparła, świadoma, iż irytuje swego rozmówcę. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie. – Jeśli to nie uszczupli pańskich prywatnych zapasów...

– Uszczupli? – porucznik–intendent Pendel wydawał się niezwykle rozbawiony tą sugestią. Uwagi Killashandry nie umknęło jego szybkie spojrzenie w stronę Francu ani też wyraźne niezadowolenie kapitana. – Ależ nie, bynajmniej. Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność. Zawsze powtarzam, że prawdziwy yarrański trunek jest najlepszy, bowiem terrański chmiel i słód znakomicie się u nas przyjęły. Ale, jak mówią, każdemu wedle jego upodobań.

Podano kufle. Niezadowolenie Francu rosło w miarę, jak Killashandra sączyła napój, okazując przesadne ukontentowanie. W rzeczywistości piwo było lekko zwietrzałe. Ciekawe, jak długo Pendel trzymał je w swej beczulce? A może browar Cechu przewyższał nawet rdzenne yarrańskie piwnice?

Pendel gawędził swobodnie, omawiając różne trunki z licznych planet. Killashandra z ulgą odkryła przynajmniej jedną obeznaną ze światem osobę pośród trundolskich wieśniaków. Dopóki dyskutowali na temat jedzenia i napojów, Killashandra również potrafiła odgrywać światową damę.

– Czy pamięta pani cokolwiek z Yarry? – spytał skinieniem dłoni prosząc o dwa nowe kufle.

Tak sformułowane pytanie zaskoczyło Killashandrę, choć sama nie umiała powiedzieć dlaczego. Pendel nie stanowił przecież żadnego zagrożenia.

– Ze wszystkich planet, jakie odwiedziłam, ma ona najlepsze piwo i najsympatyczniejszych mieszkańców. Ciekawe, czy jedno ma związek z drugim? Dawno opuścił pan planetę?

– Zbyt dawno, a jednak nie dość dawno – odparł Yarranin, a jego wesoła twarz nagle posmutniała. Westchnął ciężko, po czym ujął pełny kufel i wolno pociągnął łyk świeżego napoju. Jak jedna szklanka zwietrzałego piwa mogła wywołać taką tęsknotę za domem? Killashandra nie była pewna. – Sam jednak zdecydowałem się na ten krok, a my, Yarranie, umiemy cieszyć się życiem niezależnie od okoliczności.

Nagle w sali zadźwięczał ostry sygnał, zwiastujący zmianę wacht. Killashandra wykorzystała okazję, aby pożegnać się i wycofać do siebie.

Tym razem Tak, bowiem widziała, jak Tik odchodzi wraz z grupą oficerów przejmujących służbę, odprowadziła ją przez labirynt korytarzy do jej celi. Wyślizgując się ze swej tuniki Killashandra zastanawiała się, jak znieś następne sześć dni podróży. I jak zdoła zaspokoić wymagania swego symbionta, jeśli stale będą jej tu serwować podobne świństwa. Zaspiając pomyślała, że zwietrzałe yarrańskie piwo działa bardziej nasennie niż jego świeższy odpowiednik.

Następnego ranka uświadomiła sobie nagle, że skoro Pendel miał w swych prywatnych zapasach yarrańskie piwo, to może dysponuje też innymi specjalami. Natychmiast poprosiła Tik, pełniącą wartę przy jej drzwiach, aby zaprowadziła ją do superintendenta.

Przechodząc obok zamkniętego i zapieczętowanego wjazdu poczuła czarny kryształ i uśmiechnęła się na widok bezsensownych zabezpieczeń. Kto mógłby ukraść kryształ w przestrzeni? A może Trundole obawiali się, by czarny kwarc nie opanował jakiejś nieświadomej ofiary? Zdumiała się niepomrotnie, gdy Tik zastukała do drzwi i natychmiast odsunęła je na bok. Najwidoczniej Yarranom nie przeszkadzało podobne naruszenie prywatności. Pendel przywitał ją serdecznie. Jego kabina była tylko nieco większa od jej pokoju. Wszyscy troje musieli stać blisko siebie, aby pomieścić się obok koi-stołu. Na półce stał jednak koszyk owoców i dzbanek yarrańskiego piwa.

– Czym mogę pani służyć? – spytał Pendel, odprowadzając Tik i zamknąwszy za nią drzwi.

Killashandra wyjaśniła, w czym rzecz, i pokazała mu spis Antony.

– Ależ oczywiście, mogę pani dostarczyć wszystkie te produkty i jeszcze więcej. Tutejsze pożywienie – tu machnął ręką w stronę sterowni statku – może wystarczyć ludziom, którzy nie znają niczego lepszego. Pani jednak, członkini Cechu...

– Mam na imię Killashandra.

– Tak? Dziękuję. A więc, Killashandro, ty przywykłaś do wszystkiego, co najlepsze w całej Galaktyce.

– Jeśli zdołam zaspokoić moje wymagania dietetyczne – Killashandra wskazała listę Antony – nie będę narzekać. – Nie mogła powstrzymać głodnego spojrzenia, jakim obrzuciła owoce w koszyku.

– Jadłaś coś dziś rano? Nie? – wyraźnie wstrząśnięty Pendel podał jej koszyk, odsunął drzwi i wrzasnął do Tik, stojącej na straży:

– Śniadanie, natychmiast! I proszę bez tej papki – zerknął na listę. – Racje 23 i 48 plus dodatkowa porcja owoców.

Na twarzy Tik konsternacja z powodu tak niezwykłego rozkazu toczyła walkę ze strachem.

– Pośpiesz się, dziewczyno. Dalej! Wydałem ci rozkaz! – uspokoił ją Pendel.

– A ja go potwierdzam! – dodała stanowczo Killashandra, po czym wgryzała się w owoc, aby choć częściowo ukoić burczenie w brzuchu.

Pendel zamknął drzwi i uśmiechnął się złośliwie.

– Oczywiście, za sekundę będziemy tu mieli Chasurta... – superintendent zatarł dłonie.
– Te racje należą do niego. To medyk – Pendel skrzywił się porozumiewawczo – którego doświadczenie obejmuje przede wszystkim odmrożenia kosmiczne i oparzenia laserowe. Racje zawierają wszystko, co wymieniono na twojej liście: minerały śladowe, potas, wapń i tak dalej.

Jedzenie i lekarz pojawili się w kabinie w tym samym momencie. Gdyby nie szybka interwencja Pendela, śniadanie Killashandry zostałyby skonfiskowane z drżących rąk Tik przez wściekłego Chasurta.

– Kto zezwolił na wydanie moich racji? – Chasurt, krępy mężczyzna w średnim wieku, obdarzony wyjątkowo bezmyślną twarzą, przypominał Killashandrze Maestra Valdiego i jego wzniosłe oburzenie.

– Ja! – odrzekli chórem Pendel i Killashandra. Pendel odebrał Tik tacę i natychmiast przekazał ją Killashandrze, która – odsunawszy się w najdalszy kąt kabiny – pozwoliła swemu towarzyszowi okiełznać furję medyka.

Jedząc w tempie wywołanym nie tylko przez głód, Killashandra pochłonęła gorące płatki z orzechami. Pendel starał się zmusić Chasurta do odczytania listy Antony, lekarz natomiast natrętnie dopytywał się, co ma zrobić,

gdy nastąpi prawdziwy wypadek i chorzy będą potrzebowali racji, pożeranych przez tę... tę... tę niewątpliwie zdrową kobietę. Nie podobał mu się również okazywany przez Killashandrę pośpiech. Fakt, że Pendel miał prawo wydać jego racje, jeszcze bardziej rozwścieczył Chasurta, toteż ukończywszy drugie danie, Killashandra poczuła się w obowiązku interweniować.

– Poruczniku Chasurt...

– Kapitanie, członkini Cechu! – twarz lekarza aż posiniała z obrazy. Drżącą ze złości ręką wskazał insygnia na kołnierzyku.

– W porządku, kapitanie. – Killashandra przepraszająco skłoniła głowę. – Pendel działał w moim imieniu, stosownie do instrukcji, narzuconych mi przez szefową Medycznego Dziania Badawczego Antonę z Cechu Heptyckiego na Ballybranie. Nasz Cechmistrz uzyskał zapewnienia, że podczas tej podróży zostaną zaspokojone wszystkie moje niezbędne potrzeby. Jeśli nie będę w stanie ukończyć instalacji, wasze wysiłki pójdą na marne, system zaś nadal zostanie bez łączności. Z tego, co wiem, podróż do waszego układu nie potrwa długo, wątpię więc, by me skromne wymagania dietetyczne znacząco uszczupliły zapasy świeżo wyposażonej Siedemdziesiątkiosemki. Mam rację?

Podczas jej wypowiedzi na twarzy Chasurta odbijały się różne sprzeczne uczucia. Killashandra, choć nie tak wprawna w odczytywaniu języka ciała jak Lanzecki, odniosła nieodparte wrażenie, iż Chasurt wolałby, by jego układ stracił łączy międzyplanetarne. Była to jednak zupełnie irracjonalna myśl. Najprawdopodobniej lekarz należał do tych urzędników, którym trzeba bezustannie schlebiać i traktować z najwyższą ostrożnością. Przypomniała sobie radę Amona i zrozumiała nagle, jak bardzo skuteczna może się okazać w konfrontacji z tego typu osobowością.

– Nie chcę panu przypominać, kapitanie Chasurt, że zgodnie z hierarchią Federacji Planet Rozumnych jako członkini Cechu podróżująca z misją zleconą przez Cech Heptycki przewyższam rangą każdego na tym statku, łącznie z kapitanem Francu. Proponowałabym, aby sprawdził pan w swym banku dane dotyczące śpiewaków kryształu. To ułatwi nasze kontakty w przyszłości. A teraz proszę mi podać owoce.

Chasurt przejął koszyk, dostarczony podczas przemowy Killashandry.

– Minerały śladowe są dla nas szczególnie istotne – oznajmiła, sięgając po kosz. Musiała mocno szarpnąć, nim odzyskała owoce, co dodatkowo rozjuszyło Chasurta. Killashandra z uśmiechem skinęła głową w stronę Tik, po czym odprawiła ją i zatrzasnęła drzwi przed nosem lekarza.

Pendel uniósł kubek yarrańskiego piwa w niemym toaście, po czym oparł się o ścianę.

– Zdajesz sobie sprawę, że następny będzie kapitan?

– Sam też nieźle dajesz sobie z nimi radę.

– Nie mogą się mnie pozbyć. – Pendel zachichotał, potarł palcem nos i mrugnął do niej porozumiewawczo. – Zatrudnia mnie Konsorcjum Górnicze, nie Rada Trundoli. KG nadal dyktuje warunki. Ci tutaj nie są zresztą tacy źli jak na prowincjuszy z metalem zamiast mózgów. Zmienia się. Zmienia się na pewno. – Pendel zatoczył kuflem szeroki łuk, wskazując najpierw Killashandrę, a potem zapieczętowane pomieszczenie z kryształem.

– Czy słusznie podejrzewam, że nie wszyscy zainteresowani pragną tej zmiany? Pendel roześmiał się.

– Też mi nowina.

Komunikator pisnął przenikliwie i Pendel mrugnął do Killashandry.

– Mówi kapitan. Co to za historia ze specjalnymi racjami? Podobno wydałeś je bez upoważnienia.

– Kapitanie Francu – wyjaśnił przeciągle Pendel. Jego ton był niemal obraźliwy. – Wydaje mi się, że rozkazy jasno stwierdzają, by zaspokoić wszelkie wymagania członkini Cechu...

– Powiedziano mi, że nie potrzeba jej niczego specjalnego.

– Członkini Cechu Ree nie wymaga niczego specjalnego lecz – jak wielokrotnie panu powtarzałem – jedzenie serwowane na tym statku pozostawia wiele do życzenia, jeśli chodzi o jego wartości odżywcze i smakowe. Chasurt ma wystarczające zapasy. Wiem o tym. Sam mu je kupowałem.

Killashandra nie dosłyszała żadnego szczeku, nic. Lecz skarga kapitana została odrzucona. Killashandra spojrzała na Pendela z większym szacunkiem.

– Porządny gość, ten Francu. Pracowity. Znakomity zwierzchnik. Nigdy nie stracił nawet jednej osoby. Idealny kandydat na dowódcę najnowszej jednostki. – Pendel znowu potarł nos. Jego szeroki uśmiech sugerował, iż kapitan Francu ma również liczne wady.

– Doceniam twoją pomoc i wsparcie, Pendel, i dziękuję. Dziękuję również za piwo. Chciałabym prosić o jeszcze jedną przysługę, oczywiście jeżeli to możliwe. Czy muszę wysłuchiwać wszystkich komunikatów? – kolejny ostry dźwięk podkreślił jej słowa.

– Zostaw to mnie, Killashandro – oznajmił pewnym tonem superintendent. – Tymczasem przygotuję dla ciebie kilka racji. – Przepraszając wskazał stos pustych talerzy i kubków, piętrzący się na zasłanym wydrukami stole. Pojęła aluzję. Zabrała ze sobą półmisek z owocami i wychodząc na korytarz, wesoło mrugnęła do Pendela.

Yarranin działał szybko i już niedługo po tym, jak Tik zaprowadziła ją z powrotem do ciasnej kajuty, denerwujące dźwięki ucichły.

Pojawiła się Tik, oznajmiwszy swoje przybycie uprzejmym pukaniem do drzwi. Spokojnie zaczęła na wezwanie. W obu rękach dźwigała paczki, owinięte zwykłym plastykiem. Jedna zawierała specjalne racje, w drugiej znajdował się zestaw owoców. Tik odwróciła wzrok od podobnych luksusów i Killashandra wyczuła, iż wszelka hojność z jej strony byłaby niemile widziana. Podziękowała zatem dziewczynie, prosząc, by przyszła po nią dopiero przed kolacją. Wiedziała, że musi pokazać się choć raz dziennie i westchnęła na myśl o podobnym nudziarstwie. Posilając się leniwie bezcennymi zapasami Chasurta, oglądała jednocześnie plan pokładowy statku. Co chwila pojawiały się na nim nowe zmiany. Killashandra nie miała pojęcia, w jakim celu je wprowadzano. Czy miał to być transportowiec, liniowiec pasażerski czy statek szkoleniowy? Specyfikacje krążownika, również ulegające stałym zmianom, nic dla niej nie znaczyły, lecz długie szeregi liczb były naprawdę imponujące.

W odpowiednim czasie została odeskortowana do mesy oficerskiej. Na szczęście zarówno Francu, jak i Chasurt nie pojawili się na kolacji, nawiązała więc rozmowę z Tallafem. Pozbawiony towarzystwa kapitana młody człowiek sprawiał zdecydowanie

korzystniejsze wrażenie, choć gdy się podniecał, jego szyja nadymała się nieprzyjemnie. Przyznał, iż urodził się i wychował na planecie, a jego przygotowanie do funkcji zastępcy kapitana było bardziej teoretyczne niż praktyczne. Większość oficerów i członków załogi pochodziło z przestrzeni bądź stacji kosmicznych. W jego tonie dosłyszala cień smutku, jakby żałował różnic, dzielących go od reszty.

– Z tego, co słyszałam, wasz układ jest zupełnie odizolowany z powodu braku komunikacji – zagadnęła Killashandra.

Tallaf rozejrzał się z niepokojem.

– Rozumiem też, że krok naprzód nie jest popularny w niektórych kręgach. Młodzieniec spojrzał na nią z podziwem i grozą.

– Daj spokój, Tallaf – prowokowała Killashandra. – Od momentu gdy wsiadłam na ten statek, jest to dla mnie oczywiste. Zapewniam cię, że nie ma w tym nic niezwykłego.

– Śpiewacy kryształu mnóstwo podróżują, prawda? – w jego oczach zabłysła lekka zazdrość.

– Niekoniecznie. To zadanie jest bardzo szczególne i wiąże się z wyprawą do szczególnego świata w szczególnych okolicznościach. – Tallaf wyprostował się z dumą, słysząc taki komplement dla swego układu. – To naprawdę znaczące osiągnięcie dla tak młodego państwa. – Killashandra była oszołomiona własną elokwencją. – Zakupić jednocześnie siedemdziesiątkę i czarny kryształ.

Przez cały czas uważnie obserwowała swego rozmówcę i doszła do wniosku, iż młody Tallaf jest zdecydowanym zwolennikiem natychmiastowej komunikacji międzygwiazdnej. Westchnęła, żałując, że nie dostarczono jej więcej danych na temat Trundoli. A może galaktografia nic ponadto nie miała?

Pojawił się Pendel, pozdrawiając stojące wokół niewielkie grupki oficerów. Dopiero w tym momencie Killashandra uświadomiła sobie, iż wraz z Tallafem stoją osobno. Uśmiechnęła się ciepło do swego towarzysza, doceniając jego hart ducha. Jednocześnie z drugiej strony zmaterializował się członek załogi, dźwigający dwa kubki yarrańskiego piwa. Tallaf dyskretnie odszedł na bok, zaś Killashandra uniosła kubek w toaście. Bez wątpienia pod jowialną maską Pendela krył się niemały autorytet.

Superintendent zachichotał.

– Dobry chłopiec z tego Tallafa.

– Jest za kryształem?

– Oczywiście. Dlatego został pierwszym oficerem podczas tej podróży. To jego pierwsza wyprawa – miły uśmiech na trwałe zagościł na twarzy Pendela, gdy ten rozejrzał się

po mesie. Killashandra była pewna, iż jej towarzysz wiedział dokładnie, kto powinien się tu znaleźć, a kto nie. – Nieźle jak na taką zbieraninę. W pewnym wieku człowiek zaczyna stawiać przed sobą coraz to nowe cele. – Yarranin spojrzał jej prosto w oczy ponad krawędzią kubka. – Pragnienie przygody przywiodło mnie do tego układu dwie i pół dekady temu. Trafiłem na idealny moment. Pilnie potrzebowali doświadczonego intendenta. Zaopatrzenie kosztowało ich potworne sumy. – W głosie Pendela zabrzmiało dawne oburzenie. Nagle uśmiechnął się. – Nie da się porządnie prowadzić interesów bez sprawnej łączności.

– I dlatego kryształ jest tak ważny? I ta siedemdziesiątkaósemka! – uniosła ku niemu szklankę, jakby to on sam tego dokonał. – Wy, Yarranie, jesteście znani ze swej przenikliwości. Z waszego układu pochodzi sporo śpiewaków kryształu – bardziej wyczuła, niż dostrzegła reakcję Pendela. – Och, daj spokój – ciągnęła gładko. Jeśli nie zdoła zyskać poparcie tego człowieka, to prawdopodobnie trafi w ręce Chasurta, a na to nie miała najmniejszej ochoty. – Nie wierzysz chyba w tę gadaninę o śpiewakach? – zmusiła się do bardzo przekonującego wybuchu śmiechu.

– Oczywiście, że nie. – Pendel wzruszył ramionami, lecz jego uśmiechowi brakowało nieco pewności siebie.

– Szczególnie teraz, gdy mnie poznałeś, możesz stwierdzić, że śpiewacy kryształu są równie ludzcy co reszta załogi tego statku. Albo nawet – Killashandra rozejrzała się po mesie, spoglądając na jej wystraszonych gości – nieco bardziej.

Pendel przyjrzał się swym kolegom i skrzywił usta.

– Przynajmniej potrafię docenić porządną trunek – ciągnęła Killashandra, tłumiąc w duchu niechęć i rozbawienie. Pendel nie był wcale takim kosmopolitą, za jakiego lubił uchodzić, choć w zestawieniu z innymi Trundolami sprawiał wrażenie świetnie poinformowanego. W jakiś sposób będzie musiała utrzymać pomiędzy nimi przyjacielski dystans. – Doceniam też ich wysiłki – stwierdziła, ponownie spoglądając po sali.

– Podobnie jak Cech Heptycki. – Pendel odzyskał swój zaraźliwy optymizm. – Nikt z nas jednak nie spodziewał się, iż to śpiewak kryształu dokona instalacji.

– Federacja Planet Rozumnych ma swą własną listę priorytetów. Nie nam zastanawiać się nad tym. – Killashandra nie pamiętała, skąd pochodziło ostatnie zdanie, lecz w tym wypadku zdawało się świetnie pasować.

Na szczęście pojawiły się wreszcie parujące półmiski i tace. Killashandra zauważyła, że jedynie ona i Pendel otrzymali bardziej zjadliwe dania.

Pod nieobecność surowego kapitana Francu Killashandra zdołała wciągnąć do rozmowy większość starszych oficerów. Choć młodszy podoficerowie byli zbyt nieśmiali, by

się odezwać, czuła, że słuchają każdego słowa i dokładnie wszystko zapamiętują. Nadal byli podatni na wpływy i gdyby tylko udało jej się wyrzucić na nich odpowiednie wrażenie i dzięki rozumnie dozowanym pochlebstwom zachować przychyłność Pendela, zdziałała tu więcej, niż przewidywał kontrakt. A Trundole będą potrzebowali więcej kryształu.

Tej nocy, gdy wyciągnęła się na przeraźliwie twardej koi, raz jeszcze rozważyła swój efektowny wieczorny występ. „Kryształowa kukułka”, „krzemowy pajak”. Tak Maestro Valdi nazwał śpiewaków kryształu. Teraz wydało jej się, że już wie dlaczego: chodziło o instynkt przetrwania symbionta. I, biorąc pod uwagę podświadomą reakcję Pendela na jej osobę, pojęła również, dlaczego symbiont pozostał tajemnicą zawodową. Istnieją w końcu gorsze zagrożenia niż zapewnienie przetrwania gatunku, który płaci godziwy czynsz za swe utrzymanie.

ROZDZIAŁ XII

Killashandra w pełni wykorzystała następne pięć dni. Tik i Tak prowadziły ją na spacerów wokół krążownika, ona zaś wiele z nimi rozmawiała, od czasu do czasu wspominając od niechcenia, jak ekscytująca jest jej praca i jakiego wymaga wysiłku. Krzemowy pająk przygotowuje sobie kokon do snu podczas Przejścia. Kilka razy pomyślała nieprzychylnie o Cechu i Lanzeckim. Jak mogli wysłać ją pomiędzy zupełnie niedoinformowanych Trundomoux i nie uprzedzić, iż są oni do tego stopnia zacofani?

Często słuchała rozmów podoficerów, kiedy tylko jej obecność przestawała ich paraliżować. Przysłuchiwała się też ogólnym dyskusjom i dobrodusznym kłótniom robotników. Dzięki temu dowiedziała się sporo na temat wspaniałej historii układu Trundomoux i przestała nawet w myślach nazywać jego mieszkańców Trundolami.

Układ przyciągał wielu niespokojnych łowców przygód, tak jak kiedyś Pendela. Część z nich, fizycznie bądź psychicznie nieprzystosowana do niebezpieczeństwa, zniknęła. Pozostali mieli liczne potomstwo, z którego drogą selekcji naturalnej również odpadli najsłabsi, choć część z nich znalazła zatrudnienie na względnie bezpiecznych większych stacjach górniczych. Drugie pokolenie przetrwało z kolei zagrożenia, towarzyszące trudom oddzielania kawałków rudy uranowej od macierzystej skały, ekspediovania ich na orbitę i kierowania w długie szeregi zasobników. Owe rogate dusze przekazały dzieciom w spadku swe zaadaptowane do miejscowych warunków geny, w ten sposób tworząc nową odmianę gatunku ludzkiego. Ten układ był na swój sposób równie oryginalny jak Ballybran, warunki przyjęcia do wspólnoty podobnie rygorystyczne, a szkolenie pracowników – niezwykle dokładne.

Pewnej nocy, żonglując w myślach elementami wstępnej selekcji – niebezpieczeństwa otwartej przestrzeni kontra testy sprawności fizycznej na Shankillu – Killashandra popadła w filozoficzny nastrój. Galaktyka to nie tylko satelity, okrążające swe płomienne słońca, ale też skomplikowane metafizyczne związki dusz. W tej chwili właśnie ona stanowiła pomost między dwoma systemami gwiazdnymi i całkowicie odmiennymi mentalnościami. Musi wykorzystać urok jednego świata, by przetrwać w drugim.

Trundomoux wykształcili już kilka własnych tradycji, między innymi wieczorną przysięgę oficerów, kult wody, lekceważenie śmierci, dziwny brak zaufania do produktów „obcych” cywilizacji. Killashandra doszła do wniosku, iż ta ostatnia cecha stanowiła

przyczynę dziwacznych zmian wprowadzanych na statku. Później, już po obejrzeniu materiałów dotyczących stacji wydobywczych i konstrukcji przestrzennych, zrozumiała dlaczego były one konieczne. W sensie kosmicznym Trundomoux stale przystosowywali się do swego wrogiego środowiska. Jednocześnie zaś twierdzili z uporem, że żaden inny układ, włączając w to jej własny, nie ma im do zaoferowania nic pożytecznego, czego nie można by ulepszyć.

Killashandra słuchała też subtelniej wyrażanych opinii co do sensu zakładania natychmiastowej łączności międzygwiazdnej. Niektórzy ludzie podchodzili sceptycznie do całej sprawy i uważali, że kryształy nie będą działać. Miało to być związane ze szczególną cechą układu Trundomoux, który utrzymywałby ich w izolacji. Inni sądzą, iż zakup kryształów to szokująca strata czasu, wysiłku i cennego kredytu w metalach. Linia podziału przebiegała w poprzek grup wiekowych, przedstawicieli pierwszego i drugiego pokolenia, a nawet przybyszów spoza układu, zatrudnionych na specjalnych kontraktach.

Tymczasem krążownik szybko zbliżał się do swego ojczystego układu po trajektorii hiperbolicznej. Apetyt Killashandry znacznie zmalał, ku uldze zarówno samej zainteresowanej, jak i Pendela, którego zapasy niebezpiecznie się skurczyły. Nad Ballybranem następowało Przejście; Połączenie było równie bliskie, co jej pierwsza instalacja. Rozsądnie nie rozstawiała się z tabletkami pobudzającymi.

Zmiana dźwięku kryształowego napędu zbiegła się w czasie z pierwszą, niespodziewaną drzemką. Killashandrę obudziło dopiero natrętne stukanie do drzwi. To była Tik.

– Kapitan Francu przesyła pozdrowienia i prosi, aby udała się pani ze mną na mostek.

Tik nagle zaczęła zachowywać się niezwykle oficjalnie, nie odpowiadając nawet zwykłym nieśmiałym uśmiechem na powitanie Killashandry. Śpiewaczka podążyła za swą przewodniczką. Czuła się odświeżona po drzemce, lecz na wszelki wypadek sprawdziła, czy ma w kieszeni pastylki.

Mostek, a właściwie sala w głębi statku, roił się od ludzi. Tik odnalazła kapitana pośród grupy otaczającej zbiornik przestrzenny, odwołała go na moment, przekazała mu Killashandrę i wycofała się.

– Jeśli spojrzy pani na zbiornik, członkini Cechu... – zaczął kapitan swym najbardziej napuszczonym tonem.

– Chętnie, jeśli tylko zdołam – odparła Killashandra i uśmiechając się słodko, wcisnęła biodro pomiędzy dwóch mężczyzn. Następnie energicznym ruchem odsunęła ich na boki i sama zajęła pozycję obserwacyjną. Pozostawiła między sobą a Francu jednego oficera,

rzucając mu uspokajające spojrzenie. – Ach, tak. Fascynujące. – Widok naprawdę ją zachwycił, chciała jednak sprawić wrażenie osoby, dla której wizyta na mostku i zbiornik przestrzenny to nie pierwszozna. Krążownik stanowił maleńką plamkę, zdążającą spoza orbity najdalszej planety w samo serce układu. Mrugające światelka oznaczały stacje wydobywcze w pasmach asteroidów; dwa jasne punkty to bazy księżycowe. Planeta, czwarta licząc od słońca, lśniła najjaskrawiej, mimo że jako ostatnia została zasiedlona przez mieszkańców tego ciężko pracującego układu.

– Zaczynam redukcję prędkości, członkini Cechu, jeśli nie zauważyła pani zamiany napędu...

– Śpiewacy kryształu są niezwykle wrażliwi na działanie kryształowego napędu, kapitanie. To cecha zawodowa.

Francu zacisnął zęby. Nie przywykł, by ktokolwiek mu przerywał.

– Poruszamy się po kursie hiperbolicznym, który przecina orbity dwóch stacji wydobywczych. Same stacje będą musiały zejść z kursu, aby się z nami spotkać.

– Czasem postęp bywa kłopotliwy. Francu rzucił jej wrogie spojrzenie.

– Bazy księżycowe nie przedstawiają sobą specjalnego problemu, choć dotarcie na Terris będzie wymagało dłuższego lotu promem...

– Znacznie trudniej zapewne przyjdzie panu dotrzeć do planety, prawda? – Killashandra wskazała palcem.

– Bynajmniej – tym razem to Francu okazał lekceważenie. – Zwykła kwestia wyhamowania, wykorzystania ciężenia planety i słońca, odpowiedniego odbicia i jesteśmy na nowym kursie.

– Bardzo sprytnie. – Killashandra z trudem stłumiła niechęć. Dlaczego nawet najprostsze wyjaśnienia tego człowieka budziły w niej najgorsze instynkty?

– Musi pani zrozumieć, członkini Cechu, jak napięty jest nasz plan lotu. Poinformowano mnie, iż instalacja jednego kryształu nie trwa dłużej niż sześć minut. Będziemy potrzebowali każdej sekundy, aby móc dostarczyć panią na miejsce i bezpiecznie zabrać z powrotem, szczególnie na planecie. Pojmuje pani, o co mi chodzi?

– Zawsze wydawało mi się, że w fachowych rękach sama procedura jest zupełnie prosta, kapitanie Francu. Na pewno wszystko się uda. – Sześć minut. Dali jej spory margines czasu – a może Trag uwzględnił w swych obliczeniach nadciągającą senność? Spojrzała na zbiornik przestrzenny, uśmiechając się z niedowierzaniem. Problem w tym, że jeśli nawet instalacja w jednym miejscu zajmie jej mniej niż sześć minut, nie będzie to miało żadnego

wpływu na dalszy rozkład jazdy. – Dziękuję panu, kapitanie. Czy mogę otrzymać uaktualniony wydruk przed przybyciem na miejsce?

– Oczywiście. Zostanie pani uprzedzona na osiemnaście minut przed każdorazowym odlotem promu.

– Aż tyle? – Killashandra znów zareagowała na sztywny ton głosu Francu. – Ach, prawda. Muszę przecież odebrać kryształ. Naprawdę, kapitanie, nikt go nie ukradnie w przestrzeni Trundomoux, a póki wszystkie elementy nie zostaną zainstalowane, są zupełnie niegroźne. Śmiało można umieścić pojemnik przy wejściu do służby i porządnie zabezpieczyć. Dzięki temu zyskalibyśmy na czasie.

W umyśle kapitana obawa przed kryształem toczyła bój ze względami czasowymi. Ukłonił się sztywno Killashandrze i odwrócił z powrotem do zbiornika.

– Zbliżenie na pierwszy cel i podajcie poprawkę kursu.

– Jak daleko do pierwszego celu, kapitanie?

– Pięć godzin, sześć minut i trzydzieści sześć sekund, członkini Cechu.

Killashandra odeszła od zbiornika, jej miejsce natychmiast zajęli poprzedni obserwatorzy. Skinęła na Tik i dziewczyna z ogromną ulgą wyprowadziła ją z mostku.

Chętnie zostałyby, aby przyjrzeć się zmianie kursu krążownika i podejściu do pierwszej stacji górniczej. Cały manewr wymagał olbrzymiej precyzji, biorąc pod uwagę cztery – bądź pięć, jeśli uwzględnić obsesję kapitana na punkcie czasu – wchodzące w grę wymiary.

Sześć minut, podczas których miała ustalić albo zmienić opinie całego układu. Sześć minut razy pięć – to dawało jej dokładnie pół godziny czasu galaktycznego. Killashandra uśmiechnęła się do siebie. Układ Trundomoux miał już własne tradycje. Doda do nich teraz widowisko międzygwiazdne. Zmieni plany Francu – zamiast ukradkowego prześlizgiwania się z miejsca na miejsce urządzi Trundomoux najpiękniejszy spektakl w ich życiu – od tej pory będą mogli rozmawiać między sobą. Z pewnością należy odpowiednio uczcić podobne wydarzenie. Sześć minut to niewiele czasu. Sama dopilnuje, by wystarczyło do jej celów. Powstaną nowe legendy o śpiewakach kryształu.

Ubrania Trundomoux były jaskrawe, przetykane metalowymi włóknami, które odbijały choćby najśłabsze światło. Nawet kombinezony ochronne mieniły się od barw, szokujących oranżów i płomiennego różu. I choć w oczach Killashandry cała ta feeria była trudna do wytrzymania, wychowane w przestrzeni pokolenia Trundomoux już dawno uznały ją za pożyteczną i piękną.

Podczas gdy statek schodził ku pierwszemu miejscu przeznaczenia, stacji wydobywczej nazwanej Copper, Killashandra przygotowała swój kostium. Czarny, odpowiadający dający barwie kryształu. Czarny i zwiewny, aby dostatecznie wyróżniał się pośród kolorowych, obcisłych strojów Trundomoux. Pożałowała, że nie ma z sobą choć niektórych kosmetyków, pozostawionych w studenckiej klitce na Fuerte. Jest jednak dość wysoka, by i tak odcinać się od tłumu. Odziana w czerń, z włosami spływającymi luźno na plecy. Fryzura również odróżniała ją od członków społeczeństwa oddanego pracy w przestrzeni, starannie strzygących albo golących swe włosy.

Sześć minut! Ta myśl nie dawała jej spokoju. A przecież sztuczne kryształy zakładała w dużo krótszym czasie! Nagle przypomniała sobie – tym razem będzie miała do czynienia z prawdziwym kryształem. Jego dotknięcie może okazać się zgubne. Może powinna być wdzięczna Francu za ten precyzyjnie określony plan. Gdyby nawet wpadła w trans, mogła liczyć na kapitana – na pewno natychmiast go przerwie. Nie wolno jej jednak poddać się kryształowi. To zniszczyłoby zupełnie wrażenie, jakie zamierzała wyrzucić.

Miała sporo czasu, żeby się tym martwić, wreszcie jednak zjawił się Tallaf.

– Ładownik gotowy i czeka na panią – oznajmił niezwykle oficjalnym tonem, stając w pozycji zasadniczej.

– A kryształ?

Tallaf przełknął ślinę, unikając jej wzroku, choć Killashandrze wydało się, iż młody oficer jest raczej rozbawiony.

– Superintendent Pendel przeniósł pojemnik do służby, aby był tam gotów na pani przybycie. Oczywiście pojemnik został odpowiednio zabezpieczony.

I rzeczywiście. Strzegły go również dwa rzędy żołnierzy, którzy w ciasnej służbie starali się znaleźć jak najdalej od kryształu. Dno i boki pojemnika zostały bezpiecznie przymocowane do pokładu, wierzch natomiast rozpieczętowano. Jeden ze strażników miał za pasem pistolet do nakładania pieczęci.

Killashandra ruszyła naprzód, uważając, by nie zaplątać się w długą, powiewną spódnicę.

– Otwórzcie to – poleciła w przestrzeń. Po chwili wahania Pendel wykonał jej rozkaz, ukradkiem do niej mrugając.

Ku ogromnej uldze Killashandry przed spakowaniem każdy z pięciu kryształów został spowity w ochronny kokon. Nie musi brać w rękę surowego kryształu, póki nie dotrze na miejsce. Uniosła niewielki pakunek i znów poczuła ulgę. Kryształ wiedział, że to ona, ale się

nie śpieszył. I był to prawdziwy kryształ. Przez jedną straszną sekundę ogarnęła ją obawa, iż dzięki szalonemu zbiegowi okoliczności, spakowano omyłkowo sztuczne bryły.

Uniosła pakunek prosto przed sobą w wyciągniętych rękach i powędrowała do ładownika. Gdy tylko usiadła na wyznaczony fotel, wszyscy wokół niej zaczęli strasznie się śpieszyć: zapięli jej pasy, zajęli własne miejsca, służa zasunęła się z hukiem.

Przyśpieszenie wcisnęło ją w siedzenie.

– Czy jesteśmy spóźnieni, Tallafie? – spytała.

– Nie, proszę pani, idealnie mieścimy się w czasie.

– Jak daleko od służby stacji znajduje się sala komunikacyjna?

– Dokładnie pięć minut i dwadzieścia sekund.

– W nieważkości? – Jej suknia w nieważkości wyglądałaby idiotycznie. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała? Tallaf spojrział na nią ze zdumieniem.

– Wszystkie jednostki poza najmniejszymi bojami detekcyjnymi mają własną grawitację, proszę pani.

Ładownik odpalił rakiety hamujące. Siła odrzutu ponownie wcisnęła pasażerów w fotele.

– Myślałam, że nie mamy opóźnienia.

– Owszem, ale musimy wprowadzić pewne poprawki do kursu.

Jeszcze raz statkiem wstrząsnęło nagle szarpnięcie, lecz samo dokowanie przypominało raczej lekki pocałunek. Załoga znów pracowała z podwójną szybkością i Killashandra, zaraziwszy się ich tempem, wstała, po czym wkroczyła na pierwszą ze stacji wydobywczych. Pięć minut i dwadzieścia sekund podróży wewnątrz stacji Copper polegało głównie na gwałtownych skrętach wzdłuż wijących się korytarzy i przeskakiwaniu ponad ochronnymi grodziami. Killashandra mogła z dumą stwierdzić, iż zdołała przebyć trasę bez jednego potknięcia. Cały czas niosła przed sobą kokon z kryształem, tak aby wszyscy mogli go zobaczyć. A widownię miała liczną. Tłumy ludzi gromadziły się na skrzyżowaniach korytarzy, aby być świadkami uroczystego wydarzenia.

Co za szkoda, pomyślała Killashandra, kiedy wprowadzono ją do sali komunikacyjnej, stanowiącej centrum informacyjne Copper, że nie tu ma się znaleźć główne łącze. Na tym księżycu nie zdarzy się nic ciekawego, podobnie na następnych, póki nie nadejdzie chwila instalacji ostatniej bryły i nie powstanie natychmiastowe połączenie.

Mimo wszystko jednak czuła na sobie spojrzenia, ciekawe i wrogie. Skierowano ją wprost ku miejscu instalacji. Znajdowało się na podwyższonym zewnętrznym poziomie – znakomity punkt strategiczny.

Killashandra wspięła się na niskie schody, rzuciła okiem na obejmy, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, po czym odwróciła się ku środkowi sali. Zdjęła plastikowy kokon z kryształu i uniosła nad głowę mętną, nieprzejrzystą bryłę. Usłyszała westchnienie, gdy zebrani po raz pierwszy ujrzeli to, przez co zadłużyli swój cały układ gwiazdny. Wśród ludzi podniósł się szmer, lecz w tym momencie Killashandra poczuła, jak kryształowy blok rozgrzewa jej się w dłoniach, przybierając lśniąca czarną barwę, od której wzięła się jego nazwa. Bryła poczęła wibrować jej w rękach, zanim jednak Killashandra zdążyła wpaść w trans, obróciła się gwałtownie i złożyła kryształ na wcześniej przygotowanym miejscu. Boczne uchwyty poruszyły się lekko pod delikatnym naciskiem jej dłoni. Z kolei założyła górną obejmę i, położywszy palec na nadal ciemniejącym kryształ, ostrożnie zwiększała nacisk. Kryształ zaczął wpadać w rezonans, drgał pod jej palcem, wywołując dławienie w gardle. Z całej siły zwalczała pragnienie, aby pogłodzić bryłę i gołymi rękami dokończyć instalację. Jak oparzona, oderwała dłonie od pięknego kryształowego bloku. Wyjęła niewielki młoteczek i postukała w kryształ. Jego czysty głos zabrzmiał donośnie w ciszy, która nagle zapadła w sali.

Wysoko unosząc głowę, Killashandra wymaszerowała z sali. Tallaf musiał podbiec, aby wysunąć się przed nią i wskazać drogę wśród licznych zakrętów i skrzyżowań.

Z każdym krokiem coraz bardziej oddalała się od kryształu i jej ciało przeszły nagle towarzyszący rozstaniu ból. Jeszcze jedna drobna kwestia, której nikt wcześniej z nią nie przedyskutował: jak trudno pozostawić własny kryształ.

Krótką jazdą z powrotem na krążownik złagodziła ból. Podobnie jak senność, która z wolna ogarnęła Killashandrę. Nie mogło to być zmęczenie po krótkim przecież przedstawieniu. Nie, to musi być senność, przed którą ją ostrzegano. Połączenie było bardzo bliskie. Na szczęście udało jej się zachować świadomość do chwili, gdy dotarła do własnego pokoju.

– Tik, nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano aż do przybycia na następną stację. Zamorduję każdego intruza! Zrozumiano? Żeby się upewnić, przekaż też moje rozkazy Pendelowi.

– Tak jest, proszę pani. – Tik można było zaufać, Pendel zaś miał sporą władzę.

Killashandra osunęła się na twarde łóżko, naciągnęła na siebie cienką kołdrę i zasnęła.

Wydawało się, iż minęła zaledwie chwila, gdy rozległo się walenie do drzwi i zaniepokojony głos Tik wezwał ją grzecznie, lecz stanowczo.

– Już idę. Czy dotarliśmy do następnej stacji? – połknęła środek pobudzający i zmusiła się, by szeroko otworzyć oczy. Chciała wyglądać na w pełni rozbudzoną.

Na zewnątrz stał Tallaf, trzymając w dłoniach pełną jedzenia tacę. Wyniosłym gestem poleciła mu ją odnieść.

– Musisz coś zjeść, Killashandro – nalegał młody oficer. Z troską sprawił, iż zapomniał o wszelkich formalnościach.

– Czy jesteśmy już przy następnej stacji?

– Najpierw jedzenie.

Sięgnęła po yarrańskie piwo, starając się nie okazać obrzydzenia, jakie wzbudził w niej zapach posiłku, który jeszcze niedawno uznałaby za zupełnie kuszący. Nawet piwo nie smakowało tak, jak powinno.

– Zabiorę to do pokoju – oznajmiła, zasuważąc drzwi i zastanawiając się, czy mdłości stanowią wynik działania tabletki, piwa, symbionta czy nerwów. Wbrew wszelkim zasadom wykorzystała wodę pitną i obmyła sobie twarz. Efekt był zbawienny. Bez chwili wahania wylała yarrańskie piwo do toalety. Pendel nie musi o tym wiedzieć.

Tallaf ponownie zastukał do drzwi. Tym razem była już przytomna; środek pobudzający zaczął działać. Ruszyła naprzód, pełna sztucznej energii i świadoma faktu, iż nie tylko załoga statku obserwuje ją w drodze do śluzy.

Pendel był na miejscu. Otworzył pojemnik i odstąpił krok w tył, robiąc jej miejsce, by mogła wydobyć kryształ. Trzymając ciężar przed sobą w wyciągniętych dłoniach, Killashandra właśnie składała sobie gratulacje za bezbłędne odgrywanie roli, kiedy potknęła się lekko o próg lądownika.

Najlepiej będzie, jak odrobinę skróci spódnicę z przodu, i to koniecznie przed przybyciem do bazy księżycowej. Nikt jednak nie zauważył jej niezręczności. Zasiadła w fotelu, gotowa do podróży.

Stacja Iron była większa od stacji Copper, lecz równie chaotycznie zaplanowana, przynajmniej jeśli chodzi o chodniki, grodzie i korytarze.

– To trwa dłużej niż pięć minut dwadzieścia sekund – zaprotestowała, zastanawiając się, jak długo działa lekarstwo.

– Już jesteśmy na miejscu.

Sala komunikacyjna wyraźnie zasługiwała w opinii projektantów na większą przestrzeń niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie stacji. A im większa stacja, tym więcej ludzi zbierało się w miejscu instalacji. Killashandra uwolniła kryształ z kokonu, uniosła go wysoko, tak by mogli go ujrzeć wszyscy zgromadzeni, i sprawnie umieściła na miejscu, nim zdążył opanować jej umysł i odwieść od obowiązków. A może środek, który zażyła, pomógł jej

przewyciężyć działanie kryształu? Niezależnie od wszystkiego Killashandra nadal czuła ból towarzyszący ostatecznemu rozstaniu z tym odłamkiem ciemniejącego kwarcu.

Lekarstwo pozwoliło jej dojść o własnych siłach do kabiny. Z wdzięcznością przyjęła zaoferowane przez Pendela piwo, lecz w samotności kwatery natychmiast je wylała. Zużyła dzienną rację wody, by zaspokoić pragnienie, i zdołała nawet dotrzeć do łóżka, nim ogarnął ją sen.

Kiedy Tik zbudziła ją przy pierwszym księżycu, świadomość powróciła znacznie wolniej. Jedna tabletką dodała jej sił podczas lotu, druga pozwoliła dokonać instalacji, lecz przy wysiadaniu z krążownika Tallaf musiał ją obudzić. Pendel nalegał, żeby coś zjadła, choć Killashandra z trudem otwierała oczy. Przełknęła nieco zupy i kawałek soczystego owocu, nagle jednak zaschło jej w gardle, a skóra napięła się wzdłuż kości odpowiadających głuchym bólem na zew kryształu, który już na zawsze pozostał na pozbawionej powietrza powierzchni księżyca.

Trzy tabletki umożliwiły jej dokonanie czwartej instalacji, podczas której musiała w pewnym momencie ukradkiem zażyć jeszcze jeden proszek. Odruchowo odgrywała rolę najwyższej kapłanki, nieświadoma setek otaczających ją twarzy, oczu, śledzących każdy jej ruch, oraz zdumionych westchnień, gdy czysty głos kryształu rozległ się w sali.

Jedno mogła powiedzieć na temat Trundomoux: kiedy już raz znaleźli funkcjonalną strukturę, trzymali się jej. Wszystkie sale komunikacyjne były dokładnie takie same. Killashandra umiała trafić na ślepo w miejsce, gdzie miał być zamontowany kryształ. W drodze powrotnej wciąż potykała się o spódnicę, której nie zdążyła skrócić. Nagle Tallaf ujął ją pod ramię. Skoncentrowała się wyłącznie na utrzymaniu natchnionego uśmiechu, aż wreszcie dotarła do ładownika, gdzie z ulgą opadła na fotel.

– Dobrze się czujesz, Killashandro? – spytał niespokojnie Tallaf.

– Po prostu jestem zmęczona. Nie masz pojęcia, jak trudno jest rozstać się z kryształami, które sam wydobyłeś. Płaczą, kiedy je zostawiasz. Pozwólcie mi spać.

Gdyby nie ta przypadkowa uwaga, Killashandra musiałaby zapewne znieść zabiegi Chasurta, bowiem jej okresy żywotności, przeplatane śpiączką, nie pozostały nie zauważone. W dodatku przeciwnicy zakupu kryształów nie byli zbyt zachwyceni widokiem niewielkich, pozbawionych jakiegokolwiek blasku brył, otrzymanych w zamian za ogromny ładunek metali wysokiej jakości.

Tallaf natychmiast po tym, jak bezpiecznie odprowadził Killashandrę do jej kabiny, zamienił kilka słów z Pendelem. Pendel rozmówił się dyskretnie z innymi i nagle Chasurta wezwano do zbadania niegroźnej epidemii zatruc pokarmowych.

Następnie musiał postawić diagnozę w dwóch przypadkach wymagających długich i skomplikowanych testów, po czym został zaproszony do zwykłej, radiowej konsultacji dotyczącej ofiary poważnych obrażeń przestrzennych.

Killashandrę zbudzono, aby mogła odbyć ostatni, najdłuższy lot na powierzchnię planety, gdzie miała dokonać ostatniej instalacji. Długi sen podziałał na nią zbawiennie i choć z niepokojem stwierdziła, iż nie pozostało jej już zbyt wiele tabletek pobudzających, uznała, że poradzi sobie bez nich. Przyjęła dostarczone przez Pendela owoce i napój z glukozą, choć zdecydowanie wolałaby wodę, nawet tę odzyskiwaną – jedyną dostępną na krążowniku.

Czuła pewność, że sprostą zadaniu, póki nie ujrzała pojemnika z kryształem. Nagle uświadomiła sobie, iż ten największy blok będzie stawiał najsilniejszy opór. Nie śmiała trzymać go na kolanach przez całą drogę.

– Zanieście pojemnik na pokład. W ten sposób kryształ–matka będzie bezpieczniejszy – poleciła krótko. Wsiadła do ładownika, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować i wydać inne rozkazy.

Pendel i Tallaf pośpiesznie nakazali strażnikowi, by postąpił zgodnie z jej zaleceniem, i pojemnik znalazł się na pokładzie statku, zabezpieczony i umocowany, zanim jeszcze przybył kapitan Francu. Kapitan przystanął nagle, spojrzał na skrzynkę ze zdumieniem i wściekłością, po czym przeniósł wzrok na Killashandrę, która uśmiechnęła się uprzejmie.

– Pozostałe kryształy przewoziła pani osobiście, członkini Cechu...

– O tak, ale tym razem czeka nas dłuższa podróż, a jeśli ten blok nie zostanie bezpiecznie zainstalowany w głównej sali komunikacyjnej, pozostałe na nic się nie zdadzą i cała wasza wyprawa okaże się całkowicie bezużyteczna.

– Kapitanie, czynnik czasu... – Tallaf wystąpił naprzód, jego twarz wyrażała lekkie zatroskanie.

Francu wysunął szczękę, minął kryształ i pomaszerował na rufę ładownika. Słyszała szczęk metalowych płytek, gdy zapinał pasy. Przypuszczała, że mają szczęście – w tym nastroju byłby nieobliczalnym pilotem.

Ładownik odłączył się od krążownika i przez moment jakby zawisł bez ruchu, podczas gdy macierzysty statek ustąpił mu pola. Nagle, zanim jeszcze zasłonięto ekrany widokowe, Killashandra uświadomiła sobie, że ich prom wykonał już całą robotę: krążownik skierował go na kurs, z którego nie było odwrotu.

Usiłowała zachować świadomość, lecz huk i gorąco towarzyszące wejściu w atmosferę planety wyrwały ją z kolejnej drzemki. Rozejrzała się wokół, przez sekundę

zagubiona w nieznanym otoczeniu. Pośpiesznie przełknęła dwie pastylki pobudzające i uśmiechnęła się pogodnie, jakby jedynie oszczędzała siły.

Ładownik zdążył już całkowicie wyhamować, nim lekarstwo w pełni zadziało. Kiedy otworzył się właz wyjściowy, Killashandra zastanawiała się właśnie, czy nie powinna zażyć jeszcze jednej tabletki.

Natychmiast pojawiła się platforma ładownicza. Ze swego miejsca Killashandra widziała potężny tłum, zebrany po obu stronach szerokiej alei, prowadzącej do wielkiego budynku, mieszczącego centrum łączności. Jego dach pokrywały anteny, dziesiątki anten, poprzekrzywianych niczym wyrzucone w niebo czapki. Czapki anten pozdrowiały właśnie ją, jej poświęcenie.

– Kryształ, członkini Cechu! – kwaśny głos Francu również przypominał jej o tym ostatecznym rozstaniu.

Otworzyła pojemnik wyjęła kryształ–matkę, po czym odetchnęła głęboko i ruszyła w dół rampy, dzierżąc go przed sobą. Zawsze najlepiej grało jej się przy pełnej widowni. Poprzednie instalacje stanowiły jedynie próby, to była premiera.

Świeże planetarne powietrze było rześkie i przesycone dziwną, przyjemną wonią. Odetchnęła głęboko. Tym razem nie przyspieszy kroku.

Z jednej strony Killashandry pojawił się Francu, z drugiej stanął Tallaf. Obaj mamrotali coś na temat koniecznego pośpiechu.

– Jak dobrze jest odetchnąć świeżym powietrzem. Moje płuca są pełne starego smrodu. Muszę oddychać.

– Musi pani iść szybciej. – Francu uśmiechał się nerwowo w obliczu ogromnych tłumów, zebranych na powierzchni większej niż cały jego krążownik.

– Gdybyś mogła się pośpieszyć, Killashandro. Mamy spóźnienie – szepnął z niepokojem Tallaf.

– Oni wszyscy przybyli tu, żeby zobaczyć kryształ – zaprotestowała Killashandra, jednocześnie przyspieszając lekko. Uniosła kokon nad głowę, usłyszała falę zaskoczonych okrzyków i ujrzała, jak gapie zbliżają się ku niej. Czy są tu po to, by obserwować zwycięstwo, czy raczej klęskę kryształu? Ta widownia nie była przyjaźnie nastawiona. Killashandra umiała wyczuć wrogość i strach.

Podeszła do wejścia budynku, nieco wyprzedzając obu pilotów.

– Musimy się pośpieszyć, członkini Cechu – oznajmił jakiś mężczyzna, ujmując ją pod ramię. – Inaczej nie możemy zagwarantować pani bezpieczeństwa.

Usłyszała, jak za jej plecami zatraskują się ciężkie żelazne wrota. Dobiegający z zewnątrz przytłumiony pomruk stawał się coraz głośniejszy.

– Panowie, dawano mi już do zrozumienia, że projekt ten nie jest specjalnie popularny. Ale jedna wysłana i odebrana wiadomość przekona ich – ruchem głowy wskazała napierających na budynek ludzi.

– Tędy, członkini Cechu.

Teraz prawie już biegli i Killashandra z irytacją pomyślała, że przesadny pośpiech zrujnuje całe jej przedstawienie. Idiotyzm! Co za absurd – znaleźć się w podobnej sytuacji! Szczególnie że znów ogarnęła ją nieprzeparta senność. Podtrzymując kryształ jedną ręką – w końcu w pobliżu nie było nikogo, komu miałaby zaimponować podczas tej gonitwy – drugą zdołała wsunąć do ust dwie kolejne pigułki.

Nagle znalazła się w głównej sali gigantycznej budowli. Krzątający się wokół technicy bardziej troszczyli się o zewnętrzne skanery niż o wydruki i wskaźniki swej własnej aparatury.

– Pośpiesz się z tym, Killashandro – nalegał Tallaf.

Powoli wspięła się na podwyższenie, gdzie spoczywały obejmmy kryształu–matki.

Drżącymi ze zdenerwowania palcami zsunęła plastikową otulinę i nagle, gdy jej dłoń dotknęła nagiego kryształu, poczuła, jak ogarnia ją spokój i dziwne odprężenie.

– Szybciej! – wrzasnął Francu. – Jeśli to nie połączy nas z Copper...

Killashandra zmiażdżyła go wzrokiem, lecz gwałtowna niechęć, jaką do niego czuła, zerwała wąły czar. Teraz słyszała już zgiełk tłumu, narastające wzburzenie i złość. Nie ośmieliła się dłużej opóźniać instalacji. Ale jednocześnie nie chciała oddawać swych czarnych kryształów tym ignorantom, barbarzyńcom, społeczeństwu metalowych mózdzków...

Kryształ–matka znalazł się w obejmach. Pod wpływem panującego w sali ciepła stopniowo zmieniał barwę aż po głęboką, matową czerń.

– Szybciej!

– Czy coś nie tak?

– Nie działa!

– Oczywiście, że kryształ zaśpiewa. – Killashandra uniosła młoteczek i uderzyła kryształową bryłę.

Potężne czyste a kryształu–matki wypełniło salę, uciszając nieważną gadaninę. Killashandra stała oszołomiona. A przeszło w wyższy dźwięk, akord pięciu kryształów, dwa f i dwa e odpowiedziały echem w czarnych ścianach. Ludzkie gardło nie może produkować

akordów. Ponieważ w uszach ciągle dźwięczało jej dominujące a największej bryły, ten właśnie dźwięk buchnął z ust Killashandry, a ona sama całkowicie poddała się wstrząsowi łączy. Dźwięk zalał ją niczym ogromna fala, sama była dźwiękiem i instrumentem... Wizje, jedna za drugą, ogień w żyłach, grzmot w kościach, serce zamierające z bólu i rozkoszy tak wszechpotężnej, iż odpowiedział każdy nerw jej ciała, każdy zwój mózgu. Kryształowy chór wprowadził ją w trans jeszcze głębszy niż wtedy, po raz pierwszy, w Pasmach. Nadal podtrzymując ton, mimo bólu w płucach, nienawykłych do podobnego wysiłku, Killashandra znalazła się jednocześnie w salach komunikacyjnych obu stacji wydobywczych i księżyców. Rozszczepiła się na dźwięki wędrujące od jednego kryształu do drugiego, odrębne, a przecież zjednoczone. Fragment pierwszej wiadomości wysłany, i natychmiast odebrany, i na zawsze odłączony od reszty.

– Copper do bazy, Copper do bazy głównej! – Znała wiadomość, bowiem słowa przepłynęły nie tylko przez kryształ, ale też i przez nią samą. Usłyszała natychmiastową odpowiedź i pełne niedowierzania okrzyki. To ona wycięła te kryształy, ona złożyła je na miejscach ich przeznaczenia i skazała na wieczny śpiew dla innych. Nikt nie powiedział jej, że ich pieśń powędruje przez nią.

– Killashandra? – ktoś jej dotknął. Krzyknęła. Tłum otaczających ją ciał zerwał niewiarygodną więź z kryształowym łączem. Upadła na kolana, zbyt wyczerpana, by płakać, za bardzo oszołomiona, by się opierać.

– Killashandra! – ktoś dźwignął ją na nogi.

Czuła, jak za jej plecami rozbrzmiewa potężna kryształowa pieśń, ona jednak już na zawsze została wykluczona z zaklętego kręgu.

– Zabierzcie ją do ładownika.

– Czy to bezpieczne?

– Oczywiście, że tak. Łączy zadziało! W tej chwili wie już o tym cały układ!

– Tymi drzwiami, poruczniku. Będziecie musieli pójść okrężną trasą. Tłum blokuje drogę do statku.

– Nie mamy czasu, żeby krążyć.

– Przebijemy się przez tłum. Ponieście ją z przodu. Zobaczycie, jak szybko się rozstąpią!

– Nie boją się chyba kobiety!

– To nie kobieta! To śpiewaczka kryształu!

Killashandra czuła, jak niosą ją poprzez gęsty tłum. Słyszała szybkie, urywane słowa i donośne, radosne wiwaty. Gdzieś w zakamarku mózgu skojarzyła okrzyki i wiwaty z

oklaskami. Obecność tak wielu ludzi i to w dodatku tak blisko stała się nagle nieznośną męczarnią.

– Zabierzcie mnie stąd – szepnęła ochryple, przywierając do mężczyzny, który z desperacją unosił ją ku statkowi.

Nie odpowiedział, lecz przyśpieszył kroku, dysząc ze zmęczenia. Kiedy obok zjawiał się drugi mężczyzna, pierwszy ledwo zdołał uwolnić się z jej objąć.

– To opóźnienie może uniemożliwić cały manewr.

– Kapitanie, nie mieliśmy pojęcia, jakie panują nastroje. Nikt nas nie uprzedził, że zbiera się taki tłum. Już prawie jesteśmy.

– Jeśli straciliśmy okienko...

– Rozkażemy, aby przejęła nas fregata...

– Zamknijcie się i pozwólcie mi spać. Przestańcie tak szarpać...

– Spać? – oburzenie w głosie Francu na moment wyrwało ją z nieświadomości. – Ona chce spać, kiedy...

– Po prostu usiądź wygodnie w fotelu, Killashandro. Ja cię zapnę.

– Pić. Chcę pić. Cokolwiek. Wody.

– Nie teraz. Nie teraz.

– Tak, teraz! Zaszło mi w ustach.

– Kapitanie, pan pilotuje. Oto woda, Killashandro.

Zaczęła łapczywie pić. To była woda, prawdziwa woda, zimna, świeża, czysta woda, której już nikt powtórnie nie wykorzysta. Woda. Dla niej. Część wylała się przy wstrząsach i Killashandra zaprotestowała, zlizując wilgoć z dłoni. Potężna siła odepchnęła ją od wody. Killashandra zaczęła błagać o więcej.

Ktoś ją uspokajał, póki wreszcie przygniatający ją ciężar zniknął i mogła napić się tyle, ile chciała.

– Czy teraz już wszystko w porządku, Killashandro? – wydało jej się, że to Tallaf zadał jej pytanie.

– Tak. Teraz potrzebuję tylko snu. Dajcie mi spać, póki się nie obudzę.

ROZDZIAŁ XIII

Budzenie stanowiło stopniowy, niezwykle powolny proces. Killashandra czuła, jak znów wstępuje w nią życie poczynając od mózgu, który przesyłał senne bodźce do reszty ciała; znowu może poruszać. Wykonała długą serię przeciągnięć i ziewnięć, przetykanych nagłymi przebłyskami wizji. Z początku uważała je za mikrosny, potem jednak uświadomiła sobie, że wszystkie oglądane są z jednego punktu widzenia: jej oczami. Oszłomiły ją twarze i aplauz, i światło błyszczące z pocerniałego kryształu. Przypominające orgazm uczucie w lędźwiach ostatecznie przywróciło jej świadomość. Ogarnął ją smutek. Te niby–sny stanowiły echo połączenie z kryształem,

Kryształ! Gwałtownie usiadła na łóżku, o włos unikając zderzenia z wiszącą nad nim półką. Znajdowała się na tym przeklętym krążowniku! Zerknęła na bransoletę, po czym z niedowierzaniem porównała wyświetlony czas z zegarem kabinowym.

– Trzy dni! Przespałam trzy dni! – Antona uprzedzała ją o takiej możliwości.

Killashandra opadła na łóżko, starając się rozruszać mięśnie pleców i ramion. Chyba w ogóle nie zmieniała pozycji, tak była zeszytywniała.

Jej uwagę przyciągnęło ciche skrobanie w drzwi.

– Tak?

– Członkini Cechu, obudziła się pani? Na tak postawione pytanie mogła udzielić kilku różnych odpowiedzi, rozpoznała jednak głos Chasurta.

– Proszę wejść.

– Nie śpi pani?

– Z pewnością nie odpowiadałabym przez sen. Niech pan wejdzie! – Gdy drzwi się rozsunęły, dodała: – I proszę poprosić Pendela, żeby dostarczył mi coś przyzwoitego do jedzenia.

– Ja zdecyduję, czy wolno pani jeść – oznajmił, wyciągając ku niej aparat diagnostyczny. Podobny widziała już u Antony.

– Nie tę papkę, którą serwuje się w mesie, lecz płyny i owoce...

– Gdyby tylko zechciała pani zachować spokój...

– Ależ jestem spokojna! – Killashandra poczuła, że za chwilę może jednak nie być. – Podobne okresy snu są całkowicie normalne...

– Nie udało nam się połączyć z Ballybranem, aby otrzymać instrukcje.

– Jakie instrukcje?

– Dotyczące właściwego leczenia tej przedłużającej się śpiączki.

– To nie była żadna śpiączka. Czemu nie sprawdził pan danych w waszej własnej bibliotece medycznej? Chcę coś do picia. I jedzenia.

– Jestem medtechnikiem pokładowym...

– Który nigdy nie zetknął się ze śpiewakiem kryształu i nie ma pojęcia o specyfice mojego zawodu. – Killashandra

wciągnęła na siebie cechowy kombinezon, pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w rękę. Następnie zeskoczyła z łóżka i przemknęła obok Chasurta, bezskutecznie próbującego ją złapać. – Pendel! – ruszyła w dół korytarza. Nieco zaskoczyło ją, że może tak sprawnie manewrować po podobnym wyczerpaniu. Symbiont coś zabierał, ale też i wiele dawał.

– Członkini Cechu! – Chasurt ścigał ją, ale wyprzedziła go na starcie i miała dłuższe nogi.

Ponownie skręciła i znalazła się w korytarzu zaopatrzenia. Najpierw dostrzegła Tik, stojącą przy drzwiach Pendela, po czym ukazała się jego głowa.

– Pendel? Umieram z tęsknoty za yarrańskim piwem! Proszę, powiedz, że masz jeszcze jakieś owoce! I może kubek tej pysznej zupy, którą podałeś mi jakieś sto lat temu?

Nim zdążyła dotrzeć do drzwi, Pendel trzymał już w pogotowiu na wpół opróżnioną szklankę piwa i owoc. Odebrawszy mu je, przecisnęła się pomiędzy intendentem i Tik, pozostawiając ich za sobą, aby zatrzymali Chasurta.

– Proszę, Killashandro – powiedział Pendel, stojąc tyłem do drzwi i całkowicie je blokując. Tik ruszyła naprzód i zasłoniła Killashandrę, tworząc drugą linię obrony. – Masz tu więcej owoców. Chasurcie, nie denerwuj się. Możesz pójść ze mną i dodać do jej zupy wszelkie środki odżywcze i pobudzające, jakie tylko uznasz za stosowne. I odłóż do kieszeni ten idiotyczny spray. Śpiewacy kryształu nie potrzebują zazwyczaj jakichkolwiek leków. Czy nie znasz się na niczym poza odmrożeniem próżniowym i laserowymi oparzeniami?

Pendel odciągnął medyka, gestem nakazując Tik, aby zamknęła drzwi i pozostała na straży. Killashandra skończyła piwo i wgryzła się w owoc. Z ulgą przymknęła oczy, gdy sok i miąższ zwilżyły jej wysuszone usta i podniebienie. Jadła powoli, kierowana nieomylnym instynktem symbionta, który najlepiej wiedział, co było mu potrzebne po dłuższym poście. Z niesmakiem przypominała sobie swój szaleńczy apetyt przed Przejściem. Na szczęście, to już była przeszłość.

– Proszę pani...

Killashandra dosłyszała delikatny szept wyłącznie dzięki temu, że w kabinie poza chrupaniem owocowej skórki panowała zupełna cisza.

– Tik? – Po raz pierwszy dziewczyna zwróciła się wprost do niej.

– Proszę pani... dziękuję za kryształ! – wyjąkała pośpiesznie Tik. – Oficer komunikacyjny pozwolił mi połączyć się z matką na Copper. Od razu. Żadnego czekania. Żadnych obaw, że coś poszło nie tak i nie będzie słyhać... Powiedział, że dzięki kryształowi mogę łączyć się z Copper, kiedy tylko zechcę! – oczy Tik były okrągłe i lekko wilgotne.

– Cieszę się, Tik, naprawdę. – Killashandrze jej własna odpowiedź wydała się jakby płaska, lecz pełna szacunku i lęku reakcja Tik okropnie ją zaambarasowała.

Nagle drzwi odskoczyły i Tik ledwo utrzymała równowagę. W otworze stanął kapitan Francu. Biła z niego furia.

– Medyk poinformował mnie, że odrzuciłaś jego pomoc – maleńkie pomieszczenie nie było w stanie pomieścić jego wściekłości.

– Nie potrzebuję jego pomocy. Jestem śpiewaczką kryształu.

– Dopóki znajdujesz się na pokładzie tego statku, podlegasz moim rozkazom...

Killashandra wstała, popychając Tik na zwolniony przez siebie fotel. Jej gniew znacznie przewyższał wszystko, na co było stać Francu. Z kieszeni na udzie wyjęła kartę identyfikacyjną Cechu i podsunęła ją pod nos kapitana.

– Nawet ty musisz rozpoznać ten dokument!

W tym momencie do pokoju wszedł Pendel, niosący w dłoniach załadowaną tacę.

– Pełnomocnictwo Sesji Federacji Planet Rozumnych! – sapnął i ładunek zadygotał mu w rękach. – Widziałem coś takiego tylko raz w życiu.

– Bez wątpienia cierpisz na rozstrój wywołany dłuższym okresem braku... – zaczął kapitan.

– Nonsens. Podaj mi tę tacę, Pendel. Dziękuję!

– Członkini Cechu, proszę mnie wysłuchać!

– Oczywiście, ale jeśli łaska będzie jednocześnie jeść, ponieważ moje ciało potrzebuje pokarmu po długim odpoczynku.

– Byłaś w stanie śpiączki...

– Robiłam to, co wszyscy śpiewacy kryształu – odpoczywałam po trudnym i wyczerpującym zadaniu. Nie mam zamiaru mówić nic więcej, póki się nie pożywię.

– Niewątpliwie ucierpiał twoje władze umysłowe, skoro szantażujesz mnie pełnomocnictwem FPR tylko dlatego, że jesteś głodna! – Francu aż zapłuł się ze złości.

– I posłużę się tym pełnomocnictwem, gdy tylko znajdę najbliższą stację przesiadkową.

– Masz pozostać na tym statku aż do Stacji Satelitarnej Pięciu Układów...

– Zostanę tu tylko do czasu, gdy uda mi się skontaktować z jakimkolwiek krążownikiem, promem albo wahadłowcem z najbliższego układu. I mam na to wystarczające uprawnienia. Zgadza się?

– Tak – odparł Pendel.

Kapitan zmierzył go piorunującym spojrzeniem, przez moment popatrzył na Killashandrę, niezdolny wykrztusić choć słowo. Następnie obrócił się na pięcie i pomaszerował korytarzem.

Tik obserwowała Killashandrę z pobladłą ze strachu twarzą.

– Już w porządku – powiedział uspokajająco Pendel. – Oczywiście nie wspomnisz nikomu o tym, co się tu działo, nawet gdyby cię wypytywano. Nie sądzę, aby kapitan Francu miał ochotę pamiętać ten incydent.

– Jak szybko mogę opuścić ten statek? Oczywiście bez żalu do ciebie i Tik.

Pendel nachylił się nad klawiaturą i wystukał kod. Oczekiwanie trwało dłużej niż zwykle, w końcu jednak ekran ożywił się i pojawiły się na nim cztery linijki znaków.

– Ten odradzam. Hałaśliwy tankowiec, fatalne jedzenie. – Pendel znów coś wypisał. Tym razem odczyt był dłuższy. – Aha. Możemy urządzić przesiadkę na niewielkiej, ale wygodnej stacji tranzytowej na selkicki statek prosto na Scorię. Normalnie nie polecałbym nikomu Selkitów, ale będziesz jedyną pasażerką w ich sekcji tlenowej.

– Wspaniale, biorę to.

– To oznacza jeszcze trzy dni u nas.

– Większość czasu i tak prześpię. Potrzebuję też dużo lekkich posiłków.

– Jest tylko jeden problem. – Pendel odchrząknął i spuścił wzrok. – Selkita dociera do Ballybranu pod koniec burz Przejścia. W pierwotnej wersji lądowałybyś w jakiś czas po ich zakończeniu.

– Ach, więc przeprowadziłeś wywiad na mój temat. – Killashandra uśmiechnęła się szeroko. Pendel mrugnął porozumiewawczo i podrapał się po nosie.

– Uznałem, że trochę obiektywnych informacji nie zaszkodzi.

– A zatem Chasurt stwierdził, że burze wywołały moją śpiączkę?

– Coś w tym stylu.

– Nikt nie jest taki głupi, by narażać się na wichury. Jeśli to tylko możliwe, w ogóle opuszczamy planetę. Jeśli nie, przesypiamy je.

- Dotarły do mnie plotki, że śpiewacy kryształu hibernują.
- Mniej więcej.
- No, no. Jeszcze jedno yarrańskie piwo, Killashandro?

Nigdy nie dowiedziała się, co tak usatysfakcjonowało Pendela, z przyjemnością jednak wypili razem parę piw, póki znów nie ogarnęła jej senność. Pendel odprowadził ją do kabiny, gdzie Tak trwała na posterunku. Załatwiono niewielkie, lekkostrawne posiłki i Killashandra położyła się do łóżka, w duchu błogosławiąc przezorność, która zaopatrzyła ją w pełnomocnictwo FPR. Co takiego chciał z nią zrobić Francu, gdyby udało mu się podporządkować ją sobie? Oddałby ją Chasurtowi, aby sprawdził, dlaczego śpiewacy kryształu różnią się od innych?

Niespecjalnie zachwycała ją perspektywa spędzenia następnych kilku dni na tym statku, mogła jednak odprężyć się i wypocząć, teraz, gdy miała już za sobą napięcie towarzyszące instalacji. Trag będzie z niej zadowolony. Nawet jeśli pewna część Trundomoux nie podzielała jego uczuć. Szkoda.

Mimo wszystko jednak obdarzyli ją prawdziwą owacją. Wykończyła się, ale zapoczątkowała nową tradycję. Jej występ podczas instalacji planetarnej przemienił wściekłą tłuszcę w rozentuzjasmowany tłum. Tak, jako śpiewaczka kryształu spisała się całkiem dobrze.

Czy kiedykolwiek jeszcze uda jej się doświadczyć tego niewiarygodnego kontaktu z połączonymi fragmentami czarnego kryształu? Tego wszechogarniającego uczucia, jakby nagle zjednoczyła się ze wszystkimi czarnymi kryształami w Galaktyce?

Zadrzała w bolesnym pożądaniu i pośpiesznie porzuciła tę myśl. Będą jeszcze takie okazje, teraz wiedziała to na pewno. Tymczasem, gdy tylko ucichną wichury, będzie mogła znów śpiewać kryształ.

Śpiewać kryształ? Śpiewać?

Killashandra zaczęła się śmiać, wspominając, jak wmaszerowała do planetarnego ośrodka komunikacji, środkiem sceny, a wokół kłębił się wściekły motłoch. Ona sama, w roli najwyższej kapłanki, dopełniła rytuału, który połączył dotąd odizolowane elementy Trundomoux! Występ solowy w najlepszym tego słowa znaczeniu. I grała przed publicznością, złożoną z całego układu! Cóż za otwierającą nutę zaśpiewała wraz z kryształem! Co za owacje! Echa z odległych satelitów. Osiągnęła dokładnie to, o czym marzyła, czym nieraz chęłpiła się przed swymi rówieśnikami na Fuerte. Była pierwszą śpiewaczką w tym systemie i być może jedyną śpiewaczką kryształu, jaka kiedykolwiek pojawi się w Trundomoux.

Killashandra roześmiała się na tę ironię losu. A potem zapłakała, ponieważ nie było nikogo poza nią samą, kto mógłby dowiedzieć się, że spełniła swą ambicję.

Killashandra Ree była śpiewaczką w prawdziwym sensie tego słowa. Prawdziwą śpiewaczką kryształu!

REPRYZA

Skąd się tu wzięłaś tak szybko? – spytał ostro operator śluzy, gdy tylko weszła. – Brrrr! Jakim transportem przyleciałaś? Okropnie śmierdzisz.

– Selkickim – odparła ponuro Killashandra. Na statku, w pomieszczeniach przystosowanych przez Selkitów dla potrzeb jej gatunku, zdążyła już przywyknąć do swej woni.

– Istnieją pewne statki, którymi się nie lata. Szkoda, że cię nie uprzedzili – palcami szczelnie zatkał nos.

– Zapamiętam, możesz być pewien.

Ruszyła w kierunku tymczasowych kabin Cechu.

– Hej, nie ma wolnych miejsc. Wiesz przecież, że burze Przejścia jeszcze nie ucichły.

– Wiem, ale dostanie się tutaj było ważniejsze niż przeczekanie pogody.

– Nie, jeśli musiałaś podróżować z Selkitami. Ale mamy mnóstwo wolnych kabin w normalnej części – mężczyzna kciukiem wskazał wejście, w które jakże naiwnie wkroczyła kilka miesięcy temu. – Jak na razie żadnych przybyszów.

A to, gdzie się zatrzymasz, nie ma wpływu na twój kredyt, wiesz przecież.

Killashandra podziękowała mu, przekroczyła błękitne, otwierające się na podobieństwo żrenicy przejście i poszła w stronę hoteliku. Próbowała przypomnieć sobie dziewczynę, jaką wtedy była, i nie mogła zrozumieć, jak wiele zdążyło wydarzyć się od tamtej chwili. Łącznie z jednoczesnym zaspokojeniem dwóch ambicji.

Smród, który z siebie wydzielala, zwrócił uwagę Forda, nadal siedzącego w recepcji.

– Ależ ty jesteś śpiewaczką! Nie powinno cię tu być – zmarszczył nos i zadrżał, oblizując wargi. – Śpiewacy mają własne kwatery.

– Wszędzie pełno. Po prostu daj mi pokój i pozwól, że się odkażę.

Killashandra podeszła do lady, aby przycisnąć przegub do płytki.

– Nie, nie, to nie będzie konieczne! – Ford podał jej klucz, wyciągając rękę. Wyraźnie starał się trzymać jak najdalej.

– Wiem, że ze mną źle, lecz czy aż tak? Recepcjonista zaczął mamrotać przeprosiny, ale Killashandra podążyła już za wskazaniem klucza.

– Dałem ci największy, jaki mamy! – w korytarzu dobiegł ją jeszcze głos Forda.

Pokój znajdował się na niższym poziomie i – zakładając, że operator nie mylił się co do nieobecności gości – Killashandra natychmiast zaczęła zdzierać z siebie cuchnące ubranie. Nagłe rozgrzanie klucza wskazało, że dotarła do właściwych drzwi. Wpadła do środka, zamknęła je za sobą i wsparła się o ścianę, zrzucając buty i spodnie. Spojrzała na podróżny worek i zdecydowała, że pranie tego wszystkiego nie ma sensu. Z ogromną ulgą wepchnęła swe rzeczy do zsypu.

Stacja księżycowa wyposażona była jedynie w prysznic, ale w łazience Killashandra znalazła całkiem przyzwoity wybór ziołowych i perfumowanych balsamów do kąpieli. Przez długą chwilę stała pod strumieniem wody, tak gorącym, jak się tylko dało, po czym zaczęła z całej siły nacierać się płynami, póki jej skóra nie przybrała barwy żywej czerwieni. Wyszła z kabiny prysznic obwąchując dłonie i ramiona, nachyliła się, aby zbadać węchem kolana, i wreszcie zdecydowała, że jej stan można już od biedy nazwać czystością.

Dopiero susząc włosy uświadomiła sobie, że nie ma żadnego świeżego ubrania. Połączyła się z magazynem i zamówiła pierwszy kombinezon, jaki ukazał się na faksie, następnie zaś wystukała numer perfum i wybrała dużą butelkę czegoś mocnego. Po selkickim statku potrzebowała mocnych akcentów w życiu. No cóż, Pendel próbował ją ostrzec. Ale jeśli się zastanowić, nawet Selkici byli lepsi niż przebywanie w pobliżu Francu i tego tępaka Chasurta.

Przypomniała sobie, że może wyjąć z oczu soczewki kontaktowe i westchnęła z ulgą, gdy pokój wokół niej wypełniły prawdziwie kojące kolory.

Zamówiła yarrańskie piwo, zastanawiając się, jak Lanzecki znosi Przejście. Z własnej woli zamurowana na selkickim statku pozbyła się wszelkich resztek niechęci do Mistrza Cechu i teraz bardzo chciała zachować przyjaźń z tym człowiekiem. Samotność to znakomity lekarz: cuchnąca samotność sprawiała, że czuło się wdzięczność za zapamiętane przysługi i uprzejmość. Tych zaś winna była Lanzeckiemu więcej niż oskarżeń.

Piwo był takie pyszne! Uniosła kufel w niemym toaście dla Pendela. Miała nadzieję, że na każdego napotkanego Francu przypadnie co najmniej jeden Pendel.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Ciasno owinęła się ręcznikiem, zastanawiając się, dlaczego osobiście dostarczyli jej zamówienie, zamiast zwyczajnie wysłać je podajnikiem. Zwolniła zamek i właśnie miała odsunąć drzwi, gdy ubiegła ją ręka z zewnątrz.

– Co tu robisz? – do pokoju wszedł Lanzecki. Jego gniewna postać górowała nad nią w ciasnym korytarzyku. Zamknął za sobą drzwi i rzucił trzymaną w ręku paczkę w kierunku łóżka.

– A co ty robisz na Shankillu? – usiłowała mocniej otulić piersi ręcznikiem.

Oparł dłonie na biodrach i wbił w nią wzrok. Jego oczy błyszczały, twarz miała zacięty wraz, usta wykrzywiała złość.

– Shankill oferuje najlepszy strategiczny punkt, z którego można ocenić przepływ mas burzowych.

– A zatem nawet ty uciekasz przed huraganem – stwierdziła z gigantyczną ulgą.

– Tak, i chciałem, żebyś i ty go uniknęła, ale zjawiałaś się kilkanaście dni za wcześnie!
– jego ręka uniosła się w gniewnym geście, jakby chciał ją uderzyć.

– Właściwie czemu nie? – Killashandra postanowiła bronić swej decyzji. – Skończyłam te przekłete instalacje. Czy wichury były aż tak złe, jak przepowiadali? Nic nie słyszałam.

– Według rozkładu miałaś wrócić komfortową fregatą pasażerską dokładnie za siedem dni – zmrużył oczy, uważnie mierząc ją wzrokiem. – No, mogło być gorzej – dodał niechętnie. Nie była pewna, czy miał na myśli ją, czy może burze.

– Przyleciałam selkickim frachtowcem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – skrzywił się lekko.

– Próbowalam się oczyścić. To było okropne. Dlaczego nie powiedziano mi o Selkitach? Nie, to nieprawda, uprzedzono mnie, ale nie chciałam słuchać, bo nie mogłam zostać już ani chwili dłużej na tym koszmarnym krążowniku.

– Ręcznik rozluźnił się nieco, kiedy wspomniała Francu. – Dlaczego przynajmniej nie ostrzegłeś mnie przed Tundolami? Lanzecki wzruszył ramionami.

– Nie dysponowaliśmy zbyt bogatymi danymi. Ale przynajmniej nie miałaś żadnych uprzedzeń ani nieprzyjemnych wspomnień na temat innych izolowanych układów. Mogłaś działać.

– Może już nigdy nie zetkną się ze śpiewakiem.

– Stykają się z Cechem. – Lanzecki zaczął się uśmiechać. Jego ciało rozluźniło się, spojrzenie pocieplało.

– Co ważniejsze, Lanzecki – starała się utrzymać dzielący ich dystans, póki nie odeprze wszystkich zarzutów – czemu nie uprzedziłeś mnie o wstrząsie połączenia? Zaśpiewałem centralny kryształ, łączy i w ogóle, i rzuciło mnie na kolana.

– Wstrząs połączenia to zapewne jedna rzecz, jakiej się to udało – położył swe ciepłe dłonie na ramionach Killashandry i przytrzymał stanowczo, a jego oczy wpatrywały się w jej twarz. – Nikt nie potrafi opisać tego wstrząsu. Różni ludzie doświadczają go na odmiennych poziomach, to zależy od osobowości. Ostrzec znaczyłoby zniszczyć to przeżycie.

– Z pewnością bym się nie zmartwiła!

Zaśmiał się cicho na tę ironiczną uwagę i pociągnął ją ku sobie. Ten uścisk stanowił największe przeprosiny, jakich mogła od niego oczekiwać.

– Niektórzy nie czują nic.

– Biedacy – tym razem w jej słowach nie było ironii.

– A co do ciebie, Killashandro... Połączenie zestawu kryształów, które sama wycięłaś, jeszcze mocniej wiąże cię z czarnym kryształem. – Mówił powoli, w jego głosie znów rozbrzmiewał ów ukrywany ból, który już kiedyś słyszała. Pozwoliła przyciągnąć się do tego mocnego ciała.

Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła, nawet kiedy przeklinała go w duchu. Teraz z wdzięcznością odpłaciła mu się za znalezione w jego ramionach ukojenie. – Cechowi potrzeba śpiewaków czarnego kryształu.

– Czy to dlatego osobiście kierowałaś moją karierą, Lanzecki? – sięgnęła dłonią ku jego wargom i poczuła, jak wyginają się z rozbawieniem.

– Moje życie zawodowe należy do Cechu, Killashandro. Nigdy o tym nie zapominaj. Natomiast życie osobiste to już zupełnie inna, całkowicie prywatna sprawa – gdy mówił, ustami zmysłowo muskał jej palce.

– Lubię cię, Lanzecki, niech szlag trafi twą kłamliwą gębę – odparła. Roznosiła ją radość bycia razem z nim.

Ujął jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni. Jej ciało przeszył doskonale zapamiętany dreszcz.

– Przez następne kilkadziesiąt lat, Killashandro, postaraj się o tym nie zapomnieć.